

Cynthia Freeman

Zmienność serca

Rozdział pierwszy Dzień zaczął się jak miliony innych. Nic nie zmieniło się w uniwersalnym porządku rzeczy, lecz Anna Coulter obserwując słońce wolno kryjące się w wodach Pacyfiku, wiedziała, że w jej życiu zaszły nieodwracalne zmiany. 23 grudnia 1969 roku Anna stanęła twarzą w twarz z własnym przeznaczeniem. Otulały ją cienie wczesnego zmierzchu, kiedy siedziała nawiedzana setkami wspomnień. Jej życie zdawało się być pasmem pożegnań. Narodziny i śmierć były nieuniknione, lecz decyzje na drodze życia należały do niej. A nie były one łatwe. Wydarzenia dzisiejszego popołudnia przygnębiły ją i wyczerpały do granic możliwości. Umieszczenie Filipa w domu opieki było najtrudniejszą decyzją, jaką w życiu podjęła. Smutne obrazy kłębiły się w jej umyśle doprowadzając ją do szaleństwa. Te długie korytarze pełne ludzi na wózkach, bezradne istoty, które kiedyś biegały do szkoły, wyznawały sobie miłość, wychowywały dzieci teraz popadły w całkowitą zależność. Mężczyźni i kobiety, których nikt już nie potrzebuje. Czy tego oczekujemy od naszych ostatnich dni? Anna nie mogła pogodzić się z okrucieństwem życia. Nie obawiała się starości. Nie mogła jednak znieść upokorzeń, jakie z sobą niesie. A Filip odczuł to już przed sześćdziesiątką. Nigdy nie zapomni zdezorientowanego wyrazu jego twarzy, kiedy się z nim żegnała. Pozostawienie go w domu opieki to jakby odesłanie go w niepamięć. Jak mogła sobie z tym poradzić wiedząc, że tylko ona jedna jest za to odpowiedzialna? To tragedia tak zakończyć prawie trzydziestoletnie małżeństwo, nawet jeśli nie wszystkie lata były szczęśliwe. Może wolałaby nawet, gdyby umarł. Wówczas byłaby to boża decyzja. Z pewnością byłoby jej ciężko, ale znalazłaby ukojenie w naturalnym biegu rzeczy. Teraz nie miała spokoju, przeciwnie, prześladowało ją poczucie winy. To niegodziwe, że życie nałożyło jej taki ciężar na ramiona. Obserwując pogarszający się stan Filipa, oddalała od siebie myśl o odesłaniu go do domu opieki, chociaż złościło ją jego niezdecydowanie i zaniki pamięci. Ale po cóż teraz nad tym rozmyślać? Patrząc w kierunku Zatoki San Francisco zastanawiała się nad minionymi latami. Czy zdoła wymazać dźwięk jego głosu, kiedy spytał: - Dlaczego mi to robisz? Czowała, że zdawał sobie sprawę z tego, że zostaje opuszczony i w tym okropnym momencie chciała wykrzyknąć: - Nie zostawię cię tutaj! Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Słowa dr. Cohna powstrzymały ją od omdlenia. - Wiem, jak się czujesz, Anno. Umieszczenie ukochanej osoby w domu opieki jest chyba najboleśniejszą decyzją, jaką musimy podjąć. Ale odpowiadając na twoje pytanie nie uważam za rozsądne pozostawienie go w domu. Jego stan będzie się tylko pogarszał. Na pewno nie jest to łatwa decyzja, bez względu na to, kiedy ją podejmiesz. Mądry dr Cohn. Wiedziała, że ma rację. Nie było bezpiecznie trzymać Filipa w domu. Jednak rozumowe uzasadnienie wcale ją nie pocieszyło. Doznawała ukojenia przytulając go i szepcząc: - Kocham cię, Filipie. Tak mi przykro, kochanie... Nagle uświadomiła sobie, że zrobiło się zupełnie ciemno. Ocierając łzy, zapaliła lampkę i nalała sobie brandy. Przechodząc obok stolika spuściła wzrok i dostrzegła egzemplarz "Nowych Horyzontów". Wiele stron w tym numerze poświęcono jej zawodowym osiągnięciom. Zaśmiała się gorzko. Podczas wywiadu starała się jak najmniej mówić o swoim prywatnym życiu, zwłaszcza o faktach dotyczących jej małżeństwa, lecz dziennikarz domagał się szczegółów: co myślał Filip o jej sukcesach? Czy czuł się nimi zagrożony? Jak układało się ich pożycie? Warto było wspomnieć o prawie

trzydziestoletnim związku, choćby ze względu na jego długotrwałość. Anna odpowiadała na wiele pytań dowcipnie, lecz wymijająco. Nie wspomniała o chorobie Filipa. Miał prawo do własnej godności. Wzięła do ręki magazyn, przerzuciła kilka stron i spojrzała na własną fotografię. Wyglądała nieźle jak na swoje czterdzieści dziewięć lat, chociaż dzisiaj czuła się jakby miała sto. Nie mogła znieść tej samotności, przytłaczała ją otaczająca cisza. Zerwała się i włączyła płytę, "Au Clair de Lune", po czym ponownie opadła na kanapę i znów popatrzyła na swoje zdjęcie. Nad nim widniał czarny, wyraźny nagłówek: "Skromna po odniesieniu wielkiego sukcesu". Cichy głos w jej wnętrzu szeptał: - To czysta parodia. Nie jestem lepiej przygotowana do życia niż wtedy, kiedy umarła moja mama. Jakby kotara się uniosła, Anna powróciła do dzieciństwa i zobaczyła siebie przytuloną do ojca po pogrzebie. Miała wtedy sześć lat i jakże go kochała. Była dla niego wszystkim - tak przynajmniej powiedział. Anna wierzyła mu do czasu, gdy dwa lata później poznał Stellę Burke. Ból po śmierci matki ledwo się zatarł. Anna, siedząc sama w swoim pokoju, płakała gorzko w dniu, w którym ojciec poślubił Stellę. Wzrastała w poczuciu, że ojciec zdradził nie tylko pamięć matki, ale i ją samą. Nic dziwnego, że kiedy pojawił się Filip, tak chętnie opuściła dom. Rozdział drugi Był marzec rok 1941. Świat rozbrzmiewał odgłosami wiosny. Wydawało się, że los skierował Annę do właściwego miejsca we właściwym czasie. Anna była druzną na ślubie swojej najbliższej przyjaciółki Ruthie, a Filip pełnił rolę drużby pana młodego, Kenny Newmana. Ukradkowe spojrzenie w kierunku Filipa pozwoliło jej uwierzyć w słowa refrenu "Rozkwita miłość", którą Jack Benny śpiewał w radiu co niedzielę. Jego wysoka, przystojna postać jakby stworzona była do tego, aby romantycznej i bardzo wrażliwej dziewczynie zawrócić w głowie. Wówczas wszystko było takie proste. Istniały trzy reguły: zakochać się, wyjść za mąż i mieć dzieci. Kiedy przy dźwiękach "Lohengrin" Ruthie zbliżała się do ołtarza Anna marzyła, że zostanie panią Coulter. Były to czasy sprzyjające romansom. Ameryka była u progu wojny, a Hollywood całkowicie zawładnął wyobraźnią narodu. Anna dorastała w atmosferze romansów i obietnic dozgonnej miłości płynących ze srebrnego ekranu. Bez względu na to, czy Filip Coulter przypominał Roberta Taylora czy też nie, Anna widziała w nim bohatera. Jego włosy nie były aż tak czarne, jego oczy nie aż tak niebieskie, ale przekonana była, że jego pięknie wykrojone usta, które pragnęłyby całować i mocno zarysowany podbródek z roztkliwiającym ją wgłębieniem, były dobiciem zalet filmowego idola. Rozpierało ją szczęście, kiedy tańczyła w jego ramionach w weselną noc. Był jak czarujący książę, który zjawił się, aby ją porwać, uszczęśliwić i przy dźwiękach romantycznej "Tea for two" zawieźć do obrośniętego winem domku. Niestety, zaraz po weselu Filip odwiózł ją do domu. Stojąc z nim twarzą w twarz w drzwiach frontowych nie czuła się już jak kopciuszek z bajki. Jej fiołkowe oczy zamgliły się. Modliła się, żeby Filip nie zauważył, że jest bliska płaczu. Miała nadzieję, marzyła, że weźmie ją w ramiona i pocałuje przeciągle. Niestety, stał raczej nieporadnie, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu wymamrotał: - Naprawdę cieszę się, że panią poznałem. Anna o mało się nie rozplakała. Zabrzmiało to w jego ustach tak ostatecznie, podczas przygotowań do wesela i wspólnych kolacji, miała wrażenie, że ją dość polubił. Na weselu tańczył z nią więcej niż z kimkolwiek innym. A teraz odchodził, nie zostawiając nadziei na ponowne spotkanie. Anna położyła się spać, rozważając, jakie popełniła błędy. Ach, gdybyś była bardziej podobna do Veroniki Lake! Ale nie była i nie podobała się Filipowi na tyle, aby poprosił ją o spotkanie. Prawie nie zmrużyła oczu tej nocy. Kiedy następnego ranka zadzwonił budzik, chciała

rzucić nim o ścianę. Wyczerpana, ubrała się mniej starannie niż zwykle i z niechęcią stanęła za ladą w sklepie firmy I. Magnin. Zazdrościła Ruthie, bezpiecznie zakotwiczonej mężatce. No cóż - pomyślała, rozpogodzona nieco łagodnym, wiosennym rankiem - może zadzwoni. Może... Minął tydzień, ale telefon milczał. Płakała do poduszki w każdą noc. Było oczywiste, że po prostu nie spodobała się Filipowi. Jedynym pocieszeniem była Ruthie, która wróciła już z miesiąca miodowego spędzonego na romantycznej wyspie Santa Catalina. Siedziały naprzeciw siebie w restauracji "Townsend", gdzie Anna próbowała się uspokoić wypłakując przed Ruthie swoje żale. - Musiałam być strasznie głupia, Ruthie, żeby zakochać się w człowieku, który mnie w ogóle nie zauważa. Ale naprawdę myślałam, że mnie lubi. - Jestem pewna, że cię lubi, Anno. Kto by cię nie lubił? - Na przykład moja macocha. Nie sądzę by mnie tak powszechnie kochano. A z pewnością nie jestem taka atrakcyjna, w przeciwnym razie Filip by zadzwonił. - Nie umniejszaj swoich zalet. Nawet jeśli nie zadzwoni, to co? Mało to innych mężczyzn? W tym samym momencie Anna pomyślała, że nikt jej nigdy nie pokocha, a na pewno nie Filip Coulter. A o nim właśnie marzyła. Anna myliła się. Filip, pożegnawszy się z nią owego wieczora, przeszedł przez ulicę i stał obserwując, jak zapaliła światło w sypialni. Oparł się o latarnię, zapalił papierosa, mając nadzieję, że podejdzie do okna. Kiedy papieros dopalił się, parząc mu palce, a ona nawet nie przemknęła, odwrócił się i odszedł. Anna oczywiście nie wiedziała o tym i dlatego źle odczytała jego zachowanie. Filip nie tylko chciał ją pocałować, oczarowała go w czasie ich krótkiej znajomości. Trzymał się od niej z daleka właśnie dlatego, że ją tak bardzo lubił. Nie mógł jednak nawet myśleć o poważnym związaniu się z kobietą, będąc zobowiązanym teraz i w przyszłości do utrzymywania swoich rodziców. Choć po ukończeniu prawa udało mu się dostać posadę u Levina, Cahna i Smitha, jednej z bardziej prestiżowych firm w mieście, w rzeczywistości był tylko szanowanym urzędnikiem. Jego pensja była tak niska, że po opłaceniu czynszu i zakupieniu najpotrzebniejszych rzeczy prawie nic mu nie zostawało. Więc jak do diabła mógłby myśleć o małżeństwie? A dziewczyny takie jak Anna dążyły do małżeństwa. Nie miał innego wyjścia, jak tylko wybić ją sobie z głowy. Lecz co noc, przez kolejne sześć tygodni, leżał w ciemnościach i cierpiał, nie mogąc trzymać jej w ramionach. Widział jej twarz, te piękne fiołkowe oczy, jasną, porcelanową cerę. Im bardziej starał się o niej zapomnieć, tym trudniej mu to przychodziło. Z upływem czasu pragnął Anny bardziej, niż czegokolwiek innego na świecie. Prawdę mówiąc, mało miał czasu w życiu na dziewczyny, zawsze zajęty zarabianiem pieniędzy na naukę w college'u i studia prawnicze. Dopóki nie spotkał Anny, jego celibat był niepokojącym, choć nie nazbyt poważnym problemem. Lecz ona pobudziła w nim namiętność, której nie mógł ugasić. Jak zdołał powstrzymać się od pocałowania jej w dniu ślubu Kenna? Sam się temu dziwił. Choć nie było to dla Anny oczywiste, Filip był bardzo niepewny siebie. Owładnęło nim prawie obsesyjne przekonanie, że nigdy do niczego nie dojdzie, a odkąd myśl o małżeństwie zaczęła go prześladować, pewny był, że nigdy nie zdoła Annie niczego ofiarować. Jego walka z finansami to jedna sprawa, ale prosić Annę by dzieliła z nim biedę, zdawało się rzeczą niemożliwą. Dylemat, przed którym stanął Filip nie był spowodowany tylko jego własną winą. Ojciec Filipa pochodził z zamożnej rodziny, jako dziecko miał więc wszelkie powody by oczekiwać łatwego życia. Był upragnionym synem. Po latach oczekiwania na potomka rodzice otaczali go troską i rozpieszczali aż do przesady. Były to szalone lata dwudzieste. Cała Ameryka bawiła się. Trudno było oprzeć się pokusie zdobycia wielkiej fortuny. Można było kupić akcje po najkorzystniejszych cenach. Simon,

podobnie jak inni, nierozważnie zaangażował się, dając swoje sklepy w zastaw. Powinien był przewidzieć nadciągające chmury, ale wolał zostawić swoje lokaty w rękach pośrednika. Kiedy nastał kryzys, zgorzkniały, zmuszony sprzedać swoje luksusowe sklepy za bezcen, winił za wszystko maklera. W listopadzie 1929 był całkowicie zrujnowany jak wiele innych ofiar bankructwa i już nigdy nie podniósł się z tego upadku. Filip miał wówczas czternaście lat, ale nigdy nie zapomniał dnia, w którym ojciec dowiedział się, że jest bankrutem. Jakby nagle się postarzał i nigdy już nie spojrzął synowi prosto w oczy. Filip zawsze wykazywał zainteresowanie biznesem i Simon, często wyrażał się o nim z dumą, że jest urodzonym handlowcem. Wszystko to należało do przeszłości. Lecz Filip, nie uświadamiając sobie tego w pełni, odczuwał wewnętrzny strach tak silnie jak Simon. Ambicja Filipa, jego chęć życia nigdy nie powróciły do pełnej równowagi. Zdecydował, że nie będzie dążył do bogactwa, majątek naraża na zbyt wiele niebezpieczeństw. Bez względu na to, że fortunę można zdobyć na nowo. Żadne pieniądze nie gwarantują bezpieczeństwa, lepiej przywyknąć do obchodzenia się bez nich. Prawie natychmiast wystawiono dom w Sea Cliff na aukcję. Filip był zdruzgotany, widząc jak osiemnastowieczne antyki, porcelana i obrazy rozchwytywane były za grosze. Od dziecka uczono go je szanować. Należały do jego spadku. Choć bardzo się starał, nie mógł powstrzymać się od obwiniania ojca za brak zdolności przewidywania. Gdy Filip zatopił się w ponurym milczeniu, jego matka bardzo bolała, że powstała między ojcem a synem ryna. Ewa wiedziała, że Simon jest już dostatecznie załamany poczuciem winy i modliła się, aby pozostał nieświadomy rozżalenia Filipa. Lecz modlitwy jej nie zostały wysłuchane. Simon zauważył gniew syna i pogardzał sobą za roztrwonienie spadku powierzonego mu jako zabezpieczenie dla następnych pokoleń. Jak mógł być taki zaślepiony i nie dostrzec, że rynek nie będzie się wiecznie rozwijać. Wręcz spodziewał się bezsilnej wściekłości Filipa; była to odpowiednia pokuta. Ciężar szaleństwa Simona nie tylko dotyczył przyszłości, lecz również zahaczał o przeszłość. Prześladowały go wizje rozgniewanego dziadka, ze snu często wyrzywały go majaki, w których starzec opisywał swą długą drogę do zdobycia fortuny. Izrael Coulter i Filip Coulter, jego wnuk, byli w tym samym wieku lat czternastu, kiedy porządek ich światów został zachwiany, z tym, że Izrael wykorzystał cios jako bodziec do rozpoczęcia nowego życia. Podczas szczególnie krwawego i totalnego pogromu w Rosji całą rodzinę Coulterów zmasakrował pijany motłoch. Tylko Izrael się uratował i zdał sobie sprawę, że jeśli zostanie w Rosji skończy podobnie jak jego najbliżsi. Trawiony gniewem i bólem wiedział, że Bóg ocalił go nie bez powodu. Licząc prawie wyłącznie na własną pomysłowość, z kilkoma ocalonymi monetami w kieszeni, chłopiec przebył drogę przez Krym do Turcji, trzy lata później dotarł do wschodnich brzegów Ameryki, skąd udał się do San Francisco. Mając siedemnaście lat był już dojrzałym mężczyzną. Z małym pudełeczkiem szpilek i igieł zaczął zarabiać na życie jako krawiec, w zawodzie, którego uczył się od dzieciństwa. Szybko dorobił się majątku w mieście, gdzie złoto było bogiem. Już w pierwszym roku spotkał szczęście, śliczną żydowską dziewczynę Sarę, którą wkrótce poślubił. Poczł się jeszcze szczęśliwszy, kiedy rok później urodziła mu syna, Daniela. Izrael nigdy nie zapomniał przysięgi złożonej przy grobie rodziców, że ich ród nigdy nie zginie. Widząc jak Daniel wzrasta beztrudnie w nowym świecie, Izrael dziękował swojemu Bogu. Najszczęśliwszy dzień nastąpił, kiedy razem z Danielem patrzył jak wznoszono sztyld nad ich pierwszym sklepem: "Coulter i syn, 1870". To był dopiero początek. Kiedy urodził się Simon, miał już ponad tuzin dobrze prosperujących sklepów. Ameryka znajdowała się w okresie

światnej koniunktury, a Izrael był rozważnym i bystrym biznesmenem. Dożył dziewięćdziesiątki, przeżywszy swego syna Daniela, o niemal dziesięć lat. Simon nigdy nie zapomniał, jak Izrael wezwał go do łoża, mówiąc: - To jest twój spadek, Simonie. Zostawiam ci go z moim błogosławieństwem. Strzeż go i zachowaj dla swoich synów. Izrael nie mógł przewidzieć, że słowo "rozważa" straci swą wartość w powojennym boomie lat dwudziestych. Skoro mam pieniądze, to dlaczego ich nie potroić, pomyślał Simon, i jak wielu z jego pokolenia, zaryzykował lekkomyślnie i stracił wszystko. Nigdy nie otrzęsął się po utracie fortuny. Teraz Filip bliski był ukończenia szkoły, a on wciąż niewiele więcej wiedział, co począć bez rodzinnego majątku, niż owego tragicznego dnia 1929 roku. Nie było łatwo, ale jakoś udało się Simonowi uratować trochę pieniędzy z resztek rodzinnego imperium. Pewnego wieczora, przy kolacji, siadł w przeciwnym rogu stołu i zapytał Filipa: - Jakie masz plany synu po ukończeniu szkoły? Filip spuścił powieki. - Naprawdę nie wiem. - No cóż, Filipie, dużo myślałem o twojej przeszłości. Przez moment Filip chciał powiedzieć - dlaczego nie myślałeś o mnie, kiedy jeszcze miałem przyszłość? Lecz zamiast tego zapytał: - No i co wymyśliłeś? - z nadzieją, że nie okazał swojego gniewu. - Jeśli zdobędziesz zawód nikt ci tego nie odbierze. Zdołałem zaoszczędzić dość pieniędzy, żebyś mógł rozpocząć naukę na Uniwersytecie Kalifornijskim. Zdecydowali za mnie, pomyślał Filip dotknięty. Nie powiedział jednak nic, tylko spojrzał na pooraną bruzdami twarz ojca. Ostatnio nauczył się podchodzić do jego niepowodzeń z większą wyrozumiałością. Pomimo wszystko kochał gorąco zarówno matkę jak i ojca, a nawet ostatnio zaczął obwiniać samego siebie za to, że nie potrafił pogodzić się z utratą rodzinnej fortuny. Podwójnie ich upokorzył okazując im swoje rozżalenie. Filip uświadomił sobie, że jemu, podobnie jak jego ojcu, brakowało ambicji i żelaznej woli Izraela Coulera. Przyglądając się Simonowi, Filip nie mógł zaprzeczyć, że ojciec próbował się podźwignąć. - Dobrze, tato - powiedział z przymusem - dziękuję. Tak więc kości zostały rzucone. Filip został studentem Uniwersytetu Kalifornijskiego. Jego kariera lekarska stanęła jednak pod znakiem zapytania już pierwszego dnia zajęć w prosektorium. Lodowaty pot ściekał mu po plecach, a w żołądku odczuwał nerwowe skurcze. Filip musiał rzucić medycynę, choć wiedział, że zrani tym ojca. Już wcześniej podejrzewał, że Simon podjął niewłaściwą decyzję kierując go na studia medyczne. Chciał, aby Filip został lekarzem w równym stopniu ze względu na siebie jak i na syna. Gdyby Filip odniósł sukces, Simon nie czułby się całkowicie pokonany. Teraz widząc, że Filip jest nieubłagany, zaproponował prawo. Jak na ironię, nie mógł po raz kolejny wybrać dla Filipa bardziej nieodpowiedniej profesji. Adwokat musi być dobrym mówcą i doradcą. Filip nie był ani jednym, ani drugim. Przygotowywano go od dziecka do zawodu handlowca i tym zawsze chciał zostać. Z pewnością dostałby pracę w sklepie z odzieżą męską. Chyba tylko do tego miał talent - do sprzedawania za ladą skarpetek, czy też koszul. Lecz nie mógł odmówić ojcu jedyne, co mu pozostało: duma z syna. Ostatecznie Filip przystał na to. Z trudem przebrnął przez college i studia prawnicze. Ukończenie szkoły dało mu poczucie ulgi zamiast przekonania, że posiadał swoją dziedzinę. Ubrany w czarną togę, z czapką uniwersytecką na głowie, Filip stał na podium, wypatrując rodziców. Gdy zobaczył ojca jak wyciąga chusteczkę i ociera oczy, wiedział, że bez względu na odczucia wobec swojej profesji dokonał jedyne, prawidłowe wyboru. Minał rok i jedyną zmianą były kolejne urodziny - dwudzieste szóste. Ilekroć myślał o Annie, uświadamiał sobie, jak puste jest jego życie. Nieszczęśliwy w swoim życiu zawodowym, nie dopuszczał do siebie niczego - ani

piękna, ani radości, ani miłości. Pewnej nocy, po sześciu tygodniach starań, aby o niej zapomnieć, stwierdził, że jeśli nadal będzie tłumił swoje uczucia, nigdy nie stanie się w pełni człowiekiem. Oddalając od siebie wątpliwości, złapał słuchawkę i wykręcił numer, który utrwalił się w jego pamięci wiele tygodni temu. Lecz nagle zadał sobie pytanie, co robi, jeśli nie zechce się z nim umówić? Co będzie, jeśli on ją w ogóle nie interesuje? Tak był owładnięty własną namiętnością, że nawet nie pomyślał o jej uczuciach. Mogła czuć się urażona, że nie odezwał się do tej pory. Na myśl, że mogłaby go odrzucić, zwilgotniały mu dłonie. Usłyszał jej głos w słuchawce: - Halo? - Jak się masz Anno? Mówi Filip - wykrztusił z siebie. - Filip - spytała zdziwiona. - Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej, ale wyjeżdżałem w interesach - kłamał nieporadnie. Anna nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Nagle opanował ją gniew. Miała ochotę wrzasnąć: jak śmiesz mnie tak ignorować? Ale przełknęła urazę i odparła: - To brzmi interesująco. Filip z trudem trzymał słuchawkę w spoconych dłoniach. - O, tak, bardzo. Powiedz, a jak ty się miewasz? - Ach, dziękuję, wspaniale, po prostu wspaniale. A ty? Podle, po prostu podle - pomyślał. - Raczej w porządku - odpowiedział. Anna nagle wyczuła samotność Filipa i zawstydziła się, że tak źle o nim myślała. Nawet zaczęła go usprawiedliwiać. - Co robisz w sobotę wieczorem - zapytał. Chce się ze mną umówić - uświadomiła sobie z bijącym sercem. Wzięła głębszy oddech i odpowiedziała: - Nic. Nic szczególnego nie planowałam. - Wspaniale. Czy zjadłabyś może ze mną obiad? - Ach, Filipie, z prawdziwą przyjemnością. - Czy lubisz chińską kuchnię? Nie lubiła, ale to nie miało znaczenia. - Tak, uwielbiam. - Czy siódma ci odpowiada? - Tak. I dziękuję za telefon, Filipie. Gdybym nie był takim tchórzem, zrobiłbym to kilka tygodni temu - pomyślał. Dodał tylko: - Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej. Rozdział trzeci Nazajutrz Anna stała w sklepie za ladą z trykotażami u Magnina, z trudem mogąc zebrać myśli. Jeśli kiedykolwiek była zadowolona, że nie musi pracować w pełnym wymiarze godzin w sobotę, to właśnie dzisiaj. Była szczęśliwa, chociaż brakowało jej cotygodniowego lunchu z Ruthie. Tym razem pobiegła czym prędzej do domu, umyła włosy, i zasiadła przed lustrem nakręcając mnóstwo małych loczków. Zrobiła manicure, uregulowała brwi i przymierzyła cztery sukienki zanim po nią przyjechał. Badawczo przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, westchnęła melancholijnie. Gdybyż знаła jego ulubiony kolor! Gdyby w ogóle wiedziała co lubi, nie byłaby taka zdenerwowana. Ten wieczór jest taki wyjątkowy. Dziś musi wypaść doskonale. Jaka pozę powinna przyjąć? Czterdziestodziewięcioletnia Anna roześmiała się gorzko, siedząc samotnie w salonie. Ach, ta naiwność jej pokolenia. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, żeby po prostu być sobą. Ale jak miała wpaść na taki pomysł skoro sama nie wiedziała, kim właściwie jest Anna Pollock? Poza tym "być sobą" byłoby nudne i pospolite. Pamięta jak zbiegała po schodach w momencie, kiedy zadzwonił dzwonek, wdzięczna, że ojca z macochą nie było w domu. Przynajmniej mogli uniknąć niezręcznych sytuacji. Kiedy wszedł do holu, ponownie zobaczyła, jaki był przystojny i ogarnęła ją fala nieoczekiwanej namiętności. Stojąc naprzeciw niego nie mogła złapać tchu. Unikała jego wzroku, obawiając się, że zobaczy w jej oczach odbicie wszystkich marzeń. Umarłaby, gdyby Filip dowiedział się, jak bardzo chciała, by ją objął. Modląc się o opanowanie, zapytała łagodnie: - Jak się masz, Filipie? - Dziękuję, dobrze. Wyglądasz prześlicznie, Anno. - Dziękuję. Zaczekasz chwilę, aż założę płaszcz? - Oczywiście - obserwował, jak podchodziła do szafy. Boże, musiał być szalony, myśląc, że kiedykolwiek zdoła o niej zapomnieć. Wezbrała w nim nowa fala uczucia do niej, kiedy zasiedli w półmroku sali "Chang Lee Imperial Palace". Wyglądała

czarująco z ciemnymi kędziorkami okalającymi jej delikatną twarz. - Dobry wieczór, proszę pana - powiedział kelner łamaną angielszczyzną. - Pan chce zamówić? - Na co masz ochotę, Anno? - zapytał Filip. - Ojej, nie znam żadnych potraw z kuchni chińskiej oprócz chow mein. Lepiej ty coś wybierz. Spojrzał na nią badawczo. - Myślałem, że lubisz chińską kuchnię. - Ależ lubię! To znaczy - hm... tu wszystko wygląda tak apetycznie. Pozwalam ci wybrać dla nas dwojga. Nie lubiła chińskiej kuchni, był tego pewien. A niech to, nie powinienem był jej tu przyprowadzać - pomyślał, ale była to jedyna przyzwoita restauracja, na którą było go stać. A ona po prostu starała się być miła. Zawsze jest taka słodka, taka zgodna. Te cechy pociągały go w niej najbardziej. Poza tym, Anna była taka kobieca; przy niej czuł się taki silny i męski, choć już od dawna owładnięty był niemocą i bezradnością. Potrzebował osoby takiej jak Anna, żeby go szanowała i polegała na nim. Kelner wytrącił Filipa z zadumy. - Ja przyjdę, kiedy państwo wybiorą. - O tak... dobrze - odpowiedział Filip jakby w próżnię. Spojrzał na Annę. - Czy przejrzałaś już menu? Odparła z powagą, jakby miała podjąć jakąś życiową decyzję. - Tak. To znaczy... Filipie, naprawdę Nie wiem. Co byś mi polecił? - Nie będziesz się śmiała, jeśli ci to powiem, prawda? - Oczywiście, że nie Filipie. - Ja również nie znam kuchni chińskiej, z wyjątkiem chow mein. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, po czym wybuchnęli głośnym śmiechem. Rozluźniło ich to na moment. Kiedy kelner postawił przed Anną talerz z wieprzowiną chow mein, zrobiło jej się niedobrze. Co prawda w jej rodzinie nie jadano koszernie, ale wzdrygnęła się na samą myśl o zjedzeniu tego. - Uważam, że jest naprawdę smaczne, a ty? - spytał, przyprowadzając parujący ryż sosem sojowym. - Ach... po prostu pyszne, Filipie. Wyśmienite! - Naprawdę tak uważasz? - O tak, zdecydowanie! W miarę jedzenia napięcie między nimi znów narosło. O czym by teraz pomówić? - zastanawiała się Anna. Nie mogą przecież ciągle mówić o jedzeniu. W końcu zapytała: - Czy widziałeś się już z Ruthie i Kennem od ich ślubu? - oczywiście znała już odpowiedź, pytała o to Ruth wiele razy. - Nie, nie widziałem się z nimi, byłem zajęty. A ty? - Tak, co sobotę jadam lunch z Ruthie. Mieszając widelcem chow mein, wzięła do ust niewielki kawałek. - To był piękny ślub, prawda? - Tak, rzeczywiście. Chociaż był to doskonały wstęp, Filip nie mógł zebrać się na odwagę by wyjawic jej swoje myśli. Leżeć w łóżku i układać przebieg rozmowy to nie to samo, co siedzieć z dziewczyną przy jednym stole, która na pewno pomyślałaby, że jest niespełna rozumu, skoro prosi ją o rękę na pierwszym spotkaniu. Jak miał jej powiedzieć, że czuje się jakby znali się całe życie. Jak miał jej powiedzieć, że od ostatniego spotkania nieustannie o niej myśli. Nie wiedział nawet czy go lubi. A jeśli by przyjęła jego oświadczenia, czy byłby w stanie utrzymać ją i rodziców. Nie ma prawa prosić Anny, by dzieliła z nim jego ciężki los. Ma jeszcze rodziców pod opieką. Im więcej o tym myślał, tym bardziej czuł się winny. Po prostu nie może jej dzisiaj tego zaproponować. Nagle spojrzał na Annę. Wyglądała tak pięknie w łagodnym świetle. Dlaczego na Boga, analizuje to wszystko? Miłość jest przecież spontaniczna - sama znajduje drogę od szczęścia. Podczas gdy te myśli krążyły Filipowi po głowie, Anna zatopiona była w swoich rozmyślaniach. Kiedy kelner postawił na stole ciasteczka z niespodzianką i imbryk aromatycznej herbaty, wyszeptła: - Herbatka we dwoje - i pomyślała jak cudownie byłoby nalewać Filipowi kawę, co rano przed jego wyjściem do biura. Anna rozłamała ciasteczko, wyjęła z niego małą karteczkę i z zapartym tchem przeczytała wróżbę. Mój Boże, pomyślała. Niewiarygodne, ale było tam napisane: "Wysoki, przystojny, nieznajomy brunet porwie cię i uniesie do raj". Anna podniosła oczy i w tym niezwykłym momencie ich spojrzenia spotkały się.

Wyglądało to jak na filmie! Wszystkie problemy, które jeszcze kilka minut temu wydawały się nie do pokonania, nagle zniknęły. Filip poddał się nastrojowi. - Anno - postanowił wyjawic swoj tajemnicę - próbowałem na wszystkie sposoby to stłumić, ale znaczysz dla mnie więcej, niż ktokolwiek inny na świecie. Kocham się... Wiem, że nie mam prawa, lecz... - ujął jej dłoń. - Oczywiście, nie wiem co o mnie myślisz. Anna była całkowicie oszołomiona. Chociaż właśnie usłyszała to, co chciała usłyszeć, nie ogarnęło ją jednak bezgraniczne szczęście, lecz poczuła się urażona. Dlaczego nie zadzwonił do niej przez te wszystkie tygodnie? Dlaczego pozwolił jej cierpieć? Obawiając się, że powie coś niewłaściwego, wysunęła dłoń z jego ręki i jakby nieobecna zaczęła bawić się okruchami chleba. Serce Filipowi zamarło, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy. Oczywiście nie podzielała jego uczuć. Ale Anna podnosząc wzrok, powiedziała: - Kocham cię, kocham cię od samego początku. - Naprawdę? - Filip wyjąkał uszczęśliwiony. - Tak. - Nigdy bym się o tym nie dowiedział - powiedział naiwnie. - Filip, nawet do mnie nie zadzwoniłeś przez prawie dwa miesiące! Dlaczego tak długo zwlekałeś? - Myślałem, że będzie lepiej jeśli będę się trzymał z dala od ciebie. - Lepiej? Nie rozumiem. Myślałam, że to naturalne jeśli się kogoś pokocha. Dlaczego to tak komplikujesz? - Tak, miłość jest spontaniczna. Ale ja mam wiele problemów, Anno... problemów z samym sobą i musiałem mieć czas na ich rozwiązanie. - I rozwiązałeś je? - Nie - odparł Filip ze smutkiem - nie rozwiązałem. - Teraz, kiedy wyznaliśmy sobie miłość, czy nie mógłbyś mi o nich powiedzieć? Westchnął. - Widzisz, kochanie, ja nie mogę ci nic ofiarować. I uważam, że nie mam prawa prosić cię, żebyś borykała się razem ze mną. Nie jest łatwo żyć, klepiąc biedę. - Wystarczy, że mnie kochasz - wyszeptala Anna. Jeszcze raz sięgnął po jej dłoń. - Zrobiłbym wszystko, by móc cię teraz poślubić. Ale mam zobowiązania wobec rodziców. A moja pensja jest zbyt mała, aby utrzymać z niej dwie rodziny. - Ależ Filipie, jeśli dwoje ludzi się kocha, to nieważne, że nie jest im łatwo. Całe życie byłam biedna. Nie ma to dla mnie znaczenia, że nic nie mamy. Będziemy mieli siebie. Patrząc na nią uświadomił sobie, że mają zupełnie różne podejście do życia. Brak pieniędzy był dla Anny źródłem energii, jego zaś wczesna utrata majątku pozbawiła przedsiębiorczości i wewnętrznej motywacji. Może Anna byłaby dla niego inspiracją? Może z nią u boku odniósłby sukces na miarę pradziadka. - Kochanie - powiedział bardziej stanowczo - niestety, będziemy musieli poczekać. Za rok skończę staż w mojej firmie i wówczas spodziewam się dostać znaczną podwyżkę. Czy zgodzisz się, abyśmy się spotykali do tego czasu? Rok wydawał się Annie wiecznością. Chciała wyjść za mąż teraz! Ale przemilczała swoje niezadowolenie. Na Filipa warto było czekać. - Dobrze - powiedziała drżącym głosem. - Poczekał. Zapomniałszy, że są w małej, zatłoczonej restauracji, Filip wstał, podniósł ją z krzesła i przytulił do siebie. Wyszeptal czule: - Taki jestem szczęśliwy, Anno. - Mam nadzieję, że to będzie trwało wiecznie. Tego wieczora, pożegnawszy się z Filipem, Anna stała w głównym holu drżąc na wspomnienie jego pocałunków. Muskając jej usta, szeptał czule - "Jesteś taka piękna, Anno. Tak bardzo cię kocham. Jak dostąpiłem takiego szczęścia?" Następnego ranka Anna obudziła się z uczuciem strachu. Miał to być najszczęśliwszy dzień w jej życiu, lecz niestety, musiała się przełamać, by powiedzieć o wszystkim ojcu i macosze. Była pewna, że ojciec ją zrozumie, ale Stella nie cierpiała jej od dzieciństwa i Anna spodziewała się, że zrobi wszystko, by zniszczyć radość z tej szczęśliwej nowiny. Wzdychając Anna ubrała się i zeszła na dół. Ben przyjrzała się córce zza stołu. Anna z każdym rokiem stawała się coraz bardziej podobna do matki i wspomnienie żony odczuwał tym

boleśniej, gdy Anna zaczęła dorastać do kobiecości. Nie mógł sobie nigdy wybaczyć, że córka cierpiała z powodu jego małżeństwa ze Stellą. Wówczas wierzył, że zastąpi dziecku matkę a sobie żonę. Ale przekonał się, że postąpił pochopnie. Stella była zazdrosna o Annę od samego początku, a Ben często stawał po jej stronie i lajał Annę dla świętego spokoju. Nienawidził siebie za tę słabość; ale Stella była zupełnie inną kobietą niż matka Anny - mocną i zdecydowaną. Łatwiej było spełnić jej życzenia, niż powodować konflikty ostro się jej sprzeciwiając. Poznał Stellę niedługo po jej owdowieniu i na początku znajomości z nią wydawało mu się, że naprawdę polubiła Annę. Był zaskoczony jej reakcją, kiedy zaproponował, by Anna zwracała się do niej po prostu "mamo". - Jak możesz w ogóle proponować, żeby dziecko mnie tak nazywało. Nie jestem jej matką - jestem twoją żoną. Anna stała na górze, słuchając dobiegających z dołu dźwięków głośnej rozmowy. Wysłano ją wcześniej spać, lecz zbudziła się słysząc klótnię; nigdy dotąd nie słyszała w domu podniesionych, gniewnych głosów i przestraszyła się. Szybko pobiegła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Czowała się potwornie winna, że jest powodem sprzeczki między ojcem a jego nową żoną. Musiała wydać się Stelli bardzo złą dziewczynką, skoro nie chciała, żeby nazywała ją matką. Stella nie tylko nie była dla Anny matką, nie była nawet dla niej przyjaciółką. Rok po zawarciu małżeństwa Ben nie miał już prawie nic do powiedzenia we własnym domu. Po odbytej chorobie nie był w stanie prowadzić swojego interesu, a bez niego pralni groził upadek. Gdyby nie Stella straciłby ją. Pożyczyła mu pieniądze potrzebne na utrzymanie interesu, które zamierzał jej zwrócić. W rezultacie Stella zawładnęła pralnią, a zarazem zawładnęła nim. Ostry głos Stelli wyrwał go z zadumy. - O której wczoraj wróciłaś do domu? Anna odpowiedziała nerwowo: - Eee... Nie wiem... Chyba około jedenastej. - Było później - Stella poprawiła ją szybko. Anna zaczęła się usprawiedliwiać. - Masz chyba rację. Nie popatrzyłam na zegarek. - Czy nie przyszło ci do głowy, że ktoś się może o ciebie martwić, kiedy późno wracasz? Ale to oczywiście nic nowego. Nigdy nie wracasz na czas, nigdy nie jesteś rozważna. Cierpliwość Anny prawie się wyczerpała. Już otwierała usta, by powiedzieć, nie traktuj mnie jak dziecko! Mam dwadzieścia jeden lat. Lecz widząc boleść na twarzy ojca, raz jeszcze spróbowała zachować spokój. - Przepraszam. Postaram się postępować rozważnie. - Stella skinęła głową. - Z kim byłaś wczoraj wieczorem? - Nazywa się Filip Coulter. Stella czuła się, jakby serce jej zamarło na moment. Zaciśnęła pięści, a mięśnie jej karku zeszytwniały. Coulter! To nazwisko było jej Nemezis, a los znowu sprzymierzył się przeciwko niej, wywołując bolesne wspomnienia. Niemal ze strachem w głosie powtórzyła cicho sama do siebie: Coulter. Być może przywoływała tylko duchy. Coulter nie było popularnym nazwiskiem, ale młody znajomy Anny nie musiał być przecież spokrewniony z rodziną, której nienawidziła za to, że stała się przez nich zgorzkniałą, okrutną kobietą. - Coulter? Co to za nazwisko? - zapytała cichym głosem. - Co masz na myśli? - Czy jest to irlandzkie nazwisko? - Nie, żydowskie. - Żydowskie? Skąd o tym wiesz? Anna roześmiała się mimo woli. - Po prostu wiem. - Ależ Coulter nie jest żydowskim nazwiskiem. - Może nie, ale on pochodzi ze znanej żydowskiej rodziny. - A czym ta znana żydowska rodzina się zajmuje? - Filip jest prawnikiem, a jego rodzina posiadała kiedyś sieć sklepów z odzieżą męską. Stella omal nie zemdląła. To jednak ta rodzina! Z wszystkich mężczyzn na świecie Anna musiała wybrać syna Ewy Coulter. - Posiadała? - Stella powtórzyła chłodno. - Tak, stracili je podczas krachu gospodarczego. Ruthie mi o tym opowiadała. Anna zauważyła, że na twarzy Stelli pojawił się złośliwy grymas. Nic z tego nie rozumiała. Bliska płaczu wybuchnęła:

- Dlaczego mi to robisz? - Co robię? - Przepytyujesz mnie w ten sposób! Ben włożył nitroglicerynę pod język. Kiedy Stellę opanowała wściekłość, nie było sensu się jej sprzeciwiać. Zagryzł wargi przeklinając swoją słabość. Miał ochotę zatkać sobie uszy, by nie słyszeć jej ostrego głosu. - Wiesz do czego zmierzam, Ben? - zwróciła się do niego. - To właśnie tolerowałam przez wszystkie te lata. Zawsze oskarżasz mnie, że nie staram się być matką dla Anny, a teraz, kiedy okazuję prawdziwą troskę interesując się, z kim się zadaje, ona unosi się gniewem. - Nie mam za złe twojej troski, Stello - odpowiedziała Anna łagodnie. - Ale sposób w jaki mnie wypytujesz. Czuję się jakbyś mnie oskarżała o coś złego. Stella promieniała widząc zawstydzenie Anny. - No dobrze, a gdzie poznałaś tego młodego człowieka? - zapytała. - Na ślubie Ruthie. - Na ślubie Ruthie? Ależ to było dwa miesiące temu. Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas widywałaś się z nim nie powiedziawszy słowa? Dlaczego? Wstydziałaś się go przyprowadzić do domu? - Nie, to nie tak. Pozwól mi wyjaśnić. - Wyjaśnić? Co tu jest do wyjaśnienia? Anna poczuła się bezradna i wyczerpana. Ten podniosły moment nie przypominał sceny, którą sobie wymarzyła. Dzień wcześniej wyobraziła sobie, że wkroczy do salonu z Filipem trzymając go za rękę i powie jednym tchem: "Stello, tatusiu, jesteśmy zaręczeni!" Tymczasem serce jej waliło, ręce drżały, kiedy mówiła nerwowo: - Stello, my zamierzamy się pobrać. Wiadomość ta zbiła Stellę z nóg. Usiadła z otwartymi ustami kompletnie zaszokowana. Następnie jej twarz przybrała wyraz wyraźnej pogardy. Anna była całkowicie oszołomiona. Wiedziała, że Stella jej nie toleruje, ale zachowanie macochy dzisiejszego ranka, nawet jak na nią było niebywałe. W końcu Anna powiedziała łagodnie: - Czy nie możesz się cieszyć moim szczęściem, Stello? Nie zagnałam go w życiu zbyt wiele. W pokoju zapadła cisza. W końcu Ben odzyskał głos. - Anno, czy nie uważasz, że należało przyprowadzić tego młodego człowieka do nas do domu, abym mógł go poznać? Ostatecznie jestem twoim ojcem. - Proszę cię, papo, nie gniewaj się. Do wczoraj nie wiedziałam jakie Filip żywi uczucia względem mnie. Wczoraj spostkaliśmy się po raz pierwszy. To znaczy po raz pierwszy na prawdziwej randce. Ben miał właśnie coś powiedzieć, kiedy wtrąciła się Stella: - Chcesz, żebyśmy uwierzyli, że umówiłaś się z nim po raz pierwszy i od razu się zaręczyliście? Anna walczyła, żeby się nie rozplakać. Odzyskawszy głos próbowała wyjaśnić, dlaczego Filip tak długo zwlekał, oraz, że muszą czekać co najmniej rok, zanim będą mogli się pobrać. - Wiem, że to brzmi niekonwencjonalnie - przyznała - ale przecież nie ma żadnych reguł dla ludzi, którzy się kochają. - Uważasz, że to brzmi niekonwencjonalnie? - rzekła Stella. - A ja uważam, że on prowadzi jakąś grę. - Dostyć, Stello - przerwał niezwyczajnie Ben swojej żonie, rozwścieczając ją jeszcze bardziej. - Co się z tobą dzieje, Ben? - krzychała Stella. Wiedziała, że nie mają pojęcia o jej uprzednich stosunkach z Coulterami więc jej zachowanie musiało wydawać im się absurdalne, ale nie mogła się powstrzymać. Przeniosła wzrok na Annę. - Oczekujesz od nas błogosławieństwa? Nawet nie poznaliśmy go. Nie dał ci pierścionka zaręczynowego, prawda? - nie czekając na odpowiedź atakowała dalej. - Dlaczego od razu cię nie poślubi? - Już ci powiedziałam, Stello. Po prostu nie może mnie teraz poślubić. - Nie zależy mi na tym, ale to nie jest naturalne kiedy dwoje ludzi jest w sobie zakochanych. Co on zamierza osiągnąć przez ten rok, zostać milionerem? Posłuchaj mnie, Anno. Jeśli zrobisz coś niewłaściwego, nie będziesz miała wstępu do tego domu! Słyszysz, co do ciebie mówię! Stella po prostu się darła. - Przykro mi, że czujesz się w obowiązku mi to powiedzieć, Stello. Lecz nie zamierzam tu siedzieć i pozwalać się tak traktować! - Anna zalana łzami, popchnęła krzesło i wybiegła z pokoju.

Ben siedział, rozpaczliwie kiwając głową. Stella zachowywała się, jakby była niespełna rozumu. On, osłabiony chorobą, nie był w stanie się jej sprzeciwić. To by go zabiło. - Pomyśl tylko co musiałam znosić przez te wszystkie lata! - krzyczała Stella. Ben chciał wykrzyknąć - powinnaś być zachwycona. Będiesz miała okazję się jej pozbyć. Zamiast tego powiedział łagodnie: - Anna jest moją córką, nie twoją, Stello. I wcale się o nią tak nie boję jak ty. Więc o co ci chodzi? - Próbowałam zastąpić jej matkę, a ona nawet nie zdobyła się na to, by nam powiedzieć, że widuje się z tym mężczyzną. - Wyjaśniła przecież, że nie dzwonił do niej od dwóch miesięcy. - I uwierzyłeś jej? Więc dlaczego ten Don Juan nalega aby odłożyć małżeństwo na później? Myślę, że po prostu chce ją wykorzystać. - Co masz na myśli? - zapytał z trudem. - To, że może zająć w ciążę. - Co za niedorzeczności opowiadasz? Nie poznałem Filipa, ale jestem pewien, że jest uczciwym człowiekiem. - Uczciwym człowiekiem? Ty możesz sobie przemykać oczy na prawdę, ale ja nie będę. Niczego nie widzisz. Jak długo ludzie mogą być zaręczeni nie idąc ze sobą do łóżka? - Anna jest moją córką i ufam jej. - Tak, to cudownie - powiedziała Stella zjadliwie. - Prawdą jest, że wiem więcej o twojej córce niż ty sam. Zrobiłaby wszystko, żeby wyrwać się z tego domu. Gdyby zaszła w ciążę, musiałby się z nią ożenić. Czyż nie tak, Ben? Gdyby Stella zadała mu cios między oczy, nie mógłby być bardziej osłupiały. Bez słowa wstał zza stołu i poszedł na górę do Anny. Nie mógł już dłużej udawać Przed sobą, że poślubiając Stellę, aby zapewnić Annie matkę, popełnił błąd. Nie wyczuł w porę, że pod pozorami serdeczności ukrywała swą oziębłość. Tego ranka, bardziej niż kiedykolwiek, odczuł swoją słabość. Wzdychając, zapukał cicho do drzwi pokoju Anny. Nie słysząc odpowiedzi, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Leżała na łóżku, łkając. Siadł obok niej, przytulił do siebie i kołysał łagodnie. Anna spytała przez łzy. - Papo, dlaczego Stella mnie tak nienawidzi? Ben z trudem przełknął ślinę. - To nie ciebie, kochanie. Ona nienawidzi siebie... całego świata. - Ale to takie absurdalne. Nie mogę zrozumieć co ją tak bardzo złości. - Anno, proszę, nie pozwól Stelli zniszczyć twojego szczęścia. To powinien być najwspanialszy okres w twoim życiu. - Papo... - wyszeptwała Anna drżącym głosem. - Papo, przepraszam, że nie przyprowadziłam Filipa do domu, ale nie było na to czasu. Nawet nie przypuszczałam, że mu się podobam. - Już dobrze, kochanie. - Papo, co ja mam teraz zrobić? Jak mam go zaprosić, skoro Stella się tak zachowuje? Nie mogę go do nas przyprowadzić, po prostu nie mogę! - Anna rozplakała się ponownie. - Jakoś sobie z tym poradzimy, córeczko. Musisz wiedzieć, że ja się ogromnie cieszę. Nie wiem, czy zdołam ci to wyjaśnić, jaki jestem wdzięczny Bogu, że dożyłem dnia, w którym znalazłaś swoje szczęście. - Dziękuję, papo. Tak bym chciała, żebyś zaprzyjaźnił się z Filipem. On jest cudownym człowiekiem - wiem, że go pokochasz. - Z pewnością tak będzie. Najważniejsze, że ty go kochasz. - Chciałabym, żebyś go poznał. Może moglibyśmy zjeść razem lunch. Stella nawet nie musiałaby o tym wiedzieć. Rozdział czwarty Stella siedziała na dole przy stole kuchennym podsycając w sobie gniew. Nie czuła się pokonana. Jeśliby mogła poróżnić Annę i Filipa Coultera, nic by ją przed tym nie powstrzymało. Broniła się przed tym, ale wciąż bolała ją dawna, nie zaleczona rana. Duchy przeszłości wciąż czyhały, gotowe ją zniszczyć. Stella wróciła pamięcią do czasów, kiedy była w wieku Anny. Podobieństwo ich losów było uderzające. Jednak doświadczenia życiowe nie uczyniły z niej osoby wyrozumiałej. Wciąż rozpamiętywała dawne krzywdy, nie potrafiąc nikogo darzyć miłością. Matka Stelli, tak jak matka Anny, umarła kiedy mała miała sześć lat. Lecz jej ojciec, w przeciwieństwie do ojca Anny nie chciał się zająć wychowaniem dziecka.

Umieścił ją w sierocińcu w Seattle, gdzie przebywała do osiemnastego roku życia. Po wyjściu stamtąd, znalazła pracę w małym sklepiku z konfekcją, gdzie zarobiła dość pieniędzy na wyjazd do San Francisco, o czym od dawna marzyła. Stojąc przed Ferry Building i spoglądając na Market Street, po raz pierwszy w życiu pomyślała, że być może bogowie nie opuścili jej całkowicie. Wynajęła ciemny i ciasny pokój, a w krótkim czasie udało jej się dostać pracę w sklepie firmy I. Magnin, co umożliwiło jej kontakty z najelegantszymi damami San Francisco. Stella miała szczególny talent: była doskonałą krawcową. Klienci zaczęli zabiegać o jej usługi. Siedząc przy stole kuchennym w domu Bena, przypominała sobie, jak klęcząc na podłodze w sypialni Ewy Coulter, robiła ostatnie poprawki w jej sukni wieczorowej. Być może było to przeznaczenie. Gdyby pani Coulter była zadowolona ze swej cudownej sukni, nigdy nie wezwałaby Stelli do wspaniałego domu Coulterów w Sea Cliff. Lecz los ją tam skierował, a pani Coulter była wdzięczną klientką. Nie tylko dała Stelli pokaźne wynagrodzenie, ale nie oszczędziła również pochwał. - Jesteś po prostu genialna, Stello. Godzinę temu byłam przekonana, że nie założę dzisiaj tej sukni do opery, ale dokonałaś cudu. Promieniejąc po tak miłych słowach, Stella przygotowywała się do wyjścia, kiedy nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich najprzystojniejszy mężczyzna jakiego w życiu widziała. Oczarowała ją jego szczupłą, elegancką postać w nieskazitelnie białych spodniach. Nie odwracając się, Ewa przywitała brata. - O, wrócił nasz utracjusz. Nie pokazywałeś się od tygodnia. Pośpiesz się, drogi chłopcze i przebierz się do opery. Nie zważając na jej uwagi, pocałował ją w policzek. - Mogłabyś przynajmniej przyznać, że się cieszysz z mojej obecności. Przymrużywszy oczy z udawanym niezadowoleniem, odpowiedziała: - Nie cieszę się. Roześmiał się. - Wyglądasz jak zwykle bosko. droga siostrzo. Ta suknia leży na tobie jak ulał. - Dziękuję - wskazując na Stellę dodała - zawdzięczam to tej genialnej dziewczynie... Stello - to mój brat, Roger Hass. Do tej pory w ogóle nie zauważył Stelli. Nagle spostrzegł, że jest czarującą dziewczyną. Czarne włosy okalały jej owalną twarz, a jej oczy miały kolor ciemnego bursztynu. Gdyby miała na sobie elegancką suknię Ewy, wyglądałaby równie pięknie jak ona. Kiedy tak stał, patrząc na nią z uśmiechem, ogarnęło ją zniewalające uczucie. - Gdzie ty się ukrywałaś? - zapytał. - Na zapleczu w sklepie I. Magnina - odpowiedziała Stella, żałując natychmiast swej śmiałej odpowiedzi. Jej zaniepokojenie nie było bezpodstawne. Ewa rzuciła ostre spojrzenie na postacie odbite w lustrze. Widząc zainteresowanie Rogera, powiedziała szybko. - Nie marudź, drogi chłopcze. Najwyższy czas, abys się przebrał. Pewnego popołudnia, gdy Stella wyszła z pracy tylnym wyjściem, spotkała Rogera czekającego na chodniku. Wydał jej się jeszcze przystojniejszy niż za pierwszym razem. - Właśnie przechodziłem i pomyślałem sobie, że może miałabyś dziś czas pójść ze mną na obiad. Zrobiłabyś mi wielką przyjemność, gdybym mógł cię zabrać. Nie miała pojęcia, co mu odpowiedziała, ale musiała się zgodzić, skoro niebawem siedziała naprzeciw niego w Palace Court, w nastrojowo oświetlonej sali jadalnej. Eleganckie wnętrza i czułość Rogera zrobiły na niej oszałamiające wrażenie. Gotowa była uwierzyć, że się w niej zadurzył. Tej nocy długo zastanawiała się, czy byłaby bardzo naiwna dając się uwieść Rogerowi. Wiedziała tylko, że przerażał ją, a zarazem podniecał. Bardziej niż to sobie wyobrażała w najśmielszych snach. A miała też wszelkie powody, aby sądzić, że Roger się w niej zakochał. Kilka dni później oświadczył: - Szaleję za tobą, Stello. Zamieszkać ze mną. Choć ją usilnie do tego namawiał, nie mogła zdobyć się na to, aby żyć z nim oficjalnie dopóki nie zostaną małżeństwem. Pomimo rozluźnienia obyczajów, które nastąpiło po pierwszej wojnie światowej,

Stella pozostała raczej konserwatywna. W końcu doszli do porozumienia: Roger wynajął jej mały apartament w pobliżu plaży i została jego kochanką. Bywał u niej prawie co noc. Pozostawał z nią do wczesnych godzin rannych, ale zawsze wychodził przed świtem. Na początku była to tylko ekstaza. Miesiące mijały i wszystko układało się cudownie. Pewnego wieczora Stella powiedziała: - Roger, musimy porozmawiać. - O czym, kochanie? - Cóż - uśmiechnęła się do niego - myślę, że nadszedł czas abyśmy się pobrali. Wyzwolił się z jej objęć, wstał i nałożył na siebie szlafrok. - Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał. - Roger, ja już tak dłużej nie mogę. - Czyżby? Myślałam, że jesteś szczęśliwa. - Jestem, kiedy jesteśmy razem, ale czuję się zdruzgotana, kiedy odchodzisz. Kocham cię, Roger. - Ja też cię kocham. Tak, naprawdę, ubóstwiam cię. - Więc udowodnij mi to. Roger nalał sobie brandy z butelki stojącej na stoliku obok łóżka. Jak mógł być tak naiwny, aby przypuszczać, że Stella będzie wiecznie zadowolona. Wypił jeden łyk. - Kochanie, to niepodobne do ciebie. - Skąd wiesz, co jest do mnie podobne, a co nie? - spytała z goryczą. - No cóż, myślę, że poznaliśmy się dostatecznie dobrze w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. - Więc dobrze. Jak długo musimy się jeszcze znać, zanim się pobierzemy? - Stello, kochanie, nigdy ci tego nie obiecywałem. - Może nie - wykrzyknęła - ale wiele się zmieniło. - Miała nadzieję, że nie będzie musiała wymuszać na nim małżeństwa. Roger był taki wspaniały, hojny i delikatny. Jednak zmuszona była wyjawić mu swój sekret. Z bólem szepnęła: - Roger, jestem w ciąży. Dobry Boże - pomyślał Roger - jak mogłem być tak głupi żeby zakochać się w tej dziewczynie? Osobiście nie dbał o to, że nie miała majątku ani wykształcenia. Dla niego była elegancka i subtelna, jak niejedna dama z towarzystwa Ewy, z którymi się spotykał. Równie śliczna jak Peggy Morenthau, do małżeństwa z którą aktualnie namawiała go siostra. Wiedział, że Ewa dostałaby szoku, gdyby ożenił się ze Stellą. Wiedział również, że nie ośmieli się jej sprzeciwić. Była dla niego jak matka. To ona kochała go i wychowywała. Kiedy w końcu odzyskał równowagę, odparł łagodnie: - Przykro mi, Stello... Naprawdę. Wybacz, ale nie mogę cię poślubić. - Nie możesz, czy nie chcesz? - wykrzyknęła. - Na miłość boską, Roger! Jestem w ciąży, czy ty tego nie rozumiesz? To jest twoje dziecko! - Wiem - powiedział cicho. - Więc ożeń się ze mną ze względu na dziecko. Roger spojrział na nią bez słowa. Bliska hysterii płakała. - Kocham cię, Roger. Ty też mówiłeś, że mnie kochasz. Dałeś mi powody, żebym w to uwierzyła! - Stello, najdroższa, naprawdę cię kocham. Nie chcę być okrutny, ale pochodzimy z różnych światów. Mam zobowiązania... - głos mu się załamał. Stella zaczęła łkać nie mogąc się opanować. Roger objął ją i wyszeptał kojąco. - Nie płacz, proszę. Nie mogę znieść jak płaczesz, kochanie. Przyłgnąwszy do niego szlochała. - Więc ożeń się ze mną, proszę, ożeń się. Boję się. Proszę, ożeń się ze mną. Po dłuższej chwili Roger odzyskał odwagę i postanowił. - Tak, Stello, zrobię to. Kiedy wychodził od niej wierzył, że dotrzyma słowa. W końcu chodziło o jego dziecko. Nie powinien więc uchylać się od odpowiedzialności. Ale w momencie gdy stanął przed Ewą wiedział, że nie zdobędzie się na ten krok. Nerwowo chodząc po pokoju krzyczała. - Jak mogłeś wpakować się w taką historię? Powiem ci jedno, Roger. Jeśli poślubisz tę dziewczynę, nie dostaniesz ani centa. Pamiętaj - wszystko, co pozostawili rodzice, należy teraz do mnie i Simona. A w odpowiednim czasie przejdzie na ciebie i Filipa. - Ewo, nie przypuszczałem, że jesteś taka bezwzględna. Mówimy przecież o moim dziecku. - Nie jestem bezwzględna, Roger. Nie chcę tylko byś zrujnował sobie życie. Obiecałam tacie, że będę się tobą opiekowała i zamierzam dotrzymać słowa. Roger nalał sobie brandy. - To jest moje dziecko, Ewo. Chcę,

żeby przyszło na świat. Ewa wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że musi być odpowiedzialna za nich dwoje. - Możesz się ożenić z tą dziewczyną jeśli chcesz, Roger, ale nie możesz mieć wszystkiego. Nie dostaniesz centa. Wiem, że taka byłaby wola rodziców. Roger spojrzął na siostrę, która stała oparta o komin. - To jest moje dziecko, wiesz o tym. Ale wygrałaś. Widzisz - powiedział ze smutkiem - nie mam dość siły, aby walczyć z tobą, Ewo. Nigdy nie byłem biedny. Nigdy nie nauczono mnie niczego oprócz gry w polo, a to nie wystarczy, aby utrzymać rodzinę. Roger wyszedł, a Ewa westchnęła głęboko i nalala sobie mocnego drinka. Nie czuła się jak zwycięzca. Wiedziała, że on ma rację. Nie był przygotowany do samodzielnego życia. Nie nauczyła go niczego, a poza tym nienawidził interesów Simona. No cóż, jakoś się temu zaradzi. Z pewnością znajdzie sobie inną kobietę i zapomni o Stelli. Może uda jej się wysłać go na Rivierę. Kiedy Roger ponownie spotkał się ze Stellą, czuł się jak łajdak. Łamał jej życie dla własnej wygody, ale był zbyt słaby by postąpić inaczej. - Kochanie, będę cię utrzymywał do końca życia. Ale choć bardzo bym tego pragnął, nie mogę cię poślubić. Zupełnie spokojnie odpowiedziała: - Wiedziałeś o tym od pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem, prawda? - Szczerze mówiąc, na początku oczarowała mnie twoja uroda. Ale ożeniłbym się z tobą, gdybym mógł. - Więc cię powstrzymuje? - Strach, Stello. - Strach? Przed czym? - Przed biedą. Nie mielibyśmy z czego żyć, gdybyśmy się pobrali. Jak długo byś mnie wówczas kochała? - Nie rozumiem. Co miałyby się stać z twoim majątkiem? - Jeśli cię poślubię, moja siostra mnie wydziedziczy. - Twoja siostra? Co ona ma wspólnego z twoimi pieniędzmi? - Moi rodzice powierzyli wszystko Ewie. Dopóki ona żyje, ma pieczę nad każdym centem. Jeśli się z tobą nie ożenię, będę mógł zapewnić tobie i dziecku przyzwoite zabezpieczenie. - Więc pieniądze są dla ciebie ważniejsze niż ja i dziecko? - Stello, jeśli cię nie poślubię, będę mógł zaopiekować się tobą i dzieckiem. Będziesz miała wszystko czego zapragniesz. - Jesteś łajdakiem. Słabym, nikczemnym draniem. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Stella rzuciła się na podłogę, szlochając rozpaczliwie. Jak mogła sobie pozwolić na miłość? Wszyscy, których kochała opuścili ją: najpierw jej matka, potem ojciec, teraz jej ukochany. Postanowiła, że już nigdy nikogo nie pokocha... nigdy. Tydzień później leżała w łóżku, krwawiąc po usunięciu ciąży. Sama musiała przejść przez tę gehennę. Nikt jej nie pomógł, a już najmniej Bóg. Jak tylko doszła do siebie, wynajęła pokój w Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Młodych Kobiet. Chociaż nie miała pieniędzy, nie przyjęła nic od Rogera. Podejmowała się różnych prac. Z oczywistych względów nie mogła wrócić do I. Magnina. W miarę upływu czasu Stella coraz bardziej lubiła samotność. Tylko przy wyjątkowej okazji pozwalała sobie na obiad w małej, położonej na uboczu restauracji lub też od czasu do czasu jechała tramwajem do parku Golden Gate, by słuchać koncertów na wolnym powietrzu. Podczas jednej z tych rzadkich okazji usiadła obok mężczyzny w średnim wieku, który wydawał się być bardziej zajęty muzyką niż jej osobą. Nie rozmawiali ze sobą. Kiedy wstała, gotowa do wyjścia, los zrządził, że upuściła portmonetkę, którą on szybko podniósł. Miał przy tym pretekst do rozpoczęcia rozmowy. Wyglądało to raczej niewinnie, chociaż Stella uświadomiła sobie, że ów mężczyzna odprowadza ją przez park. Kiedy stała na przystanku, czekająca na tramwaj, powiedział: - Jesteś czarującą, młodą kobietą. Czy mógłbym cię zaprosić na obiad? Ta zwykła propozycja podziałała na Stellę otrzeźwiająco. W sekundzie przypomniała sobie jak Roger czekał na nią po pracy. Lecz, na przekór sobie, Stella przyjęła zaproszenie. Nie był to jakiś szczególny wieczór. Jednak przyjmowała zaproszenia na kolejne spotkania. Po sześciu miesiącach pobrali się.

Abe Gottlieb był wdowcem. Miała dwóch synów i stosunkowo niskie dochody, co nie miało dla niej wielkiego znaczenia. Zapewnił jej dach nad głową i pełny żołądek; nie musiała martwić się o zaspokojenie jego namiętności. Tak przywykł do ciągłych bólów głowy swojej pierwszej żony, że uznał tę sferę życia za minioną. Abe był dla niej dobry, a na tym etapie życia Stella nie miała wielkich wymagań. Lecz z upływem czasu chciała czegoś więcej od życia niż tylko poczucia bezpieczeństwa. Raczej z ulgą, niż ze smutkiem, stwierdziła pewnego ranka, że Abe zasnął snem ostatecznym. W wieku trzydziestu lat została wdową. Żyli tak skromnie, że dostała niemal szoku, gdy odczytano testament. Nagrodą dla niej za lata nudy była suma 25.000 dolarów. Ponieważ Abe trzymał mocną ręką swoje finanse, przypuszczała, że nie miał ich zbyt wiele. Przez te wszystkie lata była zbyt przygnębiona by tęsknić za luksusem. Na początku opanowało ją uczucie radości, lecz dowiedziawszy się, że zostawił synom ponad 200.000 dolarów oburzyła się na myśl, że znowu będzie musiała pracować. Kraj przeżywał kryzys gospodarczy i trudno było o posadę, więc obawiała się, że pieniądze, które Abe zostawił rozejdą się szybko i znów zostanie bez środków do życia. Stwierdziła, że jest tylko jeden sposób na zabezpieczenie cennych dwudziestu pięciu tysięcy. Musi ponownie wyjść za mąż. Gdy poznała Bena, wiedziała od razu, że będzie dla niej idealnym partnerem. Miał kłopoty finansowe jak wkrótce przekonała się, nie z powodu ogólnej sytuacji ekonomicznej, lecz na skutek własnej nieudolności. Była pewna, że w jej rękach jego interes rozkwitnie. Jej pewność siebie nie była udawana. Życie nauczyło ją uporą, który potrzebny jest do przetrwania. Ben nie zdawał sobie sprawy, że jest jak owca prowadzona na rzeź. Początkowo Stella myślała tylko o wykupieniu go, lecz później stwierdziła, że kobieta, która prowadzi interesy jest w lepszej pozycji jeśli jest mężatką. Przemyślawszy to dokładnie zgodziła się go poślubić. Chociaż solennie obiecywała sobie, że nie dopuści do tego, by jej na kimś zależało, nie mogła pozostać nieczuła na łagodne zabiegi Bena. Wbrew sobie zakochała się w nim. Podczas starań o nią Ben dawał jej odczuć, że jest ważniejsza niż jego dziecko. Jednak tuż po ślubie uświadomiła sobie, że córka była bliższa jego sercu. To mała Ania była kochaniem tatusia. Stella po raz kolejny poczuła się oszukana. Pozwoliła, aby Ben wzbudził w niej uczucia, które tłumiała przez ponad dziesięć lat, by wkrótce odkryć, że ktoś inny trzyma klucz do jego serca. Wkrótce opuściło ją miłosne uniesienie i Stella stwierdziła, że jest wykorzystywana. Prowadziła dom Bena, wychowywała jego dziecko i zajmowała się jego interesem. A nikt nie dbał o to, by zaopiekować się nią. Dlaczego miałyby ułatwiać życie ubóstwianej przez Bena Annie? A teraz Anna wprowadziła rodzinę Coulterów ponownie do jej życia. Siostrzenica Rogera! Po tak wielu latach było to wciąż tak bolesne. Dziwnym trafem czas złagodził uczucia gniewu względem Rogera, lecz spotęgował je przeciwko Ewie Coulter. To Ewa zmusiła słabego Rogera, aby opuścił Stellę i dziecko. A wszystko dlatego, że uznała ją za nieodpowiednią partię dla swojego drogiego brata. Mimowolnie łzy cisnęły jej się do oczu, gdy po raz pierwszy od lat wspominała tragiczny koniec Rogera. Stella odtworzyła przebieg wydarzeń z sensacyjnych wzmianek w prasie. Wojaże Rogera po Europie trudno nazwać wakacjami - było to raczej wygnanie. Dołączył do grupy bogatych utracjuszy, którzy krążyli między Paryżem a Riviérą w nie kończącej się gonitwie za uciechami. Zyskał rozgłos jako częsty gość Zeldy i F. Scotta Fitzgeralda i właśnie był u nich z wizytą w Antibes, gdy, jadąc swoim bugatti, stoczył się w przepaść po szalonym nocnym pijaństwie z żoną hiszpańskiego dyplomaty. Stella nigdy nie dowiedziała się, czy miał z nią romans. Nie współczuła Ewie, kiedy zobaczyła jej zdjęcie w

prasie - ubrana w czerń ocierała na pogrzebie łzy chusteczką. To Ewa popchnęła Rogera do tej tragedii. Śmierć Rogera złagodziła nieco jej gniew, ale pozostawiła uczucie głębokiego żalu. Najbardziej bolało ją to, że nie miała odwagi urodzić tego dziecka i była teraz zmuszona wychowywać dziecko innego mężczyzny. Myśl o Annie przywołała ją nagle do rzeczywistości. Wiedziała, że jeśli stanie twarzą w twarz z Coulterami, jej nowo zbudowane kruche szczęście ulegnie zniszczeniu. Ewa z pewnością powie Benowi wszystko o jej stosunkach z Rogerem pozbawiając ją dumy i czci. Nie pozostało nic innego jak tylko zniszczyć związek Anny z Filipem Coulterem. Nie pozwoli by Anna, Ben czy ktokolwiek inny wprowadził niepokój w jej życie. Wiedziała, że jej poczynania wydadzą się niedorzeczne, ale postanowiła, że noga Filipa Coulera nie postanie w jej domu. Jeśli jej się poszczęści, może upór zniszczy stosunki pomiędzy młodymi. Jeśli nie - no cóż, z pewnością nie zjawi się na ich ślubie. Stella zobaczywszy Annę po raz pierwszy, była gotowa ją pokochać. Dopiero oczywiste faworyzowanie jej przez Bena obudziło zazdrość o małą dziewczynkę. Nawet dzisiaj - gdyby Anna przyprowadziła do domu każdego innego mężczyznę, Stella byłaby w duchu zachwycona. W istocie zrobiłaby wszystko, aby doprowadzić taką znajomość do małżeństwa. Bo gdyby Anna wyszła za męża i wyprowadziła się, Ben po raz pierwszy zwróciłby się ku niej. Tylko najokrutniejsi bogowie mogli sprawić, że Anna wybrała syna największego wroga Stelli. Rozdział piąty Anna nic nie powiedziała Filipowi o sytuacji w domu. Przez pierwszy tydzień po zaręczynach robiła wszystko, by spotykał się z nią zaraz po pracy. Kiedy odwoził ją, wyszukiwała powody, dla których nie może zaprosić go do domu. Brzmiały one coraz mniej przekonywająco, nawet dla niej samej. Pod koniec tygodnia ogarniał Annę coraz większy niepokój. Chciała, aby Filip wierzył, że pochodzi ze szczęśliwej, kochającej się rodziny. Bała się, że Coulterowie się dowiedzą o tym, że nie zaprosiła Filipa, by poznał jej rodziców i tym bardziej martwiło ją to, że przez cały rok będą musieli pozostawać w narzeczeństwie. Wreszcie, pod koniec drugiego tygodnia, Anna zdecydowała się osobiście porozmawiać ze Stellą. W sobotę rano, przed wyjściem do pracy, zdobyła się na odwagę i powiedziała: - Stello... czy mogłybyśmy porozmawiać jak człowiek z człowiekiem? - Oczywiście - odparła Stella. Nalała dwie filiżanki kawy, podała jedną Annie i usiadła. - No więc o czym chcesz rozmawiać? - Stello, chcę cię przeprosić za tamtą niedzielę. Wiem, że twoje intencje były szczerze i dziękuję ci za to. Lecz ja kocham Filipa i zamierzam wyjść za niego. Bardziej niż czegokolwiek, pragnę zaprosić go i przedstawić tobie i papie. Czy prosiłabym o zbyt wiele, gdybym przyprowadziła go do nas na niedzielny obiad? Nie namyślając się, Stella odpowiedziała spokojnie: - Szczerze mówiąc, byłoby to zbyt wiele. Anna wybuchnęła płaczem. Była pewna, że gdy pozbędzie się swej dumy i poprosi Stellę, wówczas macocha ustąpi. - Stello! Nie mówisz tego poważnie! - łkała Anna. Lecz ponure, nieugięte spojrzenie macochy powiedziało jej, że Stella nie ustąpi. - To nie fair. A poza tym nie zapominaj, że to dom mojego ojca, nie twój. - Nie, moja droga - odparła chłodno Stella. - Ten dom i wszystko w nim należy do mnie. - Ale Stello, nie masz żadnego powodu, aby zabraniać Filipowi tu przychodzić. On jest wspaniały, naprawdę cudowny. - Powiem ci prawdę, Anno. Jestem całkowicie przeciwna temu romansowi. Uważam, że to cię poniża. - Romans? Stello, mówisz tak, jakby to było coś podłego, ale tak nie jest. Jesteśmy z Filipem zaręczeni! - Tak, ładne mi zaręczyny, muszę przyznać! Nie widzę pierścionka na twoim palcu. Powiedział, że poślubi cię dopiero za rok? Nie wierzę, że on ma poważne zamiary. - Filipa nie stać obecnie na kupienie mi pierścionka. Ale jesteśmy zaręczeni, jesteśmy! -

Anna ukryła twarz w dłoniach. Stella patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem. Wiedziała, że zachowuje się absurdalnie. W końcu Anna podniosła zapłakaną twarz i powiedziała łamiącym się głosem: - Stello, nigdy nie myślałam, że powiem ci coś takiego, ale jesteś okrutna! Dlaczego odmawiasz mi tej jedynej rzeczy, której od ciebie potrzebuję? - Niczego ode mnie nie potrzebujesz, Anno. Nigdy nie potrzebowałaś. Dlaczego udajesz? Nigdy mnie nie lubiłaś ani ja nie lubiłam ciebie. Nie jesteś moim dzieckiem, ale masz swojego drogiego tatusia, który świata poza tobą nie widzi. - Dlaczego ty właściwie wyszłaś za tatę, Stello? Jego też nigdy nie kochałaś - powiedziała Anna ledwo słyszalnym głosem. - Muszę ci coś powiedzieć. Bylibyśmy dużo szczęśliwsi z tatą, gdybyśmy nie musieli zajmować się tobą. Poruszona do głębi Anna wstała zza stołu. Nie było mowy o kompromisie, teraz już się o tym przekonała. Wychodząc z pokoju dodała: - Nie masz żadnego powodu aby mnie tak traktować, Stello. Absolutnie żadnego. W swoim pokoju Anna nie mogła opanować drżenia. Cóż miała zrobić? Pierwsza myśl to wyprowadzić się z domu. Może mogłaby dzielić pokój z jedną dziewczętą od Magnina. Ale nie chciała zranić ojca. Myśl o tym, że Anna opuściła dom z powodu jego własnej żony byłaby dla niego zabójcza - Ben pragnął, aby uczyniła to w dniu swojego ślubu. Po raz pierwszy zadzwoniła do pracy mówiąc, że jest chora. Mówiła takim rozpaczliwym głosem, że nawet o nic ją nie pytali. Następnie zadzwoniła do Filipa, do biura, gdzie spędzał sobotnie przedpołudnia robiąc analizy sądowe. - Muszę z tobą pomówić, - poprosiła. - Czy możesz na chwilę wyjść? - Anno, kochanie, masz taki dziwny głos. Czy coś się stało? - Filip, muszę się z tobą koniecznie zobaczyć. - Oczywiście, kochanie. Gdzie się spotkamy? - Może w kawiarni Tosca, tam gdzie byliśmy wczoraj wieczorem? - Będę na ciebie czekał. Widok jej bladej, ściągniętej twarzy, kiedy zbliżała się do stolika, obudził w nim obawy. Czyżby Anna miała jakieś wątpliwości? - Co się stało, najdroższa? Powiedz mi, proszę. Kocham cię. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Filipie... - zaczęła. Serce mu podskoczyło. To ona mu je rozrywała. - Powiedz mi. Zawahała się. - Moja macocha. To ona stwarza mi piekło w domu. Filip odetchnął. Dzięki Bogu, nie chodziło o niego. - W jaki sposób? - Nie wiem jak to wyrazić, ale z jakiegoś tajemniczego powodu jest przeciwna naszym zaręczynom. Prawdę mówiąc, ona nie chce, żebyśmy się w ogóle widywali. - Dlaczego? Przecież ona nawet mnie nie zna - odparł zdziwiony. - W tym właśnie problem. Nawet nie mogę jej przekonać, bo nie wiem o co jej chodzi. - Może powinienem z nią porozmawiać? Anna potrząsnęła głową. - Nie, Filipie. To by jeszcze pogorszyło sytuację. Nie ma sposobu, aby zmienić jej postanowienie. Ona zachowuje się jak oszalała. Filip nic z tego nie rozumiał, lecz widząc, jak bardzo jest zrozpaczona, sięgnął po jej dłoń. - Nie martw się tym, najdroższa. Może zmieni zdanie, kiedy zrozumie, jak poważne mamy względem siebie zamiary. A jeśli nie zmieni - to cóż, zamierzam przecież poślubić ciebie, a nie twoją rodzinę. Już dawno Anna nie czuła się tak bezpiecznie jak w tym momencie. Ukoił ją słowami i uspokoił swoim zdecydowaniem. - Mój ojciec bardzo chce cię poznać - powiedziała. - Prawdę mówiąc, nie może się doczekać. Czy moglibyśmy zjeść razem lunch w tym tygodniu? - Oczywiście. Każdego dnia. - Ach, Filipie, tak bardzo cię kocham! Rozdział szósty Sprzeciwy Ewy Coulter dotyczące małżeństwa Filipa nie miały nic wspólnego z tym, że Anna Pollock była za młoda dla jej syna, czy też że była pasierbicą Stelli Burke - o czym zresztą nie wiedziała. W przeciwieństwie do Stelli nie podniosła głosu, niemniej jednak była równie nieugięta w swoim uporze. - Filipie, jesteś zdecydowanie za młody - protestowała. - Za młody? Do czego? - Aby podjąć się obowiązków małżeńskich - westchnęła. - Wiesz kochanie, że chcę dla ciebie jak

najlepiej. - Naprawdę? A skąd wiesz co jest dla mnie najlepsze? Filip już dawno przejrzał pretensje matki. Wiedział, że Ewa Coulter traktowała tych, których kochała jak osobistą własność i domagała się z ich strony ciągłej adoracji. - W ogóle nie chcesz, żebym się ożenił, prawda mamó - powiedział usiłując uświadomić jej sedno sprawy. - To nieprawda! - Ewa zaprzeczyła urażona. - Gdybyś niebawem poznał jakąś uroczą dziewczynę, byłabym zachwycona. - Ale ja właśnie poznałem czarującą dziewczynę. Ewa była poruszona jego otwartym sprzeciwem. Było to do Filipa niepodobne. Zebrawszy całą swoją cierpliwość, odparła łagodnie: - Może, ale czy pomyślałeś o tym kochanie, jaki jest teraz niekorzystny czas? - A kiedy nadejdzie ten właściwy czas, mamó? Jak będę zbliżał się do pięćdziesiątki? - Kochanie, nie złość się, to nie ma nic wspólnego z twoim wiekiem. - Więc o co chodzi - o pieniądze? - Kraj jeszcze nie podźwignął się z krachu gospodarczego, Filipie. A małżeństwo to poważne przedsięwzięcie. - Posłuchaj, mamó, to nie ma nic wspólnego z finansami. Prawdą jest, że doradzasz mi, abym zapomniał o całej tej sprawie i dał sobie spokój z Anną. - Ależ nie, Filipie, wcale tego nie powiedziałam. - Mamó, zapominasz, że jestem adwokatem i zarabiam na życie rozwikłując sprzeczności. Najpierw mówisz, że jestem za młody, następnie twierdzisz, że to kwestia pieniędzy, teraz znów nie ma to nic wspólnego z finansami. Zdecyduj się, mamó. O co ci właściwie chodzi? Ewa zaczęła protestować, lecz uciszyło ją spojrzenie Filipa. - Nie pytam cię o zgodę, mamó. Chcę poślubić Annę, jak tylko to będzie możliwe - zaczął aż przetrawi ten fakt - zamierzam przyprowadzić ją w niedzielę na obiad i byłbym wdzięczny, gdybyś traktowała ją ciepło i uprzejmie. Ton Filipa wskazywał, że nie zniesie żadnego sprzeciwu. Nie był w nastroju, by tolerować jedną z zagrywek Ewy. Anna obudziła w nim to, co uznał za stracone: chęć odniesienia sukcesu. Stała się jego inspiracją, celem życia. Na Boga, będzie harował w swojej firmie prawniczej i za rok - nie, w krótszym czasie, uzyska znaczną podwyżkę, by móc dać Annie przyzwoite utrzymanie. I nikt, nawet sama Ewa mu w tym nie przeszkodzi. Patrząc jej prosto w oczy, zapytał: - Więc jak będzie, mamó? Ewa próbowała ukryć swój niepokój. Inna kobieta odbierała jej syna. Jednak coś jej podszeptywało, że to nie jest najlepszy moment, aby drażnić tę sprawę. Dopowiedziała tylko: - Oczywiście, synku... zaprosz ją. Bardzo chcę poznać Annę. - To miło z twojej strony, mamó. - Opuścił pokój, zanim zdążyła wycofać zaproszenie. Simon Coulter stanął w progu, przyglądając się z niepokojem tragicznemu wyrazowi jaki odmalował się na twarzy jego żony. - Czy nie powinniśmy o tym pomówić, Ewo? - Nie sądzę abyśmy mieli co omawiać. Filip zdecydował, że ożeni się z tą dziewczyną i cokolwiek powiemy, nic to nie zmieni. - Moja droga, wiesz, że naszego syna nie pociągnęłaby żadna młoda kobieta, gdyby nie była tego warta. - Nie jestem tego taka pewna. Dziewczyny są dzisiaj takie postępowe. Żyjemy w innych czasach. Główny problem w tym, że nie uważam, aby Filip był gotowy do małżeństwa. - Ma dwadzieścia sześć lat - czy to nie naturalne, że pragnie mieć żonę? Ewa zeszywniała. - Stawiasz mnie w pozycji obronnej, Simonie, a ja tego nie lubię. Simon westchnął i spojrzał na żonę ze współczuciem. Naprawdę myślała, że działa w najlepszym interesie. - Kocham cię, Ewo. Zawsze cię kochałem i nigdy nie przestanę kochać. Ale nie mogę tego przemilczeć. Jesteś trochę zbyt zaborcza w stosunku do Filipa. - Jak śmiesz mówić mi takie rzeczy! Chcę najlepszego dla mojego dziecka! Simon nie odpowiedział od razu. Westchnął. Nie łatwo mu było przekonać Ewę, lecz musiała zrozumieć, że robi ten sam błąd, który przed laty popełniła wobec swojego brata. W końcu powiedział łagodnie: - Wiem, Ewo, że tak jest, ale chciałaś też najlepszego dla Rogera. Ewa zaczęła szlochać. - Uważam,

że to okrutne z twojej strony. Czyż nie wiesz, jak bardzo mnie to boli, kiedy wspominamy Rogera. Simon objął żonę. - Wiem, że jest to bolesne, ale czasami musimy przypominać Sobie stare błędy, aby uniknąć powtarzania ich. Filip nie jest już małym chłopcem. Nie możesz go uchronić przed dorosłością. - Ależ ja nawet nie próbuję. Naprawdę! - Wiem, że nie robisz tego rozmyślnie, najdroższa. Ale musisz być z sobą szczerą. Naprawdę, nie chcesz go stracić, czy tak? - To nieprawda! Po prostu uważam, że jest za młody. - Możliwe. Ale zrobisz wielki błąd, jeśli mu się sprzeciwisz. Ty i ja, Ewo, dużo straciliśmy w życiu. Jeśli nie chcemy stracić również Filipa, proponuję, abyśmy zaakceptowali tę dziewczynę. Ewo, musisz nauczyć się ustępować. Z trudem powstrzymując łzy, Ewa powtórzyła: - Chcę najlepszego dla Filipa. - Uznała jednak słuszość słów Simona. Chociaż zależało jej, aby Filip ożenił się z dziewczyną z ich środowiska, z drugiej strony nie chciała go utracić. Nie mogła też znieść myśli o utracie ślepej adoracji Simona. Ocierając łzy, powiedziała; - Do jednej rzeczy nie możesz mnie zmusić - żebym kochała Annę. Ponieważ mnie proszono o zgodę, ani o błogosławieństwo, nie czuję się do tego zobowiązana. Nie będę się jednak wtrącać i będę ją szanować - jako żonę Filipa. Simon ucałował ją czule. - To bardzo dobry początek, skarbie. Rozdział siódmy W niedzielny wieczór Coulterowie spotkali Annę po raz pierwszy. Ewa zachowywała się poprawnie, lecz z dużą rezerwą, co bardzo Annę krępowało. Nie mogła jej nic zarzucić, ale odczuwała, że pani Coulter nie darzy jej sympatią. Przycupnąwszy na małej sofie obok Filipa, Anna patrzyła na portret Ewy zawieszony nad kominkiem. Pani Coulter była kiedyś wielką damą. Z pewnością miała nadzieję, że Filip poślubi kogoś z towarzystwa. Anna zauważyła, że to co pozostało z ich majątku nie pasowało do zagraconego, dusznego, małego mieszkanka, które wynajmowali za czterdzieści pięć dolarów miesięcznie. Dywany z Aubusson ledwo mieściły się w małych pokojach, meble były stłoczone. Nad podnieszczoną, fiołkoworóżową sofą z czasów Ludwika XVI wisiał drugi portret pani Coulter z Filipem w wieku około pięciu lat. Przed sofą stał różowy stolik z marmurowym blatem; z jego drugiej strony znajdowały się dwa wystrzępione, obite ozdobną tkaniną krzesła. Dopiero dzisiaj Anna pojęła rozmiar strat poniesionych przez Coulterów. Teraz zrozumiała powściągliwość Ewy i zastanawiała się czy ekspedientka od Magnina jest dostatecznie dobrą partią dla Filipa. - Moja droga, czy napijesz się sherry? - spytał Simon. - Tak, dziękuję - odpowiedziała o ton wyżej od szeptu. Filip nerwowo obserwował matkę, świadomy, że pochodzenie Anny nie spotka się z jej aprobatą. Przez ostatnie dwa tygodnie ostrożnie omijał wszystkie pytania, mówiąc tylko - Anna pochodzi ze wspaniałej rodziny. Teraz uświadomił sobie, że popełnił potworny błąd. Ewa szykowała się do przepytывania Anny. Zanim zdołał coś wymyślić, jego matka zapytała słodko: - Powiedz mi coś o sobie, moja miła. Anna przełknęła ślinę i uśmiechnęła się nerwowo. - No więc... urodziłam się w San Francisco... Ewa przerwała jej. - Pollock? Dziwne - nie znam tego nazwiska. Od jak dawna twoja rodzina mieszka w tym mieście? - Obydwoje rodzice urodzili się tutaj. - Jestem zdziwiona, że nigdy się nie spotkaliśmy. Mieszkasz z ojcem i matką? - Z ojcem i macochą. - Ach, masz macochę? - Moja mama umarła, kiedy miałam sześć lat. - Jaka szkoda. I twój tata ożenił się ponownie. Czyż to nie szczęście? - O, tak. Jesteśmy bardzo związani ze sobą - Anna modliła się, żeby głos jej nie zdradził. - To miło. A czym się zajmuje twój tato? - Ewa doszła do punktu kulminacyjnego. - Jest już na emeryturze. - A co robił wcześniej? - Ewa uśmiechnęła się słodko. - Był właścicielem pralni. - O, to bardzo pożyteczne zajęcie. Myślę, że powinniśmy zasiąść do obiadu. Ewa uznała, że nie ma sensu dalej drażnić tego tematu. Filip

zamierza poślubić tę dziewczynę, pralnię i to wszystko. Chociaż Ewa nie zadawała więcej pytań podczas posiłku, Anna nadal czuła się spięta i zażenowana. Dopiero kiedy doszli do momentu pożegnania Anna rozluźniła się trochę. Simon Coulter ujął jej dłoń, mówiąc: - Moja droga, jesteś uroczą kobietą. Cieszymy się bardzo, że możemy przyjąć cię do naszej rodziny. Anna odczuwała taką wdzięczność, że z trudem powstrzymywała łzy. - Dziękuję - rzekła łagodnie, - bardzo dziękuję. Anna zwróciła się do pani Coulter, która uśmiechnęła się chłodno i powtórzyła jak echo: - Tak, cieszymy się bardzo... Kiedy Filip odprowadził Annę do drzwi, powiedziała: - Nie sądzę, by twoja matka szczególnie mnie polubiła. - Ależ polubiła cię - Filip skłamał pośpiesznie, lecz kiedy wrócił do domu, miał pretensje do Ewy. - Byłam tak uprzejma jak tylko potrafię - protestowała. - Nie, nie byłaś mamó. - Naprawdę nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, Filipie. - Chcę, żebyś traktowała Annę jak członka rodziny. Ona będzie moją żoną i powinnaś przyzwyczaić się do tej myśli! Filip trzasnął drzwiami i pobiegł na górę do swojej sypialni. Ewa została sama i pogrążyła się w rozpacz. Nigdy przedtem nie zwracał się do niej w ten sposób. Na pewno zachowuje się tak pod wpływem Anny. Lecz ostrzeżenie Simona dźwięczało jej w uszach - "jeśli się mu sprzeciwimy, stracimy syna". No cóż, będzie udawała, że kocha Annę, nawet gdyby miało ją to zabić. Rozdział ósmy Miał to być najszczęśliwszy okres w życiu Anny, lecz nie przeżywała tego w ten sposób. Chociaż Filip okazywał wyrozumiałość wobec zachowania Stelli, Anna uważała sytuację za kłopotliwą, a utajony brak akceptacji ze strony Ewy krępował ją w równym stopniu. Nie mieli z Filipem miejsca, gdzie czuliby się nieskrępowani. Kilka razy Anna próbowała podejść Stellę, prosząc o zgodę na zaproszenie Filipa, lecz ona w ogóle nie chciała o tym słyszeć. - Co masz przeciwko Filipowi - protestowała Anna. - Przecież go nawet nie znasz! - Powiem ci co mam przeciwko niemu - Stella odpowiedziała szyderczo. - Jest słabym człowiekiem bez kręgosłupa. A może wcale cię tak nie kocha, jak to sobie wyobrażasz. Bo gdyby było inaczej, dlaczego od razu nie ożeniłby się z tobą? Ponieważ ciągle to powtarzała, Anna zaczęła wątpić w miłość Filipa. - Na miłość boską! - drwiła Stella. - Jeśli nie poślubił cię po pięciu miesiącach, nigdy się z tobą nie ożeni. To długi czas dla ludzi, którzy się kochają. Jesteś naiwnym dzieckiem. Nie widzisz, że on cię wykorzystuje? Słowo "wykorzystuje" zmartwiło Annę, nie dlatego, żeby tak miało być w istocie, lecz z przerażeniem uświadomiła sobie, do jakiego stopnia go pożądała. Między własną frustracją a atakami Stelli, zastanawiała się, czy ona nie ma racji. Może Filip naprawdę nie zamierza jej poślubić? Dlaczego zwlekają? Ostatecznie ma przecież pracę. Jak długo mogą tak żyć nie idąc ze sobą do łóżka? Anna nie zdobyłaby się na to nie będąc mężatką. Co by się stało, gdyby zaszła w ciążę? Już sobie wyobraża triumf Stelli. Pewnego wieczora, kiedy jedli razem kolację, gotowa była powiedzieć mu, by wyznaczył datę, ale gdy spojrzała na niego, ogarnęło ją przerażenie. Był taki przystojny. Mógł mieć każdą kobietę, jakiej tylko zapragnął. - Kim była Anna Pollock, by się czegośkolwiek domagać? Jeśli będzie nalegać, straci go. Anna zamknęła się w sobie. Filip ujął jej dłoń. - Czy coś się stało kochanie? - Nie... wszystko jest w porządku. - Anno, powiedz proszę, o co chodzi? - Nie, nic, Filipie... - Widzę przecież... Problemy w domu stają się coraz uciążliwsze, czy tak? Przez moment Anna miała ochotę powiedzieć - tak, do diabła i to przez ciebie! Ale powstrzymała się. Ostrzegł ją przecież na samym początku, że nie mają innego wyjścia, jak tylko czekać. Nagle, nie mogąc znieść już dłużej napięcia, poderwała się i wybiegła z restauracji. Filip był zdumiony; Anna zawsze była taka opanowana. Uświadomił sobie, że ich sytuacja staje się

niemożliwa do zniesienia i przeraził zarazem, że Anna straciła do niego cierpliwość. Zapłacił szybko rachunek i pobiegł za nią w kierunku parkingu. Biorąc ją w objęcia, powiedział: - Proszę cię, nie odtrącaj mnie, Anno. Jesteś dla mnie wszystkim. - Filip, tak naprawdę nie należysz do mnie - łkała Anna. - Kochanie, jak możesz coś takiego mówić? Kocham cię! - I ja cię kocham, Filipie, ale obawiam się, że już dłużej nie zniosę tej sytuacji. - Wiem. Wymagam od ciebie zbyt dużo. Jest to tylko jedno rozwiązanie: musimy się pobrać. Będziemy po prostu skromnie żyć na początku. Pobrać się! Było to magiczne słowo, o które modliła się Anna i chociaż serce jej podskoczyło z radości, miała poczucie winy: czyżby zmuszała Filipa do małżeństwa? - Czy jesteś tego pewny, Filipie? - podniosła wzrok przyglądając mu się badawczo. - Zaczekam, jeśli tego chcesz. - Nie, czekaliśmy już dostatecznie długo. Jestem całkowicie pewien - w jego oczach zobaczyła tęsknotę i miłość. Rozdział dziewiąty Wszystkie frustracje, gniew i niepokoje rozwiały się, jakby nigdy nie istniały. Uwagi Stelli, chłodna akceptacja Ewy - przestały się liczyć. A więc zostanie panią Coulter! W niedzielne popołudnie przechadzali się ulicami Marina District z wybranymi ogłoszeniami, szukając apartamentu do wynajęcia. Wszystko, co dotychczas obejrzeni było albo w opłakanym stanie, albo kosztowało zbyt wiele, lecz w końcu znaleźli umeblowane mieszkanie na Beach Street za 42,50 miesięcznie. Był to apartament na trzecim piętrze z jedną sypialnią. Okna wychodziły na szyb wentylacyjny. Z małej łazienki przechodziło się do foyer, a dwa kredensy oddzielały jadalnię od kuchni. Właścicielka zapewniła ich z dumą, że lodówka jest w dobrym stanie. Annie wystarczyło jedno spojrzenie, by zauważyć zużyte linoleum i odpryskującą farbę. Szybko jednak przestała myśleć o niedogodnościach. Meble wyglądają całkiem ładnie - stwierdziła. W istocie pokój gościnny był przytulny i nieźle urządzony - z zieloną, aksamitną sofą i krzesłami do kompletu. W przeciwległym rogu stała lampka, nad sofą wisiała reprodukcja z krajobrazem wiejskim. Masywny, bogato rzeźbiony stolik z Grand Rapids Michigan stał przed sofą. Na środku pokoju leżał wzorzysty dywan, imitacja orientalnych kilimów o jasnych kolorach. - Podoba ci się tutaj? - zapytał szeptem Filip. - Bardzo! A ty podobasz mi się najbardziej - odparła zarzucając mu ramiona na szyję i całując go. Mieszkać tu z Filipem! Był to jej porośnięty winem domek. Oboje z Filipem należeli tylko do siebie. Miesiąc później Anna stała przed lustrem, przyglądając się razem z Ruthie jak krawcowa upina jej suknię. Wyrzekła się swoich marzeń, że kroczyć będzie do ołtarza spowita zwojami białego tiulu. Była szczęśliwa, że nie musi już dłużej czekać i rozumiała, że nie mają pieniędzy na jej fantazje. Jeszcze długo po ślubie może nosić skromny kostiumik, czując się w nim bardzo praktycznie. Powiedziała: - Ach, Ruthie, nigdy nie myślałam, że będę taka szczęśliwa. Wprost nie mogę się doczekać! Już nadszedł ten najważniejszy w życiu dzień. O czwartej po południu miała zostać panią Coulter. Kiedy obudziła się i rozejrzała po sypialni, opanowało ją dziwne uczucie. Choć modliła się, aby nadszedł dzień, kiedy opuści Stellę i skończą się wszelkie spory, jednak miejsce, w którym się urodziła było jak przystań, bezpieczna i znajoma. I chociaż kochała Filipa, myślała o życiu małżeńskim z pewnym niepokojem. Była wdzięczna, że Ben wyrwał ją z zadumy, wnosząc tacę ze śniadaniem. Na widok białego pączka róży ścisnęło ją coś w gardle. Ben był takim kochającym ojcem. Odkąd ożenił się ze Stellą, nie był już taki romantyczny jak dawniej, dlatego widok tej róży był słodyczą przemieszaną z goryczą. - Dziękuję, papo, - powiedziała z wdzięcznością. - Jesteś najukochańszym człowiekiem pod słońcem. Nigdy nie zapomnę tego ranka. Ben

przytuliwszy córkę, szczęśliwy dziękował Bogu za to, że pozwolił mu dożyć do dnia jej ślubu. Jego jedynym strapieniem był fakt, że Stella bezpodstawnie odmówiła obecności na ślubie Anny. - Nie możesz tego zrobić - przekonywał ją Ben poprzedniego wieczora. - Co jest powodem twojego szaleństwa? Najpierw nie chciałaś widzieć Filipa u nas, bo bałaś się, że nie ożeni się z Anną. Teraz nie chcesz przyjść na ślub. Stello, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak Annie będzie przykro? Nie musisz lubić Coulterów, ale musisz być na uroczystości. Czy proszę cię o zbyt wiele? Czy nie możesz zrobić tej jednej rzeczy ze względu na mnie? Ben uznał milczenie Stelli za pogardę, lecz w rzeczywistości zwalczała w sobie chęć wyjawienia mu prawdy. W końcu duma wzięła górę nad emocjami. - Przykro mi, Ben - rzekła - nie pójdę. I nie będę wyjaśniać ci moich powodów. Obejdziecie się beze mnie. Możesz mnie przekonywać ile chcesz, ale ostatecznie nie jestem matką Anny, jestem tylko złą macochą. Coś w jej twarzy uświadomiło Benowi, że nie robi tego z czystego okrucieństwa. Przez moment zdecydowany był wydobyć z niej prawdę. Jednak pasywna rola jaką przyjął przed laty skłoniła go do wycofania się. Postanowił sam zrobić wszystko, aby Anna była w tym szczególnym dniu w pełni szczęśliwa. Teraz, kiedy siedział obok córki, jego serce przepelniała radość na myśl o jej szczęściu. - Anno, na całym świecie nie ma droższej mi osoby niż ty - odwrócił się, odchrząknął i wypił łyk kawy. Od samego rana wydawało się Annie, że dzień mija jak we śnie. Zdawało jej się, że z ojcem u boku płynie po schodach kościelnych. Była taka radosna, że nawet nie zasmucała ją już nieobecność Stelli. Powiedziała Ewie, że Stella rozchorowała się na gripę i wcale nie przejęła się wyrazem oczywistego niedowierzania na twarzy teściowej. Wkrótce potem ojciec wprowadził ją główną nawą, gdzie Filip czekał już razem ze swoim świadkiem Kennem. Ruthie uśmiechała się raczej kwaśno towarzysząc Annie zbliżającej się do ołtarza. To smutno brać ślub, gdy tylko osiem osób jest obecnych. - Ależ, Anno, mogłaś wziąć ślub w gabinecie rabina - twierdziła Ruthie. - Marzyłam przez całe życie, by przejść główną nawą na spotkanie mojego męża. To nieważne ile przyszło ludzi. Mój ojciec jest obecny i to mi całkowicie wystarczy. Poza tym Ruthie, moja sytuacja trochę różni się od twojej. Mój ojciec dał nam tysiąc dolarów i większość tej sumy potrzebujemy na urządzenie się. Twój ślub był wspaniały, ale najważniejsze, że jesteśmy z Filipem szczęśliwi jak nikt inny na świecie. Ruthie skupiła teraz swoją uwagę na Benie, który pocałował córkę i zostawił ją samą przy chuppie, tradycyjnym ślubnym baldachimie, po czym powrócił do frontowej ławki i zasiadł naprzeciw Coulterów. Wszelkie myśli, uczucia czy obawy jakie towarzyszyły temu małemu zgromadzeniu rozpięchły się z chwilą, gdy rabin rozpoczął ceremonię ślubną. Kiedy uroczystość dobiegła końca, Filip wziął Annę w ramiona. - Zamierzam spędzić resztę życia czyniąc cię najszczęśliwszą kobietą świata. - Już to zrobiłeś. Filip był w tak radosnym nastroju, kiedy prowadził Annę od ołtarza, że nawet nie spostrzegł łez matki. Simon uściskał dłonie syna, potem pocałował Annę w oba policzki. - Najlepsze życzenia dla najpiękniejszej córki, jaką niejednen chciałby mieć. Pani Filip Coulter - witamy w naszej rodzinie. Kwadrans później wszyscy siedzieli w hotelu St. Francis przy weselnym stole. Sytuacja była raczej niezręczna. Kenny wznosił toast za młodą parę, lecz pozostali goście byli nieco przygaszeni. Anna, oszołomiona szczęściem, nie widziała niczego prócz tego, że jest z Filipem. Nawet się nie spostrzegła, kiedy stali z Filipem przed hotelem żegnając weselną gość. Miesiąc miodowy, który spędzali w Pine Inn w Carmel przeszedł najśmielsze oczekiwania Anny. Wszystko było tak jak w filmie. W kominku palił się ogień, a szampan chłodził w kubelku. Aż do teraz nie wiedziała

jak romantyczny potrafi być Filip. Mieli tak mało pieniędzy, ale dziś w ogóle się z nimi nie liczył. Pomyślał o wszystkim: czerwone róże stały w kryształowej wazie, a czarny kawior chłodził się w srebrnym naczyniu. Filip otoczył ją ramionami i wyszeptał: - Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. - Ach, Filipie. Chciałabym zawsze cię uszczęśliwiać. Delikatnie uwolnił się z jej objęć, nakazując sobie spokój. - Może napijemy się szampana? W żaden sposób nie mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego nagle poczuła się odrzucona; uśmiechnęła się tylko i powiedziała: - Bardzo chętnie, kochanie - z nadzieją, że nie zauważył jej rozszalenia. - Twoje zdrowie, kochanie - powiedział, stukając w jej kieliszek. - Mam nadzieję, że zawsze będziemy równie szczęśliwi jak w dzisiejszą noc. Anna wysączyła szampana i poszła do łazienki założyć swój nowy, biały, szyfonowy szlafroczek. Jej widok uświadomił Filipowi, jakim był głupcem, zwlekając ze ślubem całe sześć miesięcy. Anna wślizgnęła się pod przykrycie i obserwowała nerwowo jak Filip zgasił boczną lampkę i wziął ją delikatnie w ramiona. Tak długo czekał na nią, że z trudem kontrolował swoją namiętność. Wiedząc, że jest to dla Anny pierwszy raz czekał, aż był pewien, że gotowa jest go przyjąć. Lecz kiedy nadszedł kulminacyjny moment, doznania Anny okazały się szokująco inne od jej wyobrażeń. Nikt jej nigdy nie opisywał aktu miłosnego, z pewnością nie Stella ani nawet Ruthie, która wychwalała rozkosze życia małżeńskiego bez wdawania się w intymne szczegóły. Gdy Filip już się zadowolił, Anna najlepsze co mogła zrobić, to udać, że czuje się równie zaspokojona. Złożyła głowę na jego ramieniu i czując jak ją do siebie przytula, uświadomiła sobie, że najbardziej potrzebuje bliskości i ciepła jego objęć. Było to dla niej przyjemniejsze niż sama gra miłosna. Trzy dni później Filip przeniósł ją przez próg ich apartamentu na Beach Street. Stawiając ją, powiedział: - Kocham cię coraz bardziej z każdym dniem. Anna zamrugała powiekami, aby powstrzymać łzy. Małżeństwo spełniało jej wszelkie oczekiwania. Tego popołudnia poszli na zakupy. Anna wyszukała tani sklep na Chestnut Street, prawdziwe źródło skarbów. Porcelanę z Westwood, prezent ślubny od ojca, i srebrny zestaw sztućców od Coulterów przeznaczyli tylko dla gości. Teraz starannie wybrała biały serwis z niezapominajkami, komplet sztućców dla czterech osób, garnek, patelnię, małą niebieską kuchenkę z piekarnikiem oraz dzbanek do kawy. W drodze powrotnej zrobili zakupy w sklepie spożywczym u Rossiego, po czym zjedli w domu obiad przy świecach. Zasypiali tej nocy w swoich objęciach. Kolejny wieczór nie był równie przyjemny. Anna zaprosiła rodziców Filipa na obiad i nic jej się nie udało. Po wyjściu Coulterów długo nie mogła zasnąć, a nazajutrz, skoro tylko Filip wyszedł do pracy, Anna zadzwoniła do Ruthie. - Mój Boże - lamentowała - nic mi nie wyszło. Kurczak się rozgotował, marchewki były twarde, ziemniaki wodniste. Wiem, że nie będzie lepiej następnym razem. Matka Filipa bardzo mnie krępuje. Nie lubi mnie. Najśmieszniejsze, że nie mówi nic takiego, do czego by się można przyczepić. - Nie zamartwiaj się tym zbytnio - powiedziała Ruthie, gdy Anna przerwała dla złapania oddechu. - Przełamie się. W końcu ukradłaś jej małego chłopczyka. - Liczę na to, ale na razie mnie to nie pociesza. Poza tym, ona chce żebyśmy spędzali z nimi każdą niedzielę. Powiedziałam Filipowi, że powinniśmy, ale zaoponował, mówiąc, że niedziela jest naszym dniem. Myślę więc, że wymyśli coś nowego przeciwko mnie. - Nie możesz pozwolić, żeby to wpływało na twoje stosunki z Filipem. - Nie pozwolę - odparła Anna, lecz kiedy odwiesiła słuchawkę, poczuła się znacznie mniej pewna. Jednak życie płynęło nadal przyjemnym trybem. Filip był trochę znudzony swoją pracą, bowiem nie robił tak szybkich postępów na jakie liczył. Lecz o ile jego dni były monotonne, z Anną

było zupełnie inaczej. Porzuciła pracę u Magnina i poświęcała cały swój czas utrzymaniu ich małego apartamentu w nieskazitelnej czystości. Kupowała niekosztowne dekoracje i wyszukiwała różnorodne przepisy. Czasami spędzała długie godziny w kuchni, czego rezultaty były katastrofalne: to suflet nie udał się, to znów rolada mięsna była za twarda; nie raz karmiła nimi psa pani Di Vincezo i biegła do delikatesów, aby w ostatniej chwili kupić coś zastępczego. Innym znów razem, kiedy wszystko się udało, nie mogła się doczekać kiedy Filip wróci z biura. Wszystko nabrało dla niej nowego znaczenia, nawet takie prozaiczne zajęcia, jak pranie czy prasowanie. Czowała się szczególnie szczęśliwa w wieczór, kiedy uczcili pierwszy miesiąc ich małżeństwa. Zasypiała w przeświadczeniu, że nie ma żadnych chmur na horyzoncie. O czwartej nad ranem zadzwonił telefon. Usłyszała jak Filip zaspianym głosem mówi - Halo. Wysłuchawszy, nieruchomo wpatrywał się w telefon. - Co się stało? - spytała Anna, zapalając światło. Odłożył słuchawkę i objął ją. - Kochanie, nie wiem jak ci to powiedzieć. Dzwoniła Stella. Twój ojciec zmarł godzinę temu. Anna była zbyt oszołomiona, aby zareagować, lecz kiedy minął szok, zaczęła spazmatycznie płakać. - To jakaś pomyłka! To niemożliwe! Niemożliwe, żeby umarł. Rozmawiałam z nim jeszcze dzisiaj! Filip nie mógł nic innego zrobić. Przytulił ją czule i czekał, aż się wypłakała. Rozdział dziesiąty Następnego ranka obserwując swoją pasierbicę i jej męża podczas omawiania spraw dotyczących pogrzebu, Stella po raz pierwszy przyjrzała się Filipowi. Był lustrzanym odbiciem Rogera. Zbyt późno uświadomiła sobie, że mogła jednak być na ślubie, gdyż tak czy inaczej musiała się spotkać z Coulterami na pogrzebie. Jak zwykle los spletał jej figła. - Jak to się stało? - spytała Anna, przywołując macochę do rzeczywistości. - Wiesz, że twój ojciec miał kłopoty z sercem. Widząc ból Anny, uświadomiła sobie, że cały gniew jakim dotąd pałała do tej dziewczyny, opuścił ją. Nagle lata nienawiści straciły znaczenie. Była nawet zadowolona, że Anna znalazła kogoś, z kim może dzielić życie. Na pytanie Anny, czy sprzeczali się z Benem, Stella nie odpowiedziała ze zwykłą sobie gwałtownością. - Nie powiem, że zawsze nam się dobrze układało. Ale nie mieliśmy powodów do kłótni, odkąd się wyprowadziłaś - Anna skinęła na to głową. - Ale odpowiadając na pytanie - twój ojciec położył się około dziewiętej, a o jedenastej, już miałam iść do swojego pokoju, kiedy zauważyłam, że światło w jego pokoju nadal się pali. Weszłam tam i zgasilałam je. Wyglądał na pogrążonego w spokojnym śnie - Stella westchnęła. - Godzinę później usłyszałam jakiś odgłos i wstałam. Twój ojciec leżał na podłodze w łazience. Anna zaczęła cicho łkać. - Czy żył jeszcze? - Zbadałam mu puls, ale nic nie wyczułam. Wezwałam pogotowie, ale gdy przyjechali było za późno. Nie żył już. Miliardy myśli przebiegały Annie po głowie. Chciała krzyknąć - to przez ciebie nie żyje, nie z powodu serca! Ale co by to dało? Nie przywróciłoby to ojcu życia. Anna wstała powoli. Dopiero śmierć Bena spowodowała, że Stella otworzyła Filipowi drzwi tego domu. A teraz spory z macochą nie miały już dla niej żadnego znaczenia. Stella odprowadziła ich do drzwi i patrzyła na Annę przez dłuższą chwilę. - Przykro mi, Anno... Tak mi przykro. Nad grobem zgromadziły się prawie te same osoby, które były obecne na ślubie Anny, lecz tym razem przyszła też Stella, a Ben, już nie szczęśliwy ojciec panny młodej, był w centrum uwagi tej smutnej ceremonii. Stella obserwowała, jak Filip otoczył Annę ramieniem, jak gdyby chciał ukoić jej ból. Przeniosła wzrok z pasierbicy na Ewę Coulter. Oby dotyczące spotkania z tą kobietą rozwiały się jak mgła, w momencie, gdy zetknęły się na stopniach kaplicy. Chociaż Stella wszędzie rozpoznałaby siostrę Rogera, Ewa nie miała pojęcia, kim ona jest. Pomimo kłopotów finansowych, była również

dostojna i piękna, jak dwadzieścia lat temu. Czas nie był równie łaskawy dla Stelli. Ciągła gorycz zwężała jej oczy, ściągnęła usta nadając surowy wyraz jej twarzy, sprawiając, że nie przypominała dziewczyny, która kiedyś kochała Rogera. Zresztą, pomyślała Stella ze smutkiem, któż by pamiętał panienkę, z którą się miało kontakt jedynie przy poprawkach krawieckich. Co za strata. Życie Rogera. Jej życie. Nieuzasadniona zazdrość o Annę. Stella podniosła wzrok, kiedy rabin skończył śpiewać Kaddish. Anna chwyciła garść ziemi i rzuciła do grobu. Było za późno by jej powiedzieć, że żałuje swojego okrucieństwa z czasów narzeczeństwa Anny, lecz dotknęła jej dłoni w nadziei, że pasierbica kiedyś ją zrozumie. Gdy wychodziła z cmentarza, jej oczy napotkały wzrok Ewy. Przez moment wydawało się Stelli, że rozpoznała ją w tym przelotnym spojrzeniu, lecz pani Coulter wsiadła do samochodu bez słowa. Stella wsiadła do następnego wozu. Ben został sam spoczywając w spokoju. Rozdział jedenasty Anna żyła przez cały następny miesiąc w cichej rozpacz. Przylgnęła do Filipa, nie będąc w stanie dzielić się swym smutkiem. Potrzebowała jego bliskości, lecz z niewytłumaczalnych przyczyn nie mogła się z nim kochać. Czuła, że byłoby to zbezczeszczenie pamięci ojca, gdyby pozwoliła sobie na czerpanie przyjemności z czegokolwiek. Wiele razy budziła się w nocy łkając gorzko. Filip pocieszał ją, jak tylko mógł, lecz za każdym razem, kiedy próbował się do niej zbliżyć odwracała się od niego. Był nieprawdopodobnie czuły i opiekuńczy. Przed wyjściem do pracy przynosił jej śniadanie na tacy. Trzy, cztery razy dziennie dzwonił z biura, a niemal każdego dnia kupował jej bukietek fiołków. Kiedy zauważył, że zbyt mało je, zaczął przynosić jej słodycze w nadziei, że to zaostrzy jej apetyt. W końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Spędzili jeden weekend na północy w zajeździe Sonoma Mission. Zajazd był w bardzo nędznym stanie, a przez cały weekend padał deszcz. Lecz tej nocy Anna znów oddała serce i ciało mężowi. Filip rozkwitł pod wpływem wznowionego zainteresowania Anny. Pracował sumiennie i właśnie zamierzał poprosić o podwyżkę, kiedy pewnego niedzielnego ranka obudziła ich wiadomość, która wstrząsnęła życiem wszystkich Amerykanów. Anna właśnie przygotowywała wafelki na późne śniadanie, kiedy Filip wszedł do kuchni. - Są przepyszne - powiedział śmiejąc się i próbując kawałek, zanim zdążyła podać je do stołu. - Są nawet lepsze od tych, które robi moja mama. Anna udała zagniewaną. - To dobrze, że chociaż jedno robię lepiej od niej. - Wszystko robisz lepiej - rzekł Filip, włączając radio. Wtedy dowiedzieli się, że Japończycy zaatakowali Pearl Harbour. Anna zdjęła fartuszek i weszła do pokoju gościnnego. Filip siedział w bezruchu z twarzą białą jak ściana. - Kochanie, Honolulu znajduje się tysiące mil od San Francisco - Filip dostrzegł zaniepokojony wzrok Anny. - Hawaje to terytorium Stanów Zjednoczonych. Oznacza to, że jesteśmy w stanie wojny. Anna o mało nie zemdląca. Zaciśnęła dłonie kurczowo na poręczy krzesła, aż jej zbieleły palce. - Filipie, jakie to może mieć dla nas znaczenie? - Albo zgłoszę się na ochotnika, albo sami mnie powołają do wojska. Korzystniej będzie, jeśli sam się zgłoszę, bo wówczas będę mógł się starać o szkolenie oficerskie. Serce Anny na chwilę zamarło. Jej świat rozpadał się w gruzy. Niedawno pochowała ojca, a teraz Filip zamierza ją opuścić. - Nie możesz tego zrobić - krzyknęła. - Dopiero się pobraliśmy. Zostanę całkiem sama! - Ależ, kochanie - nie mam wyboru! Chociaż istotnie tak było, Filip czuł się jakby ją porzucił. Wydała mu się taką wątłą istotką, gdy siedziała na sofie płacząc. Wstał szybko, wziął ją na ręce i delikatnie zaniósł do sypialni. Położył się obok niej i tuląc Annę w ramionach, gładził jej jedwabiste, ciemne włosy odgarniając je z czoła. Była taka piękna, taka nieskończenie mu droga. Lecz po raz kolejny czuł się bezsilny, nie mogąc

jej obronić. Nazajutrz Filip stał na skrzyżowaniu ulic Leavenworth i Bush obserwując mężczyzn udających się do biura rekrutacyjnego. Westchnął myśląc o tym, że historia dwa razy nieodwracalnie zmieniła bieg jego życia. Najpierw Wielki Kryzys, a teraz wojna. Na cóż zdadzą się wszelkie plany? - zastanawiał się. Już prawie odzyskał sens życia i przekonanie, że mógłby jako prawnik osiągnąć sukces, kiedy wszystko prysnęło jak bańka mydlana. Zapalając papierosa postanowił się nie rozczulać. Ostatecznie miliony młodych mężczyzn dotknęło to samo cierpienie. Prostując ramiona przeszedł przez ulicę. Wyszedł ze świadomością, że wybrał mniejsze zło. Mianowali go podporucznikiem korpusu Judge Advocate General. Nie wiedział komu konkretnie będzie podlegał, ani na jakiej scenie będzie grał, ale gdziekolwiek by go los nie rzucił, bezpieczniejszy będzie niż w piechocie. Jak na ironię, po krótkim szkoleniu wojskowym, Filip miał otrzymać dalsze rozkazy na Uniwersytecie Kalifornijskim, w instytucie prawa, którego był absolwentem. Oddalony od Anny tylko o godzinę drogi nie będzie mógł się z nią widywać nawet przez krótki czas. Pozostała tylko nadzieja, że dostanie tydzień lub dwa urlopu przed zaokrętowaniem. Tego ranka Anna zebrała wszystkie siły, by się nie rozpłakać. Rozmowa przy śniadaniu toczyła się celowo wokół drobiazgów. Anna nie pozwoliła włączyć radia pod żadnym pozorem. Filip pocałował ją na pożegnanie, jakby udawał się do biura. Anna trzymała się aż drzwi wejściowe zamknęły się za nim, po czym opadła na łóżko łkając. Dochodziła czwarta po południu, kiedy Anna w końcu zdołała się pozbierać. Siedząc przed lustrem przyglądała się sobie. Na jej twarzy malował się taki sam dziki wyraz jak w dniu śmierci ojca. Nie mogła pozwolić, by Filip zobaczył ją w tym stanie. Pobiegła czym prędzej do łazienki i wzięła prysznic. Założyła jedwabną, błękitną sukienkę i oceniła swój wygląd. Może trochę różu odwróciłoby uwagę od czarnych podków pod oczami. Poszła do kuchni i włączyła kuchenkę. Wyjęła małego kurczaka z zamrażalnika i przyprawiła go. Właśnie wkładała go do piekarnika, gdy usłyszała przekręcanie klucza w zamku. Na moment wpadła w panikę, próbując złapać oddech. Następnie zdjęła fartuszek, przyglądała włosy i weszła do holu, aby go przywitać. - Witaj, kochanie - powiedziała, prowadząc go do saloniku. - Napijesz się czegoś? Może whisky? - Z przyjemnością, kochanie - odpowiedział Filip. Opadł na sofę, a Anna nalała mu szkocką z wodą sodową. - Jak ci minął dzień? - Filip zapytał ostrożnie. - Ach, zdrzemnęłam się. Czuję się taka zmęczona - urwała. - A tobie? - głos jej nie drżał, ale oczy były zamglone obawą. - Miałem długi dzień... Przepraszam, że wróciłem tak późno. - Nie szkodzi. Właśnie włożyłam kurczaka do piekarnika, trochę to potrwa, zanim będzie obiad. Zapanowała między nimi niezręczna cisza. Po chwili, która wydawała się wiecznością, odezwał się Filip: - Jak czujesz się w roli żony podporucznika? - roześmiał się w nadziei, że to rozluźni trochę napięcie Anny. - Mógłbym się tym zajmować zawodowo. Moja podstawowa pensja będzie wynosić czterysta pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Anna nie była skora do śmiechu. - Myślę, że powinnam dopilnować kurczaka. Filip wyczuł, że drażnią ją wszelkie wzmianki dotyczące jego wyjazdu, więc tego wieczora nie wspominał już więcej o wojnie. Dni mijały, a Anna nie zadawała żadnych pytań. Filip uświadomił sobie, że Anna stara się zachować pozory, jakby się miało nic nie zmienić. W piątek po pracy Filip dostał mundur. Przyniósł go do domu, przymierzył i nieoczekiwanie poczuł przypływ dumy. Prostując ramiona wszedł do saloniku, gdzie Anna czytała gazetę. Na jego widok skoczyła na równe nogi. - Filip! - dlaczego nie poczekałeś? - chciała krzyknąć. - Jak mogłeś mi to zrobić? - Ale zacisnęła usta. To nie Filipa wina - to wina tego świata. Przez następne dwa dni hartowała się na moment rozstania z Filipem,

a w poniedziałek poczuła się dziwnie spokojna. Było coś nierealnego w ich rozstaniu. Filip będzie tak blisko i nie wolno mu będzie przyjeżdżać do domu; najprawdopodobniej trudno mu będzie nawet zadzwonić. Ale przynajmniej przez kilka tygodni będzie bezpieczny i to ją uspokajało. Czas mijał niewiarygodnie szybko. Filip wrócił z podstawowego szkolenia dzień przed otrzymaniem rozkazów. Były zwięzłe i konkretne: za sześć dni ma się stawić przy Ferry Building na Market Street. Tak mało czasu im zostało - niecały tydzień! Starali się tak ubarwić ostatnie dni, jak gdyby nic nie zagrażało ich szczęściu. Anna gotowała Filipowi ulubione dania, nosiła najładniejsze sukienki i oddawała mu się z namiętnością równą jego. Unikali rozmów o wojnie planując, co będą robili po jego powrocie. Jaki kupią dom, ile będą mieć dzieci. Czwooro? Pięcioro? Tak, pięcioro. W ostatnią sobotę Anna była niezmiernie zaaferowana przygotowaniem obiadu. Chciała, żeby wszystko było doskonałe. Dokładnie o siódmej przyszli Ruthie i Kenny, a zaraz za nimi Coulterowie. Po raz pierwszy nie było napięcia między Anną a teściową. Anna zdobyła się na wymuszony uśmiech, kiedy jej teściowa bez końca opowiadała, jakim cudownym dzieckiem był Filip. Ewa koniecznie chciała opowiedzieć, jak pewnego deszczowego dnia czteroletni Filip brodził w sadzawce bez kaloszy. Ewa otworzyła okno, wołając, żeby natychmiast wracał do domu, bo się przeziębi. Złościła się na niego aż niewinnie rozpiął swój przeciwdeszczowy płaszcz, odsłaniając kąpielówkę. - Ja tylko pływam, mamusiu - zawołał, na co ona wybuchnęła śmiechem. Teraz coś ścisnęło Ewę za gardło. Co się stanie z jej dzieckiem? Dokąd go wyślą? Łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je i nawet starała się rozmawiać z Anną. Ruthie i Kenny przynieśli najradośniejszą nowinę. Ruthie spodziewała się dziecka i chociaż Kenny wyjeżdżał za tydzień do Anglii, nie stłumiło to jej radości. Filip nalał brandy i wzniosł toast za szczęśliwe narodziny dziecka. Obserwowała Filipa, jak śmieje się i żartuje z Kennem, serce Anny wypełniło się dumą. Jej przystojny mąż był taki dobry, taki silny. Z pewnością Bóg go oszczędzi. Zapominając, że nie są sami, wzniosła toast. - Twoje zdrowie, kochanie. Żadna żona nie kochała swojego męża tak, jak ja kocham ciebie. Wstał i objął ją. Nie czuł się pokonany. Dziś był zwycięzcą w małej szaradzie przeznaczenia. Wkrótce potem Ruthie i Kenny zebrali się do wyjścia. Ruthie obiecała dzwonić codziennie. Zaraz za nimi zebrali się Coulterowie. - To był wspaniały obiad - po raz pierwszy Anna wyczuła autentyczne ciepło w głosie Ewy. Uścisnęła dłoń Ewy, a Simon jeszcze raz pogratulował Filipowi wyboru żony, po czym przynaglił Ewę do wyjścia, aby nie niepokoić młodej pary w ich ostatni wieczór przed rozstaniem. Anna siłą woli zapominała, że cokolwiek innego istniało na świecie oprócz tych ostatnich wspólnych godzin, które im zostały. W łóżku robiła wszystko, żeby dać mu jak najwięcej rozkoszy. Leżeli w swoich ramionach, zatopieni w drzemce, aż Filip wziął ją w posiadanie ten ostatni raz. O #/4#30 wysliznęła się z łóżka, by przygotować śniadanie - sok pomarańczowy, wędzonego łososa, jajecznicę i kawę. Kiedy wszedł do kuchni, odwróciła się mówiąc: - Zauważyłeś jak się poprawiłam od naszego ślubu? - Pod każdym względem - potwierdził dwuznacznie. - Byłam trochę nerwowa. - Wydaje ci się, że byłaś nerwowa! Roześmieli się, a Filip podniósł szklankę z sokiem, mówiąc: - Wypijmy za nas! - I za Karen. - Karen? - Tak. Pomyślałam, że to ładne imię dla naszej pierwszej córeczki. Moja mama nazywała się Kara. Co o tym sądzisz? Filipa ogarnęła radość. - Oczywiście to trochę nie w porę, lecz... - Na Boga, Filipie, nie! - rzekła Anna. - Przepraszam, ja po prostu... - głos jej się załamał. - Karen to piękne imię - powiedział Filip. - Odłóżmy to jednak do mojego powrotu. Ten straszny moment, o którym nawet nie

chcieli myśleć, nastąpił jak grom z jasnego nieba. Nadszedł czas rozstania. Patrząc, jak zapina mundur, Anna musiała sobie wreszcie uświadomić, że Filip idzie na wojnę. Ledwo mogła wydobyć z siebie głos, kiedy zabrali Coulterów i pojechali w kierunku Ferry Building, gdzie szeregi oliwkowo-brązowych ciężarówek stały złowieszczo wzdłuż krawężnika. Filip objął matkę. Wydawała się taka wątpa tego ranka. Następnie zwrócił się do ojca. - Uważaj na siebie - chciał powiedzieć coś zupełnie innego: powinienem być lepszym synem. Lecz słowa pozostały w sferze myśli i w końcu zwrócił się do Anny. Przytulał ją przez dłuższą chwilę. Skąd miał czerpać odwagę potrzebną do tego rozstania? Pocałował ją szybko i skierował się w stronę autobusu. Anna pomachała mu dzielnie, choć myślała, że jej serce pęknie. Odwróciła się i zobaczyła Coulterów, jak rozpaczliwie przyglęli do siebie. Wyglądali, jakby przybyło im dziesięć lat w ciągu jednego dnia. Ogarnęła ją fala współczucia: Filip był ich jedynym dzieckiem. - Myślę, że czas wracać do domu - powiedziała łagodnie. Wrócili do mieszkania Anny, gdzie zaproponowała, by coś zjedli. Zauważywszy ściągniętą twarz Simona dodała. - Może się tato napije brandy? - To miło z twojej strony, moja droga. Ale czy mógłbym położyć się na moment? - Oczywiście - Anna poszła do sypialni. Zmieniła prześcieradło i ubrała poszewki. - Czy naprawdę nic tacie nie potrzeba? - Nie, Anno. Dziękuję. Odpocznę chwilę i zaraz będę jak nowo narodzony. Anna miała co do tego wątpliwości, ale zamknęła za sobą delikatnie drzwi i dołączyła do Ewy w saloniku. Kiedy tak siedziały obok siebie, Anna poczuła, że powinna wyciągnąć rękę do matki Filipa. Widząc z jakim bólem zęgnęła się z Filipem, Anna zdała sobie sprawę, jak bardzo Ewa kocha swojego syna. - Pani Coulter, teraz kiedy Filip wyjechał myślę, że powinnyśmy stać się sobie bliższe. Czy mogłabym mówić do pani mamó? Ewa była tak wzruszona, że trudno jej było odpowiedzieć. - Nie rozumiem dlaczego chcesz nazywać mnie matką - powiedziała. - Nigdy nie byłam dla ciebie zbyt dobra. - Dzisiaj to naprawdę nie ma znaczenia. Po prostu potrzebuję matki. A co ważniejsze, czułabym się bliższa Filipowi, gdybyśmy byli rodziną w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Wiem jak on bardzo panią kocha. Ewa sięgnęła do torebki, wyjęła koronkową chusteczkę i przyłożyła ją do oczu. - Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Czuję się winna, że tak źle cię traktowałam. - Proszę o tym zapomnieć. Teraz, kiedy Filip wyjechał, potrzebujemy siebie. Chciałam prosić... czy mogłabym zamieszkać z wami? Tak wiele by to dla mnie znaczyło. - Bardzo bym tego chciała, moja droga. Ale wiesz, że dawny pokój Filipa jest bardzo mały. - To nie ma dla mnie znaczenia. Sam fakt, że jest to jego pokój, uszczęśliwi mnie. Teraz na mniej sentymentalną nutę. Zdecydowałam się podjąć pracę w fabryce. Dobrze tam płacą więc razem z żołdem Filipa damy sobie jakoś radę. Dla Ewy był to dzień rewelacji. Anna złożyła jej wielki podarunek miłości, ale aż do teraz nie zdawała sobie sprawy z głębi jej szczodrobliwości. Anna zamierzała przejąć zobowiązania finansowe Filipa względem rodziców. Odkąd się ożenił, nadal oddawał im część swojej pensji. Lecz w armii dostawał tylko połowę swoich poprzednich dochodów. Powiedział im, że w czasie wojny będą musieli liczyć tylko na skromne oszczędności. Słowem nie wspomniał, żeby Anna wróciła do pracy. - Czy jesteś pewna, że chcesz się tego podjąć, Anno? - Jestem pewna. Nie mogłabym beczynnienie siedzieć w domu. Ewa pochylila się i wzięła Annę za rękę. - Moja droga, jesteś niezwykłą, młodą kobietą. Teraz rozumiem, dlaczego Filip cię kocha. Rozdział dwunasty Tydzień później Anna przeprowadziła się do Coulterów, i zaproponowała, żeby nie tylko pomalować jej pokój, ale również salony i kuchnię. Ewa bez sprzeciwu przyjęła jej propozycję. Wkrótce całe mieszkanie lśniło świeżością, a

Ewa po raz pierwszy, odkąd utracili majątek, poczuła się dumna ze swojego domu. Simonowi też powodziło się lepiej. Od czasu wielkiego kryzysu chwycił się różnych zajęć, ale nigdzie na dłużej nie zagrzeł miejsca. Teraz, z braku młodych mężczyzn, Simon dostał pracę jako sprzedawca butów u Florsheima, gdzie jego zdolności szybko zostały docenione. Przynosił do domu sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie i czuł się bogaty. Anna wdzięczna była za pracę w fabryce, bo choć ciężka i wyczerpująca, pozwalała jej oderwać myśli od rozłąki z Filipem. Gdy dostała pierwszą pensję odłożyła dziesięć dolarów, a resztę wpłaciła na konto Coulterów. Położyła książeczkę czekową na kredensie z załączoną kartką "kocham was". Ewa i Simon byli głęboko wzruszeni, lecz nie chcieli tego przyjąć.

- Kochanie, nie spodziewaliśmy się tego - powiedziała Ewa. - To wspaniałomyślnie i hojnie z twojej strony, ale to cała twoja pensja. Anna spojrzała na Simona. Nalegał, aby jego pensję przeznaczyć na żywność i opłacenie mieszkania. Byłby dumny, gdyby znów mógł pełnić rolę głowy rodziny. Ale jak długo jeszcze będzie mógł pracować? Coraz bardziej dokuczał mu artretyzm, a i wzrok zaczynał go zawodzić. Kiedy Filip wróci, może mieć kłopoty ze znalezieniem pracy, więc byłoby rozsądnie odłożyć trochę pieniędzy. W końcu Simon się zgodził, a Ewa, choć też nie bez skrupułów, przystała na to. W listach do syna wyrażała zachwyt - jak dobrze jest im z Anną. Był marzec. Anna nie otrzymała żadnej wiadomości od Filipa od ponad miesiąca. Wiedziała, że przebywa gdzieś na Pacyfiku i łapczywie chłoneła wszystkie gazety, zastanawiając się, gdzie może przebywać. - Jutro jest sobota - pomyślała, niecierpliwie czekając na lunch z Ruthie. Newmanowie mieli szczęście. Kenna wcielono do Allied Supreme Headquarters bezpiecznie stacjonujących w Anglii. Anna mówiąc o swoich obawach, starała się nie okazywać zazdrości. - Wiem, że to zabrzmiało banalnie - powiedziała Ruthie - lecz mówią, że brak wiadomości to dobra wiadomość. - Naprawdę w to wierzysz, Ruthie? Też bym chciała. Najbardziej martwi mnie to, że nie dostałam dotychczas ani jednego listu. Nawet nie mogę spojrzeć na mapę i powiedzieć - o, tutaj jest! Prasa nie podaje żadnych informacji o działaniach na Pacyfiku. Wiem, że nie powinnam się zamartwiać. Filip nie jest w piechocie i przypuszczam, że gdyby stało się coś strasznego, napisaliby o tym. Myślę, że rząd by nas powiadomił. - O tak, na pewno. Chciałabym cię jakoś pocieszyć. Naprawdę wierzę, że z Filipem wszystko w porządku - powiedziała Ruthie z przekonaniem, choć sama nie była tego taka pewna. - Nie mówmy więcej o wojnie - rzekła Anna z wymuszonym uśmiechem. - Ruthie, wyglądasz cudownie. Jesteś w piątym miesiącu, lecz tego nie widać. - Mój lekarz złościłby się, gdybym przytyła. Poza tym chcę ładnie wyglądać jak Kenny wróci. A czy Filip wróci? - Anna przeczuwała coś złego. Dobry Boże, gdyby była w ciąży, przynajmniej miałyby jego dziecko. Z trudnością dzieliła radość przyjaciółki. - Najszczęśliwsza jest moja mama - rzekła Ruthie. - Nie może się wprost doczekać. Anna wracając do domu patrzyła nieobecny wzrokiem przez okna tramwaju. Ach, Filipie - myślała - co się z tobą dzieje odkąd wyjechałeś. Prawda, gdyby ją знаła, jeszcze bardziej by ją przygnębiła. Rozdział trzynasty

Filip oczekiwał szybkiego udziału w operacjach wojennych na Pacyfiku. Tymczasem przestarzały transportowiec, naprędce remontowany "U.S.S. General Pershing", musiał zostać poddany ostatnim naprawom kadłuba w Oakland. Żołnierze wchodzący na pokład nieufnie przyglądali się temu relikтови z pierwszej wojny światowej, który zupełnie pozbawiony był uzbrojenia. Ich obawy potwierdził przykry odór stęchlizny wydobywający się spod pokładu, gdzie mieściły się ich wilgotne prycze. W pierwszą noc na statku, stłoczeni na niewygodnych kojach, żartowali z goryczą. - Smród nas dopadnie, zanim zrobią to Japońcy - orzekli zgodnie. Przez

siedem dni nic się nie działo. Rankiem, ósmego dnia, zerwano ich przed świtem. Statek podnosił kotwicę. Rozeszła się wieść, że mają popłynąć w kierunku Nowej Zelandii - na łatwą służbę. Filip obserwował zimowe słońce z trudem przebijające się przez nisko zawieszane chmury, które rozpostarły się nad Zatoką Mżyło. Odczuł ból w sercu, gdy mijali Golden Gate Bridge, powoli wypływając na wody Pacyfiku. Zadowoleni i podnieceni żołnierze wylegli na pokład, opowiadając sobie o swoich drużynach piłkarskich, miasteczkach i dziewczynach. Starsi mężczyźni wspominali I wojnę światową, jak to w okopach walczyli przeciwko "szkopom". Młodzi rekruci słuchali tych opowieści ze zgrozą, wierząc każdemu słowu. Jeden z nich zapytał, czy Amerykanie pokonali wówczas Japończyków. Filipa ogarnęło współczucie. Dla wielu z tych osiemnastolatków wojna na Pacyfiku była pierwszą wyprawą z dala od domu. A ilu z nich wróci? On przynajmniej wykształcił się i ożenił... Oparł się o reling, zamknął oczy i przywołał obraz Anny. - Już pan znużony, poruczniku? - usłyszał szyszający głos koło ucha. Filip zaczerwienił się i odwrócił z wymuszonym uśmiechem... Obok niego stał oficer dowodzący, kapitan Jerrold Bugleman. Przeszedł on szkolenie oficerskie w Wirginii, gdzie szybko zasłynął ze swojego ciętego dowcipu. Podczas nudnych, choć pełnych napięcia dni, kiedy "General Pershing" stał zakotwiczony, Filip polubił go i nabrał szacunku dla człowieka, który z całą pewnością był urodzonym przywódcą. Z czupryną kasztanowych włosów i piegowatą twarzą, Bugleman wyglądał na Irlandczyka. Na Harvardzie domyślano się jednak, że jest Żydem. Jego rosta postać i siła były dostateczną obroną przeciw powszechnym, antysemickim docinkom. Po ukończeniu prawa podjął pracę w znanej firmie na Wall Street i ożenił się z Alicją Goldstein, którą kochał od dzieciństwa. Był to najgłośniejszy ślub roku w Nowym Jorku. Wykorzystując swe wpływy i pieniądze Jerrold z łatwością mógł uniknąć poboru. Jednak podobnie jak Filip, na wieść o zaatakowaniu Pearl Harbour, natychmiast postanowił zaciągnąć się do wojska. Z innego jednak powodu: czuł, że ma dług wobec Ameryki. Jego przodkowie zbiegli przed pogromami na Ukrainie w końcu XIX wieku i podobnie jak Coulterowie zdobyli w Stanach Zjednoczonych fortunę. Buglemanowie wykazali się rozważą i nie roztrwonili swoich pieniędzy. Nie dali się zwieść pokusom na szybkie zrobienie majątku w spekulacjach giełdowych lat dwudziestych. Ojciec Jerrolda cierpliwie otwierał interes za interesem, rozwijając sieć sklepów spożywczych nawet w czasie największego kryzysu, kiedy wiele przedsiębiorstw bankrutowało. Bez wątpienia Stany Zjednoczone były przyjazne Buglemanom, więc dla Jerrolda walka w ich obronie była sprawą honoru. Zdawał sobie sprawę, że raczej nie skierują go na linię frontu, ale wiedział, że skorzysta z okazji, jeśli mu się taka nadarzy. Podchodził do tego z niebywałym zaangażowaniem. Obydwaj z Filipem przyglądali się z zaciekawieniem, jak stado młodych wielorybów nie zważając na płynący obok statek, baraszkuje po zawietrznej. Filip westchnął. - Może mogłyby nas czegoś nauczyć - powiedział, pochylając się w kierunku wielorybów. Bugleman nie odrzekł nic. Obserwując swego towarzysza, stwierdził, że ma bystry umysł i w razie potrzeby mógłby go zastąpić. Był tylko trochę zbyt wrażliwy i zbyt refleksyjny, by dowodzić oddziałem wygłodniałych i utrudzonych żołnierzy. Postanowił go sprawdzić, czy się nie załamie. Bugleman wierzył, że tak nie będzie. Rozdział cztertnasty Walki w Pearl Harbour wciąż trwały. Poczyniono plany, aby uratować pozostałe statki amerykańskie, chociaż większość z nich została zniszczona. Hawaje przestały być luksusową i pożądaną placówką. Znudzeni, wymęczeni chorobą morską żołnierze z "General Pershing" tylko dwa dni mogli spędzić na lądzie, zabawić się z kobietami i kupić upominki. W tym czasie uzupełniono zapas paliwa,

a dowódcy otrzymali ostateczne rozkazy. Mieli się udać na Bataan i umocnić broniące się tam oddziały, które dziesiątkował czternasty oddział Cesarskiej Armii Japońskiej pod dowództwem generała Masaharu Homma. Szerokości dwudziestu mil u swej podstawy, Bataan tworzył trzydziestomilowy półwysep w Zatoce Manilskiej. Nieprzebyta dżungla i strome góry czyniły z niego doskonały punkt obrony. W tej naturalnej twierdzy obrońcy Luzon mieli nadzieję przetrwać, aż do nadejścia posiłków floty amerykańskiej. Była to straszna i długa bitwa. Malaria i inne tropikalne choroby zbierały swoje żniwo po obu stronach. Japończycy bombardowali nie tylko ze statków wojennych, ale również z powietrza. Ich wysunięte oddziały naziemne odcięły dostawy żywności i amunicji. Drugiego stycznia 1942 generał Macarthur zmuszony był zmniejszyć, i tak już wygłodzonym obrońcom Bataan racje żywnościowe o połowę. Niedożywienie powiększyło liczbę ofiar. Wkrótce po opuszczeniu Hawaj przez "General Pershing", Główne Dowództwo Stanów Zjednoczonych zmieniło plany. Tokio przeznaczyło taką liczbę wojsk na zdobycie Filipin, że akcja ratownicza amerykańskiej floty z góry skazana była na niepowodzenie. Wszystkie statki płynące w kierunku Filipin miały czekać na dalsze rozkazy. Kiedy załoga "General Pershing" niecierpliwie oczekiwała lądowania, zaczęły krążyć plotki, że wojna ma się ku końcowi. Wciąż nie nadchodziły oficjalne potwierdzenia, lecz dyscyplina rozluźniła się. W końcu nadeszły rozkazy, że mają płynąć w kierunku Australii. Nagła zmiana w amerykańskiej strategii mogła uchronić Filipa od udziału w bezpośrednich walkach, lecz oddziały Macarthura na Korrehidor bardzo potrzebowały Buglemana, a Filip był w jego załodze. Leżąc na swojej pryczy pisał list do Anny, w którym uspokajał ją, że prawdopodobnie spędzi większą część wojny w jakimś zacisznym miejscu, jak na przykład Melbourne - kiedy Bugleman przyniósł mu wiadomość. - Przykro mi, kolego, stary wyga nas potrzebuje. Sześciu czy siedmiu z jego załogi ma malarię. Żyją jeszcze - dodał pośpiesznie - ale są zbyt osłabieni, by prowadzić walkę. Filip jęknął i zmiął list. Słyszał, że japońskie łodzie podwodne, miny i patrole krążą swobodnie w rejonie Zatoki Manilskiej oraz, że japońskie lotnictwo objęło kontrolę w powietrzu. Bugleman widząc, że Filip spochmurniał, poklepał go po ramieniu. - Głowa do góry, staruszk! Pomyśl tylko - będziesz pracował dla żywej legendy, samego wielkiego Macarthura... Zabrał ich przed świtem kontrtorpedowiec zakotwiczony na Morzu Południowochińskim. Kapitan łodzi Pt zapewnił ich, że rejon zatoki jest "całkiem bezpieczny" i że w ciągu kilku godzin przedostaną się na Korrehidor. Bugleman poklepał swój karabin maszynowy i nóż okopowy o dwóch ostrzach, zawieszony u pasa. - Żoneczka powinna się o tym dowiedzieć i miejscowi piraci. Filip miał nieco nadszarpnięte nerwy wyczerpującą podróżą na niszczycielu. - Kapitanie, z całym szacunkiem, czy może się pan zamknąć? Bugleman zignorował tę uwagę. - Słuchaj, Fil... z Mackiem jesteśmy bezpieczni. Myślisz, że on pozwoli, żeby japońcy posiekali mu tyłek? Filip zamilkł zapinając kamizelkę ratunkową, a łódź Pt nabrała szybkości. Wkrótce potem dostał mdłości i klął w duchu, że nie zabrał ze sobą tabletek przeciwko chorobie morskiej. Bugleman stał wypatrując czegoś we mgle i mrucząc coś pod nosem. Wyglądał na zadowolonego. Po około trzech godzinach kapitan łodzi Pt oznajmił: - Zbliżamy się. Filip wziął głęboki oddech. Zdaje się, że się udało. Nagle łódź szarpnęła gwałtownie i obróciła się wokół dziobu. - Nadziałiliśmy się na rafę! - Filip zdążył krzyknąć. Nagle pokład usunął mu się spod nóg i znalazł się w wodzie. Łódź Pt uderzyła w japońską minę. Filip rozpaczliwie machał rękami krztusząc się słoną wodą. Próbował odnaleźć we mgle Buglemana i załogę, lecz nikogo nie było widać. Nastąpiła kolejna eksplozja. Tym

razem wybuchł zbiornik z benzyną. Filip zanurkował, by nie zalała go fala płonącego paliwa. Kiedy znalazł się na powierzchni, usiłował złapać się czegoś, ale wszystkie pływające przedmioty paliły się. Kapitan, czy też ktoś z załogi zamajaczył w odległości kilku metrów. Krzyczał coś, po czym zniknął pod wodą. Olbrzymia fala niosła ze sobą pusty, stalowy bęben wprost na Filipa. Próbował zanurkować, lecz pojemnik uderzył go prosto w głowę pozbawiając przytomności. Gdy ją odzyskał, leżał na brzuchu, w połowie zawieszony na szerokiej desce. Bugleman leżał obok niego kierując do brzegu prowizoryczną tratwę. Byli w pobliżu Bataan. - No, obudziłeś się, kolesiu? - odezwał się Bugleman. - Już się martwiłem o ciebie. Filip ostrożnie poruszył głową. - Gdzie jesteśmy? - Nie wiem dokładnie - odparł Bugleman. - Myślę, że gdzieś w pobliżu Bataan. Może trochę na północ. - Bataan... - Filip wyglądał na zdezorientowanego. - Gdzie jest... Pershing... - "General Pershing"? Byliśmy w łodzi Pt, pamiętasz? Płynęliśmy na Korrehidor. Zostaliśmy storpedowani... Uderzyliśmy w minę... kto wie... - Ach, tak... Łódź Pt przepadła? - Filip nie mógł zebrać myśli. Głowa mu pękała. - Nic nie zostało. - A gdzie jest kapitan? - Przepadł. Z całą resztą. Pół godziny byłeś nieprzytomny. Musiało cię niezłe grzmotnąć. Filip jęknął, gdyż ukłucie bólu prawie go zamroczyło. - No, Fil, przykro mi, że cię boli główka - sardoniczny humor Buglemana nagle się w nim odezwał - ale czy mógłbyś trochę pokopać? Wiesz, że to nie niedzielną przejażdżka. Bugleman uznał za stosowne nie wspominać nic o rekinach, od których roilo się w Morzu Południowochińskim. W odpowiedzi Filip tylko jęknął. - To nasza jedyna szansa, idioto! - Bugleman naprawdę się rozwścieczył. - Prąd nas znosi w niewłaściwym kierunku. Albo utoniemy, albo Japońcy potrenują sobie na nas strzelanie. Pomóż mi na miłość boską! - przestał kopać. - Słuchaj! Filip usłyszał jakieś warczenie, ale nie wiedział z jakiego dochodzi kierunku. - Japoński patrol - krzyknął Bugleman - jak podpłyną bliżej, nurkuj! Jeszcze nie skończył mówić, kiedy mała łódź wynurzyła się z mgły. Było w niej dwóch Japończyków. Na dziobie umieszczony był karabin maszynowy. Puścili deskę nurkując jednocześnie. Filip pozostał pod wodą tak długo, aż mu prawie rozrywało płuca. Słyszał odgłos śruby przepływającej tuż nad głową łodzi. Wypłynął, by zaczerpnąć powietrza, krztusząc się przy tym morską wodą. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy zobaczył, że łódź zawraca i pędzi w jego kierunku, a żołnierz w łodzi przygotowuje się do strzału. Zanurkował ponownie, a łódź znowu przepłynęła mu nad głową, tym razem rozbijając tratwę na tysiące kawałków. Wynurzywszy się na tyle, by móc oddychać, Filip słyszał dolatujące z mgły przekleństwa Japończyków. Ta niezrozumiała mamrotanina uświadomiła mu, jak daleko zabrnęli na terytorium wroga. Przekleństwa ustały, motor ucichł, lecz za chwilę znów zawarczał. Łódź patrolowa zaniechała pościgu i odpłynęła. Teraz ich sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej, gdyż bez tratwy szybko się męczyli. Mały samolot krążył nad nimi. - Wysłany na zwiady - wysapał Bugleman. - Mitsubishi. - Musimy być już blisko - rzekł Filip z nadzieją w głosie. Łapały go ostre skurcze w nogach i był potwornie spragniony. Naraz z mgły wyłoniły się zarysy dżungli. Wzmocnieni nadzieją, podwoili wysiłki. Samolot japoński, który zniknął na chwilę, znowu nadleciał - tym razem dużo niżej. Wkrótce dołączyły do niego trzy kolejne "Zero" - najstraszniejsze samoloty bojowe. Filip chciał zanurkować, ale Bugleman go powstrzymał. - To nie nas szukają - patrz! Samoloty istotnie miały dalece ważniejszy cel. Skreśliły ostro w prawo i skowycząc popuły w głąb ładu. Filip obserwował ich lot. Trzy myśliwce przelatywały tam i z powrotem, ostrzeliwując z karabinów maszynowych i dział, płazę i pobliską dżunglę. Tymczasem, japońskie statki wojenne, z pewnej

odległości, ciskały pociski na niewidoczne cele, w głębi ładu, w kierunku pokrytych gęstą dżunglą gór. Amerykanie odpowiedzieli ogniem, próbując karabinami przeciwlotniczymi zestrzelić nieprzyjacielskie samoloty. Filip wzdrygnął się przerażony, gdy zmaltretowane ciało - przyjaciel czy wróg? - wyrzucone zostało tuż przy nim w wyniku eksplozji. Bugleman ponaglał go wyklinając. Płynęli teraz na południe w kierunku plaży. Sto metrów przed nimi pociski wystrzelone ze statków wzniciły dwie okazałe fontanny wody i dymu. Żaden z nich nie miał siły, by skierować się w przeciwną stronę, więc nadal płynęli w kierunku plaży. Już prawie dotarli do celu, kiedy rozległ się odgłos silnika. Obydwaj obejrzeni się za siebie, pewni, że to już koniec. Białe od gorąca pociski smugowe przelatywały tuż obok głowy Filipa. To zanurzał się, to wypływał i płynął dalej. Łódź patrolowa nadpływała szybko. Nie mamy szans, pomyślał Filip. Ustrzelą nas jak kaczki albo rozerwie nas śruba. Spiał się w sobie i czekał na śmierć. Nie nadchodziła. Zamiast tego łódź zrobiła obrót kierując się na otwarte wody, gdyż amerykański karabin maszynowy, ukryty gdzieś za plażą w listowiu, wystrzelił serię tuż obok niej. Dzięki temu Filip z Buglemanem zyskali kilka cennych minut, aby dobić do brzegu. Jakby chcąc zniweczyć ich ostatnią nadzieję, jeden z myśliwców "Zero" zawrócił i zaczął bombardować plażę, próbując zniszczyć ukryty karabin. Rozczarowany, to wzlatywał, to zawracał warcząc złowrogo nad Korrehidor. Filip dotknął kolanem piasku. Płacząc z radości i wyczerpania usiłował się podnieść. Ocierając spuchnięte oczy ze słonej wody zmrużył je i spojrzał w kierunku morza. - Do diabła, gdzie jest Jerry? Bugleman, bliski utonięcia, poruszał się bezradnie jakieś dwadzieścia metrów od brzegu. Na plaży eksplodował pocisk, obsypując Filipa chmurą piasku. Natychmiast rzucił się na ziemię, po chwili jednak podniósł się i wszedł do wody, by pomóc przyjacielowi. Chwytał Buglemana za ramię i doholował do brzegu, po czym obydwoj chwiejnym krokiem ruszyli, by ukryć się w dżungli. Rozległ się trzask broni ręcznej. Bugleman padł na piasek i leżał nieruchomo. Filip z przerażeniem zobaczył jasnoczerwoną plamą na udzie przyjaciela. Był ranny i to ciężko. Bugleman pod wpływem bólu tracił przytomność. - Nie mogę iść... Idź sam... Skryj się... - wymamrotał. Filip nie odpowiedział nic. Złapał Buglemana za ramiona, upadając przy tym dwukrotnie, i ostatkiem sił zaciągnął go między drzewa. Nie zwolnił nawet poczuwszy ostry ból w ramieniu. Zatrzymał się dopiero gdy wydmy i bambusowe zarośla skryły ich przed wrogiem. Owładnięty strachem, położył Buglemana na ziemi i rozdarł skrwawioną nogawkę. Kula przeszła mu kość udową i zgruchotała ją. Kość wystawała z masy żywego mięsa. Filip odwrócił się i z wymiotował. Kiedy doszedł do siebie, nadaremnie szukał w mroku, spuchniętymi, ledwo widzącymi oczyma, filipińskich lub amerykańskich żołnierzy. Był pewien, że są gdzieś w pobliżu. Japońscy zwiadowcy i wyborowi strzelcy też pewnie byli niedaleko, ale musiał ryzykować. - Lekarza! - wrzasnął, lecz jego głos stłumiły wybuchy artylerii. Kiedy ucichło zawołał po raz drugi, obawiając się, że Bugleman się wykrwawi. Kapitan postękiwał cicho. - Pomocy! - krzyknął. Jeden z żołnierzy - byli to Amerykanie - zbliżył się obojętnie, zapalił papierosa i spojrzał na Buglemana. - Zawołaj lekarza - poprosił Filip. Wyglądało na to, że żołnierz się zastanawia. W końcu odpowiedział: - Zobaczą, co się da zrobić, ale mamy tu okropne warunki. Minęła prawie wieczność, zanim wyczerpany, spocony człowiek w szortach koloru khaki i rozdartej koszuli ukląkł przed Buglemanem. - Założę mu szynę i spróbuję zatamować krwotok - powiedział. - Ale w tej dżungli prawdopodobnie i tak umrze. To tylko kwestia czasu. Lekarz przygotował najpierw szynę z rosnącego nieopodal

bambusa. Następnie z pomocą Filipa wepchnął pogruchotaną kość w rozplątane udo. Bugleman, wciąż dzięki Bogu nieprzytomny, zawył dziko, po czym ucichł. Filip z trudem połykał ślinę. Przypomniał sobie, jak kiedyś wzdrygał się przed dotknięciem trupa. Zobaczywszy długi brudny bandaż, który lekarz wyjął z równie ziemistej kieszeni, Filip zaprotestował ostro. - Na miłość boską! Zamierza go pan zabandażować tą szmatą? Lekarz westchnął. - Nie mam nic lepszego. Filip nie odpowiedział nic. Szkaradna rana, prymitywne środki i wyczerpanie, wprawiły go w odrętwienie. Z trudem poruszał się i prawie nie myślał. Lekarz skończył, zostawił Filipowi menażkę cuchnącej wody i odszedł obiecując, że "zaraz" przyjdzie ktoś z noszami. Odgłosy bitwy przycichły. Myśliwce zniknęły w pogoni za lepiej widoczną ofiarą i tylko gdzieś słychać było odgłosy w większości chybionych strzałów z japońskich okrętów wojennych. W końcu przyszli dwaj zarośnięci, obdarci, wstrząsani malarią żołnierze i załadowali wciąż nieprzytomnego Buglemana na nosze. Filip, utykając, szedł za nimi stromym grzbietem w głąb dżungli. Kiedy dotarli do szpitala polowego, Filip zaniemówił. Nie było tam nic oprócz prymitywnych prycz, poustawianych pod drzewami. "Sala operacyjna" mieściła się w starym baraku z karbowanym dachem. Podłogą było klepisko. Wnieśli Buglemana do środka i położyli na stole przykrytym zielonkawym kocem. Pielęgniarki odganiały muchy, podczas gdy chirurg, młody Filipińczyk, oznajmił Filipowi, że środki znieczulające skończyły im się kilka dni temu. Odcięci byli od świata od ponad miesiąca, a wciąż napływali nowi ranni - wielu z nich w gorszym stanie niż Bugleman. Ku przerażeniu Filipa, gdy tylko odkryli ranę i zaczęli manipulować nogą, rosnący ból przywrócił Buglemanowi świadomość. Początkowo powstrzymywał się, lecz wkrótce krzyczał jak w agonii. Filip nie mógł już tego dłużej znieść. Wyszedł z baraku łkając. Prycze rozstawione były na całym wyřębie. Zajmowali je tak wychudzeni mężczyźni, że niektórzy z nich wyglądali jak szkielety, niektórzy nie mieli kończyn, inni cierpieli z powodu ciężkich obrażeń twarzy. Filip dokuśtykał do drzewa i oparł się o nie. Trząsł się cały nie mogąc się pozbierać. Ktoś położył mu delikatnie dłoń na ramieniu. Podniósł powoli głowę. Obok niego stała młoda pielęgniarka. - Wszystko w porządku? - Tak... w porządku - usiłował wykrzesać słaby uśmiech. Nagle pielęgniarka wykrzyknęła. - Ależ pan jest ranny! Zdziwiony, popatrzył na plamę krwi, która zakrzepła mu od ramienia aż po łokieć. Przypominając sobie rozpaczliwą przeprawę przez plażę, ledwie pamiętał ukłucie bólu. - Ach, to nic. Niech pani to zostawi. Pielęgniarka nie zważała na jego protesty. - Proszę zdjąć koszulę - rozkazała. Filip miał długą ranę na ramieniu. Pielęgniarka zaprowadziła go do namiotu, przemyła ranę i zabandażowała. Następnie przyjrzała się siniakowi na jego skroni i żeby nie myślał o bólu, powiedziała, że nazywa się Fiona oraz opowiedziała mu co działo się w ciągu ostatniego miesiąca na Bataan. Słuchając jej, Filip przywołał obraz Anny. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność od czasu, gdy pocałowała go na pożegnanie w San Francisco. Kiedy Fiona skończyła, Filip opisał jej rany Buglemana i spytał co sądzi o jego szansach na wyzdrowienie. Spowaźniała. - Tutaj w dżungli mamy ogromne problemy z infekcjami. Byliśmy już trzykrotnie ewakuowani. Ma jakąś szansę, ale to wszystko. Gdy odeszła, Filip udał się do baraku operacyjnego. Chirurg właśnie wychodził. - Pan, jego kumpel? - zapytał. Na skinienie Filipa, doktor powiedział: - Zniósł to całkiem nieźle. Gdyby mógł być odtransportowany... - odszedł, zostawiając Filipa z przyjacielem. Bugleman wyglądał okropnie, ale był świadomy i nawet rozmowny. Filip wziął go za rękę. - Jak się czujesz? - Wciąż jedną nogą na tamtym świecie, ale wygląda na to, że uratowałeś mi tyłek. Filip

uśmiechnął się. - Trochę za późno by dostać się do Macarthura. Jak myślisz, co powinniśmy dalej robić? - No cóż, ja jestem wyłączony z gry na jakiś czas. Powinieneś zameldować się w najbliższej jednostce. Ale wróć po mnie za jakiś tydzień. - Tak jest! - odparł Filip zmuszając się do żartobliwego tonu. - Oczekuję, że będziesz już chodził. Żołnierz dyżurny wskazał Filipowi drogę do najbliższej jednostki amerykańskiej. Zanim wyruszył, ten sam człowiek wręczył mu parę żołnierskich butów. Choć nikt mu tego nie powiedział, wiedział, że ściągnięto je z trupa. Wiedział też, że nie obejdzie się bez obuwia. Po godzinie był już w obozie. Filip złożył raport oficerowi dowodzącemu, kapitanowi wyglądającemu na karierowicza, na którym podporucznicy przybyli prosto ze Stanów nie robili większego wrażenia. A ten był szczególnie przystojny, utuczony i zbyt arystokratyczny jak na gust kapitana. Płyś z kremem - Cox - ocenił go w myślach. - Tygodnia nie wytrzyma. - Jestem Kapitan Andy Cox - warknął. - No więc, podporuczniku Coulter, będzie miał pan okazję zabić kilku Japońców. Co pan na to, przyjacielu? Filip zetknął się już z takimi jak Cox, więc nie zareagował. Ludzie pokroju Coxa kochali wojnę samą w sobie, a ich entuzjazm nie miał nic wspólnego z dążeniem do uczynienia świata bezpiecznym miejscem dla rozwoju demokracji. - Więc? - domagał się Cox, kiedy Filip wciąż milczał. - Zadałem pytanie, poruczniku - co pan myśli o załatwieniu kilku Japońców? - Oni są wrogiem, a ja żołnierzem... kapitanie - odparł krótko Filip. Twarz Coxa przybrała kamienny wyraz. - Niech pan sobie weźmie broń i jeszcze jedno - bandy żółtków wciąż tu lądują i ukrywają się w dżungli. Niech pan nie zasypia na otwartej przestrzeni. Mógłby się pan obudzić z rozplatanym brzuchem. Nie uśmiecha się to panu, prawda? Przydzielono Filipowi standardowy amerykański M_1, lecz zauważył, że większość żołnierzy nosi stare Springfieldy. - M_1 są do bani - poinformował go brodaty sierżant - zaopatrzeniowiec. - Handlujemy nimi z Filipińczykami, zamieniamy na te. - Albo po prostu zabieramy, kiedy żółtki porzucają je w ucieczce - dodał cierpko jakiś żołnierz. Nazajutrz słychać było tylko sporadyczne strzały, ale już kolejnego ranka rozpętała się walka z udziałem lekkich wozów pancernych i posiłków z powietrza. Jedli właśnie śniadanie, gdy ktoś zauważył ciemne kształty mające na horyzoncie. Kiedy uderzyła pierwsza bomba, Filip schował się do lisiej nory, których pełno było na skraju plaży. Wiele godzin siedział tam w bezruchu. Kulił się w swoim schronieniu, gdy karabiny przeciwlotnicze ostrzeliwały japońskie samoloty i z uczuciem bezradności żałował, że nie dotarł do obozu wcześniej, by dostać jakieś zadanie. Wydawało mu się, że bombardowanie nigdy się nie skończy. W końcu ucichło; żołnierze dostali rozkaz wycofania się do dżungli. Przez kolejne tygodnie, dni Filipa miały według tego samego schematu. Po długich bombardowaniach ze strony Japończyków - następowały pośpieszne akcje odwrotu do dżungli. Nie sposób było przewidzieć, z której strony następnym razem wróg zaatakuje. Filip dostawał różne dziwne polecenia, ale nigdy nie przypisano mu żadnej funkcji w piechocie. Gdy odgłosy bitewne cichły, żołnierze mieli jeden temat do rozmowy: jedzenie. Bez końca opowiadali o swoich ulubionych potrawach. Hamburgery, lody, lasagne - tak, jakby mówienie o jedzeniu mogło zaspokoić ich głód. Zaczynało brakować żywności. Od stycznia dostawali tylko połowę dziennej racji ryżu, w którym roilo się od robactwa. Jeśli któremuś z Południowców udało się upolować małpę albo szczura, wszyscy rzucali się łapczywie na skąpą porcję mięsa. Konie i muły dawno już trafiły do garnków. Z wyjątkiem Filipa i krępego kapitana Coxa, wszyscy mężczyźni w jednostce byli wychudzeni. Ich ciała jakby się z nich wytopiło, a zapadłe oczy patrzyły dziwnym, pozbawionym życia

wzrokiem. Nikt się nie chełpił, co stanie się z wrogiem, gdy przyplynie flota amerykańska, gdyż powoli docierała do nich świadomość, że być może obrońcom Bataan nikt nie przybędzie na ratunek. Nawet pewny siebie, pełen wigoru głos Coxa nie był w stanie obudzić w nich ducha. Filip rozmyślał od czasu do czasu o Buglemanie, nie tracąc nadziei na to, że żyje. Po dwóch tygodniach, tak jak pozostali żołnierze - myślał tylko o bliźniaczych imperatywach: jedzeniu i przetrwaniu. Pewnego ranka, kilka tygodni po przybyciu Filipa do jednostki, natknęli się na oddział penetracyjny. Dostali rozkaz, by zejść w dół krawędzią i wspomóc skrzydło linii Luzon, która biegła w poprzek południowej części półwyspu. Niespodziewanie sześciu czy siedmiu ubranych na czarno Japończyków wyłoniło się przed nimi z prześwitu, przykucnęli i otworzyli ogień. Towarzysz Filipa stoczył się w dół. Filip instynktownie padł na ziemię i przygotował broń. Tuż przed nim jakiś Japończyk forsował wzgórze ze wzniesionym w górę karabinem. Filip zacisnął zęby i wycelował swoim M_1. Był to łatwy strzał, ale na myśl, że ma zabić, zawahał się. W końcu wymierzył broń i nacisnął cyngiel. Karabin ani drgnął. Był niesprawny. W tym samym momencie Japończyk zauważył Filipa. Ogarnęła go panika. Był jak kaczką na muszce. Oszczędnym ruchem zsunął się za ciało zabitego żołnierza. Usłyszał wystrzał i poczuł szarpnięcie, kiedy kula uderzyła w osłaniającą go tarczę z ludzkiego ciała. Sięgnął po Springfielda, który leżał obok trupa, wycelował i wystrzelił. Japończyk złożył dłonie na brzuchu, zatoczył się, a na jego twarzy odmalowało się groteskowe zdziwienie. Nie mógł chyba uwierzyć, że został trafiony. Następnie upuścił karabin i runął na ziemię. Filip wyczołgiwał się w kierunku zarośli bambusa, gdy nagle zobaczył kapitana Coxa, który leżąc twarzą w dół z ohydą raną w ramieniu, krwawił obficie. Przerażony zobaczył, że ramię Coxa zwisa na fragmencie mięśnia. Kule ze świstem przelatwały im nad głowami, gdy Filip ciągnął kapitana za ustęp skalny. Zapominając, że nie znosi widoku krwi, Filip wyjął nóż i szybkim ruchem odciął kończynę. Następnie pociął chusteczkę na paski i założył Coxowi powyżej kikutu opaskę uciskową. Krwawienie ustało, lecz kiedy delikatnie odwrócił Coxa, stwierdził, że kapitan jest martwy. Dostał kulę między oczy. Odwrócił się w kierunku strzelaniny i zobaczył, że Japończycy wreszcie się wycofują. Jakiś niedobitek wciąż strzelał z pozycji leżącej, ale kilka amerykańskich kulek uciszyło go. Zachowując ostrożność, Filip podszedł do tych, co przeżyli. Sześciu z dwudziestu poległo razem z Coxem, a kolejnych sześciu było poważnie rannych. Musiano ich ewakuować do szpitala wojskowego. Filip nagle uświadomił sobie, że teraz, kiedy Cox nie żyje, on jest najwyższym rangą oficerem. Nie był jednak przygotowany, by dowodzić tą obszarpaną drużyną. Patrząc na wygłodniałe, pozbawione nadziei twarze zdawał sobie sprawę, że jedyną szansą dla nich na przetrwanie jest utrzymanie wojskowej dyscypliny. Wyprostował ramiona, wziął głęboki oddech i powiedział: - Żołnierze. Kapitan Cox nie żyje. Musimy go pochować razem z pozostałymi. Czterech z was zaprowadzi rannych do szpitala wojskowego. Będziemy tu czekać na wasz powrót. Żaden z żołnierzy nie sprzeciwił się jego rozkazom: byli zbyt zdezorientowani i wyczerpani, by zwracać uwagę, kto nimi dowodzi. Kiedy czterech żołnierzy powróciło ze szpitala, Filip dowiedział się, że Bugleman nie poddaje się, choć ma wysoką gorączkę i mocno zainfekowaną ranę. W miarę upływu gorących, pełnych trwogi i przemocy dni, Filip przyzwyczaił się do swojej nowej roli. Starał się nie rozmyślać nad tym, jak długo jeszcze jego maleńki oddział jest w stanie przetrwać. Pewnego dnia, późnym wieczorem, Filip wstrząsany dreszczami właśnie zapadał w sen, kiedy kurier filipiński przyniósł mu zapieczętowaną, poszarpaną kopertę. Otworzył ją i przeczytał: "9

kwietnia o 6.00 generał Edward P. King poddał twierdzę Luzon pod panowanie Cesarskiej Armii Japońskiej". Filipiny poddały się, a wszyscy żołnierze amerykańscy i sprzymierzone oddziały byli teraz więźniami wojennymi. Tylko Korrehidor jeszcze się broniła. Filip obudził żołnierzy i obwieścił im tę wiadomość. Potem polecił kucharzowi, aby dał znać wartownikom, że mogą udać się na spoczynek. Następnego ranka panowała zupełna cisza. Nad głowami nie latały Mitsubishi, które do wczoraj ostrzeliwały dżunglę. Nie słyhać było odgłosów artylerii ani trzaskania broni ręcznej. Filip doszedł do pobliskiej drogi i skręcił w kierunku gór. Na ich zboczach, na znak poddania się, powiewały białe flagi. Rozdział piętnasty Przyglądając się swojej ośmioosobowej drużynie, Filip postanowił coś zrobić, by nie stanęli przed zwycięzcami w tak oplakany stan. Należało na nowo wzbudzić w nich poczucie własnej godności. Gestem przywołał ich uwagę. - Żołnierze, chciałbym z wami pomówić. Nikt z was nie chce się poddać. Ale nie mamy wyboru. Musimy słuchać rozkazów. Nie zapominajcie jednak, że walczyliście dzielnie i ofiarnie. I nie dajcie sobie wmówić, że było inaczej. - Przełknął ślinę. - Ogólcie się i umyjcie starannie, a kiedy zjawią się Japończycy, podnieście głowy wysoko do góry. Uwinęli się szybko i już wkrótce gotowi byli do inspekcji. Ich mundury były niemiłosiernie brudne, nie mieli hełmów, lecz umyć i ogoleni nosili się z odrobiną dumy. Broń pozbawioną amunicji złożyli na skraju przecinki. Mapy i dzienniki spalili, przekaźnik radiowy zniszczyli. Nie mając nic do roboty siedzieli w milczeniu, aż słońce wzniosło się wysoko. Wszystkim zdawało się, że zaszła jakaś pomyłka, gdy wtem dały się słyszeć odgłosy z dżungli; zewsząd dobiegały ich głosy japońskich żołnierzy. Filip zarządził zbiórkę. Nikt nie zaprotestował. Zmusił się do pozostania w bezruchu, kiedy uśmiechnięty kapral - okularnik przeszukał mu kieszenie zabierając scyzoryk, bryłkę cukru oraz kilka połamanych papierosów. Nie znalazł tabletek jodyny używanych do oczyszczania wody, gdyż Filip ukrył je w bucie. Inny Japończyk przeszukiwał złotowłosego żołnierza. Skończywszy, rozwścieczony tym, że nie znalazł nic interesującego, wyjął rewolwer i uderzył jeńca kolbą w twarz. Filip w pierwszym odruchu chciał rzucić się na niego, lecz zamiast tego, wystąpił z szeregu i wskazał najpierw na insygnia na swoim ramieniu, a następnie na żołnierza, który klęczał trzymając się za złamany, krwawiący nos. - Chcę się zobaczyć z oficerem dowodzącym - powiedział Filip spokojnie. Na te słowa oficer japoński wykrzyknął jakiś rozkaz, po czym kilku żołnierzy załadowało i podniosło broń. Filip spodziewał się, że go zastrzelą lub, że dostanie bagnetem w brzuch, lecz zdołał ukryć przerażenie. Nastąpiła pełna napięcia cisza, po czym oficer dowodzący, człowiek o mocnym zaroście, który przechadzał się marszowym krokiem, warknął jakąś komendę i lufy zostały opuszczone. Filip oddychał ciężko. Zdał sobie sprawę, że zdobywcy Bataan nie będą przestrzegać zasad gry wojennej. On i jego ludzie byli w rękach barbarzyńców. Nagle żołnierze ucichli, gdyż zajęła zakurzona ciężarówka. Wysiadło z niej pięciu silnych, dobrze zbudowanych oficerów. Jeden z nich wyraźnie się wyróżniał. - Pewnie ten jest majorem - pomyślał Filip. Podszedł do jeńców i zapytał angielszczyzną z mocnym akcentem: - Kto tu jest oficerem dowodzącym? Nikt nie odpowiedział. Filip powiódł wzrokiem po szeregu. Nikt z Amerykanów się nie poruszył. Podniósł głowę i wystąpiwszy z szeregu, zasalutował. - Porucznik Coulter z Armii Stanów Zjednoczonych. Major nie odsalutował mu. Wskazał na pustą kaburę Filipa. - Pański olster, proszę. Filip odpiął ją i podał w milczeniu. - Pusty, co? - Japończyk spytał podniesionym głosem. - Tak, pusty. - Filip odpowiedział chłodno. - Pańscy ludzie zabrali nam

broń. Major zmierzył Filipa wzrokiem i wzruszył ramionami. - To wszystko! Gdy Filip wrócił do szeregu, oficer położył dłonie na biodrach i obwieścił: - Zostaliście więźniami Cesarskiej Armii Japońskiej. Jestem Major Ito. Odpowiadam za was, dopóki nie przejdziecie w ręce głównego dowództwa. - Wybuchnął krótkim i pogardliwym śmiechem i mówił dalej chrapliwym głosem. - Każda próba ucieczki skończy się śmiercią! Po tym odszczekał kilka rozkazów po japońsku i dumnie wrócił do swojego wodzu, a pozostali oficerowie ustawili się wzdłuż szeregu jeńców. Japończycy ponownie podjęli przeszukiwania. Gdy jeden żołnierz odmówił zdjęcia obrączki, rozwścieczony oficer obciął mu dłoń bagnetem na wysokości nadgarstka. Filip wystąpił, by zaprotestować, ale wciągnęli go do szeregu. Robiąc gesty w kierunku krwawiącego, powiedział: - Pozwólcie mi chociaż zobaczyć, jak bardzo jest ranny. W odpowiedzi Japończyk zaklął i powalił Filipa na ziemię. Zanim zdążył się podnieść, drugi żołnierz zerwał mu obrączkę zrywając ze stawu palec. Uśmiechając się, podniósł ją triumfalnie do góry, ku zachwytowi swoich towarzyszy. Zemdlony, spragniony, ślaniający się na nogach Filip, powrócił do szeregu i stał dalej w pałącym słońcu. Późno w nocy przemaszerowała przed nimi około pięćdziesięciosobowa grupa więźniów. Jedni mieli zabandażowane głowy, drudzy ręce na temblakach, inni nogi unieruchomione w bambusowych szynach. Wszyscy byli ranni i wyglądało na to, że są u kresu sił. Między nimi, utykając na skleconych kulach, szedł kapitan Jerrold Bugleman. Radość Filipa na widok przyjaciela nie trwała długo, gdyż uświadomił sobie, że Japończycy zamierzają poprowadzić tę grupę rannych nieszczęśników w głąb wyspy Luzon. Postępowanie takie było jawnym łamaniem Konwencji Genewskiej i Filip chciał zaprotestować. Przypomniał sobie jednak, jak Japończycy obrabowali więźniów i zdecydował, że lepiej będzie nic nie mówić. Uśmiechnął się pokrzepiająco do przyjaciela, a Bugleman w odpowiedzi rozpromienił swą pożółkłą twarz. Grupa przeszła przez około pół mili, po czym wydano raz rozkaz postoju do nadejścia dnia. Następnego ranka najgorsze obawy Filipa potwierdziły się. Istotnie zamierzali przemieścić Amerykanów i ich filipińskich sprzymierzeńców z półwyspu do obozów jenieckich w centrum Luzon. Filip domyślał się, że Japońskie Dowództwo Naczelne chce ich jak najszybciej usunąć z Bataan, by móc tam skoncentrować wszystkie siły, w celu przełamania ostatniej broniącej się twierdzy - Korrehidor. Wrogowie narzucali wyczerpujące tempo już pierwszego dnia. Filip uplasował się w tyle drugiej kolumny, gdzie Bugleman kuśtykał na swoich kulach. O mało się nie rozplakał na widok przyjaciela, który był tylko cieniem tego żywotnego, pogodnego człowieka, dowcipującego kiedyś na pokładzie "General Pershing". Patrząc przed siebie, Filip starał się mówić bez poruszania ustami, tak jak to widział na filmach więziennych. - Jak się czujesz? - Bywało gorzej - odparł Bugleman. Wciąż jeszcze miał poczucie humoru. - Wiesz, że zbombardowali szpital polowy? - zapytał cicho. - Mój Boże - jęknął Filip. - Ale przeżyłeś. Czy możesz dalej iść? Będzie ze czterdzieści mil do następnej linii kolejowej. - A mam jakieś inne wyjście? Muszę spróbować. Na pewno mnie sami nie zanoszą. Próba wzbudzenia wesołości tylko zasmuciła Filipa. Przysunął się tak blisko Buglemana jak tylko mógł nie przyciągając tym uwagi. - Oprzyj się o mnie. Tego samego dnia, strażnik stojący przy drodze tupnął nogą wzniecając kurz i skinął na Buglemana. Następnie stanął przed dwoma mężczyznami, wskazał na strzaskaną nogę mówiąc: - Do niczego! Filip początkowo nie zrozumiał. Lecz kiedy strażnik chwycił kule i wrzucił je do rowu, wszystko stało się jasne. Szukał pretekstu, by zabić Buglemana. - Oprzyj się o mnie - wyszeptał Filip. - Jeśli nie dam rady, idź sam - rzekł Bugleman. - To rozkaz! Filip nie odparł nic. Obydwaj wiedzieli,

że Bugleman bez kuli sobie nie poradzi. Oparł rękę na ramieniu Filipa i podskakiwał na zdrowej nodze, zaciskając zęby i powstrzymując się od krzyku, kiedy złamaną nogą dotykał ziemi. Z dodatkowym ciężarem Filip sam nie był pewien, czy dożyje następnego dnia. Zbliżała się północ, kiedy wynędzniałej kolumnie, do której dołączyło coraz więcej jeńców, pozwolono udać się na spoczynek. Nie było wody, a większość z nich opróżniła już swoje menażki. Filip zdołał trochę zaoszczędzić, choć sam umierał z pragnienia. Następnego ranka obudziły ich krzyki i przekleństwa. Przed świtem byli znów w drodze. Początkowo chłód pozwalał zapomnieć o pragnieniu, lecz kiedy upał się wzmógł, niektórzy zaczęli omdlewać. Pozostali usiłowali ich nieść, lecz sami często byli u granic wytrzymałości. Filip patrzył z przerażeniem, jak strażnicy najpierw kopią słabszych, a potem, zależnie od grymasu, strzelają do nich lub dźgają bagnietami na skraju drogi. Przechodzili obok studni, ale tylko strażnikom wolno było do niej podejść. Więźniowie przyglądali się, jak strażnicy zaspokajają pragnienie. Filip odmówił sobie ostatniej porcji wody, oddając ją Buglemanowi. Był pewny, że Japończycy chcą pozbyć się jak największej liczby więźniów, aby zaoszczędzić sobie kłopotów z utrzymaniem ich w obozie: może ich brutalność nie była spontaniczna, lecz wykalkulowana. W każdym razie kolumna wydłużała się, a nie odwrotnie. Późnym popołudniem zmieniono strażę. Nowi żołnierze pozwolili jeńcom podejść do małego, leniwie płynącego strumyka i napełnić menażki. Odwodnieni mężczyźni pili bez końca, nie zważając na zielony nalot na powierzchni. Następnego dnia, prawie połowa cierpiała z powodu dyzenterii. Ponieważ postój karano chłostą, a nawet śmiercią, zwijali się w bólach, ale szli dalej. Filip czuł się tak, jakby sięgnęli dna piekła, kiedy na trzeci dzień, z niewiadomych przyczyn, strażnicy zarządzili podwojenie tempa. Spojrzał na Buglemana, pogorszyło mu się. Udało im się wysunąć na czoło kolumny, ale teraz szli coraz wolniej i pozostawali w tyle. Filip zdrętwiał, gdy zobaczył, że strażnikiem w ich sektorze jest ten sam człowiek, który zabrał Buglemanowi kule. Japończycy, widząc ich wahanie na skraju kolumny, zaczęli coś wykrzykiwać. Filip wiedział, że jeśli zostaną jeszcze o krok w tyle, strażnik zabije Buglemana. - Słuchaj stary - rzekł Bugleman. - Nie dam rady. Filip odkręcił menażkę i podsunął ją Buglemanowi. - Wypij to - rozkazał. - Nie! - zaprotestował Bugleman. - To wszystko, co mamy. Filip przechylił menażkę. - Pij. Bugleman wypił. Strażnik przyglądał im się wyczekująco. - Teraz przyśpiesz - Filip krzyknął na przyjaciela przesuwając się razem z nim w głąb kolumny. Rozdział piętnasty (cd.) Po godzinie zmniejszyli narzucone im tempo, gdyż nawet strażnicy nie mogli nadążyć. Słońce już zaszło, gdy więźniowie mogli wreszcie się zatrzymać. Od kilku dni nie mieli nic w ustach. Lecz dzisiaj dostarczono kotły z ryżem. Żołnierze ustawili się wzdłuż pełnych garnków i każdy dostał garść ryżu w złożone dłonie. Łapczywie połykali go popijając słabą herbatą. Bugleman był tak wyczerpany, że już nawet nie odczuwał głodu. Filip nie mógł go nawet zmusić, by stanął w kolejce po ryż. Obejrzał nogę kapitana. Kiedy odwinął bandażę rozszedł się straszny smród. Rana była zaogniona i ciekła z niej ropa. - Gangrena - wymamrotał Bugleman. - Nie, mocna infekcja, ale zagoi się. - Umrę, Fil - Bugleman powiedział cicho. - Nigdy już nie zobaczę Alicji ani dziecka. - Nie mów tak! - zaprotestował Filip. Poderwał się, przyniósł trochę wody z pobliskiego zbiornika i dokładnie oczyścił ostatnią tabletką jodiny. Gdy wrócił, Bugleman był nieprzytomny. Wiedział, że przyjaciel jest odwodniony, umoczył więc róg koszuli w menażce i zaczął mu sączyć wodę do ust. Bugleman doszedł do siebie, wypił trochę wody z menażki po czym zasnął. Następnego dnia doszli do wężła

kolejowego, gdzie zarządzono postój. Serce Filipowi podskoczyło. Gdyby Bugleman zdołał dojść do obozu, może miałby tam przyzwoitą opiekę, lecz wewnętrzny głos ostrzegł go, by nie miał zbyt wielkich nadziei. Kapitan nabrał trochę optymizmu. Gdyby mógł chociaż kilka dni odpocząć, może by mu się udało... Kiedy wepchnięto ich do wagonu z setkami innych żołnierzy, Bugleman pobladł śmiertelnie. Słońce prażyło niemiłosiernie, temperatura sięgała prawie czterdziestu stopni. Chorzy na dyzenterię nie byli w stanie kontrolować swoich wnętrzności. Wkrótce wszyscy zamknięci byli w cuchnącym piekle. Jeden z nich, doprowadzony do ostateczności, zaczął wrzeszczeć na całe gardło. Jego krzyk przerodził się w niesamowite wycie, które po chwili ustało przechodząc w nieludzki bełkot. Mężczyzna obok Filipa, od dawna trawiony gorączką, umarł na stojąco, próbując dojrzeć coś przez szpary zamkniętego wagonu. Po kilku godzinach pociąg zatrzymał się na bocznicy, gdzie pozwolono wyrzucić martwe ciała. Filip chwycił menażkę zmarłego mężczyzny i podał ją Buglemanowi. Nikt nie był w stanie ocenić ile czasu minęło, zanim się znów zatrzymali. Strażnicy otworzyli drzwi i kazali więźniom wysiadać. Dosłownie wypadali z wagonów, sztywni, stłoczeni, trzęsący się i strasznie brudni. Ich oczom ukazał się gliniasty dziedziniec otoczony barakami z falistej blachy oraz stary barak z napisem Lotnisko Morton. Filip rozejrzał się po nowej siedzibie. W jednym rogu dziedzińca wzniesiono platformę z surowego drewna. Miał do nich przemówić komendant obozu. Minęło czterdzieści pięć minut oczekiwania w palącym słońcu zanim pojawiła się przed nimi drobna postać w czerni i błyszczących oficerkach stanął zuchwale na środku platformy i z obrzydzeniem spojrzął na więźniów. - Nazywam się kapitan Nakanishi i jestem waszym dowódcą. Jako pokonani, musicie tutaj oczekiwać ostatecznego zwycięstwa Japońskich Cesarskich Sił Zbrojnych. Japońskie imperium nie uznaje tak zwanej Konwencji Genewskiej - w jego głosie brzmiała pogarda. - Nie jesteście więźniami wojennymi. Jesteście gośćmi Cesarza! Kapitan Hideo Nakanishi już długo przed wojną nienawidził ludzi Zachodu. Na początku lat trzydziestych otrzymał stypendium w Oxfordzie, gdzie Brytyjczycy z wyższych sfer otwarcie wyśmiewali jego rasę, biedę, akcent, a przede wszystkim jego niski wzrost. Był wyrzutkiem, Japońcem, żółtkiem. Nigdy im tego nie zapomniał, ani nie wybaczył. Na wieść o zbombardowaniu Pearl Harbour płakał z radości. Kilka miesięcy po olśniewającym zwycięstwie skierowano go do tego nędznego obozu jenieckiego, leżącego na uboczu. Ale przynajmniej może zemścić się na pokonanych. Gdy skończył mówić, pozwolono im się rozejść i zająć miejsca w ciasnych barakach. Ciężko rannych i poważnie chorych skierowano do osobnej izby. Gdy Filip przyszedł z wizytą do Buglemana, pewien doktor - Australijczyk - zaciągnął go w róg baraku i tylko kręcił głową. Filip unikał jego wzroku. Podszedł do Buglemana i pochylił się nad nim. - Będę cię często odwiedzał. Głowa do góry, poradysz sobie. Buglemanowi pogorszyło się. Wstrząsany dreszczami odzyskiwał przytomność tylko na kilka godzin dziennie. Filip pograżył się w rozpacz, która spotęgowała go gdy dostrzegł, że człowiek w gorszym stanie niż Jerry daje sobie radę. Poprosił lekarza o diagnozę: - Czy mi się tylko wydaje? - Ma pan rację - odparł lekarz. - Ci doprowadzeni do szaleństwa częściej dają sobie radę. Wrażliwsii najczęściej poddają się i umierają - ze smutkiem pokręcił głową. - Mam obawy, że pański przyjaciel należy do tych wrażliwych. W miarę jak stan Buglemana pogarszał się, Filipa coraz bardziej złościł całkowity brak środków medycznych. Nie było nawet czystych bandaży, nie mówiąc już o środkach znieczulających, sulfadoxinie czy chininie. Lekarze zastanawiali się, czy nie amputować Buglemanowi nogi, lecz bez sulfadoxiny niewiele by to dało. Chcieli mu chociaż zaoszczędzić bólu. W końcu

Filip zwrócił się do najwyższego rangą oficera amerykańskiego, pułkownika Watkinsa. - Pułkowniku, uprzejmie proszę o przekazanie komendantowi Nakanishi naszej prośby. Potrzebujemy leków do szpitala: sulfę, chininę i inne środki. Pułkownik, krzepki Południowiec o ospowatej twarzy, wycodził: - Odmawiam spełnienia pańskiej prośby, poruczniku. - Ależ pułkowniku! Ludzie umierają z braku podstawowych środków. Pułkownik pochylił się w przód patrząc nieruchomo przed siebie. - Czy jest pan ślepy? Nakanishi nawet palcem nie kiwnie! Im więcej nas umrze, tym lepiej dla niego. Jeśli będzie pan narzekał, wezmą pana za podżegacza. Nie dadzą panu ani sulfy, ani środków opatrunkowych. To więcej niż pewne! Filipa bezradnie obserwował, jak pułkownik zasiadł w fotelu i skrzył sobie papierosa. Przy następnej wizycie u Buglemana zastał go w głębokiej śpiączce. Doprowadzony do rozpaczy, postanowił zaprotestować przeciwko panującym tu przepisom. W starą kopertę włożył uprzejmy list i udał się do kwatery dowódcy. Gestem wskazał strażnikowi, że ma dostarczyć list pułkownikowi Nakanishi. Strażnik zniknął. Filip czekał dwie, trzy dręczące minuty w obawie, że w odpowiedzi zostanie skazany na natychmiastową egzekucję. Żołnierz powrócił z niewzruszoną miną. Filip wrócił do baraku. Nakanishi mógł odmówić lub zignorować jego prośbę - ale przynajmniej Filip zajął w tej sprawie jakieś stanowisko. Może na dłuższą metę przyniesie to jakiś efekt. Stał w kolejce po żywność wraz z innymi, kiedy odezwał się dźwięk systemu Pa i Nakanishi wszedł na platformę. Żołnierze stanęli na baczność. - Porucznik Coulter. Wystąpić. Filip trzęsąc się, zrobił krok do przodu. - Dotarli do mnie wieści, - zaczął Nakanishi - że jest pan niezadowolony z warunków, jakie zapewnia wam Cesarz Hirohito. Filip milczał. Nakanishi lustrował go przez chwilę wzrokiem, po czym zszedł na dziedziniec. Zbliżył się do Filipa na odległość dwóch stóp. - Odpowiedz na moje pytanie! - maleńki pułkownik wrzał z wściekłości. Początkowe przerażenie Filipa przerodziło się w wewnętrzny spokój. Przynajmniej umrze za słuszną sprawę. Pułkownik tupnął nogą: milczenie Filipa było dla niego obrazą, zagrożeniem dla jego autorytetu - autorytetu samego Cesarza. Wyjął ciężki rewolwer z pochwy i z całej siły uderzył Filipa lufą w prawy policzek. Filip runął na ziemię. Ostatnie słowa jakie usłyszał brzmiały: - Powinieneś być wdzięczny za to co masz... chłoptysiu. Filip leżał nieprzytomny na środku dziedzińca. Nikt nie śmiał zbliżyć się do niego, dopóki Nakanishi nie zniknął w swojej kwaterze zatraskując za sobą drzwi. Chłopcy Filipa pośpieszyli mu na pomoc. W milczeniu zanieśli go do izby chorych. Tę noc Filip spędził na macie w baraku, który służył za kwaterę oficerską. Rana była głęboka i bolesna, ale kości miał całe. Gorsze było to, że gdy tylko odzyskał przytomność, pułkownik Watkins wpadł do izby chorych wyzywając go za łamanie rozkazów. W przyciemnionym świetle Filip dostrzegł jakąś postać stojącą tuż przy nim. Miał nadzieję, że ten ktoś odejdzie, zostawiając go w spokoju. Łagodny głos wypowiedział jego imię z brooklińskim akcentem. - Jak się pan miewa, panie Coulter? - Nie najgorzej - powiedział z trudem. Otworzył oczy. Stał nad nim kapelan, Ojciec Michael O'connor. Młodego księdza o niebieskich, zmęczonych oczach, nic już chyba nie było w stanie zadziwić. Mimo młodego wieku, O'connor widział w swoim życiu więcej niż niejeden człowiek. Pochodził z bardzo religijnej, katolickiej i irlandzkiej rodziny. Jego rodzice mieli dziesięcioro dzieci. Wychowywał się w żydowskiej części Brooklynu. O'connorowie byli izolowani z powodu ich katolicyzmu i z powodu ojca - policjanta, który choć na ogół był przyzwoitym człowiekiem, nie tolerował jednak Żydów i zwykł nazywać ich "mordercami Naszego Pana". Młody Michael zawsze fascynował się ich społecznością i wykorzystywał

każdą sposobność, by się czegoś od nich nauczyć. Płynnie władał nowohebrajskim i studiował zwyczaje żydowskie. Gdy podrósł dostał pracę jako dostawca garniturów u krawca Abrahama. Ojciec niechętnie przyznał, że żadna praca nie hańbi, lecz nie pozwolił Michaelowi zadawać się z "Moškami" więcej, niż to było konieczne. Stary O'Connor już postanowił, że Michael ma wstąpić do seminarium, a córkę przeznaczył do klasztoru. Już jako młody chłopak założył własny zakład usług dostawczych, lecz korupcja w tej małej społeczności drażniła go do tego stopnia, że zaczynał mieć obawy czy zdoła się do nich dostosować. Z uczuciem ulgi wstąpił do seminarium, podobnie jak jego siostra, Mary Agnes, wypełniając wolę ojca, udała się rok wcześniej do klasztoru. Lecz surowe, uczelniane życie zakonu nie zaspokajało pragnień Michaela, który chciał się czuć potrzebny. Natychmiast po złożeniu ślubów postarał się o pracę w najgorszych slumsach Brooklynu. Uciskani mieszkańcy tej dzielnicy, naprawdę kochali O'connora, chociaż często nic nie mógł dla nich zrobić. Gdy troski i kłopoty zbyt mu doskwierały, pił. Z biegiem czasu pił coraz więcej, zdarzało się, że zasypiał w zakamarkach gospody, nie będąc w stanie się podnieść. Inni wielebnicy znali tę małą słabość O'connora, więc bez rozgłosu odprowadzali go do domu następnego dnia. O'connor nie zmartwił się na wieść o zaatakowaniu Pearl Harbour. Jako kapelan wojskowy nie miał czasu na zagładanie do kieliszka, a tym bardziej na rozczulanie się nad sobą. Od początku wojny oczekiwali od niego pocieszenia cierpiący mężczyźni tacy jak porucznik Coulter. Filip, choć nie był ciężko ranny, przedstawiał obraz godny politowania. O'connor wiedział, że przyjaźni się z Buglemanem i rozumiał jakie tortury przeżywa nie mogąc pomóc kapitanowi. Prawdopodobnie wmawiał sobie, że jeszcze pogorszył sytuację swoim pochopnym posunięciem. O'connor przełknął nerwowo ślinę. - Zachował się pan naprawdę szlachetnie, poruczniku - rzekł. - Filip zdążył tylko odwrócić głowę, gdy tamten dodał. - Potrzebował pan niemało odwagi, by stawić czoła Nakanishi, więcej niż ma stary Watkins. - Dziękuję - z trudem powiedział Filip. - Jak się miewa pański przyjaciel? - Niezbyt dobrze. O'connor zamilkł na moment. - To straszne patrzeć, jak ci młodzi ludzie umierają. Naprawdę straszne. Filip z wielkim wysiłkiem i bólem podciągnął się do pozycji siedzącej i zapytał: - Czy myśli ojciec, że Bóg ma jakiś cel w w tym wszystkim? - Szczerze mówiąc, nie. Nie sądzę, aby Bóg miał z tym coś wspólnego. - Widzi ojciec, ja jestem Żydem i chociaż nie pochodzę ze zbyt religijnej rodziny, zawsze odczuwałem obecność Boga w moim życiu. O'connor skinął głową. - Ale jakże mam wierzyć w Boga, skoro pozwala on, aby działy się te wszystkie okropności. Na przykład Jerry Bugleman - zdolny, wspaniały człowiek, ma piękną żonę - z braku elementarnych środków medycznych musi umrzeć. - No cóż, panie Coulter. Trzy lata w seminarium nie dały mi odpowiedzi na takie pytania. Nie wiem dlaczego Bóg pozwala, aby dobrzy ludzie byli krzywdzeni - wyciągnął dłoń i położył ją Filipowi na ramieniu. - Przykro mi, wiem, że niewiele mogę tu pomóc. Następnego wieczora Filip siedział przy Buglemanie, usiłując z nim nawiązać rozmowę. Kapitan wydawał się pogodniejszy niż przez ostatnie dni. Popijał słabą herbatę. - Musisz poznać moją żonę... Ona jest jak księżniczka. Znam ją od dziecka... chciałem ją poślubić już w szóstej klasie. Teraz mamy dziecko. Miało się już urodzić, hej, może już jestem tatusiem! - Po twarzy przemknął mu słaby, tęskny uśmiech. - Nazwiemy ją Sara. Alicja była pewna, że to będzie dziewczynka. - No, wkrótce się pan sam przekona, kapitanie - odparł Filip. - My z Anną jeszcze nie mamy pociechy. Może po wojnie... - Tak, wrócisz do domu - Bugleman wyszeptał. - Ty też wrócisz, Jerry! Bugleman potrząsnął na to głową. - Nie. Chciałbym cię o coś prosić. Jak wrócisz do domu, odwiedź moją żonę. Chcę, żebyś

jej powiedział, jak bardzo ją kocham, i że mi przykro, że nie mogę do niej wrócić. - Jerry! - wykrzyknął Filip. - Przestań tak mówić! Bugleman chwycił dłoń Filipa z nieoczekiwaną siłą. - Skończ z tymi bzdurami, Fil. Nie zapominaj, że jestem twoim dowódcą. Zobaczysz się z Alicją... dobra? - powiedział słabnącym głosem. Filip odwrócił się na moment. Łzy nabiegły mu do oczu. - Tak. Zobacze się z nią. Nazajutrz Bugleman już nie żył. Było tyle trupów, że nie mogli nadażyć z kopaniem grobów, robili więc mogiły zbiorowe. Filip postanowił, że przynajmniej zapewni Buglemanowi przyzwoity, żydowski pochówek. Próbował zebrać dziesięciu Żydów, aby odmówić Kaddish, ale o jednego było za mało. Widząc strapienie Filipa O'connor zbliżył się do niego. - Poruczniku, słyszę, że nie może pan zebrać minyan. Pomyślałem sobie, że można by pominąć fakt, że noszę koloratkę... mógłbym odmówić Kaddish. - Zrobiłby to ojciec? - Myślę, że taka byłaby wola Naszego Zbawiciela - odparł O'connor uśmiechając się. Filip i ośmiu żałobników stało nad grobem razem z ojcem O'connorem. Ciała zmarłych czekających na pochówek zaczęły się psuć pod wpływem gorąca. Rozchodził się od nich przykry odór. Lecz kiedy ciało Buglemana złożono w grobie, rozbrzmiewał nad nim Kaddish, tradycyjny żydowski śpiew. Rozdział szesnasty Ze znużeniem Anna przerzuciła nogi na brzeg łóżka, wstała i podeszła do okna w sypialni Filipa. Zbliżyły się wakacje, lecz przyglądając się jak San Francisco tonie w chłodnej, szarej mgle, nie miała powodu do radości. Minęło dziesięć miesięcy od wyjazdu Filipa, które spędziła pogrążona w rozpacz. Odcięta od wszelkich wiadomości z wyjątkiem tych podawanych przez radio i zamieszczanych w codziennych gazetach, które doniosły o podaniu się Bataan kilka miesięcy temu. Z upływem czasu zaczęła zakładać, że albo zginął, albo dostał się do niewoli. Nie dostała od niego żadnej wiadomości odkąd odpłynął na "General Pershing". Nadaremnie zasięgała informacji w różnych departamentach. Nikt nie wiedział nawet, gdzie znajduje się "Pershing", więc tym bardziej nie troszczono się o los jej męża. Czasami miała ochotę krzyknąć, zmusić nieuprzejmych, opryskliwych urzędników, by się czegoś dowiedzieli. Lecz w tym okropnym okresie, kiedy Amerykanie odnosili same klęski, tysiące żon podzielało los Anny, a siły zbrojne po prostu nie posiadały dokładnej listy poległych. Tuż przed Świętami Bożego Narodzenia Anna weszła do domu i zastała Ewę siedzącą nieruchomo na brzegu kanapy. Anna podbiegła do niej. - Ewo, kochanie, co się stało? Twarz teściowej była przeraźliwie wykrzywiona, a oczy miała zamglone. Próbowała poruszyć ustami, lecz wydała tylko jakiś nieartykułowany dźwięk. Anna chwyciła Ewę za ramiona usiłując ją podnieść, gdy nagle spostrzegła, żółty prostokąt na dywanie. Krzyknawszy podniosła telegram i przerażona przeczytała jego treść: "Porucznik Coulter... Zaginął... W pobliżu Korrehidor." Zapominając o Ewie, wybuchnęła płaczem. Zaginął! Lecz gdy opuściła ją pierwsza fala rozpacz uświadomiła sobie: zaginął nie znaczy, że nie żyje. Mógł przecież dostać się do niewoli. Nakazując sobie spokój, Anna zwróciła się do Ewy, która wciąż pozostawała w bezruchu. Anna czym prędzej zadzwoniła po lekarza. Ewa, niewątpliwie po przeczytaniu telegramu, dostała poważnego wylewu, który sparaliżował jej całą lewą stronę ciała. Po krótkich oględzinach lekarz wezwał pogotowie i zabrał ją do szpitala. Przez kilka kolejnych dni walczone o jej życie. Anna przebywała w szpitalu na okrągło, a Simon nie odstępował od łóżka żony ani o krok. Po kilku dniach niepewności Ewa zaczęła dochodzić do siebie. Po tygodniu mogli zabrać ją już do domu, lecz paraliż nie ustąpił i nadal mówiła bardzo niewyraźnie. Simon całymi dniami siedział przy Ewie trzymając ją za rękę. Przestał pracować i nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o niej. Anna wiedziała, że nie da rady pracować i jednocześnie

opiekować się dwojgiem starych ludzi. Ewa potrzebowała teraz ciągłej pielęgnacji, a Simon w tym względzie był praktycznie bezużyteczny. Ambitne plany, które robiła odnośnie ich przyszłości, musiała teraz odłożyć na bok. W obecnej sytuacji musiał im wszystkim wystarczyć żołd Filipa. Annie trudno się było z tym wszystkim pogodzić, choć wiedziała, że nie tylko ją dotyka cierpienie. Ruthie również martwiła się o Kenna i trudziła wychowywaniem dziecka, drżąc na myśl, że mały może nigdy nie zobaczyć swojego ojca. W Sylwestra 1943 roku Anna z Ruthie zdecydowały razem rozpocząć Nowy Rok. W saloniku Coulterów, Anna odkorkowała taniego szampana. Gdy zegar wybił dwunastą wzniosły toast za swoich mężów. Anna poszła zapytać, czy Ewa i Simon zechcą do nich dołączyć, ale obydwójce już spali. Wróciła do salonu, ponownie napełniła kieliszki po czym wzniosła kolejny toast. - Za ciebie, Ruthie. Bogu dziękuję, że mam taką przyjaciółkę. Rozdział siedemnasty Przez kolejne osiemnaście miesięcy Ruthie trzymała Annę przy życiu. Jedną z niewielu jej radości w życiu było dziecko Ruthie, Jeremy. Widząc jak rośnie zdrowy i szczęśliwy, Anna znajdowała w sobie wiarę w przyszłość, ufność, że pewnego dnia Filip wróci i wówczas powiększą ich własną rodzinę. Kiedy nadszedł 6 czerwiec 1944 roku, dzień lądowania aliantów w Normandii, Anna była niemal przekonana, że spędzi resztę życia czekając i że wojna nigdy się nie skończy. Nawet gdy Niemcy skapitulowały i Ruthie otrzymała wiadomość, że Kenny wraca do domu, wojna na Pacyfiku wciąż trwała bez końca. Według doniesień prasy nic poza inwazją nie było w stanie rzucić Japonii na kolana. Mimo wszystko Anna starała się podzielać radość Ruthie. Kiedy poszły na dworzec przywitać Kenna. Pociąg wtoczył się na dworzec i tłum rozkrzyczanych żołnierzy wyległ na peron, falując we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu swoich najbliższych. Ruthie wyteżając wzrok by dojrzeć Kenna przypominała sobie dzień jego odjazdu. Jakże podobna była ta scena, lecz jakże cudownie inna. Dookoła niej płakali ludzie, lecz tym razem były to łzy radości. W końcu znalazła się w ramionach Kenna płacząc bez skrępowania. - Ruthie, och, Ruthie... - Kenny, kochanie. Ach, kochanie. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś - obejmując go czuła pod dobrze skrojonym, kapitańskim mundurem, jaki jest chudy. Jeremy, którego Anna trzymała za rękę, niecierpliwie szarpnął za spódnicę. - Mamusi! Wprost nie do wiary, prawie zapomniała o obecności synka. - Tak, kochanie - z rozpromienioną twarzą spojrzała na męża i powiedziała łagodnie - Kenny, to jest Jeremy. Kenny podniósł syna. - Więc to jest mój chłopczyk. Jak się masz, Jeremy? - przez dłuższą chwilę przyglądał się ciemnowłosemu chłopcu z wyrazem wielkiego zainteresowania. - Jest... wspaniały - powiedział, do oczu napłynęły mu łzy. Anna obserwowała całą tę trójkę i o mało jej serce nie pękło. Mój Boże, dlaczego Filip nie wrócił do domu tak, jak Kenny? Przez chwilę opanowała ją zazdrość, lecz przełamała się, by dzielić radość z Newmanami. Kenny postawił chłopca na ziemi i zwrócił się do Anny. - Jak zwykle pięknie wyglądasz, Anno - powiedział całując ją w policzek. - Dziękuję, Kenny - wyszeptwała Anna. - Tak się cieszę, że wróciłeś cały i zdrowy. Ruthie cię potrzebuje i Jeremy również. Wspaniały z niego chłopczyk. Kenny uśmiechnął się. - Prawda, że jest uroczy? Chciałbym ci podziękować, Anno. Wiem od Ruthie jaką wspaniałą jesteś przyjaciółką. Anna uśmiechnęła się, lecz w głębi duszy pomyślała, nie będzie mnie już potrzebowała... Tak było istotnie. Ruthie dzwoniła prawie codziennie, ale zajęta była teraz przeprowadzką i dogadzaniem Kennowi. Anna mając teraz więcej czasu na rozmyślanie o Filipie, zastanawiała się, czy kiedykolwiek dowie się, co się z nim stało. Pewnego ranka obudziła ją wieść, że Amerykanie zrzucili nowy rodzaj bomby na Hiroszimę i Nagasaki. Kilka dni później cesarz Japonii

ogłosił kapitulację. Anna widziała na zdjęciach, jak oddaje swój miecz. Może teraz - pomyślała, dowiem się, co się stało z moim mężem. Mijały miesiące, żołnierze wracający z wojny na Pacyfiku zawijali do portu w Oakland lub San Francisco i rozjeżdżali się po całej Ameryce. Lecz nadal w Departamencie Wojny nie mieli dla Anny żadnych wiadomości. Zbliżał się kolejny Nowy Rok. Newmanowie zaprosili Annę do swojego domu w pobliżu Twin Peaks, gdzie wydawali małe przyjęcie. Anna próbowała się jakoś wykręcić wiedząc, że otoczona przez szczęśliwe, młode pary wpadnie w jeszcze większą depresję, lecz Ruthie nie chciała o tym słyszeć. - Anno, będziesz siedziała w domu zatopiona w myślach, wiesz, że tak będzie. Nalegam, żebyś przyszła. - Dobrze, Ruthie. Ale nie jestem w zbyt wesołym nastroju. Teraz siedziała cicho w wesoło udekorowanym saloniku Ruthie, obserwując jak przyjęcie wiruje dookoła niej. Patrzyła na Kenna, Albina Sachsa i Irvinga Cahna słuchając ich śmiechu i beztroskich żartów. Trudno było wprost uwierzyć, że wszyscy koledzy Filipa ze studiów byli na wojnie i przeżyli nieopisane okropności i trudy. Jak to się stało, że wyglądają tak zdrowo i szczęśliwie? Kiedy przeszli do jadalni z trudem zjadła kawałek befsztyka, a potem tylko sączyła burgunda, kieliszek za kieliszkiem - aż jej się wszystko przyjemnie zamazywało. Sięgnęła ponownie po karafkę, lecz czyjaś ręka ją powstrzymała. Podniosła wzrok i zobaczyła zatroskaną twarz Kenna. - Anno, czy mogę ci jakoś pomóc? - zapytał spokojnie. Anna patrząc w próżnię odpowiedziała: - Tak, oczywiście... Spraw, by mój mąż wrócił, Kenny. Tylko tak możesz mi pomóc. Zakłopotany spojrzał na Ruthie, która tylko wzruszyła ramionami. - Anno, kochanie. Jestem pewien, że wkrótce wróci. - Ale kiedy? Dlaczego nie wiemy kiedy? - wybuchnęła Anna z narastającą histerią w głosie. - Trochę to zajmie czasu, zanim wszystkich odtransportują. - Ależ na Boga, Kenny - Japonia skapitulowała 2 września, a teraz mamy styczeń! - pozostali goście umilkli, ale Annie było już teraz obojętne, że zepsuje przyjęcie. - Anno, za wcześnie jeszcze rozstawać się z nadzieją. - Myślisz, że powinnam jeszcze czekać? - Sądzę, że tak. - Może Filip nigdy nie wróci. Może nie żyje - Anna wybuchnęła płaczem. Kenny bezradnie poklepał ją po ramieniu. - No, już dobrze, Anno. Już nie płacz. Prawdę mówiąc nie wiedział, jak ją ma pocieszyć. Anna wypłała jeszcze trochę wina, potem brandy, próbując w alkoholu utopić swój ból. Z trudem docierało do niej, że pozostali goście rozchodzą się do domów. Stojąc w głównym holu i żegnając się z Ruthie zobaczyła współczucie na jej twarzy. - Myślisz, że nie żyje? - spytała Anna. W tym samym momencie pożałowała tego. - Nieważne. Wiesz przecież nie więcej ode mnie. Wybacz, że popsułam wam cały wieczór. Jutro się poprawię. Spędzimy razem dzień, dobrze. U mnie. Jeśli chcecie. Zapadła niezręczna cisza, gdyż obie szukały właściwych słów. Ruthie wzięła głęboki oddech i próbowała się tłumaczyć. Zaplanowali z Kennem wycieczkę do Carmel - nigdzie razem nie wyjeżdżali od powrotu Kenna. Anna posepnie skinęła głową. Nie była w stanie ukryć swej zazdrości. A trudno jej było przejść obojętnie wobec faktu, że Kenny wrócił z wojny, a Filip nie - i prawdopodobnie nigdy nie wróci.

Rozdział osiemnasty Anna rozpoczęła rok 1946 bez wielkich nadziei. Filip miał równie ponurą wizję przyszłości. Siedząc na brzegu szpitalnego łóżka w Honolulu wiedział, że nie jest już tym samym człowiekiem, który opuścił żonę cztery lata temu. Przyjrzał się swojemu obliczu w lustrze nad umywalką. Zdawało mu się, że patrzy na kogoś zupełnie obcego. Oczy miał zapadnięte, a skórę mocno napiętą na policzkach. Spuścił wzrok i stwierdził, że piżama zwisa mu na wychudłych kończynach, a skutek upadku w ostatnich miesiącach wojny trwale utyka na nogę. Czy Anna w ogóle zechce żeby wrócił w takim stanie? Tak potwornie się zmienił.

Włosy zaczęły mu odrastać w wygolonych miejscach, ale spora łysina nie chciała się wciąż zappełnić. Na twarzy miał trwałą bliznę po uderzeniach pistoletem przez Nakanishi. Niczym nie przypominał tego przystojnego mężczyzny, który zostawił rozkochaną żonę. Ale zaszły w nim daleko gorsze zmiany, niewidoczne na zewnątrz. Lata spędzone w niewoli złamały w nim ducha. Jego ambicje zostały zaprzepaszczone razem z nadziejami na przyszłość. Wszystko czego pragnął, to na resztę życia spokojnie osiąść w jakiejś bezpiecznej przystani. Nagle w niewielkim pokoju ogarnęło go uczucie klaustrofobii. Nie mógł znieść małych przestrzeni od czasu jak był zamknięty w klatce. Gdy japoński major chciał ukarać więźnia, zamykał go w maleńkiej, bambusowej klatce, w której nie sposób było stać, leżeć, ani siedzieć. Ofiara mogła wykonywać tylko minimalne ruchy czekając na śmierć lub na wypuszczenie. Było to najgorsze, wojenne wspomnienie Filipa. Po tygodniu w zamknięciu podjął decyzję, że zgłosi się na ochotnika do robót przy linii kolejowej, którą Japończycy chcieli zbudować przez Birmę. Nie było nic gorszego niż obóz, a po śmierci Buglemana nic go tam już nie trzymało. Ustawił się nazajutrz w kolejce z trzydziestoma innymi żołnierzami. Jak tylko opuścili teren obozu, Filip odniósł wrażenie, że jest na wolności, które zresztą szybko go opuściło, kiedy wepchnięto ich do pociągu, jadącego na wybrzeże. Po dotarciu na wybrzeże przemaszerowali do portu, gdzie stłoczono ich w ładowni statku. Wielotygodniowa podróż była prawdziwym piekłem - głodowali, doskwierał im upał i pili obrzydliwą wodę. Ponadto Filip strasznie cierpiał z powodu choroby morskiej. W pewnym sensie ciągle nudności i majaczenia były dla niego błogosławieństwem, gdyż będąc w takim stanie niewiele z tej podróży pamiętał. Po przybyciu do Birmy musieli przedostać się przez dżunglę na miejsce budowy. Filip nie mógł uwierzyć, że chorzy i niedożywieni więźniowie mogą tak ciężko pracować. Nikogo nie oszczędzano, ani oficerów, ani poborowych. Filip napręzał wychudzone ramiona pod ciężarem więzów i wielkich skrzyń z żelaznymi bretnalami, a ciągły stukot młotków rozstrajał mu nerwy. Dozór nad grupą robotników pełnił sadystyczny oficer o imieniu Oto. Podobnie jak Nakanishi z pogardą i nienawiścią zwracał się do białych ludzi, nad którymi dano mu teraz władzę. Lecz w przeciwieństwie do Nakanishi, Oto nie posiadał za grosz militarnej dyscypliny. Często, po strasznych wybuchach wściekłości, uciszał się i zaszywał w swoim namiocie. Po jakimś czasie wylaniał się patrząc w próżnię i nie rozmawiał z nikim przez kilka godzin. Krążyły plotki, że Oto zażywa opium. Filipa w ogóle to nie obchodziło. Jego jedynym celem było przetrwanie. Pracował jak najmniejszym wysiłkiem, żeby zachować siły, ale przykładął się na tyle, by nie narazić się strażnikom. W miarę upływu miesięcy śmierć zbierała coraz większe żniwo. Tymczasem Japońskie Główne Dowództwo zaostrzyło rygory. Oto coraz rzadziej odbywał swoje narkotyczne seanse i coraz częściej miewał złe nastroje. Nakładano na więźniów takie ciężary, że wysysało to z nich ostatnie rezerwy sił. Tych, którzy nie dawali sobie rady wleczono na ubocze i bito bambusami. Pewnego dnia Oto wytoczył się w południe ze swojego namiotu. Oczy miał kaprawe i przekrwione. Wkroczył między pracujących, zrobił krótki przegląd, po czym wskazał na jasnowłosego żołnierza, uginającego się pod ciężarem drewna i wyszczekał szereg rozkazów. Strażnicy natychmiast pochwycili młodego człowieka, którego Filip znalazł z obozu przy lotnisku Morton. Był bardzo chory na malarię i tak niemiłosiernie schudł, że ledwo mógł chodzić, a co dopiero pracować. Strażnicy rzucili go na ziemię, zerwali zeń koszulę i zaczęli chłostać. W przyływie szaleństwa Filip chciał zwrócić się do Oto w nadziei, że powstrzyma on swoich ludzi, lecz gdy się do niego zbliżył, usta Oto wykrzywiły się w słabym uśmiechu. Ten wyraz twarzy

sprawił, że coś w nim pękło. Filip przysięgał sobie, że nigdy nie zrobi czegoś, co by przyciągnęło uwagę, a zarazem karę, ale teraz nie mógł obojętnie się przyglądać. Jak można było milczeć wobec takiego barbarzyństwa? - Kapitanie Oto - błagam, żeby pan przestał. To, co pan robi godzi w wojskową dyscyplinę - to morderstwo z zimną krwią. - Filip przerwał, by zaczerpnąć powietrza. Nie mógł wprost uwierzyć, że jeszcze żyje. Mówił dalej: - Słyszał pan zapewne pogłoski, że zwycięstwo Japończyków wcale nie jest takie pewne. Pewnego dnia odpowie pan za swoje barbarzyństwo. Oto oniemiał na te słowa sprzeciwu i w pierwszym odruchu chciał dla przykładu zastrzelić tego zuchwałego Amerykanina. Lecz pomimo wzburzenia, dowódca posłuchał wewnętrznego głosu, który nakazywał mu rozwagę. Istotnie zmienne są wichry wojny i jeśli więźniowie będą maltretowani bez uzasadnienia, on może stanąć kiedyś przed trybunałem wojskowym sił sprzymierzonych. Poza tym liczył się każdy człowiek, aby ukończyć ten odcinek linii kolejowej. Gdyby go zabił, mógłby spowodować opóźnienie robót. Oto umiał czytać między wierszami z komunikatów, które dostawał codziennie z Tokio. Jeśli nie wykona powierzonego mu zadania, grozi mu kula w łeb. Myśli te kłębiły mu się w głowie, kiedy tak stał uderzając pejczem o but. - Karzę przestać go bić, ale ty, mój przyjacielu, posiedzisz sobie w małpiej klatce. Słyszałem, że tydzień w zamknięciu skłonił cię do przyjazdu do Birmy. Zobaczymy, jak ci się spodoba na moich kwaterach. Słyszając o klatce, Filip zdrtwiał z przerażenia. Wleczony w oszołomieniu, niezdolny był do satysfakcji z faktu, że oszczędzono młodego żołnierza. Bambusowa budka, w której go mieli umieścić, stała w rożu much, niemalże na środku dziedzińca. W nocy było tam wilgotno i cuchnęło, a przez cały dzień prażyło niemiłosierne słońce. Kiedy ostatecznie zaryglowano drzwi klatki, Filip wiedział, że zrobiłby wszystko, zdradziłby wszystkich, zaprzedałby własną duszę, by móc stamtąd uciec. Liczył tylko na śmierć zanim postrada zmysły. Wciąż prześladował go obraz, który widział podczas marszu śmierci. Napotkali po drodze młodego Filipińczyka, którego Japończycy przywiązali do słupa, a wodę postawili poza zasięgiem jego ręki. Pozostawiony na niechybną śmierć, postradał zmysły i biegał na czworaka tam i z powrotem niczym wściekły pies. Boże, nie pozwól mi skończyć tak jak on. Niech szybki będzie mój koniec - modlił się Filip. Mijał trzeci tydzień pobytu Filipa w klatce, gdy Zjednoczone Siły Alianckie wkroczyły do Birmy i australijscy żołnierze wyswobodzili obóz. Stan Filipa był fatalny: wyglądał jak szkielet, cierpiał z powodu beri_beri, a włosy wypadały mu całymi kępami. Łaziło po nim robactwo, a klatka cuchnęła niemiłosiernie. Filip dostał w zamknięciu takiego obłędu, że wziął wyswobodzicieli za Japończyków, którzy przyszli, by zadawać mu nowe tortury. Kiedy zbliżyli się do klatki, wpadł ze strachu w szal. Kopiąc i czepiając się kurczowo klatki Filip wył dziko, kiedy chcieli go z niej wyciągnąć. Dopiero lekarz obezwładnił i przewiózł do szpitala psychiatrycznego, gdzie został rozwiązany. Siedząc w solarium z widokiem na Ocean, ze wzrokiem utkwionym w dal poza kwiecisty taras, Filip wolno powracał do zdrowia. Jedną częstką swojego jestestwa pragnął, by spędzić resztę życia na tej rajskiej wyspie. Jego duszy zadano nieuleczalne rany. Wątpił, czy kiedykolwiek będzie potrzebował czegoś więcej oprócz trzech posiłków dziennie i łóżka do spania. Tego wieczora postanowił napisać list do Anny. Lekarze powiedzieli mu, że jeśli nie będzie w stanie, powiedzą jednemu z oficerów, by wysłał jej telegram. To byłoby okrutne - pomyślał Filip. Teraz rzucił okiem na papier i wziął pióro do ręki. Zaczynał cztery razy. Moja najdroższa, Moja droga Anno, kochanie, kochanie, kochanie... Ręka tak bardzo mu drżała, że z trudem stawiał litery. Mój Boże, cóż mam jej napisać, po tak długim czasie? Ponad cztery lata

jej nie widział. Nie pisał do niej od dnia, kiedy płynął na Korrehidor. Czy wie co się z nim działo? Czy władze wojskowe powiadomiły ją, że jest w szpitalu psychiatrycznym. Bóg jedyny wiedział, co jej doniesiono, jeśli w ogóle cokolwiek doniesiono. Ponownie wziął pióro do ręki. "Moja najukochańsza Anno! Nawet nie wiem jak zacząć. Chyba dostałaś już wiadomość, że żyję i obecnie jestem w szpitalu w Honolulu. Mówią, że jestem tu od kilku miesięcy, ale dopiero kilka tygodni temu zacząłem sobie przypominać kim jestem i jak się tu znalazłem. Teraz mogę już pisać, ale nie bardzo wiem, co ci mam powiedzieć i jak to wszystko opisać. Poza okresem spędzonym na morzu, byłem więźniem wojennym, najpierw na Filipinach, potem w Birmie. Kiedy mnie wyswobodzili najwidoczniej nie byłem całkowicie świadomy. Do dziś nie pamiętam, co się stało. Miałem więcej szczęścia niż cały mój oddział. Nikt z nich nie przeżył. No cóż, to tyle o tym. Nie zapomniałem o Tobie Anno. Jesteś w moich myślach i w dzień i w nocy od ponad czterech lat. Wielekroć tylko myśl o Tobie nie pozwalała mi się poddać. Nie oczekuję tego samego od Ciebie. Cztery lata to długi czas, zwłaszcza dla tak młodej i kochanej osoby jak Ty, Anno. No i oczywiście - skąd mogłaś wiedzieć czy jeszcze żyję. Byłoby to naturalne gdybyś zaczęła planować przyszłość beze mnie. Myślę, że muszę Ci napisać, że nie wyglądam już tak jak dawniej. Czasami sam z trudem się rozpoznaję. W niewoli schudłem około dwadzieścia siedem kilogramów i chociaż ostatnio trochę przytyłem, wciąż ważę tylko sześćdziesiąt jeden kilo - to trochę mało jak na moje sześć stóp. Miałem złamaną nogę, nie zrosła mi się prawidłowo więc trochę utykam. Najgorsze jest to, że mam bliznę na twarzy. Muszę Ci szczerze napisać - wygląda okropnie. Piszę Ci to wszystko, bo masz jeszcze całe życie przed sobą. I nie chcę Cię do siebie przywiązywać, gdyż zostałem ze mnie tylko złamany wrak człowieka. Wciąż Kocham Cię, Anno - bardziej niż kogokolwiek na świecie. Ale zrozumieję jeśli stwierdzisz, że nie możemy zacząć od nowa, jakby się nic nie stało. Jeśli wszystko dobrze pójdzie za dwa tygodnie zostanę wypisany ze szpitala i przybędę do San Francisco 15 kwietnia. Kochający Cię Filip." Rozdział dziewiętnasty Serce Anny niemal zamarło, kiedy zobaczyła pismo na kopercie - chwiejne, ale bez cienia wątpliwości pismo Filipa. Tak jej się zakręciło w głowie, że musiała się trzymać ściany idąc do salonu. - Ewo! Filip napisał! Żyje! Wkrótce wraca do domu! - Ewa nadal nie mogła mówić, ale jej wyblakłe błękitne oczy nabrały nagle radosnego blasku. Anna objęła ją ramionami, a Simon płakał z radości. - Och, Bogu dzięki. Mój syn! - To prawdziwy cud - powiedziała Anna. Po chwili zostawiła ich i poszła zadzwonić do Ruthie. Słyszając tę wiadomość Ruthie wykrzyknęła: - Och, Anno! Tak się cieszę! Co się z nim działo? Gdzie był przez cały czas? To śmiejąc się, to płacząc, Anna odpowiedziała: - Och, Ruthie, nie wiem! Był jeńcem wojennym. Tak jak przypuszczaliśmy. Ale najważniejsze, że żyje! Na chwilę zapadła cisza w słuchawce. W końcu Ruthie odezwała się: - Tak się cieszę, Anno. Przez cały ten czas czułam się winna, że jestem taka szczęśliwa, podczas gdy przeżywałaś męki. Kiedy pojechaliśmy do Carmel w Nowy Rok, oboje tak się okropnie czuliśmy, że zostawiliśmy cię samą, aż żalowaliśmy tego wyjazdu. - Ruthie, zupełnie niepotrzebnie. To naturalne, że cieszyłaś się powrotem Kenna. Posłuchaj, byłaś najukochańszą przyjaciółką w ciągu tych ostatnich miesięcy - jaką sobie tylko można wyobrazić. Nikt inny nie byłby w stanie zrozumieć, jak bardzo Kocham Filipa. - Wkrótce znów będzie z nami, Kochanie. Kiedy przyjeżdża? - List tak długo szedł. Píše, że piętnastego. Czy możesz w to uwierzyć? Anna drżała z niecierpliwości, tak jej się wlekły dni. Zajęła się wyszukiwaniem wymyślnych potraw, by mógł się nimi rozkoszować. Skoro tak bardzo schudł, musi mu teraz

dogadzać. Weszła do łazienki i przejrzała się w lustrze. Filip napisał, że się zmienił. Annie wydawało się to niemożliwe, zawsze pozostanie dla niej przystojny. A czy ona się zmieniła? Skróciła nieco swoje faliste, czarne włosy: zrobiła przedziałek na jedną stronę i nakręciła je. Jej fiołkowe oczy pozostały takie same, lecz usta wykrzywiły się w ponurym grymasie, z którym wyglądała smutniej i poważniej, niż dwudziestojednoletnia Anna, z którą się pożegnał. Zmusiła się do uśmiechu. No, teraz lepiej... Wreszcie nadszedł upragniony dzień. Razem z Ruthie i Kennem, Anna obserwowała jak wielki, szary transportowiec przepłynął obok nich i zakotwiczył w Embarcadero. Anna porównała tę scenę z powrotem Kenna. Dzisiaj zebrał się tylko niewielki tłumek i nie powiewały żadne flagi. Pierwszych mężczyzn zniesiono z pomostu na noszach. Następni szli o kulach lub wieziono ich na wózkach. W końcu pojawił się Filip, stanął przy barierce. Wyglądało, jakby się wahał. - Filip! - krzyknęła Anna, ale nie usłyszała jej, ani nie zauważył. Zaczęła biec, krzycząc: - Filip, Filip, tutaj! Powoli, z trudem schodził z pomostu. Gdy się zbliżał, Anna uświadomiła sobie, że napisał prawdę. Zmienił się nie do poznania. Kulejąc, poruszał się jak stary, pochylony człowiek powłóczący nogami. Ale kiedy znalazła się w jego ramionach, Anna zapomniała o wszystkim, upajając się radością z jego powrotu. Pocałowali się i kiedy Anna odsunęła się, by mu się przyjrzeć, przeraziły ją oznaki cierpienia na jego twarzy. Było to znacznie gorsze niż widoczna, zaogniona blizna na policzku. Kenny poklepał go po plecach. - To wspaniale znów cię widzieć, przyjacielu. Filip zdobył się na nikły uśmiech. - Kenny... to cudownie znowu być w domu. - Zwrócił się do Ruthie. - ślicznie wyglądasz. Nie zmieniłyście się z Anną ani trochę. - Tyle tylko, że jestem matką, Filipie. Wkrótce zobaczysz naszego synka - Jeremy ma już prawie cztery latka. - Fil - wróciłem do mojej starej firmy - rzekł Kenny. Filip usiłował się skupić nad tym, co każdy mówił. On i Kenny kończyli ten sam college, a potem razem studiowali prawo. Lecz teraz wydał mu się taki obcy. Filip rozumiał tę zwyczajną rozmowę o dzieciach, posadach, interesach, ale słowa wydawały mu się oderwane od rzeczywistości. - Chodźmy stąd - powiedział krótko. Podniósł swój wzrok marynarski i ruszył do wyjścia. - Gdzie jest samochód? Czy przyjechaliście wszyscy autobusem? - Nie, kochanie, przyjechaliśmy samochodem Kenna - powiedziała Anna. Gdy zbliżali się do Studebakera, Filip zatrzymał się. - Anno, gdzie są moi rodzice? Dlaczego ich tu nie ma? - Nie mogli przyjść na molo. Czekają na nas w domu. - Wszystko z nimi w porządku, prawda, Anno? - powodowany strachem Filip powtórzył ostrym tonem. - Powiedz, że wszystko z nimi w porządku! - Tak, kochanie - odparła Anna z bijącym sercem. Musiała jednak zdobyć się na powiedzenie mu prawdy, zanim zobaczy matkę; w przeciwnym razie przeżyłby zbyt wielki szok. - To znaczy, niezupełnie... Twoja matka miała wylew i nie czuje się najlepiej. Filip zwiesił głowę i bez słowa pokuśtykał do samochodu. W drodze do domu panowała kłępująca cisza. Anna próbowała mu opisać swoje życie z jego rodzicami. - Zrezygnowałam z naszego apartamentu krótko po twoim wyjeździe. Oszczędniej było nam żyć we trójkę - wyczuła jego zdziwienie, chociaż nie okazał tego jawnie. - Bardzo zbliżyliśmy się z twoją matką. Teraz Simon potrzebuje mojej pomocy przy jej pielęgnacji. - Przy jej pielęgnacji? To znaczy, że sama nie daje sobie rady? - Niestety tak, kochanie. Mówiłam ci, że miała wylew. - Tak, ale nie powiedziałaś mi, jak poważny! Anna zawahała się. Nie, lepiej go uprzedzić. - Kochanie, ma sparaliżowaną lewą stronę. Ma też trudności z mówieniem. Filip aż jęknął, lecz gdy dotarli do domu, uświadomił sobie, że nic nie mogło go przygotować na szok, jakiego doznał widząc swoją sztywną niegdyś

matkę, która obecnie wyglądała jak wrak człowieka. Cóż on jej zrobił? Wiedział, że dostała wylewu ze zgrzyoty o niego. Dlaczego zgłosiłem się na ochotnika? Ogromu jego winy nie pomniejszył fakt, że z pewnością i tak zostałby powołany do wojska. Odwróciwszy się, Filip zobaczył Simona, który człapał za nim z pociągłą, zmęczoną twarzą. - Synu, jak dobrze, że znów jesteś w domu. Twoja matka... - Wiem, tato - Filip wyszeptał słabym głosem. Biedny Simon! Wyglądał o dwadzieścia lat starzej. Choroba Ewy jego najbardziej dotknęła - pomyślał Filip. Uwielbiał swoją piękną żonę. Widok jej w takim stanie musi być dla niego piekłem... Filip nie mógł już dłużej stać. Powiedział, że boli go głowa, przeszedł przez hol i udał się do pokoju, który kiedyś zajmował, po czym opadł na łóżko. Wiedział, że wkrótce będzie musiał wstać i porozmawiać z Anną, ale teraz nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji. Nagle odniósł wrażenie, że ściany się nad nim zamykają. Poszedł do łazienki i obmył twarz zimną wodą. Gdy wszedł do salonu, zastał tam Annę i Simona. Anna zaprosiła Kenna i Ruthie na obiad, lecz zastanawiała się, czy tego nie odwołać. Zawahała się przez moment, po czym zapytała Filipa, jakie jest jego zdanie. Skinął potakująco głową. Zdecydował, że z Newmanami będzie mu łatwiej. Miał rację - podczas wspólnego posiłku nikt nie zauważył jego milczenia. Goście rozeszli się. Simon poszedł do Ewy, a Anna i Filip zostali sami. - Kochanie - Anna przerwała ciszę - myślę, że czas iść spać. Zamykając drzwi sypialni pomyślała, mój Boże, jakże ja go wciąż Kocham. Wszystko się ułoży. Filip nie był tego taki pewny. Tak naprawdę nie znał dobrze tej wspaniałej kobiety, z którą dzieli pokój i która stała się córką dla jego rodziców. Rozebrał się w łazience, założył piżamę, po czym wśliznął się pod chłodną, czystą pościel i czekał na Annę. Przyszła. Jej dotyk był łagodny, wyczekujący. Filipa ogarnął nagły strach. Jego ciało było całe w bliznach, brzydkie, odrażające. Nie mógł zdobyć się na to, by ją dotknąć. Odsunął się i odwrócił do ściany. Wyczuł, że jest zdziwiona i urażona. Z trudem przełamał się i wziął ją w ramiona, ale to nie miało sensu. I tak nie mógł się z nią Kochać. Wstał, poszedł do łazienki i usiadł na brzegu wanny. Oblał go zimny pot, gdy uświadomił sobie prawdę. Był impotentem. Anna leżała samotnie, czekając, aż Filip wróci. Nic dziwnego, że są trochę skrepowani. Można się było tego spodziewać; w końcu nie widzieli się ponad cztery lata. Ale po kilku minutach zaczęła sobie uświadamiać, że coś musi być nie w porządku. Zauważyła, jak bardzo przejął się stanem Ewy i zdrowiem Simona. Teraz zrozumiała, że jego milczenie przy obiedzie świadczyło o cierpieniu. Anna westchnęła głęboko. Odrzuciwszy przykrycie poszła za nim do łazienki i zastukała lekko. Nie słysząc odpowiedzi, otworzyła drzwi i usiadła obok męża. - Filip, Kochanie, to nie ma znaczenia. Wracaj do łóżka. Proszę cię - nic nie odpowiedział. - Proszę cię, Kochanie. Kocham cię. Cóż znaczy ta jedna noc. Będziemy mieć całe lata dla siebie. A teraz już chodź do łóżka. Filip podniósł się i poszedł za nią do sypialni. Przez długi czas leżeli obok siebie, milcząc. W końcu Filip odezwał się: - Przykro mi, Anno. Myślę, że nie byłem jeszcze przygotowany na powrót do domu. - Rozumiem, najdroższy - łagodnie wyszeptała Anna. - Jestem szczęśliwa, że nareszcie jesteś ze mną. Wszystko się ułoży. Wiem, że tak będzie. Filip nie zmrużył oka do świtu, wdzięczny, że ciemność zasłania jego twarz. Wojna zabrała mu młodość i zdrowie, a teraz postawiła jeszcze barierę między nim a jego żoną. Westchnął. Anna otoczyła go ramieniem, przekonana, że jest to prawdziwy początek ich wspólnego życia. Rozdział dwudziesty Mijały miesiące i Anna powoli uświadamiała sobie, że nie nastąpi ten prawdziwy początek. Naiwnie sądziła, że po jakimś czasie Filip przyzwyczai się do normalnego życia. Chociaż nie przyjęli go do starej firmy, z

pewnością znalazłby wkrótce jakąś dobrą posadę. Był przecież bystry i skończył jedną z lepszych szkół prawniczych w kraju. Pewnego wieczora powiedziała od niechcienia: - Kochanie, powinienesz rozejrzeć się za jakąś pracą. Musi ci się okropnie nudzić, kiedy tak siedzisz całymi dniami w domu. - Tak... rozejrzę się z czasem - odparł. Anna obserwowała go z niepokojem. Co się z nim dzieje? Dlaczego z nią nie rozmawia. Kiedy zwracała się do niego, albo patrzył w próżnię, albo wychodził z pokoju. Próbowwała zrozumieć, że nie jest mu łatwo, ale jak długo można dostosowywać się do nowych warunków? Nie rozumiała, że Filip próbował ją oszczędzić; nie chciał, żeby wiedziała przez jakie przeszedł tortury. Anna zaczęła się zastanawiać, czy on ją jeszcze kocha. List, który napisał w Honolulu ponownie zaczął ją dręczyć: "Nie musi czuć się z nim związana, może go opuścić..." Wówczas zignorowała tę część listu, lecz ziarno wątpliwości zostało zasiane w jej umyśle. Ale jest przecież jego żoną i to właśnie ona powinna mu pomóc. Wiedziała, że jeśli Filip ma wyzdrowieć, musi wychodzić z domu i mieć kontakt ze światem. Bez tego nic nie zdoła zmienić. W końcu Anna stwierdziła, że jeśli on nie wyjdzie do ludzi, ona musi go do nich zbliżyć. Z tą myślą zaplanowała kilka spotkań z przyjaciółmi. Filip sprzeciwił się tak gwałtownie, że musiała je odwołać. Powiedziała wszystkim, że jej mąż wciąż się szybko męczy. Próbowwała go namówić na wycieczki nad Ocean lub do parku Golden Gate, lecz Filip nie zgodził się nawet na spacer niedaleko domu. Cokolwiek zaproponowała, wszystko odrzucał. W swej naiwności sądziła, że wystarczy jej czuła troska, aby go uleczyć. Stopniowo stawało się jasne, że był znacznie głębiej zraniony, niż początkowo myślała. Fizyczne obrażenia stanowiły tylko niewielką część tych ran. Sięgając pamięcią przypomniaws sobie noc kilka tygodni po jego powrocie. Obudził się krzycząc, przekonany, że jest znowu w małej klatce. Tylko tej nocy próbował opowiedzieć jej o swoim bólu, upodleniu, strachu, że całkowicie postrada zmysły... Potem wiele razy budząc się w nocy, widziała Filipa zlanego zimnym potem. Jednak nigdy więcej nie wspominał o wojnie, uznał więc, że ten koszmar zaciera się w jego pamięci. Stopniowo Filip oswajał się z samym sobą, lecz nadal nie wychodził z domu i czasami zatapiał się w ponurym milczeniu. Przytył trochę i mniej utykał, ale nigdy nie wspominał o powrocie do pracy. Anna coraz bardziej się niecierpliwiła, że tak chętnie godzi się, by ona go utrzymywała. Niewielkie odszkodowanie, jakie otrzymał za uszczerbek na zdrowiu, ledwo wystarczało na utrzymanie domu i wyżywienie. Zalegali już z opłatami za leczenie Ewy. A co będzie, jak Filip przestanie dostawać pieniądze? Zdarzało się, że Anna nie mogła spać ze zgrzyoty. Zwolnili ją z fabryki, więc wróciła na pół etatu do Magnina. Może powinna wziąć więcej godzin? Ale kto by się wówczas zajął prowadzeniem domu? W końcu nie mogła dłużej tłumić swoich obaw. Pewnego wieczoru przy kolacji poruszyła nieśmiało ten temat. - Filip, kochanie, nie chcę cię do niczego zmuszać, ale czy myślałeś może o podjęciu pracy? Filip zacisnął rękę na kieliszku tak mocno, że odłamał nóżkę, rozlewając czerwony płyn na obrusie. Odsunął krzesło i wybiegł z pokoju. Usiadł w sypialni trzęsąc się konwulsyjnie. Każdą cząstką swojego jestestwa próbował ukryć panikę, w jaką wpadał w zamkniętych pomieszczeniach, zwłaszcza w windach; przerażenie jego ogarniało go przy każdym nieoczekiwanym ostrym dźwięku. Wiedział doskonale, w jakiej są ciężkiej sytuacji finansowej. Nikt nie musiał mu mówić, że on powinien utrzymywać żonę i starzejących się rodziców. Z każdym dniem odczuwał dotkliwiej, że nie spełnia swojej męskiej roli, ale nie mógł zdobyć się na to, by wychodzić z domu. Kiedy Anna pobięła za nim do pokoju, nie śmiał na nią spojrzeć. - Filip, kochanie, przykro mi, że poruszyłam tę sprawę -

wyszeptala siedząc obok i trzymając go za rękę. - Anno, podejmę pracę - powiedział Filip łamiącym się głosem. - Ale musisz dać mi jeszcze trochę czasu. Musisz. Kocham cię... Chciał jej obiecać, że wkrótce zacznie szukać pracy, że zmusi się do wyjścia z domu. Ale słowa te nie przeszły mu przez gardło. Właściwie niczego nie ustalili, pomyślała Anna tej nocy, niespokojnie przewracając się z boku na bok. Następnego dnia nie szła do pracy i kiedy Simon skłonił Filipa, by poszedł na zakupy, podjęła decyzję. W spisie telefonów Yellow Pages odszukała zespół adwokacki: Newman, Ross, Simons i Newman. Nerwowo wykreśliła numer. Nigdy jeszcze nie dzwoniła do Kenna do Pracy. - Proszę z panem Newmanem - powiedziała, starając się przybrać oficjalny ton. - Dzwoni Anna Coulter. - Anno! Jak się masz? W czym mogę ci pomóc? Poczła się pewniej słysząc znajomy głos Kenna. Wzięła głębszy oddech. - Kenny, muszę z tobą pomówić. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy się spotkali przy twoim biurze? - Ależ skąd? - odparł Kenny. - Ale mam lepszy pomysł. Zapraszam cię na lunch, co ty na to? - Nie chcę ci zabierać czasu. - Nie żartuj Anno, głuptasie. Zawsze mam dla ciebie czas. Anna w duchu dziękowała mu, że nie okazał zdziwienia i że nie zadawał żadnych pytań. Godzinę później poprawiła makijaż i pożegnała się z Filipem. - Kochanie, wychodzę do miasta na godzinę - jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu? Rób, co uważasz za stosowne - odparł obojętnym tonem. Poczucie winy uczyniło ją nadwrażliwą, wyszła więc zanim twarz zdołała ją zdradzić. Ale robi to przecież dla jego dobra! Kenny zaproponował "Ernie", luksusową restaurację w starym stylu, znaną z doskonałej kuchni. Anna nigdy jeszcze tu nie była i teraz, kiedy ma~itre d'hotel prowadził ją do stołu, odczuwała boleśnie, że ma na sobie stary, wyblakły kostium. Kenny już na nią czekał. - To miło spożywać lunch w towarzystwie tak pięknej kobiety. Zwykle jadam z nudnymi biznesmenami. Kenny odczuwał pewne obawy, gdyż domyślał się z czym zwróci się do niego Anna. On też zastanawiał się, kiedy Filip dojdzie do siebie i zacznie zachowywać się jak głowa rodziny. Przyglądając się Annie dostrzegł, że jest bardzo zakłopotana. Była taką uroczą istotą ze swymi ogromnymi, fiołkowymi oczami i jasną cerą. Szczęściarz z tego Filipa, pomyślał zirytowany. Dlaczego nie weźmie się w garść? Inni też cierpieli na wojnie. - Napijmy się - Anno - powiedział, zanim zaczęła mówić. Czekał na sherry rozejrzała się po sali. Obite aksamitem ściany, świeczniki. Obrusy o nieskazitelnej bieli. Musi tu być bardzo drogo. Ale najwidoczniej Kenny może sobie na to pozwolić. Ta myśl umocniła jej postanowienie. Otworzyła usta, by zacząć mówić, lecz Kenny znów ją uprzedził. - Zamówmy coś. To cudowne uczucie móc wybrać to, na co się ma ochotę. W menu nawet nie podali cen. - Cielęcina Dore? - zaproponowała nieśmiało. W obawie, że to może za drogie szybko spojrzła na Kenna. - Czy to w porządku? Celowo udając, że ją źle zrozumiał, Kenny odparł: - O tak, to jedno z najlepszych dań. Ja wybieram scampi. Zamówili też dobre kalifornijskie wino, a gdy zbliżali się do deseru, Anna poczuła się niefrasobliwie i wesoło. Rozglądając się po sali nie mogła wprost uwierzyć, że byli tam ludzie, którzy nie mieli większych trosk, jak tylko wybór: stek Diane, czy też homary Thermidor. Jak wspaniale... Kenny podtrzymywał lekką, płynną rozmowę, aż Annę ogarnęły obawy, że skończą posiłek, zanim zdoła go o cokolwiek poprosić. Kiedy wybrali już deser, Anna postanowiła zacząć. - Kenny, chciałabym z tobą pomówić o Filipie. - Tak? - Kenny spojrział uważnie. - Wraca do siebie - zaczęła. Lecz ze szczerością zrodzoną z rozpacz przyznała. - Nie, to nieprawda. Wcale nie jest mu lepiej, Kenny. Naprawdę nie wiem, co robić. Nie ma pracy, a wkrótce przestanę mu płacić odszkodowanie. Kończą nam się pieniądze i nie wiem

do kogo mam się zwrócić, jeśli nie do ciebie. Kenny ujął dłoń Anny. - Uspokój się kochanie. Wiesz, że możesz na mnie liczyć - niewątpliwie chce poprosić o pożyczkę; Kenny chętnie wyświadczyłby jej tę przysługę. Anna była taka dobra dla Ruthie i Jeremiego, więc przynajmniej w ten sposób będzie mógł się odwdziżyć.

- Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić? - Widzisz, Filip nawet nie stara się o pracę. Nie chodzi o to, że ma jakieś poważne problemy - skłamała Anna. - Nie było go tak długo, więc obawia się, że nigdzie go nie przyjmą. - Anna spuściła wzrok, nie mając odwagi spojrzeć Kennowi w oczy. Oboje wiedzieli, że ukrywa prawdę o stanie psychicznym Filipa. W końcu przełamała się. - Kenny, myślisz, że znalazłoby się miejsce dla Filipa w twojej firmie? Zaskoczony, szukał właściwych słów. - Anno, ja... - Trzeba mu tylko dać szansę, Kenny. On jest dobrym prawnikiem, wiesz, że tak jest! Kenny zaniemówił. Była to ostatnia rzecz, jakiej chciał czy też się spodziewał. Na miłość boską, nie jest przecież odpowiedzialny za rodzinę Coulterów! A jego firma nie jest instytucją charytatywną. Parę dolarów - w porządku, ale brać sobie kłopot na głowę - to zupełnie co innego.

Usiadł wygodnie nie widząc poblądłej twarzy Anny, gdyż przed oczami stanął mu Filip taki, jakim go widział ostatni raz. Sięgnął myślą, doszukując się przyczyn słabości Filipa, gdzieś w przeszłości. Pamiętał, że nie mógł się pozbierać, kiedy Coulterowie stracili majątek podczas kryzysu. Gdyby zatrudnił Filipa w firmie, Bóg jeden wie, co by się mogło zdarzyć. Ich firma prowadziła rozprawy sądowe i znana była z rozwiązywania zawilych przypadków, a Filip z pewnością nie jest w formie, by samodzielnie występować w sądzie, a nawet stykać się z klientami. Nagle ruszyło go sumienie. Wiedział, że jest niesprawiedliwy. Filip był jeńcem wojennym; głodował i był torturowany. Po powrocie, w przeciwieństwie do Kenna, nie miał zagwarantowanej, pewnej posady w rodzinnym biznesie. Na miłość boską - pomyślał Kenny - Fil jest moim najlepszym przyjacielem. Czyż nie powinienem dać mu szansy skoro ma poważne kłopoty? Są przecież sprawy, na których się zna. Jest inteligentny. Mógłby przeglądać akta i formułować wnioski, a robiąc to starannie nie zaszkodziłoby firmie. Byłaby to zwykła praca urzędnicza. Gdyby miał odrobinę dumy, nie przyjąłby propozycji Kenna, ale w obecnej sytuacji Filip nie mógł liczyć na nic lepszego. Kenny poklepał dłoń Anny. - Jeśli sądzisz, że przystanie na jakąś moją propozycję, to z pewnością z nim porozmawiam. - Och, dziękuję ci! - wykrzyknęła Anna z uczuciem ulgi. Nagle zagryzła usta. - Kenny, proszę nie wspominać Filipowi, że ja cię o to prosiłam.

- Po chwili milczenia, kontynuowała bezradnie. - Pewnie myślisz, że jestem nielojalna, robiąc to za jego plecami... - Myślę, że jesteś dobrą żoną, Anno. Filip chyba nawet nie wie, jakim jest szczęściarzem mając ciebie. Jutro do niego zadzwonię. - Och, Kenny. Wprost nie wiem, jak ci dziękować. - Jeszcze mi nie dziękuj. Zobaczmy, co Filip na to powie. Rozdział dwudziesty pierwszy Siedząc naprzeciw Kenna u Schroedera Filip czuł się skrepowany i nie na miejscu. Jego przyjaciel był taki pewny siebie i wyglądał tak dostatnio; Filip był boleśnie świadomy, że ma oszpeconą twarz, nosi tani krawat, a garnitur na nim wisi. Kenny przerwał ciszę. - Rozruszałeś się trochę tym drinkiem? Filip, zaskoczony, zapytał. - Słucham? - Jeszcze jedno martini? - Chętnie, jeśli ty się też napijesz. Kiedy podano drinki, Kenny zapytał: - Na co masz ochotę? Echa przeszłości dziwnie dźwięczały Filipowi w głowie. - Nie wiem - a ty co zamawiasz? Nie znam się na chińskiej kuchni. - Jego pierwsza randka z Anną... - Fil? Słyszysz mnie? Filip spojrzał na niego nieobecny wzrokiem. - Ach... to co ty, Kenny. - I co jeszcze? Sauerbraten and Schnitzel and Wein - ja? - Javohl! - Filip spróbował odpowiedzieć żartem. O ile cały świat się zmienił, to

"Schroeder" pozostał taki sam. Wykładana ciemną boazerią jadalnia, ogromny bar z mosięzną balustradą, wyglądały identycznie tak samo, jak przed sześciu laty. Rzeczywiście zrelaksował się i delektował wspaniałym posiłkiem. Dopiero, gdy kelner przyniósł kawę, Kenny zwrócił się do niego ze swoją propozycją. Filip nerwowym ruchem postawił filiżankę i spojrzał na przyjaciela. Z jednej strony ta praca jakby mu spadła z nieba. Mógł uniknąć przemierzania ulic, szarpiących nerwy wywiadów. Z drugiej strony było to takie upokarzające - czuł się jak żebrak, który nie jest w stanie sam poradzić sobie w życiu. Filipa ogarnął gniew, że los postawił Kenna w roli dobroczyńcy, a jego w pozycji petenta. Ojciec Kenna prowadził praktykę w San Francisco od prawie pięćdziesięciu lat i doprowadził interes do kwitującego stanu. Wszystko, co Kenny musiał zrobić, to zjawić się tam w dzień po ukończeniu studiów, skąd odprowadzono go do biura z miękką wykładziną, na którego drzwiach widniał świeżo wygrawerowany szyld z jego imieniem. Nathan Newman nie zrujnował przyszłości Kenna, tak jak Simon zmarnował szanse Filipa. Trudno było znaleźć w tym jakąś sprawiedliwość. Wtem Filip uświadomił sobie, że zachowuje się niedorzecznie. Kenny robi mu przecież przysługę. Musiał sobie jednak postawić pytanie, czy jest w stanie poradzić sobie ze stresami w jakiegokolwiek pracy, a co dopiero w praktyce prawniczej. Myśl, że może mu się nie powieść zwłaszcza na oczach Kenna, przerażała go. Ale jak mógł zrezygnować z tej propozycji. - Naprawdę mnie potrzebujesz? Kenny uważnie dobierał słowa. - Zawsze potrzebny nam jest dobry fachowiec, a obecnie szczególnie potrzebujemy kogoś, kto zna się na sporządzaniu dokumentacji. Pamiętam, że w tych sprawach byłeś najlepszy na roku. - To było dawno temu, Kenny. - Wprawisz się, Fil. No więc jak, zgadzasz się? Filip zapalił papierosa. - W porządku. Raz kozie śmierć. Kenny uśmiechnął się. - W porządku z ciebie facet! Filip spojrzał na niego i przez moment wydawało mu się, że te wszystkie lata od ukończenia studiów wcale nie minęły. Pełen nadziei ustalił datę rozpoczęcia pracy i ruszył ku domowi. Da sobie radę! Zaczynając w dobrej firmie prawniczej może odnieść sukces! Jeszcze będzie mógł ofiarować Annie wszystko, czego tylko zapragnie. Jeszcze odzyska entuzjazm i siły, jakie miał, kiedy się pobrali. Skręcając na Union Square przejrzał się przypadkowo w szybie sklepowej i aż oniemiał. Jakiż widok stanowił w tym wyświechtanym garniturze o pompiastym przedwojennym kroju! Po drugiej stronie znajdował się Bullock Jones. Był to drogi sklep z odzieżą męską, ale dlaczegóżby nie, ma przecież pracę! Czas wreszcie zacząć żyć po ludzku. By nie zmienić zdania, czym prędzej wszedł do środka. Podszedł do wieszaków z samodziiałami i nieświadomie przyjmując profesjonalną pozę dokonał wyboru, po czym w mgnieniu oka znalazł się przed lustrem w trzyczęściowym szarym garniturze. Wyprostował ramiona - garnitur, bez żadnych poprawek krawieckich, leżał na nim jak ulał. - Całkiem nieźle - pomyślał. W dobrze skrojonym garniturze jego szczupłość była tylko autem. - Wezmę go - zaanonsował z nagłym zdecydowaniem. - I sześć białych koszul. Oprócz tego zakupił granatowy rypсовy krawat oraz parę czarnych błyszczących butów z cielecej skórki. - Będę musiał otworzyć konto kredytowe - po podaniu domowego adresu wypowiedział nazwę firmy z nutką dumy w głosie: Newman, Ross, Simons and Newman. Anna usłyszawszy przekręcanie klucza w zamku wybiegła z kuchni zarzucając fartuszek i przyglądając włosy. - Filip,... - Urwała, by ukryć swoje zdziwienie. - Kochanie, kupiłeś sobie nowe ubranie. To cudownie! - Anno, nie uwierzysz. Kenny zaproponował mi pracę. Zaczynam w poniedziałek. - I przyjąłeś ją! Och, Filipie, tak strasznie się cieszę. Padli sobie w ramiona przytulając się czule. Całując ją, wyszeptał: - Anno, najdroższa, tak cię kocham. Tyle

okazałaś mi cierpliwości. Teraz wszystko się ułoży, obiecuję. To śmiejąc się, to płacząc, Anna ponownie go uściśnęła. - Kochanie, wiem, że dasz sobie radę. - Wiesz, byłem trochę zaskoczony. Kenny dotychczas nawet nie wspomniał, że myśli o zatrudnieniu mnie. - Prawdopodobnie czekał, aż nabierzesz sił - szybko odpowiedziała Anna. - Też tak sędzę - zgodził się Filip, choć nie był o tym zupełnie przekonany. - Zawsze wiedziałam, że jesteś genialny, Filipie, i przypuszczam, że Kenny też o tym wie. Tej nocy po raz pierwszy od swojego powrotu Filip był w stanie kochać się z Anną. Wiedziała, że wstępują na całkiem nową drogę życia. Rozdział dwudziesty drugi Przyglądając się swojej żonie, kiedy nalewała mu kawę, Filip czuł, że mógłby jedną ręką zawojować świat. Uczucie euforii nie opuszczało go przez całą drogę do biura. Nawet elegancja Mills Building na Montgomery Street, w sercu finansowej dzielnicy San Francisco, nie podważyła jego pewności siebie. Dopiero kiedy stanął przed wielkimi, drewnianymi drzwiami pięciopiętrowego biura zaczął się lekko trząść. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła. Odzyskana niedawno pewność siebie znów ustąpiła miejsca znanemu, okropnemu uczuciu niemocy. Ale posunął się za daleko, by się teraz wycofać. Wziął głęboki oddech i wszedł do środka. Recepcjonistka najwyraźniej przeraziła się na jego widok. To ta blizna - pomyślał Filip bez emocji. - Muszę się do tego przyzwyczaić. - Dzień dobry - pomyślał Filip spokojnie. - Nazywam się Filip Coulter. Uśmiechnęła się niespodziewanie. - Pan Coulter, miło mi pana poznać. Pan Newman oczekuje pana. Wstała zza biurka i zaprowadziła go do luksusowego biura Kenna. Jego przyjaciel rozmawiał przez telefon. - Zadowolą się pięćdziesięcioma tysiącami. Zarzuciliśmy ich tyloma aktami, że na pewno się w tym nie połapią... nie będzie ich stać na to, by nadal z nami walczyć. W miarę czekania Filipowi przyszła myśl, że Kenny mógłby przeprosić przecież na moment swojego rozmówcę. Ale stwierdził w końcu, że Kenny nie ma powodu, by odgrywać przed nim wielkiego nie-wiadomo-kogo. W chwilę potem Kenny powiedział: - Muszę kończyć. Porozmawiamy później. - I odwiesił słuchawkę. - Uśmiechnął się serdecznie. - Fil, przepraszam, że pozwoliłem ci czekać, przyjacielu. Rozmawiałem z Samem Levy. Wkrótce go poznasz. Szykuje nam się duża sprawa. - To brzmi nieźle. - No więc - witaj na pokładzie. Chodź, poznam cię z resztą załogi. Za pięć minut mamy konferencję. Możesz do nas dołączyć. Na początku Filip czuł się nieswojo siedząc przy dużym, owalnym stole, ale po jakimś czasie argumenty zaczęły nabierać dla niego sensu i wciągnął się w przygotowywanie rozprawy. Kiedy skończyła się konferencja, przywitali się z nim pozostali prawnicy. Jeden z nich powiedział: - A więc to pan jest tym nowym urzędnikiem, tak? Niech pan się nie pozwoli za bardzo wykorzystywać. Filip poczuł się boleśnie upokorzony. Z całym jego doświadczeniem potraktowano go tu jak żółtodzioba. Kenny nie powiedział tego wyraźnie, ale Filip zakładał, że przyjmuje go na współnika. Teraz uświadomił sobie, że nie uzgodnili ani ile będzie zarabiał, ani jakie będzie miał stanowisko. Był pewien, że Kenny nie zamierzał go zlekceważyć. Może za kilka miesięcy, jeśli dobrze będzie się sprawował, zasiądzie na ławie przysięgłych. Następny szok przeżył, gdy zobaczył swoje miejsce pracy. Widząc biuro Kenna z boazerią na ścianach i pluszową wykładziną spodziewał się, że jego własne, choć mniejsze, będzie równie atrakcyjne. Zamiast tego wprowadzono go do obskurnej klitki z linoleum na podłodze. Robił wszystko by zachować niewzruszony spokój, gdy Kenny odezwał się: - Biblioteka jest przy końcu holu. Umiesz pisać na maszynie? - Filip skinął głową, więc mówił dalej. - Załatwimy ci wkrótce - przerwał. - Czy masz jakieś pytania? - Nie. - Dobra - Kenny klepnął go po ramieniu. - To wspaniale, że tu jesteś. Filip opadł na krzesło, zapalił

papierosa, starając się, by małe pomieszczenie nie wywołało u niego klaustrofobii. Wiedział, że musi opanować swe oburzenie, ale przez chwilę zastanawiał się, jak może znosić takie upokorzenie. Kim jest Kenny, by nim tak rozporządzać? Filip próbował sobie uświadomić, że dostał tę pracę szczęśliwym trafem. Dwa dni temu był bezrobotny i prawie nie był w stanie wychodzić z domu. Opanuj się, Filip - byłeś w tarapatkach, a Kenny cię wyciągnął - przekonywał sam siebie. Zaczął przeglądać dokumenty na biurku. Napotkał wzrokiem nowy kodeks prawny i wkrótce poczuł, że na nowo odradza się w nim zainteresowanie procedurą sądową. Zanim się spostrzegł, sekretarka zastukała do drzwi, pytając, czy przynieść mu coś do jedzenia. Filip spojrzął na zegarek i stwierdził ze zdziwieniem, że czas lunchu dawno już minął. - Nancy - bądź tak dobra i przynieś mi tu kanapkę z szynką - uśmiechnął się - nie będę dzisiaj robił przerwy. O piątej Filip wiedział już, że spodoba mu się ta praca. Dobrze jest znowu pracować w swoim zawodzie. Może jeszcze odnieść sukces. Wierzył, że mu się to uda. Tego wieczora, słuchając relacji Filipa, Anna postanowiła, że nigdy już nie zwątpi w miłosierdzie boże. W miarę upływu czasu Filip coraz pewniej czuł się w swojej pracy. Formułował akta, listy i wnioski, które zawsze dokładnie sprawdzał i przepisywał na czas. Często zostawał dłużej, by skończyć przygotowywanie rozprawy. Anna przyzwyczaiła się do telefonów za pięć szósta. Udawała rozczarowanie, ale w rzeczywistości cieszyła się z tych oznak zdecydowania u Filipa. Z pewnością awansuje pracując w takim tempie. Dotychczas zarabiał grosze, ale na razie wystarczało im, zwłaszcza, że liczył na podwyżkę w najbliższej przyszłości. Może mogliby przenieść się do większego mieszkania, może kupiłaby sobie sukienkę albo dwie... Filip nabierał coraz więcej pewności z każdym ukończonym zadaniem. Momenty paniki i zwątpienia we własne siły zdarzały mu się coraz rzadziej i pewien był, że wkrótce będzie gotowy do samodzielnego prowadzenia rozpraw. Prawdę mówiąc, był teraz mniej nerwowy, pojawiając się w sądzie, niż przed wojną. Stawił czoła takim jak Nakanishi czy Oto. Zwykły sędzia czy też ława przysięgłych nie byli dla niego postrachem. Rozdział dwudziesty trzeci Przez kolejne miesiące Filip był w biurze już przed dziewiątą. Na początku zajęty był przyswajaniem nowych praw i pojęć, lecz pewnego dnia, a minęło już dziesięć miesięcy odkąd podjął pracę, zwrócił się do Kenna. - Uważasz, że jesteś gotowy, by wystąpić w sądzie? - w głosie Kenna było niedowierzanie. - Myślę, że tak - Filip odparł stanowczo. Kenny zawahał się, w końcu powiedział po namyśle. - Fil, posłuchaj. Jesteś moim kumplem i pech, że to ja muszę ci to powiedzieć. Niecały rok temu byłeś emocjonalnym wrakiem. Wprost nie mogę uwierzyć, że wyzdrowiałeś w tym czasie na tyle, by prowadzić rozprawy sądowe. Do diabła, to stokroć trudniejsze niż grzebanie w papierach. - Myślę, że dam sobie radę, Kenny. Kenny obrzucił go opanowanym, badawczym spojrzeniem. W końcu odezwał się: - Myślę, że lepiej będzie, jeśli to na razie odłożymy, Fil. Nie narzekasz na brak pracy, prawda. Fil przytaknął, nie wiedząc, jak się dalej bronić. Skoro nie przekonał swojego bliskiego przyjaciela, jak miał się zwrócić do wrogo nastawionego, obcego adwokata? - W porządku - powiedział Kenny sprowokowany milczeniem Filipa. - Porozmawiamy jeszcze o tym. Zabrzmiało to tak, jakby Kenny chciał się go pozbyć. Odwrócił się więc i odszedł bez słowa. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że Kenny podświadomie mógłby nie życzyć mu sukcesu. Kenny wciąż pamiętał lata szkolne, kiedy zazdrościł Filipowi pochodzenia, niebagatelnej urody, błyskotliwości, a ostatnio nawet tego, że jest bohaterem wojennym. Teraz, nawet sobie tego nie uświadamiając, opóźniał awans Filipa, choć też pozostali współnicy wiedzieli, że są długoletnimi przyjaciółmi. Gdy Kenny

powiedział, że nie czas jeszcze promować Coultera, zatrudniali osoby spoza firmy. Za każdym razem Filip akceptował jego decyzję, lecz po osiemnastu miesiącach zwrócił się do Kenna. - Kiedy mnie zatrudniłeś, naprawdę byłem szczęśliwy, że znowu mogę pracować. Moje zarobki nie grały wówczas roli. Ale z biegiem czasu coraz trudniej mi związać koniec z końcem. Poza tym czuję, że jestem gotowy do bardziej odpowiedzialnej pracy. Stać mnie na więcej. Chcę, żebyś przyjął mnie na wspólnika. Kenny nie spodziewał się, że Filip przedstawi mu to tak jasno. - Nie myśl, że nie rozważaliśmy tego... - Chcesz przez to powiedzieć, że rozważaliście i odrzuciliście mnie? Czy powiedziałbyś mi łaskawie dlaczego? - Sprawy sądowe to nasza specjalność i wszyscy nasi adwokaci muszą być w stanie prowadzić rozprawy przy otwartych drzwiach. Nie chcę ci robić przykrości, ale szczerze mówiąc, wszyscy uważamy, że nie jesteś jeszcze do tego przygotowany. - Skąd wiecie, co potrafisz? Nigdy nie pozwoliłeś mi wystąpić w sądzie, poprowadzić choćby najprostszą sprawę. Nie mógłbym być bardziej niedoceniony. Kenny popatrzył na niego życzliwie. - Fil, to pozostanie między nami? - Oczywiście. - Fil, widziałem cię, kiedy jesteś zmęczony lub zestresowany. Wówczas bardziej utykasz. Na twarzy maluje ci się napięcie. Na miłość boską, spójrz na swoje ręce - drżą! Filip spuścił wzrok. Trzęsą mu się ręce? Nie zauważył tego. Ale prawdą było, że kulał bardziej, kiedy był zmęczony. Po raz kolejny czuł się bezsilny, by zaprotestować, by upierać się, że wszystko z nim w porządku. Widać było, że tak nie jest, a wygląd bardzo liczył się w sądzie. - W porządku - rzekł w końcu. - Na razie przyjmuję ten werdykt. Ale chciałbym, żebyś wziął to pod uwagę, że nie mogę tu bez końca czekać. - Jeśli uważasz, że znajdziesz inne miejsce gdzie będzie ci lepiej... Przez moment opanowała Filipa panika. Nie mógł się obejść nawet bez jednej wypłaty, a skoro tak z nim źle jak Kenny utrzymuje, może mieć kłopoty ze znalezieniem pracy. - Nie powiedziałem, że chcę odejść - odparł prędko. Kenny bez celu przerzucał jakieś papiery na biurku. - Powiem ci coś, Fil. Postaram się dla ciebie o podwyżkę. Może to coś zmieni. - Byłbym ci wdzięczny. Przez kolejne tygodnie Filip starał się nie myśleć o tym, co powiedział Kenny, ale zaczęły go prześladować wątpliwości, nie podchodził już do swoich obowiązków z dawnym entuzjazmem, ani nie podejmował się na ochotnika dodatkowych zleceń. Anna cieszyła się, kiedy przychodził punktualnie na obiad i nie zwracała uwagi na jego dochody. Zakładała, że wszyscy prawnicy mają zaniżane pensje dopóki nie staną się wspólnikami. Nawet nie dopuszczała myśli, że Filip mógłby ponieść porażkę. Jedyne jej strapieniem był pogarszający się stan Ewy, która gasła prawie z każdym dniem. Simon z Anną robili wszystko, by zachęcić ją do jedzenia i urozmaicić jej długie dni. Anna zrezygnowała z pracy i całkowicie poświęciła się pielęgnowaniu Ewy. Niestety, coraz słabiej reagowała i pewnego styczniowego ranka zapadła w stan śpiączki. Umarła, zanim Filip zdążył przyjechać z biura. Anna nie spodziewała się, że tak bardzo będzie brakowało jej Ewy, podczas wojennych lat zgryzoty bardziej zbliżyły się do siebie niż większość rodzonych córek i matek. Teraz czuła się równie opuszczona jak Simon. Filip przynajmniej miał pracę; dla Anny i Simona dni straciły swój sens. Anna była tak przygnębiona, że nie zauważyła, że nie miała okresu od prawie dwóch miesięcy. Przez kolejne tygodnie obawiała się, że może nie jest w ciąży, więc odkładała wizytę u lekarza. W końcu poszła zrobić sobie test. - Nie, pani Coulter, nie ma wątpliwości. Spodziewa się pani dziecka. Rzekłbym, we wrześniu. Radość Anny przesłaniał tylko fakt, że nie było Ewy, by ją z nimi dzielić. Stał się cud, o który oboje długo się modlili. Anna nie mogła doczekać się powrotu Filipa. Kiedy

wrócił z pracy, rzuciła mu się w ramiona. - Wielkie nieba, czy zapomniałem o czymś? - zaśmiał się. - Urodziny? Może jakaś rocznica? - Urodzimy we wrześniu. Ach, Filipie, będziemy mieli dziecko. Anna nie widziała Filipa tak bezmiernie szczęśliwego od pierwszych dni ich małżeństwa. Nawet Simon stracił smutny, ściągnięty wyraz twarzy, który pojawił mu się po śmierci Ewy. Filip pracował teraz ze zdwojoną ambicją, a Anna z Simonem przygotowywali pokój dla dziecka. 6 września 1949 roku Anna urodziła dziewczynkę. Nazwali ją Ewa Luiza, ale od początku mówili na nią Evie. Łzy wzruszenia płynęły Simonowi po policzkach, kiedy zobaczył dziecko. To tak, jakby jego ukochana Ewa odrodziła się w tej małej wnuczce. Simon chciał umrzeć z Ewą, ale teraz, przyglądając się maleńkiej Evie, wiedział, że ma nowy cel w życiu. W tym właśnie momencie zrodziło się w nim ślepe uwielbienie dla małej dziewczynki, które przetrwało do końca jego dni. Kiedy Filip zobaczył wreszcie swoją córkę, jego serce przepełniła miłość, jakiej dotąd jeszcze nie doświadczył. Nawet gdyby niczego w życiu nie osiągnął, mógł być dumny będąc ojcem takiego pięknego dziecka. - Evie - wyszeptał, dając jej naszyjnik, który nosiła potem przez całe życie. - Jesteś moją przyszłością. Od tej chwili Evie stała się wszystkim dla Filipa. Chociaż Anna też bardzo chciała tego dziecka, jednak jego przyjście na świat całkowicie przemieniło życie Filipa. Dniom jego towarzyszyło szczęśliwe oczekiwanie na moment, kiedy będzie mógł ją wziąć na ręce, a nocnego spokoju nigdy więcej nie zakłócały mu koszmarne wojenne sny. Kiedy z niemowlaka zarobiło się śmiejące, pulchniutkie dziecko, sam chciał ją karmić i bawił się z nią na podłodze w saloniku. Od samego początku podobna była do tatusia. Anna obserwowała ich czasem z ukłuciem zazdrości. To wspaniale, że Filip tak poważnie traktuje ojcostwo, ale on po prostu nie znał granic. W końcu to ona całymi dniami zajmowała się dzieckiem, lecz gdy Evie tylko zobaczyła twarz tatusia, wpatrywała się w niego jak w obraz. Anna nie rozumiała, że w głębi serca ona sama jest samotnym dzieckiem, które pragnie pieczy i pobłażania. Te "napady zazdrości" były jednak krótkotrwałe. śmiała się potem z własnej głupoty. Filip był doskonałym ojcem. Gdy Evie miała kolkę - nosił ją i utulał. Gdy się zadrapała - zakładał jej plaster. Kiedy, mając roczek dostała wysokiej gorączki - Filip wziął czterodniowe zwolnienie i roztkliwiał się nad nią jak kwoka nad kurczętami. - Kochanie, dadzą sobie radę bez ciebie przez tak długi czas? - spytała Anna w obawie, że wykorzystuje Kenna. - Evie nic nie zagraża. - Dlaczego nie zostawisz tego na mojej głowie? - zapytał z lekką irytacją w głosie. Jak miał jej powiedzieć, jak mało znaczy dla Newman, Ross, Simons and Newman? Student drugiego roku prawa mógłby się zająć tym, co on robi. Nic się naprawdę nie zmieniło od jego rozmowy z Kennem. Dostał małą podwyżkę, ale nie przydzielono mu ambitniejszej funkcji. Od czasu do czasu myślał o odejściu, ale zawsze powstrzymywała go myśl, że jeśli nie może awansować pod egidą Kenna, nie uda mu się to w innym miejscu. Nie uświadamiając sobie tego jasno, zaczął widzieć się takim, jakim widział go Kenny. Ranił go fakt, że Evie nie ma wszystkich materialnych rzeczy, które chciałaby mieć, więc żeby jej to zrekompensować, otaczał ją miłością i wydawał na nią całe swoje oszczędności. Niczego nie żałował Evie Coulter. Rozdział dwudziesty czwarty Był grudzień 1952 roku. Evie miała trzy latka i była nadzwyczaj urocza. Była już dość duża, by rozumieć, co oznaczają zbliżające się święta i mówiła tylko o jednym - o świętym Mikołaju. Anna z Filipem obiecali, że zabiorą ją do Macy'a, by na własne oczy zobaczyła tą magiczną postać. W sobotę rano Anna obudziła się osłabiona i z gorączką. Od kilku dni walczyła z przeziębieniem, ale teraz wzięło ją na dobre. Z trudem zwlokła się z łóżka, narzuciła szlafrok, i weszła do kuchni, gdzie

Filip z Evie zjadali owsiankę z brązowym cukrem. Podniósłszy wzrok znad talerza Evie zaszczębiotała wesoło. - Dzisiaj jedziemy zobaczyć Mikołaja! Tak, mamusiu? Filip widząc rozpaloną twarz i szkliste oczy Anny, zapytał: - Kochanie, dobrze się czujesz? - Tak, wszystko w porządku. Filip nie dał się przekonać. - Nie wyglądasz najlepiej, najdroższa. Lepiej połóż się do łóżka. - Nie mogę, Filipie. Zabieramy Evie do świętego Mikołaja. Ona tak czekała na ten dzień. - Posłuchaj, Anno. Mógłbym sam zabrać Evie. Nie ma potrzeby, byś jechała do miasta w takim stanie. - Jesteś pewien? - Absolutnie. Miło mi będzie spędzić dzień z Evie. A ty sobie odpoczniesz. Anna była zbyt chora, by protestować. Ubrała Evie w bawełnianą marynarską sukienkę. Chętnie założyłaby jej coś cieplejszego, ale Evie wyrosła z większości rzeczy. - Załóż jej płaszczyk, Filipie - pouczyła go Anna. Filip podszedł do szafy. Wyjął z niej mały, brązowy płaszczyk i przyjrzał mu się przez moment. Płaszczyk był bardzo podniszczony. Z westchnieniem powiedział do Evie. - Włóż rączkę, kochanie. Evie posłusznie wyciągnęła obie rączki. Filip wcisnął na nią płaszczyk, pozapinał i wstał, by ją obejrzeć. Nigdy nie zwracał uwagi na ubranka dziecięce, ale coś było nie w porządku, w wyglądzie Evie. Płaszczyk był powycierany i za krótki. Na szczęście Evie to nie przeszkadzało. - Pa, pa, mamusiu - zawołała na pożegnanie. - Pozdrowię od ciebie Mikołaja. Trzymając Evie za rękę, Filip stał w kolejce z wszystkimi mamusiami i dziećmi. Gdy nadeszła kolej Evie wpatrywała się wielkimi, zdziwionymi oczami w długą, białą brodę i gronostajem obszytą czapkę Mikołaja. - Ho, ho, ho! - rzekł biorąc ją na kolana. - Co byś chciała dostać na gwiazdkę, mała panienko? Zachecona przyjacielskim, porozumiewawczym mrugnięciem Mikołaja Evie uśmiechnęła się, ale była tak onieśmielona, że nie mogła nic powiedzieć. Filip obserwował ją. Jakże była urocza. O wiele przewyższała wszystkie zebrane tam dzieci. Zamówił dziesięć odbitek zdjęć z Mikołajem zastanawiając się, co z nimi zrobi. Kiedy zeszła z kolan Mikołaja i podbiegła do niego, przygarnął ją i ucałował. - Byłaś cudowna, Evie. Zarzuciła mu ręce na szyję i jednym tchem wyszeptowała. - Widziałam świętego Mikołaja, tatusiu! - Powiedziałaś mu, co chcesz dostać? - potrząsnęła przecząco główką. - No więc, moja księżniczko, musisz powiedzieć tatusiowi, a tatuś powie Mikołajowi za ciebie. Spacerowali wśród rzędów migających świateł, mijali girlandy błyszczących świecidełek i wysepki czerwonych poinsecji. Wszystko było jak w bajce, a oczy Evie lśniły jak gwiazdki. Lecz gdy Filip spojrział na nią, coś go wewnątrz ścisnęło. Wszystkie małe dziewczynki były świątecznie wystrojone - czerwone, pluszowe sweterki na bluzeczkach z żabotami lub nakrochmalone organdyne sukienki z błękitnymi atlasowymi szarfami. Czuł się, jakby zaniedbywał Evie. Miała prawo mieć to, co inne dzieci. Celowo wziął ją za rękę, wyprowadził z działu z zabawkami i schodami ruchomymi wyszli ze sklepu. Uderzył ich powiew zimnego powietrza na Stockton Street, miał wrażenie, że Evie się trzęsie. Czekali na rogu na zmianę świateł, przeszli przez ulicę, udając się do City of Paris. Wspaniały sklep wieńczyła replika wieży Eiffla. Ewa tutaj kupowała mu najlepsze ubranka, kiedy był małym chłopcem. W mgnieniu oka znaleźli się w dziale dziecięcym. - Chciałbym kupić płaszczyk dla mojej córeczki - zwrócił się do srebrnowłosej ekspedientki. - Jaki byś chciała kolor, skarbie? - zapytała. - Chciałaby niebieski - odparła z uśmiechem Evie. Na jej buzi pojawiły się zabawne dołeczki. - Myślę, że znajdę coś dla ciebie - odpowiedziała ekspedientka zdejmując wieszak z błękitnym płaszczykiem ze stojaka. Filip widząc swoje dziecko ubrane w błękitny płaszczyk, z delikatnymi perłowymi guziczkami, jej anielską twarzyczkę obramowaną dziecinną czapeczką, dał się całkowicie ponieść. - Bierzemy go. Ile kosztuje? -

Siedemdziesiąt pięć dolarów, proszę pana - odpowiedziała ekspedientka. - Płaci pan czekiem, czy gotówką? - Wypiszę czek - odparł Filip z trudem przetykając ślinę. Siedemdziesiąt pięć dolarów! To mnóstwo pieniędzy, ale niech tam, Evie jest tego warta. A, dlaczegóżby jego córka nie mogła mieć przyzwoitego płaszczyka? Ukradkiem sprawdził stan konta - sto dolarów - i wypisał czek. - Dziękuję, panie Coulter - rzekła ekspedientka, po chwili podniosła wzrok. - Filip Coulter! Pamiętam, jak pan tu przychodził ze swoją mamą. To musiało być ponad trzydzieści lat temu! - Istotnie tak było - odparł Filip. - Więc to jest pana mała dziewczynka. Czy to nie cudowne? Jest naprawdę urocza. - Dziękuję - rzekł Filip uśmiechając się. - No cóż, do widzenia pani. Mamy jeszcze trochę spraw do załatwienia. Wesółych świąt! - powiedział biorąc pakunki. Filip odchodził uradowany. Pamiętał jak miło było chodzić od sklepu do sklepu, nigdy nie mówiło się o pieniądzech, bo nie stanowiły one problemu. Nagle podjął decyzję. Otworzył konto kredytowe. Evie będzie miała święta jak nigdy dotąd. - Potrzebuję otworzyć je natychmiast - powiedział na górze w dziale kredytowym. Coś dziwnego wstąpiło w Filipa tego dnia. Mając nową kartę kredytową, kupował i kupował, jakby nie istniało jutro. Potem zjedli lunch u Bluma. Filip pozwolił Evie zamawiać, co tylko chciała. Zamówiła hot doga i tort lodowy z sosem czekoladowym, nie dając się namówić na ciepłą zupę z kluseczkami. Filip obserwując Evie, szczęśliwie opychającą się lodami, pomyślał, że nawet w starych ubrankach wygląda jak księżniczka. - Tatusiu, czy możemy zawieźć mamusi pudełko cukierków? - Oczywiście, Evie. Szkoda, że mama nie mogła dziś być z nami, ale kupimy jej cukierki i jakiś ładny prezent świąteczny. Zaczął się zastanawiać, co może sprawić Annie radość. Koszula nocna? Jedna z tych falbaniastych różowości, które widział w City of Paris. Nie, strojna koszula nocna to prezent zbyt frywolny. Anna stała się ostatnio tak praktyczna i oszczędna, że prawdopodobnie by ją oddała. Przypomniał sobie, że poprzedniego dnia mówili o zakupie nowego tosterka. Wyszedł trzymając Evie mocno za rękę. Na zegarze kuchennym wybiła czwarta. Od wczesnego popołudnia Annę dręczyło uczucie, że coś jest nie w porządku. Może Evie zachorowała albo może zdarzył się wypadek. Kiedy w końcu usłyszała klucz w zamku, natychmiast podbiegła do drzwi. Evie zasnęła w samochodzie, więc Filip wniósł ją do pokoju i nie budząc położył na łóżku. Zamknął drzwi, wszedł do saloniku i chciał pocałować Annę, ale odsunęła się. - Na Boga, Filip, tak się martwiłam! Nie było was od dziewiątej. Evie nie spała po południu! - No, ale teraz śpi - odpowiedział na swoją obronę. - Nic dziwnego! Co ty robiłeś przez tyle godzin z takim małym dzieckiem? - Robiliśmy zakupy. - Zakupy? - Zobaczysz co kupiłem. Wszystko jest w samochodzie. Zaraz przyniosę. Musiał trzy razy wychodzić, żeby przynieść rowerek na trzech kółkach, pandę większą od samej Evie, domek dla lalek i nową lalkę. Anna usiadła oszołomiona. - Wszystko to kupiłeś - spytała z niedowierzaniem. - Tak. Zaraz ci pokażę ubranka. - Triumfalnie podniósł pokrywki kilku pudełek. Anna patrzyła to na czarne lakierki, to na trzy pary białych rajstop, koronkowe skarpetki, dwie eleganckie sukienki, francuski płaszczyk z czapeczką. Kręciła głową, gdy on tymczasem wyglądał fałdy płaszcza. - Świetnie spędziliśmy czas, kochanie! Szkoda, że cię z nami nie było. Powinnaś była zobaczyć twarz Evie. Anna oniemiała z wrażenia. Na podłodze piętrzyły się stosy rzeczy, których Evie nie potrzebowała, a Filip z dumą je przeglądał. - Filip, czy zapłaciłeś za te wszystkie rzeczy? - spytała Anna odzyskawszy głos. Nie słysząc odpowiedzi podniosła rachunek, który sfrunął na podłogę. - Od kiedy mamy konto kredytowe w City of Paris? - Otworzyła szeroko oczy. - Mój Boże! Siedemdziesiąt pięć dolarów za płaszcz! Filipie! Jak mogłeś

zrobić coś równie niedorzecznego? Bez atmosfery kolęd i świecidełek na choince w skromnym saloniku wydawało się to rzeczywiście absurdem. - Anno... - próbował jej wyjaśnić. Nie słuchała go. - Na miłość boską, Filipie, nakupiłeś wszystkiego za ponad czterysta dolarów. Chyba straciłeś rozum. Jak mogłeś coś takiego zrobić? Nagle uświadomił sobie, że Anna od niepamiętnych czasów nie kupiła sobie nowej sukienki. - Chyba faktycznie trochę przesadziłem... - Przesadziłeś? Zupełnie zwariowałeś! Borykamy się z brakiem pieniędzy, a ty wydajesz tyle na rzeczy dla Evie. Gdzie ona ma niby chodzić w tych eleganckich sukienkach? Zakłopotany odpowiedział: - Chciałem, żeby Evie długo pamiętała te święta. - Ależ to bzdura, jakiej w życiu nie słyszałam! Ona ma dopiero trzy lata! Odpowiedź miał na końcu języka, kiedy Anna otworzyła kolejną torbę. - Ooo?... a to co jest? Toster. Czy to też dla Evie? - Nie, to dla ciebie - odparł wiedząc, że jest niesprawiedliwy. - Nie mogłem już dłużej znieść twoich narzekań, że stary przypala ci tosty. - Ach tak. Więc to prezent dla mnie? - krzyknęła. - Nie miałam pojęcia, że jesteś taki gruboskórny. Przez wszystkie lata naszego małżeństwa nie kupiłeś mi przyzwoitego prezentu. Ja też coś znaczę i, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to powiem, że ja też się liczę, nie tylko Evie. Radość dnia, który dla Filipa zaczął się tak cudownie, nagle rozwiała się. Wiedział, że zawinił i to go jeszcze bardziej rozzłościło. - Nie mogę wprost uwierzyć, że żałujesz własnej córce szczęśliwych świąt. Chyba jesteś zazdrosna, Anno. - Zazdrosna! - wykrzyknęła bliska płaczu. - Jak śmiesz coś takiego mówić! To niesprawiedliwe. Nie chodzi mi o to, że kupiłeś jej ubranka - choć Bóg jeden wie, czy ich naprawdę potrzebuje. Ale nie musiałeś pójść do City of Paris. Spójrz na te ceny! Rowerek za sześćdziesiąt pięć dolarów. Filipie, nie widzisz, jakie to absurdalne? Wystarczyło zapytać, powiedziałabym ci, że Ruthie obiecała mi stary rowerek Jeremiego. - Do diabła z tym! - wybuchnął Filip. - Nie dyktuj mi, co powinienem, a czego nie. Będę kupował zabawki mojemu dziecku, kiedy tylko zechcę. Wciąż jeszcze jestem głową rodziny. - Więc uważasz, że spisałeś się na medal? Jak to się zdarza w małżeńskich sprzeczkach, Anna z Filipem posunęli się za daleko. Oboje wywlekali teraz prawdziwe i wymyślone winy. Wypowiadali najokropniejsze myśli, jakie im przyszły do głowy, by tylko się zranić, aż w końcu Anna wybuchnęła: - Wiem co chcesz udowodnić, Filipie, że nie poniosłeś porażki. Filip upuścił mały niebieski płaszczyk. - A więc tak myślisz, Anno? - Sam nie wiedział, kiedy ta awantura się rozpetęła. Nie mógł patrzeć na Annę zalaną łzami. Nic więcej nie mówiąc, złapał marynarkę i wyszedł z domu. Słowa Anny dotknęły go do żywego. Wierzyła, że nigdy nie będzie w stanie odpowiednio ich zabezpieczyć finansowo. W głębi serca czuł, że ona ma rację. Tak jak insynuował Kenny, był przegrany. Jak mógł ją winić, że się zezłościła? To nie z powodu dzisiejszej ekstrawagancji; musi pogardzać nim od lat. Annę w równym stopniu nękały wyrzuty sumienia. Jak tylko zamknęły się za nim drzwi, wybuchnęła płaczem. Mój Boże, zachowałam się jak Stella. Zrobiła się ze mnie jędza. Wiedziała, że Filip stara się jak może i że potrzebuje jej wsparcia. Skurczyła się w sobie na myśl jak bardzo go poniżyła. Dałaby wszystko, by nie padły te słowa. Siedziała rozmyślając, łzy zaschły jej na policzkach, aż wreszcie usłyszała jak otwierają się frontowe drzwi. Bez słowa padli sobie w ramiona. Nie było już dłużej ważne, kto miał rację, a kto nie. Anna przerywała milczenie, trzymając jego twarz w dłoniach. - Nie mówmy sobie więcej takich rzeczy. To strasznie boli. - Nie powiemy, już nigdy - wyszeptał. W tej chwili oboje wierzyli w swoje obietnice. Rozdział dwudziesty piąty Puścili tę kłótnię w niepamięć. Anna wypełniała swoje dni pracą w domu, gotując, zabierając Evie do

parku, do Zoo czy do pediatry. Rzadko miała czas na rozmyślenia. Pewnego dnia, gdy Evie miała już prawie cztery lata, lekarz zalecił, by Anna zapisała ją do przedszkola. - Spędza zbyt dużo czasu z dorosłymi. Przez cały dzień jest albo z tobą, albo z Simonem, a wieczorem z Filipem. Potrzebuje towarzystwa rówieśników. Anna posłuchała rady, lecz kiedy z teściem zabrali Evie do kościoła, gdzie zbierała się grupa przedszkolaków, dziewczynka w ogóle nie chciała tam wejść. - Nie chcę tu zostać, mamusiu. Nie mogę iść do domu z tobą i z dziadkiem? - Kochanie, patrz, jakie tu są śliczne zabawki. Czyż to nie cudowne bawić się nimi? Evie potrząsnęła główką chowając twarz w fałdach spódnicy Anny. - Evie, skarbie... - powiedziała Anna bezradnie. - A jeśli Simon z tobą zostanie? - zapytał Simon. - Zostałabyś? Anna rzuciła na niego niespokojne spojrzenie. Czy to dla niego nie za wielkie obciążenie przebywać wśród hałaśliwych dzieci? Wydał się zachwycony, kiedy Evie podniosła na niego pełne nadziei oczy. - O tak, dziadku! Czy zostaniesz ze mną przez cały czas? Wrócili tego popołudnia bardzo szczęśliwi i odtąd dziadek towarzyszył jej każdego dnia. Evie wkrótce przyzwyczała się do dzieci, a przedszkolanka zaproponowała Simonowi, aby został na dłużej do pomocy. Był zachwycony i nadal codziennie dreptali razem. Nowa rola dawała Simonowi odrodzone poczucie wartości. Dzieci nie mogły się wprost doczekać jego przyjścia. Simon znalazł w życiu nowe cele. Co ważniejsze, między nim a Evie wytworzyła się szczególna więź. Anna cieszyła się widząc teścia uszczęśliwionego. Ponieważ Evie z Simonem spędzali całe przedpołudnia poza domem, po raz pierwszy od lat miała czas dla siebie. Po uporządkowaniu małych pokoików i przygotowaniu obiadu, pozostawały jej długie godziny na rozmyślanie o przyszłości. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek będą mieli pieniądze na kupienie domu czy odnowienie starego apartamentu Coulterów. Do tej pory zajmowali z Filipem jedną sypialnię, Evie mieszkała w dawnym pokoiku Filipa, a Simon spał na składanej kanapie w saloniku. Ponieważ była biedna przez całe życie, zapewniała kiedyś Filipa, że zadowolony będzie czymkolwiek. Wtedy była tak zakochana, że tryskałaby szczęściem, mieszkając nawet w namiocie. Teraz zastanawiała się, czy ich sytuacja finansowa kiedykolwiek się poprawi. Od czasu tych nieszczęsnych świąt nigdy nie rozmawiali o pieniądzach, ale Anna zdawała sobie sprawę z tego, że pewnego dnia będą musieli stawić czoła faktom: Filip miał trzydzieści osiem lat. Pracował u Kenna od siedmiu lat i nie było podstaw, by mógł liczyć na awans w swoim zawodzie. W międzyczasie Evie powoli dorastała, a Anna wiedziała aż nazbyt dobrze, co to znaczy być młodą dziewczyną bez modnych strojów i bez ładnego domu, w którym można przyjmować przyjaciół. Poza tym chciała odłożyć pieniądze by Evie mogła kształcić się w college'u. Filip nie podzielał tych trosk i Anna wydawała się być tym dotknięta. Większość jej rówieśniczek ze szkoły średniej miała piękne domy; niektóre przeprowadziły się na przedmieścia do rezydencji wiejskich z basenami i kortami tenisowymi. Ich mężowie nieźle dorobili się podczaspowojennego boomu. Anna zerwała kontakty z nimi. Budżet Coulterów nie wytrzymałby jądania w mieście, a dawne koleżanki Anny ubierały się w zbyt wykwintnych, jak na jej kieszeń - sklepach. Nie utrzymywali nawet kontaktów towarzyskich z Ruthie i Kennem. Wytworzyło się w ich stosunkach pewne skrępowanie. Anna nie obwinała Kenna za to, że Filip nie awansuje, ale lojalność wobec męża nie pozwalała jej porozmawiać o tym z Ruthie. W rezultacie Anna dusiła wszystko w sobie. W rozmowach z Filipem nie poruszali wprost pewnych tematów lub w ogóle ich unikali. Od dawna już nie dzielił z nią swoich marzeń - jeśli w ogóle jakiegokolwiek miał. Kilka razy poruszyła sprawę podwyżki lub możliwość zmiany pracy, ale Filip tylko zachnął się i powiedział: - Robię co

mogę, Anno. Takie rozmowy zwykle doprowadzały ją do płaczu. Potem, nieco spokojniej powtarzał zawsze, że nie dba o to, iż nie dorównuje Jonesom, czy Goldbergom, a Anna próbowała odsunąć od siebie myśli o przeprowadzce do ładniejszego domu, aż pewien incydent pobudził w niej skrywane niezadowolenie. Późną wiosną 1954 roku Anna otrzymała zaproszenie do Newmanów. Nawet nie wiedziała, że kupili nowy dom. Spojrzała na adres - Washington and Cherry - w sercu Pacific Heights! Zebrał w niej nieopanowany gniew. Kenny najwidoczniej ma niezłe dochody w firmie, skoro stać ich na dom. śmieszne; sądząc z tego, co mówił Filip interes jest raczej w zastoju. A może tylko tak powiedział, by pozbyć się jej niewygodnych pytań, dotyczących własnych perspektyw. Przyjęcie rozwinęło się już na dobre, kiedy Anna z Filipem zaparkowali samochód przed domem skrzącym się od wielobarwnych świateł. Francuska służąca w czarnym kostiumie i świeżym organdyowym fartuszk z falbanami, z gracją odebrała od nich płaszcze. Anna i Filip rozglądali się po imponującej sali z katedralnym sufitem. Kryształowe żyrandole połyskiwały nad ich głowami, świece podświetlały efektowne bukiety róż i orchidei, które co kawałek ozdabiały obszerną klatkę schodową. Anna próbowała bezskutecznie wyobrazić sobie małą Ruthie, z którą dorastała, jak schodzi tymi schodami. Dom był taki oficjalny i strojny zarazem. Gdy jej przyjaciółka podeszła, by ich przywitać uświadomiła sobie, że Ruthie też się zmieniła. Rozjaśniła sobie włosy na jasny blond, a pokryta cekinami sukienka uwidaczniała figurę znacznie subtelniejszą niż ta, którą Anna pamiętała. - Wyglądasz prześlicznie - powiedziała półgłosem próbując stłumić zazdrość. - A dom jest wspaniały. - Podoba wam się? - powiedział Kenny podchodząc, by ich powitać. - Wejdźcie i czujcie się jak u siebie. Nie pozwólcie też próżnować barmanowi. - Wziął Ruthie pod ramię i odszedł, zostawiając Annę wśród pozostałych gości. Filip stał ponury, nie mniej zestresowany niż ona sama. Kiedy czekali przy barze na drinki, Anna rozpoznawała znajome twarze. Czy to nie Polly Schwartz - nie, obecnie Polly Greenberg - ze swoim mężem, Ronem? Pojawiła mu się łysina, ale jest dobrze ubrany, wygląda dostatnio. Ron i Polly przeprowadzili się z trójką dzieci do Atherton. Ron został wiceprezesem banku, który razem ze współnikiem założył zaraz po wojnie. Polly jest teraz blondynką, tak jak Ruthie. Włosy blond muszą być w modzie tego roku. Polly w każdym razie wygląda świetnie. Nikt by nie powiedział, że jest matką trojga dzieci - ma świetną figurę. Była też Sheila Levy. Nosiła nadal ciemne włosy, ale wyglądała bardzo elegancko w jasnoczerwonej sukience i rubinowych kolczykach. Jej mąż, Morris, był maklerem i doszło do Anny, że kupili nowy dom w Burringame. Anna przypomniała sobie, jak Ruthie, Polly i Sheila były jeszcze w szkole, jak chichotały, szeptały do siebie i posyłały liściki podczas lekcji. W tych czasach żadna z nich nie miała pieniędzy. Wszystkie nosiły ubrania z drugiej ręki i oszczędzały każdy grosz na kino czy na lody. Przyglądając się im, Anna uświadomiła sobie, jak dalece została w tyle. Spojrzała na Filipa, który pomimo swoich blizn wciąż był najprzystojniejszym mężczyzną na sali. Gdyby Anna umiała czytać w jego myślach, zdałaby sobie sprawę, że jemu jeszcze trudniej było odnaleźć się wobec przepychu i bogactwa w jakie opływali ich przyjaciele. Pamiętał ten urwisty brzeg morza z jego dawnymi urokami i czuł, że wszystkie rezydencje są tu nie na miejscu. Wiedział również, że jest oceniany miarą swojego sukcesu. Co z tego, że są bogaci? - myślał wodząc wzrokiem po luksusowo urządzonym salonie Kenna. Czy pieniądze rzeczywiście tak wiele znaczą? Wtem zauważył Annę, która w swojej beżowej sukience wyglądała jak wróbel w stadzie pawi. Z pewnością zasługiwała na wykwintniejszy strój. Lecz mimo wszystko całe to zbiorowisko pań w

nieskazitelnych kosztownych kreacjach nie dorównywała Annie urodą. Podszedł i objął ją ramieniem, na co odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. W dwie godziny później odetchnęła z ulgą, kiedy zdecydowała, że na nich już czas. Późną porą, leżąc w łóżku, Anna zastanawiała się, dlaczego umyka im tyle rzeczy, z których korzystają Ruthie i Kenny. Nie chodzi o piękny dom i piękne stroje. Są z Filipem tacy wyizolowani. Jako dziewczyna zawsze otoczona była gronem przyjaciół, a i tuż po ślubie, chociaż byli biedni - też lubiła towarzystwo. Co się stało? Mówiono powszechnie, że spośród wszystkich kolegów z klasy Filip ma największe szanse na zrobienie kariery. Był błyskotliwy, przystojny utalentowany ale po powrocie z wojny stracił wszelkie ambicje. Anna nie miała wygórowanych wymagań, lecz dzisiaj, leżąc bezsennie aż do świtu, wiedziała, że chce czegoś więcej od życia, niż miała przez ostatnie lata. I jeśli Filip nie zdoła jej pomóc, no cóż, weźmie to w swoje ręce. Pracowała już uprzednio i lubiła stawiać czoła przeciwnościom. Ponieważ Evie idzie do szkoły we wrześniu, Anna poszuka sobie pracy. Nazajutrz po wyjściu Filipa, Anna ubrała się starannie. Robiąc makijaż, pomyślała sobie, że nie ma wyboru. Nawet jeśli zrani dumę Filipa będzie szukać pracy, choć drżała, pamiętając jak bardzo nie chciał, by pracowała u Magnina. Simon zmywał w kuchni naczynia, a Evie wycierała je. Anna przyglądała się im z poczuciem winy na myśl, że będzie miała mało czasu dla swojej córeczki. Jej oczy powędrowały po małej, ciemnej kuchni z brązowym linoleum, odrapanymi i poplamionymi ścianami. Minęło wiele lat od chwili, kiedy odnawiały ją razem z Ewą. Widok tych ścian umocnił jej postanowienie. Wszystko ma swoją cenę, a jeśli ich sytuacja finansowa ma się poprawić, ona musi wziąć to na siebie. Z tą ponurą filozofią Anna zdecydowała, że jej poświęcenie musi się opłacić. Ucałowała Simona w policzek, wzięła Evie na ręce i czule ją przytuliła. - Mamusia musi wyjść do miasta. - Czy mogę iść z tobą? - Nie tym razem, kochanie. Chcę, żebyś została z dziadkiem. - Dlaczego, mamusiu? A gdzie idziesz? - Hmm... do salonu fryzjerskiego. - Ja lubię chodzić do salonu fryzjerskiego. Czy mogę pójść z tobą? Będę grzeczna. - Nie, Evie. Już powiedziałam, że nie mogę cię zabrać. - Anna odwróciła się, by nie widzieć rozczarowania Evie i zdziwienia Simona. Wychodząc dodała: - Wrócę do domu około południa. Czekał na autobus wyjęła ogłoszenie, które znalazła we wczorajszej gazecie. "Jeśli masz wolny czas i chcesz zarobić przyjdź do nas osobiście. Violet Cunningham, 221 Chestnut Street, S. F. Obrót nieruchomości. Oferujemy nieograniczone możliwości dla kobiet z motywacjami. Nie wymagamy doświadczenia - sami zapewniamy szkolenie". Przed wejściem do biura Anna wzięła głębszy oddech. Nie było tam recepcji, a wszyscy w zasięgu wzroku byli niezwykle zajęci. Jedni prowadzili rozmowy telefoniczne, inni pisali coś zawzięcie. Anna stała przez moment niezdecydowana. Wtem dostrzegła biurko, a na nim wygrawerowany szyld z napisem Violet Cunningham. Panna Cunningham właśnie rozmawiała przez telefon, Anna miała więc trochę czasu, by się jej przyjrzeć. Miała na sobie beżowy kaszmirowy sweterek, ozdobiony krótkim sznurem pereł. Jej przyprószone srebrem włosy upięte były w staranny kok. Położyła w końcu słuchawkę, zrobiła kilka szybkich notatek i spojrzała na Annę pytająco. - Dzień dobry, pani Cunningham. Nazywam się Anna Coulter. Przeczytałam pani ogłoszenie i zgłosiłam się, bo szukam pracy. - Miło mi panią poznać, pani Coulter - odparła Violet z uśmiechem. - Proszę usiąść. Czy ma pani jakieś doświadczenie w handlu nieruchomościami? - No, nie. Ale bardzo mi zależy, by pracować w tej dziedzinie. Z pewnością szybko się wszystkiego nauczę. Zawsze marzyłam, by zostać pośrednikiem - kłamała. - Wie pani, tak jak niektórzy marzą o karierze filmowej. Violet słuchała, oceniając Annę przenikliwym wzrokiem. Ta

młoda kobieta prawdopodobnie nigdy zawodowo nie pracowała. Była piękna, atrakcyjna i niewątpliwie wcześniej wyszła za mąż. Tylko tak pospolite kobiety jak Violet Cunningham pozostają samotne, więc dlaczego Anna Coulter chce podjąć pracę? Jej kostium był niemodny i znoszony, więc nietrudno się było domyślić, że potrzebuje pieniędzy. No cóż, potrzeba jest wielką motywacją i Violet zdecydowała, że zaryzykuje. Płaciła pracownikom za ilość zleceń; gdyby ta Coulter nawet się nie sprawdziła, agencja nie poniesie wielkich strat. Violet uśmiechnęła się do Anny. - Jak dobrze pani zna Marinę? - zapytała. - Bardzo dobrze - odpowiedziała Anna żywo. - Mieszkałam tam zaraz po ślubie, a w San Francisco mieszkam od urodzenia. Pamiętam nawet, kiedy duża część tej dzielnicy nie była zabudowana po wyburzeniu budynków wystawowych Panama Pacyfic. Violet wiedziała, że Anna chce zrobić na niej wrażenie i doceniała jej entuzjazm. - To dobrze, że lubi pani Marinę, bo specjalizujemy się właśnie w tej dzielnicy. Mamy stały popyt, a ceny ustawicznie idą w górę. Zajmujemy się sprzedażą i wynajmem. Na wynajmowaniu nie robi się kokosów, ale zarobi się na życie. Mieszkania sprzedają się dobrze, gorzej jest z domkami jednorodzinnymi. Czasami czeka się na klienta miesiącami. Innym razem trafi się klient, ale bank odmawia mu kredytu. W rezultacie traci się dużo czasu. Czy jest pani przygotowana na tego typu stresy? Anna bardzo dobrze знаła smak frustracji. Odpowiedziała więc spokojnie. - Oczywiście byłabym zawiedziona. Ale nie byłby to powód, by skoczyć z mostu Golden Gate. Sądzę, że takie sytuacje leżą w naturze agencji handlowych. Violet zaśmiała się, ubawiona tą odpowiedzią. - Żeby pani nie zniechęcić muszę przyznać, że z wynajmem nie ma problemów. Mamy długą listę chętnych, bo chociaż Marina jest drogą dzielnicą, wielu pragnie tam mieszkać. Jest stamtąd blisko do centrum i są dobre warunki do wychowywania dzieci. Ceny poszły prawie dwukrotnie w górę w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wynajmujemy w granicach osiemdziesięciu do stu pięćdziesięciu, mieszkania sprzedajemy od tysiąc osiemset do dwóch tysięcy osiemset, a ceny domów wahają się w granicach od dziesięciu do trzydziestu tysięcy. Ceny te zdumiewały Annę. Gdyby mieli z Filipem dziesięć tysięcy - czuliby się milionerami. Przytaknęła tylko, jakby chciała tym wyrazić, że się orientuje w cenach. - Tak, Anno - dodała Violet Cunningham - jeśli cię przyjmę i się sprawdzisz, zapewnię ci szkolenie. Ale oczekuję, że potem u mnie zostaniesz. Anna prawie nie zauważyła groźby w jej głosie. Dotarło do niej tylko, że ma pracę. - Musi pani wiedzieć - Violet kontynuowała - że chociaż jesteśmy najlepszą agencją w mieście, nie będzie pani na początku dużo zarabiała. Upłyną co najmniej trzy miesiące, zanim zaczniesz zdobywać klientelę i dopiero wtedy zamówienia zaczną napływać. Viola obserwowała Annę, by dostrzec jej reakcję. Podniósłszy głowę, Anna odpowiedziała: - No cóż, na szczęście mój mąż jest prawnikiem. Mogę więc trochę poczekać. Violet była zbyt bystra, by dać się łatwo nabrać. Może pan Coulter jest adwokatem, a Annie zbyt zależało na tej pracy, by traktować ją jako hobby. Nie, widocznie ostatnimi czasy mąż Anny ma jakieś kłopoty - albo nie układa im się - ale to będzie bodziec, który sprawi, że będzie lepiej pracować, zostawać po godzinach. Im dłużej się zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że robi dobre posunięcie zatrudniając Annę. - W porządku. Kiedy pani chce zacząć? Jutro? - Nie, jutro nie mogę! - wykrzyknęła zrozpaczona. Nie miała pojęcia, że Violet potrzebuje ją od zaraz. - Moja córeczka zaczyna szkołę w następny poniedziałek, czy mogłabym zacząć za tydzień od wtorku? Violet ukradkiem uśmiechnęła się, zauważyła w zachowaniu Anny ujmującą prostolinijność. - Dobrze, zgoda. - Bardzo pani dziękuję, pani Cunningham. Nie wyobraża sobie pani, z jaką chęcią będę u pani

pracować. Zanim Anna wyszła, Viola była już przy telefonie, zakryła słuchawkę i wykrzyknęła: Anno, niech pani nie zapomni załatwić licencji i proszę mi ją przynieść we wtorek do podpisu. Nie mając pojęcia o jaką licencję chodzi i w jaki sposób może ją zdobyć, Anna odpowiedziała tylko - Dobrze, jeszcze raz dziękuję. Weszła do małej kafejki, by się uspokoić. Filip wiedziałby gdzie załatwić licencję, ale bojąc się jego reakcji, kiedy powie mu, że idzie do pracy, postanowiła zrobić dochodzenie na własną rękę. Pójdzie do Rady Miejskiej. Spojrzała na zegarek. Było po dwunastej, zdecydowała, że będzie lepiej, jeśli zadzwoni do domu. Minutę później usłyszała głos Evie w słuchawce: - Dom państwa Coulterów. - To mama, skarbie. Jak się masz? - Dobrze, mamusiu, ale dziadzio chce, żebyś już wróciła do domu. - Nie mogę jeszcze, Evie. - Jesteś w salonie fryzjerskim? - Taaak, Evie. Nie jestem jeszcze gotowa. Daj mi na moment dziadka. - Anno, kochanie, jak się masz? - Dobrze, tato, ale spóźnię się. Czy mógłbyś zrobić Evie coś do jedzenia? - Oczywiście, Anno. Nie martw się o to. - Dziękuję tato. Zajmie mi to jeszcze około godziny. Włosy mi jeszcze całkiem nie wyschły. Oczekiwanie Simona bardzo ją upokarzało. Ale nie było na to rady. Musi czym prędzej zdobyć tę licencję, zanim straci odwagę. W latach pięćdziesiątych zdobycie licencji pośrednika w handlu nieruchomościami nie stanowiło najmniejszego problemu. Anna odnalazła tablicę ogłoszeń w radzie miejskiej i udała się na drugie piętro. W kwadrans później, po wypełnieniu formularza, uzyskała cenne pozwolenie. Poczula się niezmiernie dumna, kiedy przeczytała: "Stan Kalifornia udziela niniejszym pozwolenia Annie Coulter na prowadzenie działalności pośrednika w sprzedaży nieruchomości". Było tam jeszcze więcej słów, ale jej wystarczyło zobaczyć własne imię. Anna Coulter, nie - pani Filip Coulter. W stanie Kalifornia będą się liczyć jej własne zasługi. Tego popołudnia postanowiła przyrządzić imponujący obiad. Przygotowała sałatkę z krabów z autentycznym sosem Roquefort, francuskie bułki oraz nadziewane kapłony z dzikim ryżem, którego praktycznie nigdy nie kupowali. Stół przystroiła świecami i różami. Filip tylko spojrzał na stół i od razu zapytał: - A co to za szczególna okazja? Przecież nie obchodzimy dzisiaj naszej rocznicy. - No, nie. Ale pomyślałam, że należy nam się mała uczta. - To rzeczywiście uczta - powiedział Filip, zjadając swojego kraba z apetytem. Anna wzięła głębszy oddech i rozluźniła się nieco. Następnie Filip powiedział: Jedz Evie. Co z tobą, nie smakują ci kraby? - Nie lubię tych skorupki! - Evie, nie ma tam żadnych skorupki. Mamusia obrała ci całego kraba - wyjaśniła jej Anna. Evie wykrzywiła się i próbując wymijających taktyk obwieściła: - Tatusiu, mamusia była dzisiaj u fryzjera. Podobają ci się jej włosy? Filip podniósł wzrok. - Byłaś u fryzjera, Anno? Nie zauważyłem żadnej zmiany. Anna nie mogła już dłużej oszukiwać. - Nie, Filipie, nie byłam u fryzjera. - Ależ byłaś, mamusiu! Przecież tak mi powiedziałaś! - Kochanie, zmieniałam plany. Musiałam załatwić coś innego - spojrzała na Filipa i widząc jego pytający wzrok, czuła, że wszystkie przećwiczone zdania uleciały jej z głowy. - Dostałam dzisiaj pracę - zdradziła swoją tajemnicę. Filip zmierzył ją wzrokiem. - Czy z tego powodu ta uczta? - Tak, Filipie - odpowiedziała z poczuciem winy. Filip nie zareagował od razu. Wyglądał na nie poruszonego tą wiadomością, ale w istocie był wściekły. Anna postawiła go przed faktem dokonanym, a potem mu to oświadczyła. Gdyby po prostu przyszła i powiedziała - Filipie, chciałabym znaleźć sobie pracę - znacznie mniej by go to bolało. - Anno, dlaczego nie porozmawiałaś o tym ze mną wcześniej? - Filipie, zawsze byłeś nieubłagany, jeśli chodzi o moją pracę. Czy naprawdę coś by to zmieniło, gdybym cię uprzedziła? Nie, do diabła, niczego by

to nie zmieniło, kiedykolwiek by mu to powiedziała. Wzdrygał się na myśl, że Anna musi iść do pracy, ponieważ on nie jest w stanie zarobić na dostatnie życie. Ale była to prawda. Jego pensja nie wystarczała na ich utrzymanie. Była to gorzka pigułka, którą należało przełknąć. Anna naprawdę była zmuszona iść do pracy. Nie było sensu nad tym dyskutować. - Co zamierzasz robić, Anno? - zapytał cicho. - Dostałam pracę w biurze prowadzącym obrót nieruchomościami w Marinie. - A jak sobie poradzisz pracując i prowadząc jednocześnie dom? - Jeśli chcę coś osiągnąć, muszę dać z siebie maksimum wysiłku. Simon, który obserwował tę wymianę zdań z pewnym niepokojem, pomógł Evie wstać od stołu, zanim jeszcze skończyła swoją porcję kurczaka. Zabrał ją do sypialni, by jej opowiedzieć bajkę. Wiedział, że Filip z Anną powinni zostać sami. Simon w stu procentach trzymał stronę synowej. Przez całe lata problemy rodziny Coulterów spoczywały na niej. Spisywała się świetnie jako żona i jako matka. Ponadto Anna była uczuciowym centrum ich domu, źródłem siły, sercem. Tę decyzję podjęła dla dobra rodziny i Simon popierał ją z całego serca. Filip prawie nie zauważył, kiedy Simon wyszedł. - Przykro mi, Anno, że musisz iść do pracy. Anna wiedziała, że sprawia mu to ból. - Mnie też jest przykro - rzekła Anna. - Nie uprzedziłam cię, bo wiedziałam, że to cię zaboli. Ale prawda jest taka. Chociaż bardzo cię kocham, już dłużej tak nie mogę. Evie jest coraz starsza. Pewnego dnia chciałabym kupić dom. A co z kolegą Evie? To wszystko dotyczy nas obojga. - I nie widzę powodu, dla którego nie miałabym pomóc ci w realizowaniu naszych planów. - To moja wina, Anno. To ja powinienem zarobić na nasze potrzeby - wymamrotał Filip. - Filipie, tu nie ma mowy o żadnej winie. To dotyczy nas obojga, nieprawdaż? Jeszcze nie skończyła mówić, a już wiedziała, że jej słowa ulatują w próżnię. Tej nocy, kiedy położyli się do łóżka, Filip odwrócił się do niej tyłem i chociaż więcej nie poruszał tego tematu wiedziała, że długo jeszcze nie wybaczy jej, że zraniła jego dumę. Rozdział dwudziesty szósty Chociaż Evie poszła do szkoły bardzo chętnie, Anna zaczęła pracę z ciężkim sercem. Oskarżające spojrzenia Filipa przekonały ją, że zaniedbuje swoje dziecko, choć Simon obiecał odprowadzać Evie do szkoły i codziennie czekać na nią przed wyjściem. Od momentu wręczenia pannie Cunningham licencji miała tyle pracy, że nie miała czasu o tym myśleć. W drodze do domu odczuwała pewną dumę, ale uważała, by nie dać Filipowi odczuć, że cokolwiek się zmieniło. Gdy Filip wszedł, zapytała jak mu minął dzień. Obiad był gotowy punktualnie o 18:30, a rozmowa jak zwykle dotyczyła Evie. Czy podoba jej się nowa piłka? Czy wolałaby kanapki z masłem orzechowym czy spaghetti na jutrzejszy lunch. Potem Filip oglądał telewizję, Simon położył Evie spać, a Anna zmywała naczynia. Nawet słowem nie wspomniał o jej pracy. Wobec jego milczenia, Anna położyła się spać z mniejszym poczuciem triumfu. Przez kolejne trzy dni Anna siedziała przy biurku udając, że jest bardzo zajęta, podczas gdy inni agenci bez przerwy prowadzili rozmowy telefoniczne. Choć uświadamiała sobie, że jest to jej pierwszy tydzień, nie mogła odsunąć od siebie niepokojów. Violet od czasu do czasu rozwiewała jej obawy - to się zmieni za tydzień lub dwa - ale Anna wciąż się martwiła. W drugim tygodniu pojawił się nowy problem. Wymagano od pośredników, by pracowali na zmianę w niedzielę przy telefonie i Anny dyżur wypadł w następny weekend. Bojąc się reakcji Filipa czekała z tą wiadomością aż do niedzielnego śniadania. Tym razem, jakkolwiek by się nie wściekł, miałby rację. Niedziele zawsze spędza się w gronie rodziny - przynajmniej w szczęśliwych rodzinach. - Muszę iść do biura - powiedziała z poczuciem winy po wypiciu kawy. Filip spokojnie przyjął tę wiadomość, lecz Evie zaprotestowała: - Eeee, mamusiu, nigdy cię nie ma w domu.

Anna siliła się na dowcip: - Evie, spędzisz miło czas z tatusiem i dziadziusiem. Tak, jak zawsze to robisz. - Ale byłoby weselej, gdybyś była z nami. Z trudem powstrzymując łzy Anna uśmiechnęła się i powiedziała: - W następną niedzielę. W porządku? Evie, zwykle tak posłuszna, zrobiła buntowniczą minę: - Nie, wcale nie w porządku. Po śniadaniu Filip poszedł z Evie po gazetę, a Anna zwróciła się do Simona: - Evie naprawdę przeżywa, że idę dzisiaj do biura. - No cóż, Anno, dużo zmian zaszło ostatnio w jej życiu. - Myślę, że źle znosi moją nieobecność. - No i zaczęła szkołę. - Tak, to prawda, ale to chyba nie jest przyczyną. Ona bardzo lubi szkołę. Jestem zaskoczona, jak szybko się przyzwyczaiła. Bałam się, że jako jedynaczka była zbyt ochraniaana. Nie, to moja praca jej przeszkadza. Strasznie się z tego powodu czuję. - Może nie powinienem tego mówić, Anno, ale mam wrażenie, że Evie naśladuje Filipa. To oczywiste, że trudno mu się pogodzić z tym, że pracujesz. - Ależ nie, tato! On w zasadzie w ogóle o tym nie wspomina. - Evie jest wrażliwą dziewczynką i jest mocno związana z ojcem. Myślę, że jej zachowanie odzwierciedla to, co czuje Filip. Anna zamilkła na dłuższą chwilę. W końcu się odezwała: - Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, to napięcie między mną a Filipem z pewnością źle na nią wpływa. Simon wziął Annę za rękę. - Anno, wszystkie dzieci muszą wiedzieć, że życie nie jest tą bajką. Co w tym złego, jeśli nawet wie, że nie zawsze się zgadzacie? Nie ma też nic złego w tym, że pracujesz. Robisz to przecież dla nas wszystkich. Szkoda, że ja nie mogę więcej z siebie dać - posmutniał. - Och, tato, proszę! Nawet nie mogłabym myśleć o pójściu do pracy, gdybyś nie opiekował się Evie - rzuciła się Simonowi na szyję i mocno go przytuliła. Chociaż pocieszała ją myśl, że Simon stoi po jej stronie, dotarła do biura w ponurym nastroju. Ledwo się tam znalazła, kiedy młoda para weszła pytając o mieszkanie do wynajęcia na Baker Street. Anna nerwowo wykręciła numer właścicieli umawiając się na obejrzenie mieszkania. W chwilę potem para złożyła podpisy na kropkowanej linii. Anna czuła się, jakby zdobyła Mount Everest. Tego wieczoru przy obiedzie nie potrafiła się powstrzymać: - Zgadnijcie co się wydarzyło! Zrealizowałam swoje pierwsze zlecenie. - Cudownie, Anno! - wykrzyknął Simon. - Moje gratulacje, kochanie - powiedział Filip cichym głosem. W piątek Anna przyniosła do domu swoją pierwszą wypłatę. Po odciążeniu pięcioprocentowego podatku, otrzymała okrągłą sumkę dwudziestu dolarów. Nie wiedziała czy śmiać się, czy płakać. Te dwadzieścia dolarów z pewnością nie były warte jej wszystkich poświęceń, ale to dopiero początek. Z upływem czasu życie u Coulterów wyłożyło się, Filip i Evie nie byli zachwyceni jej wielogodzinnym przebywaniem poza domem, ale przynajmniej się z tym pogodzili. W pierwszym miesiącu zarobiła osiemdziesiąt dolarów. W następnym już sto pięćdziesiąt. W trzecim miesiącu sprzedała pierwszy dom. Ta transakcja plus wynajęcie dwóch sklepów i kilku mieszkań sprawiły, że koperta z wypłatą Anny nawet po odliczeniu pięciu procent dla Violet, była zachęcająco gruba. Wszystko wskazywało na to, że odniesie sukces w swojej nowej pracy. Odkryła, że lubi zawieranie transakcji i że ma prawdziwy talent do negocjacji. Pewnego dnia przyniosła do domu książeczkę oszczędnościową i poprosiła Filipa, by podpisał pełnomocnictwo. Chciała, żeby wiedział, że wszystko co robi, robi dla nich dwojga. Filip wziął książeczkę i szybkim, nerwowym ruchem podpisał się. Następnie w milczeniu podał ją Annie. Westchnęła, ale nie pozwoliła zepsuć sobie humoru. Jeśli teraz nie docenia jej wysiłków, doceni je w przyszłości. Zauważyła, że godzi obowiązki rodzinne ze swoją pracą lepiej niż myślała. Chociaż chodziła do biura we wszystkie dni oprócz niedziel, Filip ledwo dostrzegał, że jego żona pracuje. W weekendy organizowali sobie różne wyprawy. W pogodne dni chodzili nad ocean, gdzie Evie

mogła taplać się w lodowatych falach i budować zamki z piasku. Kiedy indziej urządzili sobie piknik w parku Golden Gate, raz nawet wybrali się na pieszą wycieczkę i zjedli obiad na otwartym powietrzu w Chang Lee's Imperial Palace. Widząc dookoła siebie szczęśliwe twarze, Anna miała nadzieje, że wszystko się ułoży. W następnych tygodniach przystąpiła do pracy ze zdwojoną energią. Obserwowała i naśladowała metody innych agentów, przysłuchując się uważnie wszystkiemu, co działo się w biurze. Przeprowadzała rozmowę za rozmową, wykorzystując każdą wskazówkę. Nie zadowalało ją już bierne czekanie na klientów. Nie zdając się na łaskę przypadku, kontaktowała się z wszystkimi handlowcami w okolicy, zbierając informacje o budynkach na sprzedaż. Inni agenci byli równie zapobiegliwi, lecz Anna Coulter rozbrajała zarówno klientów, jak i konkurentów swoją słodyczą. W przeciągu kilku miesięcy sprzedała więcej niż pozostali pośrednicy z wyjątkiem Violet. Obserwowała Annę zadowolona ze swojego "nabytku" i nawet zaczęła zastanawiać się, czy nie awansować ją na kierownika biura. Anna jednak podjęła decyzję. Uświadomiła sobie, że nigdy nie stanie się bogata, pracując dla kogoś. Nie tylko rywalizowała z siedmioma pozostałymi agentami w biurze, ale również musiała dzielić się dochodami z Violet, chociaż to ona sama dokonywała sprzedaży. Nie mówiąc nic nikomu Anna postanowiła zdobyć kwalifikacje i prowadzić biuro na własną rękę. Kupiła kilka książek o prawie i finansach w handlu nieruchomościami i zaczęła je pilnie studiować. Nie chcąc drażnić Filipa, czekała aż zaśnie i wymykała się do kuchni, gdzie czytała aż bolały ją oczy. W robocze niedziele Anna wertowała stosy papierów i spisywała adresy kontaktowe, które mogłyby być w przyszłości przydatne. Pracowała coraz wydatniej, a Violet zaczęła mieć pewne obawy co do swojej protegowanej. - Kto by pomyślał, że ta urocza, delikatna gospodyni domowa, stanie się dla niej zagrożeniem? W międzyczasie Anna miała nadzieję, że zdobędzie dla siebie lepszy środek lokomocji, by móc oglądać więcej posesji. - Filip, kochanie - zaczęła przy obiedzie - tak sobie pomyślałam... Prawdę mówiąc nie używasz samochodu w ciągu dnia. Zwykle parkujesz go rano i nie ruszasz przed powrotem do domu. - Więc? - Zastanawiałam się, czy byłbyś przeciwny temu, bym zaczęła go używać. Odwoziłabym cię do pracy i zabierała po południu do domu. Mając samochód do dyspozycji mogłabym obwozić klientów, a dla ciebie nie byłaby to żadna niewygoda. Zgodziłbyś się na to? - Prawdę mówiąc, nie zgodziłbym się. - Ależ, Filipie! Naprawdę potrzebuję samochodu. Poza tym wyglądałoby to bardziej profesjonalnie, gdybym miała swoje auto. - Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ja jestem prawnikiem i nie pozwolę sobie, żeby mnie podrzucano co rano, jakbym był dzieckiem, które odwozi się do szkoły. Anna rozżłościła się nagle, słysząc upór i bezwzględność w jego głosie. Nie było nic poniżającego w tym, co zaproponowała. Nie byli jedyną rodziną w mieście, która dzieli się samochodem. Zrobiła kolejną próbę, usiłując zachować spokój. - Filipie, wiele kobiet podwozi swoich mężów do pracy. Ja potrzebuję samochodu, a ty nie, dlaczego więc nie miałabym go używać. - Nie musisz wiedzieć dlaczego. Po prostu nie zgadzam się. Wstał zza stołu, złapał płaszcz i trzasnął drzwiami wychodząc z mieszkania. Przechadzał się jakiś czas wzdłuż Geary Boulevard. Nie chcąc przyznać się do tego, że zachowuje się nedorzecznie. Do diabła, nie pozwoli Annie sobą pomiatać. To jest jego samochód! Robi co może, by zarobić na życie, a jeśli to Annie nie wystarcza, może odejść i znaleźć sobie kogoś innego. Ale kiedy ochłonął trochę, musiał przyznać, że nie ma racji. Nie chciał nawet słyszeć o pracy Anny, ale faktem było, że ją miała. Ciężko pracuje i nigdy nie robi mu wymówek z powodu jego niezaradności. Wręcz przeciwnie, nadal bez narzekania

spełnia rolę żony, matki, przyjaciela - tak dobrze jak zawsze. Zawrócił i prawie całą drogę biegł do domu, gdzie zastał zapłakaną Annę w salonie. Podszedł do niej szybko i wziął ją w ramiona. - Tak mi przykro, najdroższa. Nie miałem racji. Naturalnie, możesz wziąć samochód. Przepraszam, że tak się wstrętnie zachowałem. Anna przylgnęła do niego i powiedziała pokornie: - Ach, Filipie, nie mów tak, bo czuję się jeszcze gorzej. Nie powinnam była w ogóle wpaść na taki pomysł. - Nie, Anno - zaczął Filip, lecz przerwała mu. - Przemyślałam to i mam lepszy pomysł. Kupmy po prostu drugi samochód. Mamy dość pieniędzy na koncie, by zapłacić gotówką, a myślę, że należy nam się coś po tych wszystkich latach. Filip zauważył, że powiedziała "mamy", a nie "mam" oszczędności. Następnego dnia zabrał ją do dealera, gdzie kupiła kasztanowego chevroleta za osiemset dolarów. Anna niechętnie uszczuplała swoje konto, ale przypomniała sobie, że samochód ułatwi jej sprzedaż, co z kolei podniesie jej dochody. Miała rację - tak było istotnie. Anna mogła skupić uwagę na swoim głównym celu - na kupnie domu. Od dziecka marzyła, by mieć własny dom. Teraz dotarło do niej, że opłacanie wynajmowanego mieszkania, to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Trzeba z tym skończyć. W wolnych chwilach, sprawdzała wszystkie niezbyt drogie domy, które pojawiły się na rynku. Nie mieli z Filipem zbyt dużej gotówki, ale pewnego dnia zdarzył się cud. Anna zaprzyjaźniła się z kierownikiem banku na Chestnut Street. Często dawał jej znać o kłopotach finansowych właścicieli nieruchomości. W zamian za to Anna wysyłała wielu klientów do niego. Teraz dał jej znać o wspaniałej okazji. Właściciel małego domku w pobliżu Fort Mason nie wywiązał się z terminami płatności i bank zajął jego posiadłość. Dom sprzedano za 10.000 dolarów, ale pozostały zastaw hipoteczny wynosił tylko 6.500. W obecnej sytuacji ekonomicznej nie było szans na to, aby sprzedać go za więcej, Anna mogła go nabyć, przejmując po prostu zastaw hipoteczny - płacąc z góry tylko niewielką sumę. Anna promieniała radością. Zastanawiała się tylko, czy Filip będzie podzielał jej odczucia. Gdy tylko skończyli obiad powiedziała; - Kochanie, stało się coś niezwykłego. - W podnieceniu wymieniła liczne zalety tego domu i wyjaśniła mu, jak tanio mogą go nabyć. - Kochanie - spytała - czy chciałbyś go dziś jeszcze zobaczyć? - Dziś? - nie okazał takiego zainteresowania, jakiego się spodziewała. - Myślę, że powinniśmy, Filipie. To taka świetna okazja, że musimy działać szybko. Evie zerwała się z krzesła i podbiegła do Anny. - Mamusiu, czy my z dziadkiem też możemy iść? Anna przytuliła ją. - Oczywiście, kochanie. To będzie przecież nasz wspólny dom. Pojechali na Bay Street. W łagodnym wieczornym świetle dom wyglądał jeszcze lepiej. Był to typowy dla Mariny parterowy, tynkowany domek z czerwoną dachówką. Był tam salonik z marmurowym kominkiem we włoskim stylu, kuchnia, pokój śniadaniowy połączony z jadalnią, trzy sypialnie i łazienka, do której przechodziło się z głównego holu. Okna najpiękniejszego pokoju wychodziły na słoneczny dziedziniec, gdzie wzdłuż płotu rosły dalie. Kiedy skończyli obchód domu, Anna uświadomiła sobie, że Filip nie odezwał się ani słowem. - Kochanie, nic nie mówisz, co o tym sądzisz. Była tak podekscytowana, jej twarz tak ożywiona, że Filip nie wiedział, jak się ma sprzeciwić. Obawiał się, że spłaty hipoteczne mogą przewyższać ich możliwości, nawet jeśli brać pod uwagę zarobki Anny. Nagle Evie wykrzyknęła: - Dziadziu! Patrz, jaka tam jest dżungla! Co miał Filip powiedzieć? Dziękuję? Dużo ci zawdzięczam? Nie, nie może być cienia urazy w jego słowach. Nie może odbierać jej tej radości. Zmuszając się do entuzjazmu odpowiedział: - Uważam, że to wspaniała okazja, Anno. - Tak, rzeczywiście. Więc myślisz, że powinniśmy go kupić? - Włożyłaś w ten dom swoje serce, prawda? - Anna przytaknęła ze smutkiem.

- Zgoda. Cóż mogę jeszcze powiedzieć? - Ach, Filipie! - Anna rzuciła mu się na szyję, nie zauważając w jego wzroku cienia, który mówił o tym, jak bardzo czuł się pokonany. Miesiąc później Coulterowie przeprowadzili się do nowego domu. Evie była zachwycona dziedzińcem, a Simon rozkoszował się swoim nowym pokojem. Nawet Filip tak silnie odczuwał radość z powodu przestrzeni i poczucia prywatności, że prawie zapomniał, że ten dom to pomysł Anny, a nie jego. Tego wieczoru, przed pójściem spać, stali w ogrodzie obok siebie. - Filip, chyba ci nie mówiłam ostatnio, jak bardzo cię kocham - Anna uśmiechnęła się do niego. - Wiesz co? - myślę, że jesteśmy najszcześniejszymi ludźmi na świecie. Filip spojrzał jej w oczy. Wszystko co mógł tam dojrzeć, to szczerość. Naprawdę wierzyła swoim słowom. Nie nosiła urazy za jego potknięcia. Więc dlaczego on miałby w to wątpić? Rozdział dwudziesty siódmy Kiedy tylko uporali się z przeprowadzką, Anna skupiła się ponownie na swojej pracy. Była już prawie przygotowana do egzaminu maklerskiego. W międzyczasie pilnie obserwowała zmiany na rynku. Był rok 1957 - okres ogólnokrajowej recesji. Pośrednicy w handlu nieruchomościami utrzymywali się głównie z wynajmu mieszkań. W Marinie stosunkowo dobrze sprzedawało się domy i mieszkania, ale klienci zrobili się oporni i wybredni. Anna rozumowała, że w obecnej sytuacji rynek należy do kupujących, a w innych dzielnicach były duże szanse na zakupy nieruchomości po niskich cenach. Miała nadzieję, że uda jej się kupić jakąś posesję, którą będzie wynajmować do czasu, aż jej się zwrócą koszty. Potem będzie mogła ją sprzedać. Codziennie przeglądała gazety, szukając okazji ogłoszeń, ale nie znajdowała nic odpowiedniego. Zastanawiała się nad sklepem z dwoma apartamentami na górze przy Union Street, ale zdecydowała, że jest za drogi. Od kilku lat w okolicy Union Street mnożyły się butiki i sklepy specjalistyczne, w miejsce starych sklepów spożywczych i zakładów szewskich. Będąc właścicielem pomieszczenia na parterze można było zrobić kokosowe interesy, ale wkrótce wszystkie lokale przy tej ulicy zostały wyprzedane. Przez kolejne tygodnie Anna nie mogła sobie wybaczyć, że przepuściła taką świetną okazję. Wszystko przez jej przesadną ostrożność. Żałowała, że nie może porozmawiać o tym z Filipem, ale z drugiej strony wiedziała, że znów poruszony zostałby drażliwy temat, kto w ich domu trzyma kontrolę nad finansami. Wahała się czy porozmawiać o tym z Violet, chociaż ufała jej osądowi. Czasami zastanawiała się, czy Violet rzeczywiście ją lubi czy tylko toleruje, ponieważ jest dobrym pośrednikiem. Chociaż nigdy nie była dla niej nieuprzejma, Anna wyczuła ostrą nutę w jej głosie po zakończeniu przez Annę szczególnie trudnej transakcji. Zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, że Violet jest zazdrosna. Od trzydziestu lat zdobywa doświadczenie, a Anna Coulter pojawiła się i w ciągu trzech lat doprowadziła biuro do rozkwitu. Było to dziwne, ale Viola po prostu nie mogła nie lubić Anny, która - to trzeba jej przyznać - nigdy nie wykorzystywała swojej urody i wdzięku w transakcjach z klientami. Anna była prawie zdecydowana zwrócić się do Violet ze swoim problemem, kiedy dokładnie taka sama posesja pojawiła się na rynku. O ile Nowy Jork znany był z brązowej kamiennej zabudowy, San Francisco miało swoje wiktoriańskie budowle o strzelistych sylwetkach, doskonale wkomponowane w panoramę słynnych wzgórz. Począwszy od lat dwudziestych te piękne domy stopniowo popadały w ruinę. Od końca lat trzydziestych aż po lata pięćdziesiąte przestano się nimi interesować na korzyść nowoczesnych budynków; ogromne sumy pieniędzy inwestowano na Półwyspie Marin Counti. Anna miała przecucie, że moda na mieszkanie w samym centrum miasta odżyje. Zauważyła, że odnowa zabytków stała się sprawą polityczną i że Rada Miejska coraz częściej poruszała sprawę

zachowania "naszego dziedzictwa". Pewnego popołudnia Anna przechadzała się po Western Addition. Sprawdziała budynki przeznaczone do konfiskaty i odszukując je według listy zobaczyła wielki wiktoriański dom. Fasada była niesamowicie piękna - z wykuszowymi oknami, ozdobnymi sztukateriami i łukowatym portykiem opartym na kolumnach, a wszystko razem sprawiało wrażenie wielkiego przepychu. Anna orzekła, że dom jest wspaniały, pomimo porozbijanych szyb, brudu i złowieszczo przekrzywionej frontowej werandy. Obeszła dom dookoła omijając stare opony, puszki po oleju, które zaśmiecały zwirowaną drogę. Miał kamienne fundamenty, więc chyba nie zapadł się bardzo. Instalacja wodna prawdopodobnie nie była zmodernizowana, ale przynajmniej z zewnątrz nie wyglądało to najgorzej. Stara kobieta wyszła z sąsiedniego domu powłócząc nogami i zapytała: - Czego pani tu szuka? Chce pani kupić tę ruinę? Anna odpowiedziała jej uśmiechem. - To dom starych Hamptonów - rzekła kobieta. - Mieli sklep z narzędziami. - Tak, istotnie, Hampton Hardware! Pamiętam to jeszcze z dzieciństwa. - Tak, tutaj żyli ci starzy bogacze. On się nazywał James Hampton. Dom jest bardzo ładny w środku. Mosiężne klamki, piękne podłogi. To znaczy, jeśli nie podziurawili ich lokatorzy. Oni chyba mieli dziesięcioro dzieci. Tymi słowami zakończyła i powlokła się do domu, trzęsąc głową i zanosząc się głośnym kaszlem. Annę przeraziły trochę słowa kobiety, ale dokończyła swoje notatki. Historia domu jeszcze bardziej ją zaintrygowała. Następnego dnia dostała klucze i weszła do środka. Poprzedni lokatorzy istotnie dokonali spustoszenia. Podłogi z twardego drewna były wyżłobione i porysowane. Zaś w tynku było wiele dziur. Po bliższym przyjrzeniu się, Anna zauważyła, że są to głównie zniszczenia powierzchniowe. Dach był nietknięty i cała struktura domu była nienaruszona. Pokoje miały odpowiednie proporcje, ale dla Anny ważniejsze było to, że ich rozkład umożliwiał wydzielenie czterech atrakcyjnych apartamentów. Poprzedni właściciel usiłował podzielić dom na dwa mieszkania i zainstalował w tym celu tanią kuchenkę gazową i prymitywny zlew na górze. Ale bez trudu da się to usunąć. Duże wydatki związane będą z podziałem kuchni na dole na dwie przylegające do siebie i z urządzeniem dwóch dodatkowych na górze. Na całe szczęście stary James Hampton był zwolennikiem nowoczesnej kanalizacji i każdy z czterech kwadratów miał osobną łazienkę. W trzech z czterech części znajdowały się kominki, i wszystkie miały wykuszowe okna w salonie. Krótko mówiąc, im dłużej się nad tym zastanawiała, tym lepszą inwestycją wydawał się Annie ten dom. Udała się do Gil Cooley'a, kierownika banku, który wynalazł ich mały domek i przedstawiła mu swój projekt. - Myślisz, że to się może udać? - zapytała nerwowo. - Gil, powiedz mi szczerze. Gil wzruszył ramionami. - Trudno powiedzieć, Anno. Z pewnością dobrze wygląda to na papierze. Ale albo wydasz na remont ogromną sumę pieniędzy, albo pochłonie to mnóstwo pracy. Czy twój mąż zna się na tych rzeczach? Anna spojrzała na niego niespokojnie. - Nie bardzo. Ale myślę, że damy sobie z tym radę. - Myślę, że nie powinnaś mieć problemów z założeniem drugiego zastawu hipotecznego na twój dom. Ceny idą w górę. Prawdę mówiąc, myślę, że uda ci się wszystko, do czego się weźmiesz. Jesteś wyjątkową kobietą. Wiesz, że zrobię wszystko, żebyś dostała pożyczkę. Odprowadził ją do drzwi, potem ze smutkiem obserwował, jak odchodzi. Oczarowała go już przy pierwszym spotkaniu, ale z tego, co mówiła wywnioskował, że oddana jest swojemu mężowi i córce. Jednak dopilnuje, by dostała pożyczkę, nawet gdyby miał w jej sprawie poruszyć wyższe instancje. Anna była tak podniecona, że nie mogła doczekać się, aż Filip wróci do domu. Chciała natychmiast podzielić się z nim swoimi planami, więc bez wahania wskoczyła do autobusu i udała się do miasta. Szydł nad zespołem

adwokackim wyglądał teraz następująco: Newman, Newman, Brice and Gould. Z bólem Anna stwierdziła, że nigdy nie pojawi się tam napis "and Coulter". Weszła do środka i zapytała recepcjonistkę, czy może widzieć się z panem Coulterem. - Mam nadzieję, że nie jest zbyt zajęty - dodała. - Nie jest na konferencji, prawda? - Nie sędzę - wycedziła recepcjonistka, ukrywając złośliwy uśmiezek. Nikt nie konferuje z Coulterem. - Proszę chwileczkę poczekać. Anna kręciła się nerwowo na kraju skórzanej sofy, kiedy recepcjonistka łączyła się z pokojem Filipa. Co powie na to? Nigdy nie rozmawiali o pracy Anny, nawet w ogólnych dyskusjach o powojennym ożywieniu w handlu mieszkaniami. - Może pani wejść - rzekła recepcjonistka, przerywając jej myśli. - W końcu korytarza na lewo. Anna odwiedziła Filipa w biurze tylko dwa razy i to w pierwszym roku jego pracy w firmie. Wiedziała, że nie dostał awansu, ale szokiem było dla niej odkrycie, że wciąż pracuje w tej samej obskurnej klitce. Poderwał się z krzesła, widząc Annę w progu. - Kochanie - miło cię widzieć. Byłaś w mieście? - Filipie, potrzebuję twojej rady. Czy mogę usiąść? Anna opowiedziała Filipowi o swoich planach dotyczących Hampton House. Skończyła nie potrafiąc ukryć podniecenia. - Powiedz, co o tym sądzisz? Zamiast udzielić jej odpowiedzi kołysał się na swoim krześle. Anna w zniecierpliwieniu próbowała odczytać jego myśli. - No cóż, Anno, - w końcu wypowiedział swój werdykt - myślę, że powinnaś o tym zapomnieć. - Dlaczego? - Czy masz pojęcie, ile w dzisiejszych czasach wynoszą koszty remontu? Większość tych starych bud toczy zgnilizna. Mają cieknące dachy i zardzewiałe rury. No i trzeba je przemodelować. Dobudowanie kuchni w każdym segmencie pochłonie fortunę. Poza tym nie sędzę, by ta dzielnica stała się kiedykolwiek modna wśród bogaczy. Nie jesteśmy krajem, który przywiązuje wagę do tradycji. - Widząc rosnące rozczarowanie w oczach Anny Filip wyciągnął ponad stołem ręce, by chwycić jej dłonie, lecz Anna uparcie trzymała je przy sobie. Wyglądało to tak, jakby jej pobażał. Głosem łagodnym, lecz zbyt protekcyjnym dodał - Anno, zajmowanie się budynkami tego typu jest zbyt ryzykowne dla amatorów. Wielu ekspertów twierdzi, że rynek jest bardzo niepewny, więc w razie niepowodzenia co z tym zrobisz? Ani nie wynajmiesz tych mieszkań, ani nie sprzedasz. Anno, wiem, jak ciężko pracujesz i ile już osiągnęłaś. Ale myślę, że działasz zbyt pochopnie z tym nowym nabytkiem. Przykro mi kochanie, ale takie jest moje zdanie. Anna starannie dobierała słowa. - Filipie, wiem, że jest w tym trochę ryzyka, ale możemy też dużo na tym zyskać. Naprawdę rozważyłam to dość dokładnie i nie wydaje się to aż tak ryzykowne jak myślisz. Większość pośredników, których znam przewiduje poprawę sytuacji w pierwszym kwartale następnego roku, o ile rząd nie zaostriże przepisów kredytowych. Rzeczoznawca stwierdził, że konstrukcja domu jest w dobrym stanie i znalazłam człowieka, który prywatnie zająłby się renowacją wnętrza. - Kogo? - Guido Verona. Filip wyglądał na zdezorientowanego. - Myślisz o Guido ze sklepu spożywczego? Anno, ty sobie chyba żartujesz? - Przerażony uporem żony podniósł się i rzucił na nią ostre spojrzenie. Twarz mu poczerwieniała. - Kochanie, czy ty nie widzisz, że to dla nas zbyt ryzykowne? Wiem, że handel nieruchomościami to twój zawód, ale tu chodzi o nasze zabezpieczenie na przyszłość. - Wiem o tym, ale nie widzisz, że jest to rozmyślne ryzyko? Jeśli nie wykorzystamy żadnej szansy, nigdy nie będziemy w stanie się zabezpieczyć. - Posłuchaj Anno, prosiłaś mnie o radę, więc ci ją dałem. - Ale nie masz racji! - wybuchnęła Anna nie mogąc się opanować. - Wyszukujesz tylko katastroficzne przeciwności. - Nie przyszłaś po moją radę, prawda? - zapytał spokojnie Filip. - Chciałaś tylko mojego błogosławieństwa. - To nieprawda, Filipie! - Ale uważasz, że ryzyko się opłaca. W takim razie po co

fatygowalaś się, by mnie w ogóle pytać? - Może porozmawiamy o tym później - rzekła Anna, zabierając swój notatnik. Filip przytaknął bez słowa i odprowadził ją wzrokiem. Opadł na krzesło i odgarnął ręką włosy. Miały nim emocje, których nie rozumiał. Z jednej strony miał całkowicie uzasadnione obiekcje co do planu Anny. Z drugiej zaś jego protesty miały inne podłoże. Sprzeciwiał się dlatego, że był to jej pomysł. Gdyby Anna była w stanie wczuć się w rolę Filipa, zrozumiałaby jego przerażenie. Zamiast tego, idąc do autobusu, odczuwała złość. Filip nawet jej nie wysłuchał. Straciła tylko przez niego swoje zdecydowanie. Może to on ma rację, a ona robi wielki błąd. W końcu Filip jest prawnikiem... Tego wieczoru jej obawy i wątpliwości spotęgowały się. W pewnym momencie gotowa była wejść do salonu i powiedzieć mu, że zmieniła zdanie, ale coś ją od tego powstrzymało. Była dobrym pośrednikiem i dużo wiedziała o handlu nieruchomościami. Równie dobrze jej analizy mogły być prawidłowe, a Filipa błędne. Następnego ranka Filip siadł do śniadania ze stanowczą miną. Anna wiedziała, że wciąż gotowy jest się jej sprzeciwić. Lecz niespodziewanie tuż przed wyjściem, zatrzymał się i rzekł krótko: - Załatw tę transakcję, Anno. Po prostu przynieś do podpisania dokumenty, gdy będą gotowe. - Dziękuję ci, Filipie! - wykrzyknęła Anna, po czym szybko dodała - jeszcze nie wiem czy dostanę kredyt. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. - Dostaniesz. Wiesz, że dostaniesz - odwrócił się i wyszedł. Oczekiwanie na przyznanie pożyczki wydawało się ciągnąć w nieskończoność. Wiedziała, że mieli kilka argumentów przeciwko niej. Coulterowie dopiero od niedawna byli właścicielami własnego domu. Filip miał stosunkowo niską pensję, a banki niechętnie udzielały pożyczek, gdy gwarancją spłaty były dochody kobiety. Obawy Anny potwierdziły się. Gdyby nie Gil Coley, odmówiono by jej. Gil nie zmienił swoich zasad, po prostu zrobił wyjątek. Uzbroił się w szereg przekonujących argumentów - zna dobrze Annę Coulter i zawodowo i prywatnie, jej mąż jest prawnikiem, choć niezbyt dobrze wynagradzanym. Coulterowie żyją od lat w San Francisco i są uosobieniem stabilności - ale nie potrzebował żadnego z nich. Ponieważ Gilbert Cooley znany był ze swej ostrożności, nikt nawet nie pomyślał, by podważyć jego osąd. Serce Annie zamarło, gdy sekretarka powiedziała jej, że Gil jest przy telefonie. - Powiedz mi szybko - wykrzyknęła. - Tak czy nie? - Tak. Anna zaniemówiła. - Ach, Gil! - W końcu wykrztusiła. - Dziękuję ci! - To wszystko co mogłem dla ciebie zrobić, Anno - odparł cicho. - Powodzenia. Filip przyjął tę wiadomość spokojnie. - Moje gratulacje, Anno. Mam tylko nadzieję, że nie porywasz się z motyką na słońce. Anna robiła wszystko, by jego pesymizm nie udzielił się jej. Odniesie sukces, nawet jeśli przyjdzie jej samej robić instalacje wodno_kanalizacyjne, zakładać przewody i tynkować cały dom Hamptonów. Pożyczka wynosiła 1.500 dolarów powyżej ceny nabytku - nadwyżka miała być przeznaczona na renowację. Anna obliczyła już koszty wyposażenia oraz materiałów budowlanych i, jak powiedziała Filipowi, znalazła prywatnego pracownika. Guido Verona był Włochem i pracował u swojego wuja, który był właścicielem dużego sklepu spożywczego. Anna odkryła go kiedy wuj chęłpił się, że Guido buduje mu nowy magazyn praktycznie za bezcen - ten Guido to złota rączka. Anna powątpiewała nieco, lecz po rozmowie z Guido stwierdziła, że nie tylko mówi płynnie po angielsku, ale naprawdę zna się na wielu rzeczach. Oprócz stolarki umiał zakładać kanalizację i instalację elektryczną. Już teraz prowadził ożywioną działalność, a wkrótce zamierzał postarać się o licencję przedsiębiorcy budowlanego. Kiedy zapytała Guido, czy podjąłby się pracy przy Hampton House, przyjrzał się tej posesji i podał cenę tak niską, że zaprotestowała. - Jak pani nabędzie następne domy, zgłosi się pani

do mnie - na jego twarzy pojawił się niepospolity, spokojny uśmiech. - Wówczas policzę pani więcej. Guido okazał się prawdziwym skarbem. Pracował dziesięć godzin dziennie i szybko uwijał się z ogromnym remontem. Oczywiście żadne z nich nie znało się na odnawianiu wiktoriańskich wnętrz, ale Guido okazał się genialny w wyszukiwaniu tanich elementów z tego okresu. Czasem nawet dostawał je za darmo przy wyburzaniu budynku. Anna sama pomalowała i wytapetowała prawie wszystkie pomieszczenia. Codziennie po pracy biegła do remontowanego domu. Nawet kiedy była wyczerpana, mobilizowała się do działania wiedząc, że każdy dzień zwłoki odbije się na ich finansach. To samo powiedziała Filipowi, kiedy narzekał, że nie gotuje obiadów już od miesiąca. - No wiesz, Anno, skoro nie dajesz sobie rady, to twój błąd. Mówiłem ci, że porywasz się z motyką na słońce. - To tylko chwilowo, Filipie. Przykro mi, że nie zdążam z obiadem, ale wkrótce kończymy remont. A wówczas wszystkim wam to wynagrodzę. Podczas wspólnej pracy Anna z Guidem bardzo się zaprzyjaźnili. Posiadał mnóstwo zdrowego rozsądku i nieświadomie Anna zaczęła polegać na jego zdaniu. Z pomocą Guido i jego hojnych pochwał zaczęła wierzyć, że może zrobić wszystko, do czego się weźmie. Z biegiem czasu Anna zauważyła ze zdziwieniem, że młody Włoch o ciemnych, błyszczących oczach i gładkiej oliwkowej cerze jest nawet przystojniejszy niż jej się początkowo wydawało. Kiedy dźwignął duży ciężar, mocne mięśnie pleców uwidaczniały się pod cienką koszulą. Miał muskularne, ale szczupłe ciało i w spodniach Levi, które zwykle nosił poruszał się jak prawdziwy atleta. Pewnego dnia podniósł wzrok i zobaczył, że Anna go obserwuje. Zawstydzona spuściła głowę. Kiedy ponownie spojrzała na niego zobaczyła ten szczególny uśmiech. - Kończysz już? Poderwała się szybko. - Nie, ależ nie. Pewnego piątkowego popołudnia Anna przyszła trochę popracować już po obiedzie. Zaskoczona była, że Guido jeszcze tam jest. - Na miłość boską, nie powinieneś tu siedzieć w piątek wieczorem! Potrzebujesz gdzieś wyjść, trochę się zabawić. Nie chcę, żebyś zapracował się na śmierć. - W porządku - odpowiedział, - chcę jeszcze dzisiaj naprawić kominek. - Wciąż jest zatkany, co? Pracowali przez dłuższą chwilę w milczeniu. Wtem Guido zawołał: - Anno, możesz mi podać duży młotek? Naprawię jeszcze szyber i na tym koniec. Anna używała młotka do podważania listew wokół podłogi. Idąc przez pokój potknęła się o jakiś drobiazg. Próbowwała utrzymać równowagę, ale nogi zdrętwiałe od ciągłego przykucania odmówiły jej posłuszeństwa. Usłyszała jak Guido krzyknął - Anno! - i upadła. Uderzyła się mocno w głowę. Kiedy odzyskała przytomność, Guido trzymał ją, szepcząc "Cara mia. Anno, cara mia!" Anna pozostała w jego ramionach w bezruchu. Gdy wreszcie otworzyła oczy, zobaczyła jego twarz, pełną troski tuż przy swojej. - Guido? - wyszeptała. - Anno, odezwałaś się! Grazie a Dio! Lekko skinęła głową. Przez jej ciało przebiegł pulsujący ból, ale jakoś mało ją to obchodziło. Było cudownie tak po prostu leżeć. Wiedziała, że powinna spróbować wstać, ale ramiona Guido były takie mocne i tak opiekuńcze zarazem, a ona była bardzo zmęczona. Kiedy Guido ponownie się odezwał jego głos brzmiał miękko, jakby był tylko westchnieniem: - Anno... cara. Kiedy ją lekko pocałował w usta, nie zrobiła żadnego wysiłku, by mu się oprzeć. Odchylił się i spojrzał na nią błędząc głodnym wzrokiem po jej delikatnej twarzy. Znosił tortury, pracując tak blisko niej i nie mogąc jej dotknąć - nie mając prawa jej uszczęśliwić. Znowu ją pocałował, tym razem natarczywiej. Przesuwał usta w pocałunku tak zmysłowym, że rozpalil pożądanie Anny. Było to piękne i wspaniałe - a zarazem przerażające. Wiedziała, że musi się sprzeciwić zanim zrobi coś, czego będzie żałowała. A nie chciała zranić Guido. Położyła dłoń na jego piersi i delikatnie odepchnęła go.

Nie wydawał się być obrażony. Kiedy usiłowała wstać, objął ją mocnym ramieniem i postawił na nogi. Odzyskawszy równowagę podeszła do okna i stała wpatrzona w deszczową szarą noc. Przez cały dzień miasto tonęło we mgle, która pod wieczór zamieniła się w ciężką, monotonna ulewę. Kapanie deszczu jeszcze bardziej podkreślało absolutną ciszę panującą w pokoju. Anna była aż nadto świadoma obecności Guido, kiedy do niej podeszedł. Czując jego ciepły oddech na szyi, Anna wiedziała, że chce ją objąć. I kiedy oplótł ją ramionami zamknęła oczy i odchyliła się w tył, niezdolna zapanować nad sobą. Odwrócił ją powoli i stanęli twarzą w twarz. - Cara mia - wyszeptał czule. - Anno, kocham cię i pragnę. Wiesz jakie piekło przeżywałem będąc tak blisko i nie mogąc ci tego powiedzieć. Ty też mnie kochasz, Anno. Powiedz mi, że tak jest - domagał się, łagodnie obejmując dłońmi jej twarz i przytulając ją do siebie. Anna pragnęła go, pragnęła go tak bardzo, ale wiedziała, że po tym wszystkim wróci do Filipa i do Evie i nie będzie sobie mogła z tym poradzić. - Guido, nie możemy tego zrobić... Guido przerwał jej raptownie. - Anno, widzę to w twoich oczach. Czuję to na twoich ustach. Ty mnie też kochasz. - Może i tak. Ale wiesz przecież - to jest niemożliwe. Są inni ludzie w moim życiu, których bardzo bym zraniła. - Nie kochasz swojego męża - rzucił oskarżenie. - Żyjesz z nim, ale go nie kochasz. To jest grzech. Anna żałowała, że nie powstrzymała go wcześniej. Powinna była dostrzec jego rosnące zainteresowanie. W końcu jest mężczyzną - uprzejmym, ciepłym, czułym, ale jednak mężczyzną. Była wdzięczna za jego miłość. To cudowne mieć poczucie, że wciąż zdolna jest wzbudzać pożądanie, chociaż nie może być ono zaspokojone. - Guido, myślę, że musimy spróbować zapomnieć, że to się kiedykolwiek wydarzyło. Sama nie wiem, czy jestem szczęśliwa, czy zakłopotana z tego powodu... Chyba jedno i drugie. Ale bardzo bym chciała, byśmy pozostali przyjaciółmi. Jesteś mi potrzebny. Czy uważasz, że to będzie możliwe? Wyczuwając w głosie Anny rozsądną obronę, która ujawniała jej samotność i frustrację, Guido był wewnętrznie rozdarty. Nie mógł sobie wyobrazić, że stłumi uczucia; w tym właśnie momencie pragnął je, pragnął tak bardzo, że aż sprawiało mu to ból. Ale Guido był prawdziwym romantykiem i wiedział, że nie mógłby zawieść żadnej kobiety, która ufała mu i potrzebowała go, tak jak to było z Anną. Ujął jej dłonie. - Będę twoim przyjacielem, Anno. Czy mogę pocałować cię ten jeden raz? - Tak, Guido. Możesz. - Kiedy był tak blisko, Anna zastanawiała się, skąd brała siłę, by powiedzieć nie. Spędziła tę noc w łóżku z mężem, myśląc o Guido. Postąpiła rozsądnie, ale dzisiaj pozwoliła sobie na marzenia o tym, co mogłoby się wydarzyć. Rozdział dwudziesty ósmy W końcu nadszedł dzień ukończenia remontu. Guido pomalował dom na biało. Czerwone pelargonie i błękitne lobelie ukwieciły przygotowane rabatki. Każdy apartament miał osobne zielone drzwi z błyszczącymi mosiężnymi kołatkami. Simon, Filip i Evie przyszli obejrzeć całość. Anna niecierpliwie czekała na ich ocenę, kiedy przyglądali się lśniącom podłogom, stolarskim elementom, tapecie o ciemnych wzorach, wyczyszczonym kominkom i małym, lecz sprawnym kuchenkom. Simon nie oszczędził jej pochwał. - To nieprawdopodobne, Anno. Zrobiłaś to wszystko za tysiąc pięćset dolarów? - No, kosztowało to trochę więcej. Około tysiąc siedemset. Spojrzała niespokojnie na Filipa. Prawda była taka, że wyniosłoby to prawie trzy tysiące dolarów, gdyby Guido nie odmówił przyjęcia zapłaty. - Nie, cara mia - powiedział ze smutkiem w głosie. - Tak niewiele mogę dla ciebie zrobić. Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Spierali się i przekonywali, ale w końcu Anna ustąpiła. Zresztą i tak nie miała pojęcia, skąd wzięłaby pieniądze, by mu zapłacić. Filip miał rację. Renowacja wyniosła dwa razy więcej niż wstępnie obliczała, ale jak mogła się przyznać, że

Guido pracował za darmo? Nie wchodziło to w rachubę, więc Anna uśmiechnęła się z miną winowajcy, kiedy Filip skomentował: - Zrobiłaś kawał dobrej roboty. - Ale tu pięknie, mamusiu - zachwycała się Evie. - Czy przeprowadzimy się tutaj? Anna porwała dziewczynkę na ręce i ucałowała, wdzięczna za jej entuzjazm. - Nie, głuptasku. Mamy przecież własny domek. Następnego dnia pojawiły się w gazetach ogłoszenia. Tego wieczoru nikt nie zadzwonił. Następnego Anna odebrała jeden telefon, ale kobieta odłożyła słuchawkę, jak tylko Anna podała jej adres - Western Addition? Nie, dziękuję. Kolejny dzień był równie stresujący, a przy końcu tygodnia Anna była więcej niż zniechęcona, była wprost przerażona. A co będzie, jeśli nie uda jej się wynająć tych mieszkań? Żądała za nie siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie, nie było to dużo za taki apartament, ale zbyt dużo za sąsiedztwo. Wdzięczna była, że Filip nic nie mówi. Nie chciała przyznać, że być może przeliczyła się. Przy końcu drugiego tygodnia, Anna dała następne ogłoszenie; zmieniła nieco treść i obniżyła stawkę na siedemdziesiąt dolarów - co było dla niej zabójstwem. Wpadła już prawie w rozpacz. Zbliżał się termin kolejnej spłaty, a pieniądze za wynajem nie napływały. Bała się powiedzieć Filipowi, że jej plan się nie powiodł. Musi jakoś dać światu znać, że jej apartamenty warte są zainteresowania. Gdyby je obejrżeli, doceniliby ich atrakcyjne rozplanowanie i wygodne położenie. W końcu zdecydowała się zorganizować dzień otwartych drzwi. Pochłonie to dużo pieniędzy, ale to jej ostatnia szansa. Zaproszenia na przyjęcie z szampanem w pięknych wiktoriańskich apartamentach, w byłej posesji potentata giełdowego Jamesa Hamptona, zostały rozesłane już następnego dnia. Anna zaprosiła wszystkich z listy swoich klientów, a także swoich przyjaciół. Kiedy pierwsi goście przybyli w sobotę rano, zastali byłą siedzibę Hamptonów w doskonałym stanie. Guido, niezmiernie elegancki w pożyczonym na tę okazję smokingu, krążył z tacą szampana, a jego kuzynka Ginha, grała na skrzypcach nastrojową melodię. W niecałe trzy dni Anna zdołała wyposażyć jeden apartament kilkoma uroczymi mebelkami, które wyszperała na strychu u przyjaciół. U znajomych zamieszkałych w Marinie znalazła kilka sprytnych przedmiotów, którymi przysłoniła drobne niedociągnięcia. Proste, koronkowe wystawki ozdabiały wykuszowe okna. Całości dopełniały wypożyczone wiktoriańskie palmy w salonie. Efekt, wzmocniony szampanem i muzyką był wspaniały. Ludzie odwiedzający apartament dziwili się, dlaczego dotychczas nie interesowano się tym budynkiem, mimo, że był położony blisko centrum. Do wieczora trzy mieszkania były wynajęte, a para Chińczyków miała powiadomić Annę nazajutrz czy się decydują. Jej sukces byłby pełniejszy, gdyby Filip został do końca, aby go z nią dzielić. Towarzyszył jej do wczesnego popołudnia, ale wkrótce wyszedł. Kiedy wieczorem opowiadała mu o wszystkim szczegółowo, skinął tylko głową i powiedział, że musiała odczuć ulgę. Anna zdała sobie sprawę, że będzie musiała sama cieszyć się ze swego sukcesu. Nie był on aż tak wielki, ale wynagrodził jej wysiłki. Znowu uczyła się do egzaminu maklerskiego i zaczęła myśleć o otwarciu własnego biura. Pewnego dnia, w maju, dotarła do niej wiadomość, że budynek w najbliższym sąsiedztwie Hampton House - jak go tam nazywano - wystawiono na licytację. Podczas prac renowacyjnych, Anna czasem przychodziła do starego Hazela, by skorzystać z telefonu i przy okazji przyjrzała się wnętrzu domu. Składał się z czterech apartamentów, nieco mniejszych niż u Hamptona, lecz w znacznie lepszym stanie. Były bardzo niestarannie wykończone, ale oczyma wyobraźni Anna widziała brzydką boazerię usuniętą ze ścian, kominki doprowadzone do stanu używalności, tanie urządzenia sanitarne zastąpione zgrabnymi umywalkami na podstawkach i wannami na wygiętych

nózkach. Hazel poinformował ją, że właściciel zmarł i że posiadłość przekazano do likwidacji. Anna tłumiała narastające podniecenie. Nie było to to samo, co konfiskata, przy której dom można było okazjnie nabyć. Chyba, że spadkobiercy potrzebowaliby szybko pieniędzy, wówczas mogliby obniżyć cenę sprzedawanej nieruchomości. A wszyscy potencjalni spadkobiercy Colemana byli prawdopodobnie dość zamożni. Myśl o domu zachęciła ją do spróbowania swoich sił przy renowacji, choć wiedziała, że nie ma ani centa, by zainwestować. Rozglądała się w sąsiedztwie i w tydzień lub dwa później wynalazła nowy budynek wiktoriański na sprzedaż. Pomalowany na purpurowo dom był w oplakany stanie, ale podlegał konfiskacie, więc mógł być nabyty za bezcen. Gil Cooley podniósł znacząco brwi, kiedy Anna zjawiła się nazajutrz w banku i zaczęła opisywać mu posiadłość, wychwalając jej ukryte zalety. - Chyba postanowiłaś zostać potentatem handlowym, czy tak? Spuściła wzrok. - Wiem, że to nie wygląda zbyt poważnie, Gil. Jesteśmy bardzo ograniczeni terminami spłat. Gil zakołysał się w swoim fotelu. - Posłuchaj, Anno, myślałem o tobie wczoraj wieczorem i zastanawiałem się, czy brałaś pod uwagę sprzedaż Hampton House. Czy masz zrobioną wycenę domu? Anna potrząsnęła przecząco głową. - Myślę, że wartość domu znacznie się podniosła. Pamiętaj, wartość posesji zasadniczo oblicza się pomnażając wielokrotność czynszu. Kiedy kupiłaś dom, wynajmowane były w nim dwa apartamenty po pięćdziesiąt dolarów każdy. Teraz - ile to wynosi? - Siedemdziesiąt pięć razy cztery? - Siedemdziesiąt. - W porządku. Siedemdziesiąt razy cztery to dwieście osiemdziesiąt miesięcznie. - Obliczył szybko na papierze i oznajmił. - Trzy tysiące trzysta sześćdziesiąt rocznie. Myślę, że możesz go sprzedać za kwotę podwójnie wyższą, niż zapłaciłaś. - Ach, Gil, ja nie chcę go na razie sprzedawać! - odpowiedziała Anna poruszona. - W porządku. Masz prawdopodobnie rację. Tak czy inaczej, dostałaś dużą zniżkę w oprocentowaniu na pierwsze kilka lat. Wiesz, mam pewien plan. Zrób drugi zastaw hipoteczny na Hampton House. I kup coś jeszcze. - Mogłabym, Gil? Spojrzał na jej ładną rozpaloną entuzjazmem twarz i po raz drugi odsunął na bok swoją zwykłą bankierską ostrożność. - Myślę, że tak, Anno. Filip zaprotestował, kiedy Anna poruszyła ten temat. - Do diabła z tym, Anno! Mamy już jeden dom czynszowy. Czy to ci nie wystarczy? Słuchaj, przyznaję, że miałaś rację w sprawie Hampton House. Wyszliśmy na tym dobrze; dostaniemy ulgi podatkowe w tym roku. I wygląda na to, że nieźle zarobimy, kiedy go w końcu sprzedamy. A teraz znowu chcesz zaprzepaścić nasze zabezpieczenie? Ten zwariowany piramidalny plan może nas pogrążyć w długach. - Filipie, nie rozumiem dlaczego tak niechętnie wykorzystujesz nadarzające się okazje! Powtarzam ci, że tak naprawdę nie mamy jeszcze prawdziwego zabezpieczenia. Przez kilka tygodni Filip w ogóle nie chciał poruszać tego tematu, choć Anna cierpliwie objaśniała mu plan, który opracowali z Gilem. Pewnego wieczoru, kiedy zdenerwowani kładli się spać, Filip odezwał się oschle: - Więc dobrze, Anno. Już dość się nasłuchałem. Wiesz co o tym myślę. Ale sama podejmij decyzję i daj mi po prostu znać. Gdy położyli się do łóżka, nie zamienili już ze sobą ani słowa. Filip sądził, że chociaż nie należy do ludzi, którzy powiedzieliby "zabraniam ci", to chyba wyraził swoje stanowisko dostatecznie jasno. Z pewnością Anna porzuci swój projekt, gdy powiedziała mu następnego dnia, że złożyła prośbę o pożyczkę, spojrzawszy na nią pełnym niedowierzania wzrokiem. - Zrobiłaś to wiedząc, że jestem przeciwny. - Filipie, to zbyt dobra okazja, by ją przepuścić. Twoje sprzeciwy nie miały sensu. Proszę, nie złość się. Ale Filip zauważył już, że Anna pochłonięta swoimi ambicjami nie liczyła się z tym, że go rani. Było za późno, by się spierać. Był zły, jednak nie chciał użyć ostrych słów, które

cisnęły mu się na usta. Zachowa przynajmniej resztki swojej godności. - Jak uważasz - powiedział w końcu oziębłym tonem. Trzy tygodnie później purpurowa rezydencja należała do nich, a Anna z Guido ponownie zabrali się do pracy, zdzierając, czyszcząc, malując i naprawiając. Anna spodziewała się, że przy ich doświadczeniu skończą wcześniej, ale minęły prawie trzy miesiące, nim mogła ogłosić dzień otwartych drzwi. Tym razem zainteresowanie było ogromne. Wnętrza w neowiktoriańskim stylu zaczęły wchodzić w modę i pięć apartamentów po sześćdziesiąt dolarów miesięcznie wynajęto w ciągu tygodnia. Anna przeniosła teraz swoje zainteresowanie na dom stojący najbliżej pierwszej inwestycji. Dziwiło ją, że jeszcze nie został sprzedany, ale stwierdziła, że modernizacje robione tanim kosztem zniszczyły większość kunsztownych ozdób. To sprawiło, że potencjalni kupcy nie dostrzegali jego zasadniczego piękna. Wahała się przed ponowną próbą, aż pewnego dnia zjawił się u niej w biurze Gil. - Aniu, wynajęłaś już swoje apartamenty, prawda? Był jedynym człowiekiem, który zwracał się do niej "Aniu". - Tak, Gil, bez najmniejszego problemu. Dlaczego pytasz. - No cóż, ludzie, którzy odziedziczyli dom w pobliżu Hamptonów bardzo się niecierpliwiają. Dwa apartamenty stoją puste i są już zmęczeni zabawą w właścicieli domu czynszowego. Myślę, że zgodzą się na każdą cenę. - Ile mogą zażądać? - Hej Aniu - Gil zaśmiał się. - Jesteś gotowa zaciągnąć jeszcze jeden dług? - Czy bank wyrazi zgodę? - Nie wiem. - Przyjrzał jej się uważnie. - Może się mylę, ale czy mając dwa domy czynszowe, pracę u Violet Cunningham, męża i dziecko, twój czas nie jest już całkowicie wypełniony? - Ile, Gil? - Jesteś niezmordowana! - Gil, patrz jak świetnie prosperują dwa pozostałe domy! Właśnie podniosłam czynsz u Hamptona na siedemdziesiąt pięć dolarów, zapewniając sobie w ten sposób dodatkowy napływ gotówki. Mamy też dochody z domu Guilforda, co nie ma wpływu na ulgi podatkowe, które otrzymaliśmy z Filipem. - Robi się z ciebie, Anno Coulter, prawdziwa kobieta interesu. Zanim się spostrzeżesz, będziesz właścicielką połowy domów w mieście - pomachał ręką na pożegnanie. - Kup ten dom. A ja zrobię wszystko, by bank udzielił ci poparcia. - Dziękuję ci, Gil. Jesteś wspaniałym przyjacielem. Żałowała, że Filip nie miał tyle zaufania do jej planów. Bez wątplenia powodziło im się dobrze dzięki jej inwestycjom i ciężkiej pracy. Wyglądało to tak, jakby Filip miał jej za złe, że odniosła sukces. Może innym razem nie zależałoby jej na jego aprobacie, ale właśnie teraz brak pochwał z jego strony naprawdę ją bolał. W chwilach złości czy przygnębienia miała ochotę mu wygarnąć: dziwię się, że wystarcza ci tak mało. Czy w ogóle nie dbasz o przyszłość swojej córki i moją? Ale nie mogła zdobyć się na takie ostre oskarżenie. Poślubiła Filipa w 1941 na dobre i na złe. A przeżycia wojenne pozostawiły w nim głębsze ślady, nie tylko trwałe utykanie i bliznę na policzku. Częstka jego duszy wciąż tkwiła w rojącej się od robactwa dżungli Bataan i w Birmie, wśród horrorów wykraczających poza wszelką wyobraźnię. Po powrocie do domu zrobił wszystko co mógł. W istocie dał z siebie więcej, niż się spodziewała. Niektórzy mężczyźni wyzwoleni w Birmie wciąż przebywali w szpitalu Letterman. W drodze do domu Anna kupiła befsztyk i Filipa ulubione karczochy. Zmyła naczynia i przyniosła mu kawę, zanim odważyła się poruszyć sprawę kupna domu. - Filip - powiedziała z wahaniem. - Pamiętasz ten wiktoriański dom na sprzedaż w pobliżu Hampton House? Gil twierdzi, że możemy go kupić za bezcen, i że bank udzieli nam znacznej pożyczki. Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? Anna zadawała pytanie tego typu nie po raz pierwszy i była pewna, że Filip zareaguje gniewem. Gdy jej odpowiedział była zaskoczona. - Moja droga, nie musisz mnie pytać. Masz cudowną intuicję. Jeśli uważasz, że korzystna transakcja, kup ten

dom. Cokolwiek robisz - popieram cię. Anna próbowała dociec, czy była nuta rezygnacji w jego głosie. Szybko jednak zreflektowała się. Do diabła z tym, Anno Coulter, czy nigdy się nie zadowolisz? Wstała, usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję. - Kocham cię, Filipie. - Ja też cię kocham. - Anna wiedziała, że Filip nie jest szczęśliwy z powodu projektu kupna nowego domu, ale przynajmniej się zgodził. Prawdopodobnie, tak jak ona, zmęczony był tą ciągłą walką. Tej nocy kochali się po raz pierwszy od miesiąca. Dzwony nie dzwoniły i ziemia się nie poruszyła, ale ich poczucie bliskości było czymś więcej niż tylko seksem.

Rozdział dwudziesty dziewiąty Anna spotkała się z właścicielami domu w którym, jak przewidywał Gil Cooley, bardzo zależało na tym, by się go pozbyć. Z pomocą Gila Anna przystąpiła do trzeciego remontu już wczesną wiosną. Filip dotrzymywał słowa. Słuchał uważnie, kiedy Anna opowiadała mu, jak stoją sprawy z Gilem i nie robił już więcej obraźliwych komentarzy. Wieczorami i w weekendy, kiedy ona była zajęta, wychodził z siebie, starając się tak zająć Evie, żeby nie odczuwała tęsknoty za matką. Kiedy dom był już na ukończeniu, Anna zdecydowała, że trzeba to uczcić i zaplanowała wyszukany piknik w Święto Pracy. Zaopatrzeni w koce, poduszki i wielki koszyk jedzenia podjechali stromą, wijącą się drogą i zaparkowali w pobliżu szczytu Tamalpais, skąd rozpościerał się widok na Zatokę. Jasne słońce, radość Evie ze swobody, Filip i Simon zrelaksowani - wszystko to sprawiło, że dzień ten był dniem szczególnym. Jesteśmy rodziną, kochającą się rodziną - pomyślał Filip. - Patrzyli z Anną na miasto w dole. Objął ją i wyznał, jaki jest szczęśliwy. Wtedy podzieliła się z nim nową wiadomością. - Filipie, tak się cieszę, że nie sprzeciwiasz się mojej pracy. Teraz, kiedy mam już licencję maklerską, chciałabym rozpocząć działalność na własną rękę. Tylko bałam się, że będziesz temu przeciwny. Filip nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie chciał zepsuć dobrego nastroju. Łudził się, że będąc właścicielką trzech czynszowych domów, Anna w końcu się zadowoli. W ciągu ostatniego roku starał się nie mieć jej za złe sukcesów, ale każdy kolejny tryumf Anny podkreślał jego niepowodzenie. - Czy musimy o tym teraz rozmawiać? - powiedział, przytulając ją mocniej. - Tak tu spokojnie. Patrz... - wskazał ręką w kierunku Pacyfiku. Anna też nie chciała, by czar tej chwili prysnął. Czekala już zbyt długo, by mu o tym powiedzieć. Czas ją naglił, bo nadarzała się okazja - frontowe pomieszczenie na Chestnut w pobliżu biura Violet. Szukała właśnie czegoś takiego. Jeśli się nie pośpieszy, ktoś jej to sprzątnie sprzed nosa na długoterminowy kontrakt. Według Anny teraz nadszedł najodpowiedniejszy czas, by otworzyć własne biuro. Ożywienie w handlu nieruchomościami rokowało w jej branży obiecujące zmiany. Postanowiła sprawdzić nastawienie Filipa. - Kochanie, noszę się z zamiarem odejścia od Violet odkąd zdałam egzamin maklerski. Dostałam wczoraj pocztą mój dyplom. Filip milczał. Po raz kolejny Anna nie zwierzyła mu się. Działała i podejmowała decyzję za jego plecami. - Zawsze przyjemniej jest nie mieć nad sobą zwierzchnika - powiedział próbując zachować neutralny ton. - Jakie kroki przedsięwzięłaś? - Znalazłam doskonale zlokalizowane pomieszczenie na Chestnut do wynajęcia. Myślę, że doskonale nadawałoby się na biuro. Co o tym sądzisz? Filip nie łudził się, że oczekuje jego rady. - Jestem pewien, że wiesz, co robisz, kochanie - powiedział oschłym tonem, nie potrafiąc ukryć zazdrości z satysfakcji jaką da jej bycie swoim własnym szefem. Bóg jeden wiedział, jak bardzo pragnął mieć własną kancelarię - gdybyż tylko udało mu się awansować. Teraz spełniło się jej marzenie, i nic nie wskazywało na to, by nie miała odnieść sukcesu. Anna przyjrzała się jego twarzy. Nie była tak owładnięta swoją karierą, aby nie zauważyć, sprzecznych uczuć, którymi targany był jej mąż.

Wiedziała, że jej sukcesy zawodowe niepokoiły go bardzo, wręcz zagrażały mu. Kochała Filipa i nie mogła znieść myśli, że w ich małżeńskich stosunkach zarysowuje się pęknięcie. Ale przyszedł jej do głowy pewien plan. - Filipie, dlaczego nie rzucisz pracy u Kenna. Moglibyśmy razem otworzyć agencję. Dla Anny ten plan był całkiem sensowny. Filip nie miał żadnych perspektyw u Kenna, w ogóle w dziedzinie prawa. Anna przejrzała taktykę Kenna. Z pozoru wydawał się przystępny i przyjacielski, lecz wewnątrz ukrywał wrogość i bezwzględną rywalizację. W końcu sam sobie był sterem i okrętem. Filip był przez niego tyranizowany. Anna wstrzymała oddech, oczekując jego odpowiedzi. Filip, który wciąż trzymał Annę w objęciach, wolnym ruchem opuścił ręce. Nie potrzebował dużo czasu na zastanowienie: Anna tak samo mnie potrzebuje, jak potrzebuje mnie Kenny. - Nie, dziękuję - odparł chłodno. - W żadnym domu nie ma miejsca dla dwóch rządzących... Anna poczuła skurcz w żołądku słysząc stanowczą odmowę. To moja wina - może powinnam była inaczej to wyrazić. Kiedy podeszli do Simona i Evie, Anny nie opuszczała nadzieja, że on może to jeszcze rozważyć. Mogliby stanowić partnerski zespół. Może nawet byłiby szczęśliwi... Rozdział trzydziesty

Stojąc na chodniku Anna przyglądała się jak sztyld z jej nazwiskiem, "Anna Coulter pośrednictwo w handlu nieruchomościami", nabiera ostatecznych rumieńców. - Gotowe, proszę pani. Wszystko gotowe. - Gotowe? - spytała Anna. To był dopiero początek. - Wygląda wspaniale, panie Petroni. Pracowali z Guido jak szaleńcy. Ludzie zabiegali o jego usługi, odkąd zobaczyli jego wykończenia w domach Anny. Odsuwał wszystkie zamówienia na bok, by móc urządzić jej biuro. Podczas pracy różni przedsiębiorcy z okolicy zaglądali, aby ją powitać. Ich poparcie spowodowało narastającą wrogość Violet. Okazywała niezadowolenie, odkąd Anna oświadczyła jej, że odchodzi. Violet siedziała za biurkiem z chłodnym wyrazem twarzy, lecz Anna serdecznie uściśnęła jej dłoń. - Violet, nigdy nie zdołam wyrazić ci wdzięczności za to, że przyjąłś mnie do pracy. Ty pierwsza uwierzyłaś we mnie. Nigdy nie zapomnę, ile się od ciebie nauczyłam. Violet próbowała nie okazać zazdrości. Dobry Boże! Mała Anna Coulter niebawem stanie się jej najgroźniejszą konkurentką. I pomyśleć, że kiedy zwróciła się do niej o pracę, była mało znaczącą gospodynią domową w niegustownym bladuróżowym kostiumie, a torebkę tak kurczowo trzymała przy sobie, jakby się bała, że ktoś ją wyrwie. Violet westchnęła. Zawsze była ze sobą szczerą. Anna miała magiczny wpływ na otoczenie. Gdyby ona jej nie przyjęła, zrobiłby to ktoś inny. - Cieszę się, że mogłam ci pomóc, Anno - w końcu przeszło jej to przez usta. - Mam tylko nadzieję, że nie jest to twój życiowy błąd. Anna uśmiechnęła się na te słowa. - Dziękuję za troskę, ale nie sądzę, żeby tak było. Tego dnia cieszyła się, że czeka ją dużo pracy przy remoncie biura, bo chciała zapomnieć o gniewie Violet. Teraz, patrząc na nowy pozłacany sztyld, czuła, że nic nie jest w stanie zniszczyć jej szczęścia. - Guido - zawołała. - Chodź, spójrz na to. Wyłonił się z zaplecza, strzepując zaprawę ze spodni. Zwykle oczy błyszczały mu na jej widok. Dzisiaj wydawał się śmiertelnie poważny i zamyślony. Obejrząwszy sztyld weszli do środka i on usiadł na sfatygowanym dębowym stoliku. - Chcesz pączka? - spytała. - Nie, dziękuję. - Coś nie tak? - spytała widząc, że się jej przygląda. - Mam plamę na nosie? - Nie - odparł ponuro - właśnie myślałem o tym, Anno, jaka jesteś piękna. - Guido... - Anna pokręciła głową. Od tamtego wieczoru w Hampton House Guido zachowywał się bardzo poprawnie, a Anna ostrożnie unikała tematów, które mogłyby go pobudzić. Czasem przyłapywała go z zadumą na twarzy, ale dzisiaj jego oczy aż pociemniały z tęsknoty. - Co ci jest? - spytała w nadziei, że poprawi jego humor. - Anno - wyciągnął rękę, jakby chciał ująć jej

dłoń. Wtem zatrzymał się i w ostatniej chwili zrezygnował. - Anno, muszę ci coś powiedzieć. Żenię się w przyszłym miesiącu. - Guido! Żenisz się? Ależ - ależ to cudownie! Z kim? - Z Marią. Musiałaś ją widywać w sklepie wuja. Pracuje u niego czasami. Ciemne włosy, niezbyt wysoka... Anna przypomniała sobie nieśmiałą Włoszkę, którą ostatnio widziała u Verona. Nie umiała słowa po angielsku, uśmiechała się tylko i bezradnie wzduszała ramionami, kiedy Anna zadała jej pytanie. Miała ładną buzię i niezwykle zmysłowe ciało. Nie sposób było tego nie zauważyć. I biła od niej młodość, wspaniała młodość... - No cóż, to cudownie - powtórzyła Anna, zastanawiając się dlaczego nagle poczuła się jakby ją opuścił. Przecież nie chciała względów Guido. - Anno - zabrzmiało to jak pieśczoć - ja jej nie kocham. Nie sądzę, bym mógł kogokolwiek kochać tak jak ciebie. - Guido, nie wolno ci tego mówić! - Dlaczego mi nie wolno, skoro to prawda. - Bo... - Wiem, że to niemożliwe. Ale w głębi serca zawsze będę cię kochał. - Więc dlaczego żenisz się z tą dziewczyną? Pewnego dnia spotkasz kogoś, kogo naprawdę pokochasz. Guido przypomniał sobie wieczór, kiedy powiedział wujowi, że remontuje Anny biuro. Musiał zdradzić swoje uczucia do niej tonem głosu, błyskiem w oczach, gdyż wuj zwrócił się do niego: - Guido, muszę ci to powiedzieć. To nie jest kobieta dla ciebie. - Giuseppe! Obrażasz panią Coulter! - Guido zerwał się na równe nogi. - Nic, zupełnie nic nas nie łączy! - Wiem - Giuseppe odparł ciężko. - Teraz nic was nie łączy i nigdy łączyć nie powinno! Musisz sobie znaleźć żonę. Już najwyższy czas. Nie jest dobrze, kiedy dwudziestosześcioletni mężczyzna nie ma żony. Musisz się ożenić, mieć bambini. Wtedy będziesz szczęśliwy. Guido gniewnie chodził po pokoju. Giuseppe obserwował go przez moment, potem rzekł: - Co myślisz o Marii Spinelli? Jest młoda, piękna i lubi cię. - Maria? Nie, dziękuję, Giuseppe. Nie martw się o mnie. Znajdę sobie żonę w odpowiednim czasie. Jak się zakocham. - Nie, Guido. Najlepiej się ożenić i dopiero wtedy zakochać. Potrzebujesz kobiety, która będzie gotować, sprzątać, rodzić ci bambini, dzielić z tobą życie. Maria jest Włoszką. Ona cię rozumie. Będzie dla ciebie dobrą żoną. - To nie wystarczy, że sprząta i gotuje. Małżeństwo to coś więcej. - Guido, nigdy nie żęń się dla amore. Ta droga prowadzi do nieszczęścia. To nigdy nie jest trwałe. - Giuseppe przekonywał go i straszył, aż Guido wykrzyknął: - W porządku. Umówię się z tą Marią. Żeby cię uszczęśliwić. I na tym koniec, rozumiesz? Maria była tradycyjnie wychowaną dziewczyną i niedawno przyjechała z Mediolanu. Bardzo chętnie uszczęśliwiłaby przystojnego, ambitnego Guido. Jeśli chodzi o niego, nieoczekiwanie spodobało mu się, że go szanuje i okazuje mu sympatię. Podczas rodzinnego obiadu, na który ją zaprosił, zauważył, że szybko znalazła wspólny język z jego krewnymi. Pomagała ciotce Rozie przy robieniu klusek i rozdzielaniu dymiącego sosu Marinara. Powoli topniał jego upór. Jakie to ma znaczenie? I tak nie będzie nigdy miał Anny Coulter. Teraz, przyglądając jej się zza stołu, rzekł: - Muszę kogoś mieć, cara mia, a nie mogę mieć ciebie. Powiedział to pytającym tonem, lecz Anna nie mogła odpowiedzieć. Dobrze robi żeniąc się z Marią. Niewątpliwie uszczęśliwi ją. Zamierza odnieść jeszcze więcej sukcesów. Musiała jednak przyznać, że będzie jej brakowało jego nieustannej admiracji. Pobudzał w niej uczucia, które już dawno zniknęły z jej życia małżeńskiego. Anna z Filipem wzięli udział w ceremonii ślubnej i w hucznym włoskim weselu, które odbyło się w budynku przykościelnym. Panna młoda rozpromieniona i szczęśliwa trzymała się ramienia Guido przez cały wieczór. W jednym tylko momencie Guido odwrócił się od ołtarza i wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Anny. Wydawało się, że w tej właśnie chwili, na nią przenosi wszystkie nadzieje i marzenia, których wyrzekł się biorąc Marię za

żonę. Anna również odczuła utratę nowo zrodzonych marzeń i nadziei. Lecz później pomyślała o tym bardziej logicznie. Wiedziała przecież, że nic między nimi nie mogło się zdarzyć. Była to naiwna, romantyczna tęsknota. Kiedy otworzyła biuro cztery tygodnie później, nie miała już czasu na marzenia. Z trudem znajdowała go, by delektować się wnętrzem, które pieczołowicie urządziła. Ściany były jasnoniebieskie, drewniane elementy świeciły śnieżną bielą. Wykładzina miała ciemniejszy odcień błękitu, obramowanie z czarnych, błyszczących, lakierowanych desek i wygodne krzeselka obciągnięte miękką skórą. Tylne ściany wyklejone były tapetą przedstawiającą kolejkę linową wjeżdżającą na szczyt. Nie, nie miała czasu na marzenia. Mając tylu klientów była w ciągłym ruchu i trudno ją było zastać w biurze. Rozdział trzydziesty pierwszy Po otwarciu biura życie Coulterów płynęło na pozór przyjemnym trybem. Filip usiłował udawać, że nic się nie zmieniło, a Anna starała się mieć gotowy obiad, kiedy wracał z pracy. Głównym problemem był pogarszający się stan zdrowia Simona, który cierpiał na artretyzm. Kilka razy zdarzyło się, że nie był w stanie odebrać Evie ze szkoły i dziewczynka musiała wracać do domu sama. Evie była samodzielna, lecz Anna w ostatnich dniach niespokojnie spoglądała na zegarek około trzeciej wiedząc, że o tej porze jej córka wychodzi ze szkoły, z nadzieją, że Simon na nią czeka. W końcu zatrudniła młodą Meksykankę, Consuelę. Przychodziła około pierwszej, robiła porządki i odbierała Evie ze szkoły, w razie gdyby Simon nie mógł. Pewien dzień zaczął się dla Anny bardzo pechowo. Po pierwsze złapała gumę i zanim samochód został naprawiony, spóźniona była na pierwsze spotkanie. Już miała wychodzić z domu, kiedy zadzwoniła Consuela mówiąc, że nie może przyjść. Simon był mocno przeziębiony, więc kiedy wysadziła Evie przed szkołą, powiedziała: - Kochanie, ja cię dzisiaj odbiorę, dobrze? - Dobrze, mamusiu - zgodziła się obejmując matkę czule. Anna odjechała zastanawiając się, jak wytłumaczyć klientom swoje spóźnienie. Trudno jej będzie dzisiaj wyjść wcześniej z biura, ale teraz nie mogła o tym myśleć. Miała tyle do zrobienia, że nie wystarczyło jej czasu na zjedzenie lunchu i kiedy pędziła na spotkanie z klientami umówionymi na czternastą nie zauważyła nawet, że nadciągają ciemne deszczowe chmury. Przyjechała na miejsce i kiedy zawierала transakcję zaczął padać rzęsyisty lodowaty deszcz. Nie była to łatwa transakcja, ale Anna nie mogła się skoncentrować. Wiedziała, że jest już koło trzeciej, przerwała więc na chwilę i podeszła do telefonu, który na całe szczęście był jeszcze podłączony. Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim ktoś w szkole podniósł słuchawkę. - Halo. - Halo. Mówi Coulter, mama Evie. Czy mogłaby pani jej powiedzieć, żeby poczekała? Spóźnię się, ale przyjadę po nią na pewno. - Przykro mi pani Coulter - usłyszała w odpowiedzi. Wszystkie dzieci już wyszły. - Ale prosiłam Evie, żeby na mnie zaczekała. - Mamy dzisiaj konferencję i lekcje skończyły się o drugiej trzydziści. Wiadomość pisemną o tym podaliśmy dzieciom w poniedziałek. Anna całkiem zapomniała o zmiętym kawałku papieru. - Ach tak. W takim razie, czy mogłaby pani sprawdzić, czy nie ma Evie na dworze? - Właśnie byłam przed szkołą i nikogo tam nie ma. - Rozumiem. Dziękuję pani. Anna bliska płaczu odłożyła słuchawkę. Znaczyło to, że Evie złapała ulewę. Zadzwoniła czym prędzej do domu i wsłuchując się w miarowy sygnał próbowała się uspokoić - nie denerwuj się, Evie prawdopodobnie jest już w domu. Simon odezwał się w końcu zachrypniętym głosem. - Tato... czy Evie jest w domu? - Nie, Anno. Myślałem, że ty ją dzisiaj odbierzesz. - Miałam to zrobić, ale trochę pomieszaly mi się godziny. Jak twoje przeziębienie. - Znacznie lepiej, kochanie. W głosie jego nie słycać poprawy, pomyślała Anna. O Boże, co za dzień. Nic nie mogła na to poradzić. Evie z

pewnością zmęczona czekaniem, stwierdziła, że mama zapomniała o konferencji. Nie powinna była spacerować w deszczu, ale Anna miała nadzieję, że ma na tyle rozsądku, by pójść prosto do domu i się wysuszyć. Wróciła do salonu i powiedziała stanowczo: - To jest najkorzystniejsza cena, jaką mogę państwu zaoferować. Przy tak poważnej transakcji, czy warto licytować się o kilka tysięcy dolarów? Zakończyła transakcję, ale tak martwiła się o Evie, że prawie nie wiedziała, co robi. Pędem pobiegła do samochodu i jechała dokładnie tą drogą, którą Evie wraca ze szkoły. W ten sposób miała nadzieję spotkać ją, gdyby nie daj Boże wciąż była w drodze. W końcu zatrzymała się przed domem, wyłączyła silnik i pobiegła na górę. - Evie, Evie, jesteś tu? - wołała zatrasnąwszy za sobą drzwi. - Tutaj, mamusiu - usłyszała zbawienną odpowiedź. Anna zrzuciła płaszcz i ruszyła do sypialni Evie, kiedy ku jej zdziwieniu wyszedł stamtąd Filip. - Gdzie do diabła byłaś? - wrzasnął. - Zapomniałam, że Evie skończyła dziś wcześniej szkołę - odparła Anna walcząc z sobą, by jej nie poniosły nerwy. - A co ty robisz w domu, jeśli wolno spytać? - Ojciec zadzwonił do mnie do biura - odpowiedział Filip. - Powiedział, że dzwoniłaś pytając czy Evie jest już w domu. Martwił się, więc poszedłem jej szukać. W porządku? - Oczywiście, znalazłeś ją. Dobrze się czuje? - Przynajmniej jest w domu i to nie dzięki tobie. - Zastanawiał się, czy Anna w ogóle miała pojęcie przez co przeszedł. Kiedy zadzwonił do niej do biura, powiedziano mu, że Anna jest gdzieś w terenie i nie mogą go z nią połączyć. Nie mają pojęcia, czy jest już w drodze, by odebrać Evie. Widząc ulewę za oknem Filip zdecydował, że poszuka jej sam. Minęło pół godziny zanim dostrzegł swoją córkę skuloną, ledwie widoczną na progu szkoły. Przez ten czas był prawie obłąkany z zmartwienia. Widząc, że Anna stoi przed nim zupełnie spokojna, trzymając w ręku wszechobecną aktówkę wybuchnął: - Do diabła z tym, Anno! Czy tobie w ogóle nie zależy na Evie? Czy twoja kariera ważniejsza jest niż bezpieczeństwo naszego dziecka? Anna nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby Filip uderzył ją w twarz. Zwykle nie reagowała na uszczypliwe uwagi o swojej karierze, ale dzisiaj bała się o Evie tak samo jak on. Zmęczyło ją już ciągle usprawiedliwianie się z powodu swojej pracy. - A na kogo ja do licha pracuję, jeśli nie na twoją córkę i twojego ojca? Na jakie ja sobie pozwalam luksusy? Jeżdżę tym starym gruchotem chevroletem, nie kupuję sobie kosztownych strojów. Nigdy nie jadam w restauracjach. Nie biorę urlopów. I mam już dosyć twoich docinków. Był czas, że to ty miałaś się o mnie troszczyć, pamiętasz? Nawet byś nie miał tej marnej, urzędniczej posady u Kenna, gdyby nie ja! - w momencie kiedy wypowiedziała te słowa, sprzedałaby swoją duszę, by je cofnąć. Nie bał się gniewu Filipa, ale nie mogła patrzeć, jak ból, który mu zadała, wyraźnie odmalował się na jego twarzy. Filip był oszołomiony. A więc to Annie zawdzięczał niespodziewaną ofertę Kenna. Zawsze się zastanawiał, skąd mu to nagle przyszło do głowy. - Więc to ty namówiłaś Kenna, żeby dał mi pracę? Anna nie mogła teraz odpowiedzieć. Słyszając, jak Evie kaszle, powiedziała: - Muszę ją zobaczyć. Potrzebuje mnie. - Potrzebowała cię godzinę temu. Szkoda, że wtedy o niej nie myślałaś. Teraz już wszystko w porządku. Wysuszyłem ją i położyłem do łóżka. Anna już go nie słuchała. Przeszła przez hol i zamknęła się w łazience. Nie zapalając światła kucnęła przy wannie i chwyciła dłońmi jej brzeg, by opanować drżenie. Łzy spływały jej po policzkach. Przestań, mówiła sama do siebie. Nie płacz. Musisz porozmawiać z Filipem. W żadnym wypadku nie możesz pozwolić, by Evie wiedziała, że coś jest nie tak. Z tym postanowieniem wytarła twarz i pomalowała usta szminką. Niełatwo będzie udawać przed Evie, lecz kiedy tylko uchyliła drzwi do jej pokoju, dziewczynka była cała w uśmiechach. -

Cześć mamusiu! - Kochanie, dlaczego nie poczekałaś na mnie w szkole, jak cię prosiłam? - Czekałam i czekałam, a ty nie przychodziłaś. Więc pomyślałam, że pewnie zapomniałaś. Siedząc na brzegu łóżka Anna odgarnęła kosmyk włosów z czoła Evie. Był jeszcze wilgotny. Moje biedactwo. Ostre słowa Filipa jeszcze brzmiały jej w uszach. Evie ma matkę, która nie dotrzymuje obietnic. Zaslugujesz na więcej, dziecinko - pomyślała z goryczą, wiedząc, że była odrobina prawdy w tym, co powiedział Filip. - Zapomniałam, że kończysz dzisiaj o drugiej trzydziści. Tak mi przykro. - Całkiem zmokłam i trochę się przestraszyłam, ale tatuś mnie zabrał. Evie nie wspomniała słowem, że początkowo uważała za świetną przygodę wracanie do domu w deszczu. Kałuże były olbrzymie, jedna na rogu Gough i Lombard wyglądała jak małe jezioro, a Evie nie przepuściła ani jednej, nie zważając na to, że woda wlewa jej się do butów. Ale potem zerwał się wiatr i zrobiło jej się zimno. - Zdjęłam swoje rzeczy i włożyłam do kosza w łazience. - Grzeczna z ciebie dziewczynka, Evie. Teraz leż w łóżeczku i rozgrzej się. Nie idę już dzisiaj do biura. - To dobrze. Chcemy grać z tatusiem w karty. - Cudownie, kochanie. Idę teraz porozmawiać z dziadkiem, a potem przygotuję dla wszystkich gorącą czekoladę. Co ty na to? - Dobrze, mamusiu. Tatuś mi już jedną zrobił. Anna wiele by dała, by móc po prostu położyć się spać, ale zrobiła obiad, najpierw podała tacę Simonowi do łóżka, a drugą przygotowała dla Evie i Filipa. Kiedy postawiła ją na nocnym stoliku przypuszczała, że Filip da jej do zrozumienia, że jej przebacza, ale nawet nie podniósł głowy znad gry. Później, kiedy Evie już spała, usadowił się w salonie na sofie. Anna położyła się do łóżka przewracając się i wiercąc. W końcu około drugiej zapadła w sen. Godzinę później obudził ją kaszel chorego dziecka. Wstała i narzuciła na siebie szlafrok. Kiedy wyszła do holu, wpadła niemal na Filipa, który również usłyszał Evie. Anna zapaliła światło a Filip siadł na brzegu łóżka i dłonią dotknął czoła córki. Ciało miała rozpalone. - Córeczko - wyszeptał łagodnie - jak się czujesz? - Tatusiu, boli mnie - rzęziła Evie. - Gdzie, skarbie? W odpowiedzi Evie wskazała na gardło. - Przyniosę termometr - powiedziała Anna. Filip skinął głową, pochylił się, wziął Evie w ramiona i kołysząc ją delikatnie szeptał: - Tak mi przykro, że źle się czujesz, księżniczko. Jakoś temu zaradzimy. Prawdopodobnie za długo graliśmy w karty, prawda? Ta uwaga nawet nie wywołała u Evie najślabszego uśmiechu. Anna wróciła z termometrem i powiedziała: - Zmierz temperaturę, kochanie. Termometr wskazywał 38 stopni. Anna przestraszyła się. To prawda, że u dzieci temperatura często się waha, ale tym razem podniosła się tak szybko, a wyrzuty sumienia jeszcze bardziej pobudziły jej lęk. Może Evie jest naprawdę chora? To wszystko jej wina. - Anno, myślę, że powinniśmy wezwać doktora Steina. Lekarza nie było w domu. Wydawało się, że minęły wieki, zanim się z nimi skontaktował. Przez pół godziny Anna siedziała ze wzrokiem wlepionym w zegar, a Filip czuwał przy Evie. Kiedy telefon w końcu zadzwonił, Anna powiedziała: - Doktorze Stein, Bogu dzięki, że pan już jest. Evie ma gorączkę, 38 stopni i bardzo kaszle. Mówi, że boli ją głowa. Złapała ją wczoraj ulewa i obawiam się, że się przeziębiła. - To prawdopodobnie nic groźnego, Anno. Właśnie wróciłem z ostrego dyżuru. Jeszcze się nie rozebrałem. Mogę pojechać do was i ją zobaczyć. Anna natychmiast się uspokoiła, lecz zanim doktor przyjechał, temperatura Evie podniosła się do 39,4 stopni i dziewczynka skarżyła się, że od bólu głowy prawie nie widzi na oczy. Zbadawszy ją, Stein powiedział: - Może to być jakiś złośliwy wirus, ale myślę, że tak czy inaczej powinniśmy przewieźć ją do szpitala. Anna czuła się, jakby śniła zły sen, kiedy przygotowywała Evie do odjazdu do Mount Zion. Doktor Stein wziął ją na kolana mówiąc, że Anna z Filipem

mogą zobaczyć ją, jak tylko skończy. - Zapalenie opon mózgowych - orzekł krótko po powrocie do poczekalni. - O mój Boże! - wykrzyknął Filip. - Czy nic jej nie grozi? - Myślę, że nie - odparł Stein, - ale to nieprzyjemna choroba. Dostała antybiotyki, kryzys powinien nastąpić za kilka dni. Przez ten czas może być trochę niebezpiecznie. Przez resztę nocy Anna z Filipem siedzieli w milczeniu nad łóżkiem córki, słuchając nierównego oddechu dziecka. Jeśli cokolwiek stanie się Evie - pomyślała Anna, ona tego nie przeżyje. Mieć poczucie, że to ona odpowiedzialna jest za to nieszczęście... Lekarz może sobie mówić, że choroba Evie spowodowana jest wirusem, ale Anna wie, że to jej wina. Filip z pewnością też tak myśli - jego gniewne zarzuty wciąż brzmiały w jej uszach. Filipa również dręczyły niespokojne myśli. Evie była jedynym znaczącym osiągnięciem w jego życiu. Była jedyną istotą, która go potrzebowała. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby ją stracić. Oboje rodzice siedzieli u wezglowia córki, osamotnieni w swoim smutku. Czuli, że stali się sobie obcy, niezdolni porozumieć się, nawet w tym wspólnym cierpieniu. Nastął świt, ale żadne z nich tego nie zauważyło. Ponieważ stan Evie się pogorszył, oboje modlili się, by wyzdrowiała, gdyż zdawali sobie sprawę, że bez niej ich życie straciłoby sens. W końcu zjawiła się pielęgniarka, i poprosiła, by poczekać na zewnątrz. Na korytarzu Anna przypomniała sobie o swoim biurze. - Muszę zawiadomić, że nie przyjdę dzisiaj do pracy - powiedziała. - Czy mam też zadzwonić do twojego biura? - Później - odpowiedział obojętnie. Wiedział, że nie ma to znaczenia. Anna skontaktowała się z May Brubeck. Można jej było zaufać, miała klucze do wszystkiego. - Możesz być spokojna Anno - powiedziała May. - Dopilnuj swojej małej, a ja się tu wszystkim zajmę. - Dziękuję, May - powiedziała Anna słabym głosem. Odłożywszy słuchawkę, pomyślała - dzisiaj tyle mnie to obchodzi, że całe biuro mogłoby spłonąć razem ze wszystkimi klientami. Kiedy wróciła do poczekalni, zastała Filipa z zamkniętymi oczami, ale trudno jej było rozpoznać, czy śpi. Nie robiło to żadnej różnicy. I tak nie mieli sobie nic do powiedzenia. Przez cały dzień krążyli między pokojem Evie a holem. Anna nie chciała nic jeść ani pić; czuła, że udławiłaby się próbując coś przełknąć. Filip chodził tam i z powrotem, jak uwięziony w klatce zwierz. Stan Evie nie poprawił się. O siódmej zadzwonili do Simona. - Bez zmian, tato. Zostaniemy tu na noc. Tuż po północy Anna zasnęła w poczekalni. Zaczynało świtać, kiedy się obudziła. Zewsząd dobiegały ją szpitalne odgłosy, ale przy całym jej zmęczeniu i przerażeniu brzmiały bardziej złowieszczo niż uspokajająco. Zdecydowała, że wypije kawę i przywiezie też Filipowi. Czekać na windę uświadomiła sobie, że przez cały ten czas nie pomyślała o Filipie. - Na pewno przeżywa to tak samo jak ja. Spał jeszcze, kiedy wróciła do poczekalni. Twarz miał ściągniętą, pokrytą dwudniowym zarostem. Serce jej ścisnęło się żalem. Och, Filipie, dlaczego teraz, kiedy tak bardzo potrzebujemy siebie, nie potrafimy do siebie dotrzeć? Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. Otworzył oczy nie wiedząc gdzie się znajduje. Usiadł, przejechał ręką po włosach bezskutecznie próbując je przygładzić. - Napijesz się? - Dziękuję - rzekł, sięgając po ciepłą filiżankę. - Filip? - spytała siadając naprzeciw niego. - Czy nie moglibyśmy przynajmniej porozmawiać ze sobą? Na miłość boską, bez względu na to, co się między nami stało, jesteśmy rodzicami Evie. Potrzebujemy siebie nawzajem. Przynajmniej ja ciebie potrzebuję - skończyła z rozpaczą w głosie. Filip spojrział na nią ze spokojem. W zapadniętych ze zmęczenia oczach Anny malowała się udręka i samooskarżenie. Już jej nie obwiniał, że dopuściła, by Evie wracała w deszczu do domu. Zmarznięcie nie spowodowało zapalenia opon mózgowych: doktor Stein jasno to powiedział. Był

niesprawiedliwy mówiąc, że Anna zaniedbuje Evie. Nawet już nie był zły, że wstawiała się w sprawie jego pracy. To było przecież dawno temu... W tym momencie wyszła z sali pielęgniarka. - Czy jest lepiej? - wykrzyknęła Anna. - Niestety nie. Wciąż ma 39,8 stopnia. Zaraz przyjdzie lekarz, by ją zbadać. Anna spojrzała na Filipa zrozpaczonym wzrokiem. - Och, Filipie, to wszystko moja wina. Gdybym zdążyła na czas... Och, Filipie, co będzie, co będzie jeśli ona umrze? Głos jej się załamał przy ostatnim słowie, skryła twarz w dłoniach, a całe ciało drżało od łkania. Filipowi nagle zmiękło serce. Niewiele myśląc wstał i przytulił ją, kołyszając w ramionach jak dziecko. - Już dobrze, kochanie. To nie twoja wina, Anno. Zrobimy wszystko, żeby jej pomóc. Anna potrząsnęła głową. - Dlaczego nie byłam zadowolona z naszego życia? Dlaczego uważałam, że muszę pracować? - Anno, przestań się już oskarżać. - Ale kiedy właśnie doszłam do wniosku, że zrujnowałam nasze życie. A teraz życie Evie... - Głos jej się załamał. - Nie myśl teraz o tym, Anno. To nic nie zmieni. - Muszę o tym myśleć! Zamierzam sprzedać agencję. Nie chcę, by zniszczyła nam życie. - Porozmawiamy później. Teraz musimy sobie wzajemnie pomagać. Jego spokojny głos uspokoił ją. Filip wciąż był przy niej. Nie zawiódł jej. - Kocham cię, najdroższy - wyszeptala. Weszli razem do pokoju Evie. Drzwi były otwarte, ale parawanik był zasunięty. Kilka pielęgniarek z różnymi przyrządami kręciło się wokół łóżka, a doktor Stein pochylał się nad dziewczynką. Opanowana na nowo strachem Anna złapała pielęgniarkę za rękaw. - Co się dzieje? Proszę nam powiedzieć? - Gorączka wciąż się podnosi. Kolejne godziny będą krytyczne. Wolno im było przyjrzeć się Evie. Nie wierciła się już i nie obracała; przeciwnie, leżała spokojniutko podłączona do tlenu. Anna znowu zalała się łzami. - Chodźmy stąd, kochanie - powiedział Filip - przeszkadzamy tutaj. Zawołają nas, jeśli się coś stanie. Poczekalnia wydawała się więzieniem. Anna nie mogąc usiedzieć ani minuty, przechadzała się nerwowo podbiegając, jak tylko pojawiała się pielęgniarka albo lekarz. Chciałaby stać u wezłowia córki, przysłuchiwać się jej oddechowi, dotykać jej ręki, ale nie pozwolono na to. Filip stał na progu paląc papierosa za papierosem. Nagle pojawił się doktor Stein. - Mam dla was dobrą nowinę. Wygląda na to, że najgorsze już minęło. Gorączka zaczyna opadać. Filip szepnął ledwo dosłyszalnym głosem: - Bogu dzięki, dzięki Bogu. Gdy doktor Stein wyszedł, zwrócił się do Anny. - Chcę cię prosić o przebaczenie. Nie pragnę niczego prócz ciebie i Evie, w zdrowiu i pomyślności. Tego właśnie pragnę. Wiem, że jestem trudny - pozwalam, aby moja głupia frustracja wchodziła nam w drogę. Ale jestem ci wdzięczny za to, co zrobiłaś, jestem z ciebie dumny. A poza tym, kocham cię, Anno. Rozdział trzydziesty drugi Po powrocie Evie ze szpitala Anna pozostała kilka dni w domu czule się nią opiekując, szczęśliwa w roli matki i żony. Lecz wkrótce jej zobowiązania w agencji zaczęły się piętrzyć. Filip nie wspominał o jej przyrzeczeniu, a Evie czuła się już dobrze. Anna wiedziała, że niełatwo będzie zmienić ich życie. Pensja Filipa nawet nie wystarczyłaby na skromne życie, a poza tym nie mogła ot tak po prostu zlikwidować swojego biura; miała podpisany długoterminowy kontrakt i zatrudniała ludzi, których byt od niej zależał. Przez jakiś czas targały nią sprzeczne uczucia. Pewnego dnia rozmawiała z Gilem Cooley, który od niechcienia powiedział: - Nadarza się świetna okazja, Aniu. Można wiele zarobić przy niewielkim wysiłku. - Nie podejmuję się żadnych transakcji, Gil - Anna uśmiechnęła się blado. - Myślę o rozwiązaniu agencji. - To do ciebie niepodobne. Ania z dawnych czasów niecierpliwie dopytywałaby się, co mam na myśli - potrząsnął plikiem dokumentów, które trzymał w dłoni. - Chodź o dom na Marina Boulevard. - Na Marina Boulevard? No cóż, i tak by mnie nie było

na to stać. - Może by cię i nie było... Anna zaśmiała się mimowolnie. - Gil, w co ty mnie chcesz zrobić? - Spójrz na to - powiedział, kładąc przed nią plik papierów. Anna przejrzała gęsto zadrukowane strony, wyczytując najważniejsze informacje. Domem tym była szesnastopokojowa willa we francuskim stylu, z sześcioma sypialniami, ogrodem z ozdobnymi klombami i cudownym widokiem na Zatokę. Podniosła wzrok. - To z pewnością piękny dom. Ale co z tego? Chciałabym być właścicielką Pałacu Buckingham, ale to nie na moją kieszeń. - A co byś powiedziała, gdybyś mogła mieć ten dom bez zaliczki z góry? Widząc osłupienie Anny, Gil opowiedział jej całą historię. Przez wiele lat mieszkała w tym domu starsza pani z dwoma rozpieszczonymi mopsami i synem - kawalerem. Umarła w sędziwym wieku dziewięćdziesięciu trzech lat zostawiając posiadłość w testamencie psom i synowi, który ma obecnie siedemdziesiąt dwa lata. Nieszczęśliwy starzec cierpi na rozedmę płuc i oczekiwał ostatnich dni matki, by przenieść się na południe Francji. Wszystko czego chce, to uwierzytelnić swój testament i sprzedać dom, by w spokoju spędzić ostatnie lata życia. Zdaje sobie sprawę, że wiele mu już nie zostało, więc prawdopodobnie nie będzie chciał tracić zbyt dużo czasu na długotrwałe licytacje. Anna odczuła narastające podniecenie. - Gil, myślisz, że dałoby się to załatwić? Gil wydał się ubawiony. - Spróbuj, Aniu. Robienie interesów masz we krwi. Anna rozważała, czy zdecydować się na ryzyko. Wiązałoby się to ze sprzedażą jednego z domów wiktoriańskich, ale domy w Marinie były doskonałą inwestycją. Dzielnica ta zawsze będzie w cenie, ze względu na bliskość Zatoki. Kiedy spytała Filipa o radę, powiedział jej, by robiła to, co uważa za stosowne. Wystawiła więc Hampton House na sprzedaż, ponieważ był najwięcej wart ze wszystkich trzech czynszowych domów, których była właścicielką. W międzyczasie dom w Marinie wystawiono na aukcję za 55.000 dolarów. Anna mało nie oszalała, czekając na oferty na Hampton House, w obawie, że ktoś sprzątnie jej okazję sprzed nosa. Trzy godziny później zjawił się kupiec i bez sprzeciwów zgodził się na proponowaną cenę. Anna zarobiła ponad dwukrotnie na swojej inwestycji. Natychmiast po zawarciu transakcji Anna zaproponowała 40.000 za dom w Marinie. Była to jedyna oferta więc po dniu wahania, właściciel się zgodził. Ponieważ wartość szacunkowa domu była wysoka, bank udzielił jej 5,5% pożyczki na trzydzieści lat, co wyniosło prawie sto procent kosztów zakupu. W krótkim czasie Anna Coulter - z domu Anna Pollock, która nigdy nie miała więcej jak trzy sukienki - stała się właścicielką domu na Marina Boulevard. Przez moment marzyła, że mogliby tam zamieszkać, ale wiedziała, że to fantazje. Dom był tylko inwestycją. Jeśli ceny pójdą w górę w ciągu najbliższych lat, jak to przewidywała Anna, zbiję na nim fortunę. Tymczasem wynajęła go pewnemu inżynierowi z Chicago. O mały włos nie zrezygnował, kiedy usłyszał, jaką kwotę musi płacić do depozytu, ale prawie niemożliwością było znaleźć taki drugi dom, więc w końcu zgodził się. Anna przestała myśleć o sprzedaniu agencji. Evie całkowicie wyzdrowiała, Consuela przychodziła codziennie i przygotowywała wszystko do obiadu. Nawet Filip nie oczekiwał, by Anna się zmieniła. Mało tego - od choroby Evie robił wszystko, by być dla niej miłym. Wyglądało na to, że w końcu przestał się sprzeciwiać, a ona w odpowiedzi kochała go z taką intensywnością, jak w pierwszych dniach ich małżeństwa. Co ważniejsze, polubiła go na nowo. Jedyne problemy w tym, że Anna nie знаła powodów, dla których Filip całkowicie zmienił swój stosunek do niej. Myślała, że pogodził się z jej karierą, z jej sukcesem. A jemu po prostu stało się to obojętne. Kiedy Evie była chora, uświadomił sobie, że jego niechęć do osiągnięć Anny, poczucie niezaradności, naprawdę się nie liczyły. Liczyła się tylko Evie i wszystko czego

Filip chciał, to żyć z Anną w spokoju. A jeśli drogą do zgody było nieingerowanie w jej życie, gotów był tak postępować. Przyznawał nawet, że kocha ją i podziwia. Odkąd Filip pogodził się z tą sytuacją, rodzinie Coulterów zaczęło się lepiej żyć. Evie, uroczą i powszechnie lubianą, rosła i rozwijała się w szczęśliwej atmosferze. Brała lekcje tańca i gry na fortepianie, i bez końca rozmawiała przez telefon. Anna nie mogłaby wymagać więcej od swojej córki. Planowała jej czas, jak tylko umiała najlepiej. Zabierała ją do opery i do teatru, a nawet kupowała dodatkowe bilety, by Evie mogła pójść z przyjaciółmi, w razie gdyby ona nie miała czasu. Jedyną troską w tych latach był pogarszający się stan zdrowia Simona. Kilka drobnych wylewów osłabiło go do tego stopnia, że w ogóle nie wstawał z łóżka. Miał zaburzenia mowy, trzeba go było karmić, a najgorsze było to, że nie był w stanie sam się wypróżnić. Prawdziwą tragedią było to, że umysł Simona pozostał bystry jak zawsze. Przeklinał swoją słabość, nie mógł znieść, że jest zależny i po raz pierwszy w życiu stał się drażliwy, wręcz trudny do zniesienia. Anna z Filipem odetchnęli z ulgą, kiedy doktor Stein orzekł, że nie powinien pozostawać w domu. Oddali go do domu opieki, gdzie Filip z Evie odwiedzali go kilka razy w tygodniu. Nawet Anna, choć bardzo zajęta, przychodziła co kilka dni. Teraz, kiedy kraj wkroczył w szalone lata sześćdziesiąte, Anna miała mniej czasu niż zwykle. Wkrótce po zamachu na Kennedy'ego, kiedy Ameryka spowita była jeszcze żałobą, Anna otrzymała nieoczekiwaną ofertę - dom na Marina Boulevard za 150.000. Nie potrzebowała kryształowej kuli, by zauważyć, że gospodarka wstępuje w nową dekadę ekspansji. Pieczołowicie przeglądała listy nieruchomości w całym mieście. Znalazła kilka małych budynków biurowych w oddalonych od centrum dzielnicach, ale wciąż wracała myślami do pewnej posiadłości w centrum, na Post Street między Grant i Kearny. Był to stary, raczej zaniedbany, ośmiopiętrowy budynek z pomieszczeniami na dole przeznaczonymi na cele handlowe. Początkowo przeraziła ją cena - 850.000. Była to astronomiczna suma w porównaniu do cen sprzed kilku lat. Ale dom na Marina Boulevard przyniósł jej czystego dochodu 100.000. Jedyny problem tkwił w tym, czy dostanie pożyczkę. Suma ta przekraczała zakres możliwości Gila Cooley'a, musiał więc skierować ją do innego banku. W końcu dodatni bilans przechylił szalę na korzyść Anny. Zapłaciwszy z góry 100.000 stała się właścicielką budynku biurowego. Za rok sprzedała go za 1.250.000 dolarów. Za zarobione pieniądze kupiła kolejny biurowiec na Sansome Street - Zapłaciła niewiele ponad milion. Tym razem, pięć miesięcy później, sprzedała go za 1.750.000 dolarów. Nieruchomości były rozchwytywane, ceny nieustannie szły w górę, a Anna kupowała i sprzedawała w szalonym tempie. Pewnego dnia uświadomiła sobie, że jest milionerką, ale nie przestawała prowadzić transakcji. Nigdy nie robiła niczego pochopnie; przemyśliwała każde posunięcie i polegała na swoim instynkcie. Była zaskoczona, kiedy okrzyknięto ją potentatem w handlu nieruchomościami. A przecież wszystko, do czego dążyła, to zapewnić zabezpieczenie finansowe dla swojej rodziny. W grudniu 1964 roku Anna stwierdziła, że daje ponieść się fali. Dziś rano sprzedała jeden z budynków w dzielnicy Portero za prawie 1.500.000 i po raz pierwszy odkąd prowadziła interesy zastanowiła się, czy nie warto, aby rodzina i ona sama skorzystała z ciężko przez nią zarobionych pieniędzy. Wciąż mieszkali w skromnym domku na Bay Street, jeździli używanymi samochodami, robili zakupy w Emporium. Nie miała biżuterii ani futer. Filipowi oczywiście nie zależało na luksusach, ale mogliby z nich korzystać, a Evie była już dość duża, by cieszyć się ładniejszym otoczeniem. Anna właśnie rozważała możliwość przeprowadzki, kiedy los po raz kolejny zaczął jej sprzyjać. Oglądała przed

kilku laty pewien dom. Uważała wówczas, że ludzie, którzy go kupili są najszcześniejszą parą na świecie. Teraz, cudownym trafem, znowu wystawiono go na sprzedaż. Anna nie znała jeszcze ceny, a już rozmawiała z pośrednikiem przez telefon. Zbudował go w 1922 roku jakiś ekscentryczny milioner. Ściany z białej cegły, dach pokryty szarą dachówką. Okna na trzecim piętrze otoczone były kunsztownymi balkonikami, które przywieziono z pałacyku koło Wersalu. Wejścia broniła antyczna, misterna żelazna bramka, a szerokich schodów wejściowych strzegła para kamiennych psów. Kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich chiński służący, Anna podała mu służbową wizytówkę i powiedziała: - Nazywam się Coulter. Pan Cook, agent, który zajmuje się sprzedażą domu, oczekuje mnie. Służący ukloniwszy się wprowadził ją do środka. Owalny dywan z Aubusson leżał na środku pokoju, którego podłoga wyłożona była kremowym marmurem, identycznym jak taras przed domem. Ściany pokryte były różowym jedwabiem, a wspaniałe obrazy zwieńczyły bogatą klatkę schodową. Światło wpadające przez witraże zalewało foyer różnobarwnymi cieniami. - Tu jest winda - powiedział służący, poruszając się bezszelestnie. Kiedy znaleźli się na trzecim piętrze, Anna rzuciła przelotne spojrzenie na Zatokę. Chłopiec wprowadził ją do biblioteki, gdzie czekał na Annę Don Cook. Elegancki pokój był pełen książek, które mieściły się wokół pięknego, marmurowego kominka w stylu Ludwika XV. - Jestem Anna Coulter. A pan zapewne jest Donaldem Cookiem. Cook miał satysfakcję, że dobrze znana potentatka handlowa chce kupić dom dla siebie. Nawet jeśli połowa tego, co słyszał jest prawdą, kobieta ta ma pieniądze. - Proszę zdjąć płaszcz - powiedział i zaraz dodał - z pewnością chce pani obejrzeć wnętrze. Zróbmy małą rundkę zanim przystąpimy do interesów. Przeszli przez hol do foyer, minęli łukowato sklepione przejście i we szli do pracowni. Był to obszerny pokój o korzystnych proporcjach, jego jedną ścianę zastąpiło szklanymi drzwiami, które otwierały się na taras z równie pięknym widokiem jak na parterze. - Jest cudowny! - wykrzyknęła Anna nie potrafiąc ukryć zachwyty. Don Cook uśmiechnął się. - Wie pani, że dom został gruntownie wyremontowany. Obecni właściciele urządzili tutaj salon, by delektować się pięknym widokiem. Wstawili francuskie okna i dobudowali taras. Nie jest on więc całkowicie stylowy. Anna wzruszyła ramionami zbyt oczarowana, by okazać niezadowolenie. Nowe drzwi i taras tylko dodawały uroku temu domowi. Zrobiła krok do przodu i podziwiała białe, kutne w żelazie stoliki i krzesła. W miarę oglądania powód renowacji stał się oczywisty. Poprzedni właściciele, ze względu na widok, urządzili większość pokoi na drugim piętrze, które pierwotnie przeznaczone były dla służby. Na pierwszym piętrze znajdowała się jadalnia, bawialnia i kuchnia. Większą część parteru zajmowały garaże. Jednakże zmiany architektoniczne wykonano po mistrzowsku, zachowując wspaniałe foyer, gzymsy, boazerie i obramowania kominków, różne w każdym pokoju. Anna czuła się jak w bajce. Dom był cudowny. Można się było wprowadzić nie przedstawiając nawet popielniczki. Podjęła natychmiastową decyzję. - Panie Cook, jeśli mój mąż wyrazi zgodę, gotowa jestem dać dwieście tysięcy dolarów za dom z wyposażeniem. W gotówce. Don Cook był wyraźnie zaskoczony. - No cóż, wie pani, że za sam dom żądają sto dziewięćdziesiąt tysięcy. Nie sądzę, by właściciele zgodzili się na dwieście tysięcy za umeblowany dom. Mają tu kilka kosztownych antyków. - Dokładnie rozważyłam tę sytuację. Właściciele zajęci są teraz rozwodem i zależy im, by pozbyć się tego domu. Z tego co słyszę, chętnie pozbędą się wszystkich przedmiotów związanych z małżeństwem. Poza tym dwieście tysięcy może wydawać się małą sumą, ale płacę gotówką. Dlaczego by nie zapytać, czy właściciele na to nie pójdą? - Taaak... przekażę im pani ofertę - Cook

wymamrotał niepewnie. Piękna twarz pani Coulter ukrywała najwyraźniej bystrość umysłu i żelazną siłę woli. Anna usiadła w obitym jedwabiem fotelu. Co będzie, jeśli Filip się nie zgodzi? Tym razem nie powtórzyła swojego błędu i nie popędziła do jego biura. Zaczekała do wieczora i kiedy kładli się już spać, opisała mu dom i wyjaśniła, w jaki sposób mogliby go nabyć. - Czy moglibyśmy go jutro razem zobaczyć, zanim pójdziesz do pracy? - skończyła Anna. - Nie sądzę, by to było konieczne - rzekł Filip z dziwnym uśmiechem na twarzy. - Z pewnością mi się podoba, Anno. Nigdy nie robisz fałszywych posunięć. Po prostu załatw tę transakcję. Obejrzę go kiedy już go nabędziesz. Anna nazajutrz złożyła ofertę i modliła się, ale dopiero po trzech dniach, które wydały jej się wiecznością, Cook udzielił jej odpowiedzi. Im więcej myślała o tym bajecznym domu, tym bardziej chciała go mieć. Dni mijały, a Anna prawie oszalała ze zmartwienia, przekonana, że tym razem przeliczyła się i zaproponowała za niską cenę. Dom ze swoim wyposażeniem wart był co najmniej 250.000, a nawet dużo więcej. Na pewno znaleźli lepszego kupca. Przegapiła taką szansę. Już prawie straciła nadzieję, kiedy zadzwonił telefon. - Anna Coulter, słucham. - Pani Coulter, mówi Don Cook. Rozmawiałem z właścicielami, zaproponowali następujące warunki. Gotowi są sprzedać dom za dwieście dolarów pięć tysięcy dolarów w gotówce. Odczuła przebiegający przez nią dreszcz ulgi. Bez względu na to, ile by zażądali - zapłaciliby! Mocniej chwyciła słuchawkę i wykrzyknęła: - Zgoda! Jestem gotowa podpisać umowę jak tylko dokumenty będą gotowe. Kiedy Anna otworzyła drzwi i Filip z Evie wkroczyli do strzelistego foyer skąpanego w różowym świetle, Evie zapiszczała: - O rany, mamusiu, będziemy tu mieszkać? Anna odparła z radością w głosie. - Myślę, że tak, słoneczko. Mam nadzieję, że spodoba się tu tobie i tatusiowi. Obserwowała uważnie Filipa, ciekawa jego reakcji. Czując jej wzrok na sobie, spojrzął na nią. Na jego twarzy pojawił się błydy uśmiech. - Jest wspaniały. Zaczął przechadzać się po foyer, przyglądając się marmurowym podłogom, jedwabiem obitym ścianom, pięknym meblom i przestrzennej klatce schodowej. Już prawie zapomniał, że urodził się w domu jeszcze okazalszym niż ten. Przez chwilę poczuł się, jakby znalazł się w Sea Cliff. Przywołał go do rzeczywistości okrzyk Evie: - O rany, winda! Czy ona naprawdę działa? Wszyscy weszli do środka i winda zawiozła ich na drugie piętro. Kiedy weszli do salonu Filip i Evie zaniemówili. Widok z okna był nawet piękniejszy niż wtedy, gdy Anna była tu pierwszy raz. Zatoka i most Golden Gate błyszcząły teraz, jasno podświetlone popołudniowym słońcem. - Czyż to nie jest wymarzony dom, Filipie? - wyszeptowała Anna. - Tak, skarbie. - Czy myślisz, że będziesz tu szczęśliwy? Spojrzął na nią. - O ile ty będziesz, Anno. - Ja już jestem szczęśliwa. Nie sądzisz, że to cudowne, że mogliśmy go kupić? - Tak, kochanie. Jestem z ciebie bardzo dumny. Anna nie odpowiedziała. Filip nie okazywał zbyt wielkiego entuzjazmu, ale może jest to naturalne. Kobiety zwykle bardziej interesują się domem niż mężczyźni. Natomiast entuzjazm Evie przerastał oczekiwania Anny. Niech no tylko jej znajomi zobaczą ten dom! - Gdzie będzie mój pokój, mamo? - Nie wiem, skarbie, który sobie wybierzesz. Błękitny pokój ma dwa bliźniacze łóżka z baldachimem, co byłoby dobre, kiedy twoje koleżanki zechcą u ciebie spać. Ale w białym pokoju jest duże łóżko ozdobione organdyńską krezą. Evie zadumała się na moment, wreszcie obwieściła: - Obejrzę najpierw obydwie pokoje! Pobiegła w dół holu zostawiając Annę z Filipem samych. Anna usiłowała odgadnąć, co Filip naprawdę myśli. Nie była pewna, czy podoba mu się dom, pomimo jego zapewnień. Jej pragnieniem było, aby był tu szczęśliwy. Wzięła go za rękę i powoli wyszli na taras. Krótki zimowy dzień dobiegał końca i na ich oczach zapaliły się

migocące światła Golden Gate. Będziemy oglądać ten widok co wieczór, aż stanie się to naturalne, jak Bay Street - myślał Filip. Byłoby lepiej, gdybym ja mógł jej to wszystko dać. Lecz dzisiaj ona ofiarowuje to mnie. Uważnie dobierał słowa, by nie zdradzić się ze swoim ubolewaniem, kiedy ponownie zapewnił ją, jak bardzo podoba mu się dom. W końcu zasługiwała, żeby tu zamieszkać. A on był szczęściarzem, że mógł jej towarzyszyć. Anna chciała wierzyć słowom Filipa, że nie dba o to, za czyje pieniądze kupili dom, ale nie mogła się powstrzymać od jednego pytania. - Filip, nie masz mi za złe, że złożyłam ofertę na ten dom, zanim go obejrzałeś? Filip obrócił się i posłał jej łagodny uśmiech. - Anno, kochanie, ty zawsze wiesz, co jest dla nas najlepsze. Jak mógłbym mieć ci to za złe? Rozdział trzydziesty trzeci Odkąd się przeprowadzili, Annie wydawało się, że już niczego nie potrzebuje od życia. Evie tryskała szczęściem, Filip wydawał się być zadowolony, a ona sama wracała z pracy z uczuciem radości i odprężenia. Chociaż nie miała zbyt wiele czasu na rozrywki, urządziła jednak duże przyjęcie dla przyjaciół z okazji zakupu domu. Łajając w duchu samą siebie nie mogła powstrzymać się od uśmiechu na widok oszołomienia, które odmalowało się na twarzach Ruthie i Kenna, kiedy wprowadziła ich do foyer. Anna uświadomiła sobie, że o ile Kenny zawinił wobec nich, Ruthie była dobrą przyjaciółką, a ostatnio też miała swoje problemy. Kenny flirtował ze swoją recepcjonistką i sądząc po wymizerowanej twarzy Ruthie musiała się już o tym dowiedzieć. Anna objęła ją i podeszły razem do barku. Nie mogła jednak pozbyć się uczucia dumy: oto widzą ją w jej okazałym domu u boku przystojnego męża. W życiu Coulterów zapanował spokój. Filip nie okazywał już zgorzknienia z powodu swojej zwichniętej kariery ani zazdrości o sukces Anny. Obydwoje rodzice byli szczęśliwi, widząc jak Evie dorasta i staje się piękną dziewczyną. Bardzo lubiła swoją nową szkołę, a dom ciągle rozbrzmiewał śmiechem jej przyjaciół. Niedługo po jej hucznych szesnastych urodzinach otrzymali wiadomość z domu opieki, że Simon nie żyje. W zasadzie nie zauważyli u niego żadnych zmian podczas ostatniej wizyty, ale teraz z perspektywy czasu Anna przypomniała sobie, że był nadzwyczaj spokojny, tak jakby przygotowywał się na swój koniec. Choć bardzo go kochali nie mogli zabrać go do domu; Swoje ostatnie lata spędził uwięziony w łóżku. Evie do końca odwiedzała go wiernie kilka razy w tygodniu. Annie i Filipowi nie zawsze wystarczało na to czasu, ale Evie w ciągu dwuletniego pobytu dziadka w domu opieki prawie nigdy go nie zawiodła i widziała się z nim w dzień przed śmiercią. Kiedy usłyszała tę wiadomość, spojrzała na matkę z przerażeniem i niedowierzaniem. - Nie! On nie umarł! On nie mógł umrzeć! Anna otoczyła ją ramionami i powiedziała na pocieszenie: - Wiem, kochanie, że to wielki szok dla ciebie, ale musisz wiedzieć, że Simon jest teraz dużo szczęśliwszy. Gotowy był już do odejścia. Przytuliła ją mocniej na znak pocieszenia, ale Evie nie odwzajemniła uścisku. W końcu powiedziała: - W porządku, mamó. Już to zrozumiałam. Pójdę teraz do swojego pokoju. Anna zaniepokoiła się. Myślała, że Evie przygotowana była na nieuniknioną śmierć Simona. Ale było to pierwsze zetknięcie Evie ze śmiercią, nic więc dziwnego, że czuła się przygnębiona. Anna pomyślała, że może kakao ją uspokoi. Przygotowała tacę z dymiącym kubkiem i talerz smakowitych ciastek. Zapukała lekko do drzwi i cicho zawołała: - Kochanie, przyniosłam ci gorącą czekoladę. Nacisnęła klamkę i popchnęła drzwi. Anna spodziewała się, że zastanie Evie zapłakaną, ale nie - siedziała blisko okna ze wzrokiem utkwionym w nocny mrok. - Dziękuję, nie chcę - powiedziała cicho Evie, kiedy Anna postawiła tacę. - Spróbuj coś zjeść, kochanie. Na pewno poczujesz się lepiej. Evie wzruszyła ramionami. Anna przytuliła ją nie znajdując

odpowiednich słów pocieszenia. Po chwili wyszła z pokoju mając nadzieję, że Evie później poczuje się lepiej. Ona jednak nie zeszła na kolację mówiąc, że jest zmęczona. Evie poszła nazajutrz do szkoły, ale po powrocie poszła prosto do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko. Kiedy rodzice wrócili z pracy słyszała ich rozmowę w saloniku. Wiedziała, że martwią się o nią, ale nie potrafiła rozwiać ich obaw. Myśleli, że jest przygotowana na śmierć dziadka, bo był stary i schorowany, ale nie miała pojęcia, jak całkowicie ostatecznym zjawiskiem jest śmierć. Druzgotała ją myśl, że nigdy już nie zobaczy jego twarzy i nie usłyszy jak mówi do niej "moja mała Evie". Jeśli dziadek umarł, mama i tatuś też odejdą pewnego dnia. Evie nie mogła się z tym pogodzić. Wszyscy troje byli sobie tacy bliscy, że przerażała ją myśl, że cokolwiek złego może się któremuś z nich zdarzyć. Anna przyniosła do pokoju córki kolację, ale nie zmuszała jej do jedzenia. Postawiła tacę i wręczyła Evie małą paczuszkę zawiniętą w pasiasty papier. - Kochanie, wiem, że długo będzie ci brakowało dziadka, ale może ten prezent trochę ci rozweseli. Evie próbowała się uśmiechnąć. - Ach, dziękuję, mamu. - Rozpakuj, kochanie. Evie otworzyła pudełko i znalazła w nim bladnoróżowy sweterek z angory. Zbierało jej się na płacz, kiedy patrzyła to na sweter, to na Annę. Opanowała ją tylko jedna myśl - pewnego dnia i ty umrzesz, a ja tego nie przeżyję! Łzy potoczyły się jej po policzkach. Anna westchnęła. Biedna Evie. Może niewłaściwie do niej podchodzą. Przyjęła ożywiony ton. - Evie, posłuchaj mnie kochanie. Nie można tak dłużej. Wiesz, że dziadek nie chciałby, żebyś się tak smuciła. Ale Evie nie płakała teraz za Simonem. Nazajutrz była sobota i chociaż Evie zeszła na śniadanie, zjadła tylko odrobinę i niewiele mówiąc wróciła do swojego pokoju. Anna zwykle pracowała w soboty, lecz dzisiaj wahała się, czy wyjść z domu. Zaglądnęła do Evie, by ją jeszcze raz pocieszyć. - Wiem, jak bardzo kochałaś dziadka, Ewuniu. Wszyscy go kochaliśmy. Ale nadszedł jego czas, musisz się z tym pogodzić. Evie tylko skinęła głową. Anna wyszła i siadła przy stole naprzeciw Filipa. - Ja już nie wiem, jak mam jej pomóc. Nic do niej nie dociera. Planowałam wyjść do biura, ale nie chcę jej zostawić. Może zechciałaby pójść do kina. Co o tym myślisz? - Nie sądzę, by kino było odpowiednią rozrywką w jej obecnym nastroju. Posłuchaj, Anno, jeśli musisz być dzisiaj w biurze, możesz spokojnie iść. Ja zostaję w domu i porozmawiam z Evie. - Sama nie wiem... - wahała się Anna, ale w końcu zdecydowała, że godzina lub dwie nie zrobią żadnej różnicy. W drodze powrotnej kupi małe na obiad. I może jeszcze ciasto czekoladowe. Kiedy Anna wyszła, Filip odłożył gazetę. Zapukał do Evie: - Księżniczko? Czy mogę wejść? - Tak - usłyszał stłumioną odpowiedź. Evie leżała na łóżku. Filip usiał obok niej bez słowa. W jej fiołkowych oczach odbijało się cierpienie i wielki żal. Widok ten rozdzierał mu serce. Pragnął przygarnąć ją do siebie jak za dawnych lat, ale nie była już małą dziewczynką. - Przykro mi, małeńka - wyszeptał. Smutek w jego oczach i współczucie w głosie stopiły ten upór. Jej dolna warga dygotała i na jej widok Filip zapomniał, że jego córka jest już prawie dorosła. Przyciągnął ją do siebie i kołysał lekko. - Ach, tatusiu, to takie okropne! - płakała. Tuląc ją Filip szeptał czule: - Wszystko będzie dobrze, kochanie. Tatuś jest przy tobie? Evie przestała płakać. - To nie chodzi tylko o dziadka. Chodzi o ciebie i mamę. Nie umierajcie, proszę, nie umierajcie! Kiedy uspokoiła się trochę Filip zaczął łagodnie: - Wiem, ile dziadek dla ciebie znaczył. Byliście dobrymi kumplami, mam rację? Kiedy byliśmy z mamą w pracy, wszędzie cię zabierał, prawda? Do szkoły, na plac zabaw. Wiesz, już zapomnieliśmy, ile czasu spędzaliście razem, kiedy byłaś mała. A teraz chcę prosić, byś się więcej nie smuciła. Pewnego dnia zdasz sobie sprawę, że i tak

długo go miałaś. Uwierz mi. I musisz wiedzieć, Evie - kontynuował łagodnym głosem, - że byłaś dla niego najdroższą istotą na świecie. Byłaś mu nawet bliższa niż ja. To tak, jakby odzyskał Ewę, twoją babcię, kiedy się urodziłaś. Pamiętam, jaki był tego dnia szczęśliwy. Evie, słysząc, jak zadrżał mu głos przy ostatnim słowie, zarzuciła mu ramiona na szyję i wyszeptowała: - Tatusiu, tak bardzo cię kocham. - Wiem, skarbie - odparł. - I ja wciąż żyję dla ciebie, chociaż dziadek już na zawsze odszedł. Rozdział trzydziesty czwarty Evie uspokoiła się i Anna odetchnęła z ulgą. W biurze panowała gorączkowa atmosfera. Wszyscy nagle chcieli kupować domy albo zamieniać je na większe. Skończył się wreszcie wyjątkowo intratny listopad, kiedy Anna siedząc przy biurku rozważała propozycję przysланą przez znajomego maklera. Jej treść była intrygująca: zaproszenie do współpracy z syndykatami zrzeszonymi przez konsorcjum z siedzibą w Nowym Jorku. Skupują nieuzbrojone tereny i budują kompleksy biurowców oraz podmiejskie centra handlowe w całym kraju. Oferta dość bezpieczna, ponieważ ryzyko było podzielone. A potencjalne zyski mogłyby być ogromne. Anna już wcześniej analizowała podobne propozycje, ale powstrzymywała się, nie chcąc zaangażować się w coś, nad czym nie miałyby bezpośredniej kontroli. Trzeba się było nieźle znać na sprawach finansowych, by umieć oddzielić ziarno od plew. W handlu nieruchomościami, jak w każdej innej dziedzinie, zdarzają się nieodpowiedzialni, niegodni zaufania ludzie. Lecz z każdym rokiem nabierała większej pewności, a teraz czuła, że jest gotowa, by się temu bliżej przyjrzeć. Adam Gayne stał za tym syndykatem. Znajomy makler zapewnił ją, że jest on świetnym ekspertem jako prawnik, doradca do spraw inwestycji i finansista w handlu nieruchomościami. - Ten człowiek zna się prawie na wszystkim, Anno - powiedział jej przyjaciel. - Musisz go poznać. Równy z niego facet. Dlaczego by nie - pomyślała Anna zaintrygowana. Miała już do czynienia ze wszystkimi osobistościami w San Francisco; cóż mogło być osobliwego w tym adwokacie z Nowego Jorku. Miała pieniądze, by zainwestować i zaufanych klientów. Musi tylko dowiedzieć się, co Gayne ma do zaproponowania. Anna była zadowolona, że Filip ostatnio spędza dużo czasu z Evie: mogła dzięki temu wyjechać na jakiś czas. Kiedy odprowadzili ją na lotnisko, Anna wiedziała, że może zostawić ich samych ze spokojnym sercem. Nowy Jork tętnił życiem. Ciemnoniebieskie niebo i blade słońce wynagradzały uciążliwość grudniowego chłodu. Anna wyszła z hotelu Plaza i powędrowała Fifth Avenue. Skręciła w kierunku wschodnim na umówione miejsce, z podnieceniem rozmyślając o swoim pierwszym udziale w syndykacie. Posiadłości znajdowały się w luksusowej dzielnicy Dallas - więc praktycznie nie było żadnego ryzyka. Kiedy weszła w strzeliste atrium stalowo-granitowego wieżowca przebiegł ją dreszcz oczekiwania. Dzisiaj spotka Adama Gayna. Wyobrażała sobie, że jest krępy, średniego wzrostu, ma okulary w metalowych oprawkach i rzadziejące włosy. Jest prawdopodobnie spokojny i skromny; w przeciwieństwie do powszechnej opinii, potentaci handlowi starają nie rzucać się w oczy, chociaż zdarzają się wybitne wyjątki. Odźwierny wprowadził ją do windy wyłożonej zielonym dywanem, która pomknęła szybko i bezszelestnie na czterdzieste siódme piętro. Przez chwilę serce tłukło się Annie w piersi i ręce jej spotniały. Chętnie odczekałaby kilka minut, by się uspokoić. Wyprostowała ramiona i weszła do chłodnego foyer z parkietową podłogą. Nad jednymi z drzwi widniał napis "Adam Gayne, adwokat". Atmosfera biura wydawała się dziwnie wyjątkowa, ale Anna robiła sobie wyrzuty, że zbyt dużo sobie wyobrażała. W końcu w ciągu ostatnich lat miała do czynienia z wieloma słynnymi prawnikami i niejednym spekulantem. Dlaczego ten miałby być jakiś szczególny? A przecież z Anną Coulter też liczone się w kręgach handlarzy

nieruchomościami. Jednak coś szczególnego w tym biurze sprawiło, że przycisnęła mocniej aktówkę wchodząc do recepcji. - Pan Gayne będzie do pani dyspozycji za kilka minut - powiedziała sekretarka. - Może zechciałaby pani spocząć? Ledwie Anna zdążyła usiąść i otworzyć swoją aktówkę, kiedy otworzyły się drzwi i podszedł do niej z wyciągniętą dłonią wysoki, szczupły, atletycznie zbudowany mężczyzna, ubrany w nieskazitelną garnitur. Anna była oszołomiona. Potknęła się wstając, by go przywitać. A więc to jest Adam Gayne? Analizowała jego rysy, gęste, faliste czarne włosy, lekko przyprószone srebrem przy skroniach, przykuwające czarne oczy. - Pani Coulter... Miło mi, że wreszcie mogę panią poznać - powiedział z rozbajającym uśmiechem. - Panie Gayne... - Zdołała powiedzieć, kiedy trochę ochłonęła. - Może wejdziemy do biura? - zaproponował Gayne łagodnym głosem. Anna była świadoma jego bliskości, kiedy przeszła obok i zajęła miejsce. Usiadł przy dużym hebanowym biurku naprzeciw niej i uśmiechnął się. - Przejdźmy może od razu do sprawy. Ufam, że ma pani kopię umowy, którą pani posłałem. Jego neutralny, urzędniczy ton pozwolił Annie uporządkować myśli. Wyjęła dokumenty ze starannie przygotowanej teczki i zaczęła: - Panie Gayne, mam kilka pytań dotyczących strony siódmej... Potoczyła się rozmowa o interesach. Gayne wyjaśniał jej najdrobniejsze szczegóły funkcjonowania syndykatu tak przejrzyście, że Anna od razu zrozumiała dlaczego uważany był za jednego z najlepszych ekspertów w swojej dziedzinie. Wreszcie poruszyli wyjątkowo drażliwy temat - podatki, i nim Anna spostrzegła się, minęło pół popołudnia. Rozmawiali przez dwie godziny. Spojrzała na zegarek i wykrzyknęła: - Och, jest już prawie druga. Przykro mi, że zabrałam panu dużo czasu. - Nie ma o czym mówić - powiedział odsuwając dokumenty na bok. - Chciałem się tylko upewnić, że zna pani wszystkie zawiłości tego przedsięwzięcia. - W każdym razie - odezwała się Anna trochę raptownie niż planowała - myślę, że dobrnęliśmy prawie do końca. Nie będę pana dłużej zatrzymywać. - Nie zatrzymuje mnie pani - odpowiedział półgłosem. Ledwo go słysząc, Anna zgarnęła papiery do aktówki i zaczęła zbierać się do wyjścia. - Pani Coulter, czy nie zapomniała pani o lunchu? Spojrzała na niego pytająco. Wyraźnie go to rozbawiło. - Nie - odparła z wahaniem. - Czy ma pani jakieś inne plany? Po twarzy Anny przemknął smutny uśmiech. - Prawdę mówiąc nie. - To dobrze. Zabieram panią. Wyszli na zewnątrz i złapali taksówkę. - Russian Tea Room - powiedział, lecz szybko zreflektował się. - Czy to pani odpowiada? - Tak - odparła Anna chłodno. Teraz na odwrót ona była ubawiona. Najwidoczniej pan Gayne nie ma zwyczaju konfrontować życzeń innych ze swoimi, chociaż teraz wdzięcznie z tego wybrnął. Cudownie było w jego towarzystwie. Otworzyły się przed nim drzwi, natychmiast wskazano im dobrze usytuowany stół, kelnerzy biegali na jego rozkazy. Jednak przez cały czas Adam nie odwracał od Anny uwagi. Pytał o jej życie w San Francisco - jakie były jej pierwsze kroki w interesach, jakie pułapki napotykała. Od czasu do czasu robił zabawne uwagi i komentarze rozśmieszając Annę do łez. Skończyli truskawkowy deser i siedzieli przy kawie. Anna napomknęła, odrobinę zaniepokojona: - Obawiam się, że zabieram panu czas. - Nic podobnego - zapewnił ją. - Nie miałem nic w planie na dzisiejsze popołudnie, a nawet jeśli bym miał, byłoby już za późno. Już jest piąta. Czas na drinka, co pani o tym sądzi? Po dwóch wytrawnych martini Anna przestała martwić się o, jak przypuszczała, zaniedbane przez Adama spotkania. Ubawiona dowcipami świetnie czuła się w jego towarzystwie. Gdy zaproponował obiad, przeraziła się. - Ależ panie Gayne - czyż nie zjedliśmy dopiero lunchu? - Kilka godzin temu - roześmiał się. Anna nie spostrzegła, że minęło już tyle czasu. - Może by pani chciała pójść do hotelu i przebrać się? - Naprawdę

powinnam odmówić... - Dlaczego? Anna zastanawiała się przez chwilę. Czy dlatego czuję się winna, że tak świetnie się bawię? Czy to, że jestem mężatką - szczęśliwą mężatką - oznacza, że nie mogę spędzić wieczoru ze znajomym od interesów - nawet jeśli jest on wyjątkowo przystojny? Podniosła oczy i zobaczyła, jak jego brew uniosła się zabawnie w pytającym spojrzeniu. Zakłopotana swoimi skrupułami roześmiała się: - Dobrze, przyjmuję zaproszenie. Tylko musi mi pan dać godzinę albo dwie na przygotowanie. - Wspaniale. Pójdziemy do Lutece. Anna wróciła do hotelu Plaza z cudownym uczuciem oczekiwania. Mówiła sobie tysiąc razy nie bądź głupia, lecz nie mogła się uspokoić. Nowy Jork jest fascynujący - to dlatego, powtórzyła kilkakrotnie. Prądy, które przebiegały przez nią całą spowodowane były faktem, że w końcu przyjechała do finansowej stolicy Ameryki... Spojrzała na zegar przy łóżku i uświadomiła sobie, że tylko półtorej godziny dzieli ją od przyjazdu Adama. Co ja mam na siebie włożyć? Podeszła do szafy i przypomniała sobie, że ma ze sobą tylko dwie urzędowe sukienki i bladoniebieską z dzianiny, którą wrzuciła do walizki, bo się nie mieściła. Przyjrzała się jej z niezadowoleniem. Wyglądała tak niegustownie. Już miała zdjąć ją z wieszaka, kiedy przez głowę przemknął jej obraz eleganckiego hotelowego sklepu. Kątem oka zauważyła tam oszałamiająco piękną sukienkę. Kierowana impulsem wykręciła numer i poprosiła ze sklepem. Miły damski głos odezwał się w słuchawce: Maison Mandessole, czym mogę służyć? - Czy mogłaby pani przesłać do mojego pokoju trzy albo cztery wyjściowe sukienki numer ósmy? Potrzebuję coś na dzisiejszy wieczór, a nie mam czasu by zejść na dół. Po dziesięciu minutach szykowna właścicielka miłego głosu zjawiała się z naręczem wieczorowych sukien. Bez wahania Anna wzięła je wszystkie do przymierzenia. Jedna była koloru morza, z pajetkami - odrobinę za błyszcząca, biała nadawała się do tańca, czerwona była stanowczo zbyt jaskrawa, i w końcu czarna, ta, którą Anna widziała na wystawie. Była to ostatnia sukienka, którą przymierzyła. Elegancko zdrapowana, czarna jedwabna krepa, gładka na górze i odcinana w pasie. Wokół szyi rząd dżetowych koralików, a przymarszczona spódniczka wirowała ekscytująco wokół nóg. Wychyliła głowę z łazienki. - Wezmę tę czarną. Czy może to pani dopisać do hotelowego rachunku? - Oczywiście, proszę pani - powiedziała ekspedientka, zastanawiając się w duchu, dlaczego jej klientka nie chciała pokazać się z łazienki. Ma przecież świetną figurę. Anna nigdy do tej pory nie była tak lekkomyślna, ale przynajmniej będzie przyzwoicie ubrana. Z zawodowego punktu widzenia nie należało dać Adamowi Gayne powodów do myślenia, że jest zbyt biedna, albo że prowincjonalna i nie umie ubrać się odpowiednio na kolację. Napuściła szybko wodę do wanny, wrzuciła porcję kąpielowych soli i zanurzyła się w aromatycznej, gorącej wodzie. Zamknęła oczy i odchyliła się, pozwalając wodzie odprężyć jej zmęczone ciało. Przejechała ręką po ramieniu czując pod palcami satynową skórę. Pozwoliła, aby dłoń powędrowała prawie pieszczotliwie po piersiach. Są wciąż jędrne jak u młodej dziewczyny - pomyślała zaskoczona. Próbowała zmusić się do pośpiechu, ale jej umysł niechętnie się temu poddawał. Ciało natomiast, dla kontrastu, było nadzwyczaj ożywione. Dostyc tego, powiedziała sobie. Adam będzie tu za pół godziny. Nie możesz siedzieć w wannie, kiedy przyjdzie! Założyła koronkową obcisłą halkę, zrobiła mocniejszy niż zwykle makijaż podkreślając fioletowe oczy czarną kreską i tuszem do rzęs, który dostała od Evie na urodziny. Anna zabrała go ze sobą, by nie robić Evie przykrości. Ale dzisiaj jej się przydał. Spojrzała w lustro, włosy wciąż upięte jak do kąpieli odsłaniały linię jej szyi. Nie, to absurd. Nigdy nie nosi upiętych włosów. Mogłaby je spać lekko dwoma grzebykami. Ubrała gładkie czarne pończochy i buty

na wysokim obcasie, w końcu - swoją nową sukienkę. Kiedy spojrzała w lustro, była zaskoczona. Elegancka nieznajoma spoglądała na nią, świetlana postać z jedwabistymi ciemnymi lokami, błyszczącymi oczyma i policzkami koloru dzikiej róży. Sukienka przylegała prowokująco do piersi i bioder, krótka spódniczka sprawiała, że nogi wydawały się jeszcze szczuplejsze. Właśnie wkładała portfel do małej skórzanej torebki, kiedy rozległo się pukanie. - Dzień dobry - powiedziała drżącym głosem, otwierając drzwi. Przez moment przyglądał się jej zdumiony. Po chwili odezwał się opanowanym głosem: - Anno... wygląda pani prześlicznie. - Idziemy? - spytała szybko nie mając ochoty odpowiadać na jego komplementy. - Czy mogę pani podać płaszcz? Jest zima, a ta śliczna jedwabna sukienka nie ochroni pani przed chłodem. Anna miała ze sobą tylko czarny płaszcz - pospolity, ale na całe szczęście czarny. Lutece zasługiwała na swoją reputację. - Nie była tu pani nigdy przedtem? - zapytał Adam. - Nie. Jestem pierwszy raz w Nowym Jorku. Przypuszczam, że szokuje pana moja prowincjonalność. - Ani trochę - odparł - nikt nie dorównuje prowincjonalnością przeciętnemu nowojorczykowi. Mam nadzieję, że ze mną nie jest tak źle. Prawdę mówiąc, San Francisco jest jednym z moich ulubionych miast. - Często pan tam bywa? - spytała Anna. Zarumieniła się w obawie, że pomyśli, iż zbyt go nim interesuje. - Wyjeżdżałem w interesach co kilka miesięcy. Może będę tam częściej skoro mam teraz więcej powiązań. Nie odrywając od niej oczu, zamówił Dom Perignon. Adam Gayne podniósł swój kieliszek i zbliżył do kieliszka Anny. Chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. W końcu powiedział tylko - za pomyślną współpracę. Anna stopniowo rozluźniła się i stwierdziła, że tak samo jak podczas lunchu mają sobie tysiące rzeczy do powiedzenia. Nawet nie zauważyła, co dla nich zamówił, chociaż na długo utrwalił jej się w pamięci smak Escargots Engive, pieczonych przepiórek i egzotycznych importowanych win, które sprawiły, że czuła się jak we śnie. Wszystko wydawało jej się nierealne - nie tylko wspaniałe jedzenie i wystrój sali, nie tylko siedzący naprzeciw niej mężczyzna, ale najbardziej ona sama. Kiedy poruszała się na krześle, czuła pieszczotliwe muśnięcia jedwabiu przypominające o jej niebywałym uroku. Chociaż rozmowa schodziła czasami na interesy, Anna nie odczuwała potrzeby, by - jak to miała w zwyczaju - trzeźwo myśleć i dawać z siebie wszystko. Kiedy przełknęła ostatnią łyżką soczystej Coupe aux Framboises Adam nalegał, by zamówili Armagnac. Ten rzadki gatunek brandy podano w lekko podgrzewanych kulistych kieliszkach. Anna wzięła głębszy oddech i spojrzała z zachwytem. - Wygląda cudownie! Jak Cognac, prawda? - Inny region Francji - skomentował Adam i uśmiechnął się ubawiony jej zachwytem. Anna wypiła łyk, i poczuła, że ogarnia ją dziwne, wruszające uczucie. Wiedząc, że nie może zbyt dużo wypić, postawiła kieliszek na stole. Kiedy podniosła oczy, spostrzegła utkwiony w niej wzrok Adama. - Jest pani piękna - powiedział nagle, obserwując jej falującą pierś pod cienkim, czarnym jedwabiem. Unikała jego pełnego podziwu wzroku. - Panie Gayne... - Adam - mów mi Adam. - Adamie - ja... - Przepraszam. Nie chciałem byś czuła się skępowana. Jednak jesteś piękna - setki mężczyzn musiały ci to mówić - Anna pokręciła przecząco głową. - Nie? Może mężczyźni w San Francisco powinni nosić okulary. Anna roześmiała się. Spojrzała na jego mocną, opaloną dłoń, którą oparł na stole. Zwalczając w sobie chęć dotknięcia jej. Na miłość boską, co się z nią dzieje? Powinna pójść do hotelu i przespać się - szaleństwo tego wieczoru minie wraz z nastaniem świtu. - Idziemy? - Adam jakby czytał w jej myślach. Kiedy podawał jej płaszcz, jego ręka musnęła jej szyję i przebiegł ją dreszcz. Drgnęła, a Adam cofnął natychmiast dłoń. Noc była wyjątkowo zimna. Kiedy wsiedli

do taksówki Anna sztywno usiadła w rogu w pełni świadoma, że jego ramię opiera się na siedzeniu tuż za nią. Do hotelu nie było daleko. Kiedy przybyli na miejsce Adam wysiadł bez słowa z taksówki i odprowadził ją po schodach, do drzwi hotelu. Kiedy odwróciła się, by go pożegnać, dostrzegła, że błysk rozbawienia znów pojawił się w jego oczach. Stojąc przy drzwiach z niepokojem oczekiwała, że ją pocałuje. Zamiast tego wyjął jej dłoń z płaszcza, skłonił się i poczuła lekkie muśnięcie jego ust na swojej dłoni. - Było cudownie, Anno. Dobranoc. - Dobranoc, Adamie - powiedziała Anna dziwnym, niepodobnym do swojego głosem. Odwróciła się i skryła bezpiecznie w zatłoczonym, jasno oświetlonym holu. Adam wrócił do czekającej taksówki. Nagle zmienił zdanie, dał taksówkarzowi pięciodolarowy banknot i odesłał go. Mieszkał dość daleko stąd, ale postanowił pójść pieszo. Może lododwate powietrze rozwieje czar, jakim urzekła go Anna Coulter. Spodziewał się oficjalnej, swarliwej megiery w średnim wieku, w niemodnych spodniach i bluzce. Anna Coulter z pewnością tak nie wyglądała. Jest piękna, seksowna i oszałamiająco czarująca. Gdyby zechciała, mogłaby z łatwością wykorzystać te walory, ale ani trochę nie okazywała tego swoim zachowaniem. Może właśnie to ją tak wyróżnia - szczerłość i uczciwość. Dotarło do niego, że Anna Coulter jest ceniona w swoim zawodzie. Jest również niewątpliwie inteligentna. Był zaskoczony z jaką szybkością pojęła wszystkie szczegóły tego przedsięwzięcia i wytknęła jego słabe punkty. Nikt nie zdoła nic jej narzucić. Kiedy tak szedł Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą mijając rozświetlone sklepowe witryny, próbował sobie wybić z głowy tę fascynację: jest taka piękna i mądra, jest szczęśliwą mężatką i mieszka dokładnie w przeciwległej części kraju na zachodnim wybrzeżu. Ale wspomnienie błyszczących fiołkowych oczu, smutny a zarazem słodki uśmiech i jej poczucie humoru nie dawały mu spokoju. Zatopiony w myślach prawie minął swój dom. Zwykle odczuwał spokój i ukojenie, kiedy wracał do domu, ale dzisiaj nie mógł się pozbyć nerwowego podniecenia. Kiedy wyjrzał przez okno światła Manhattanu wydawały się bledsze niż wtedy w Lutece. W sypialni na wypolerowanym mahoniowym łóżku leżał złożony jedwabny szlafrok, pościel była równo ułożona, a karafka z kieliszkami stała przygotowana na stoliku przy kominku. Wierny Gaston - prawdziwy skarb. Lepszy niż żona - mruknął do siebie, ale kiedy położył się do łóżka wyobrażał sobie Annę Coulter z włosami rozwianymi na poduszce, leżącą w negliżu obok niego. Dobry Boże, myślał doprowadzony do pasji. Czy mam marzyć całą noc o kobiecie, której prawie nie znam? Lecz jej obraz nie rozwiązał się. To absurdalne. Było późno i musiał trochę odpocząć. Czekają na niego wszystkie te sprawy, które odłożył na jutro. Odrzucił przykrycie, wstał i nalał sobie brandy. Opróżnił kieliszek dwoma haustami, wrócił do łóżka i zapadł w niespokojny sen. Kiedy się obudził, jego pierwsza świadoma myśl dotyczyła Anny. Zaspał. Wczorajszy niepokój spowodował, że zapomniał nastawić budzik i zostawić wiadomość Gastonowi. Chociaż był już spóźniony, postanowił zadzwonić do niej do Plaza. Wtem przypomniał sobie, że miała odlecieć o dziewiątej. Teraz musi być na lotnisku i czeka na odlot. Zirytowany zadzwonił po kawę i podszedł wziąć prysznic. San Francisco nigdy nie wydawało mu się aż tak odległe. Rozdział trzydziesty piąty Anna przeciwnie - wdzięczna była za każdą z trzech tysięcy mil, które oddzielały ją od Adama. Próbowała wpaść znowu w wir pracy i starała się wykorzystywać wolny czas na wycieczki z Evie. Ale Evie miała teraz swoje towarzystwo. W weekendy, które spędzała sama z Filipem, prześladowało ją to napięcie, które przeżywała będąc z Adamem. Z dała od niego zdała sobie sprawę, że to pożądanie. Pragnęła Adama Gayne, chociaż wiedziała, że nie może go mieć. Rozmawiali przez telefon od czasu do czasu o interesach, lecz Anna nigdy nie

przedłużała tych rozmów. Czas mijał, a Annie zdawało się, że po raz kolejny całkowicie zapanowała nad swoimi uczuciami. Minał prawie rok, kiedy nieoczekiwanie Adam zadzwonił, by ją poinformować, że założył nowy syndykat. Pytał, czy może przyjechać do Nowego Jorku, by omówić szczegóły z nowymi udziałowcami. Anna zagrała na zwłokę mówiąc, że zadzwoni do niego później. Lecz pomimo targających nią emocji nie mogła zmusić się, by nie skorzystać z okazji. Pierwszy syndykat przynosił duże zyski wszystkim udziałowcom, więc z tym może będzie podobnie. W każdym razie kobieta po czterdziestce już dawno powinna się wyżyć dziewczęcych obaw. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Poleciała swojej sekretarce, by przesłała wiadomość do biura pana Gayna, że przyjeżdża. Następnie zrobiła rezerwację w hotelu Plaza. Nie rozważając konsekwencji swej decyzji, postanowiła przybyć do Nowego Jorku dzień wcześniej, by mieć czas na zakupy. Oprócz czarnej wieczorowej sukienki, którą kupiła podczas poprzedniej podróży, Anna miała tylko stroje do biura, praktyczne ubrania, które nosiła w domu i dwie skromne sukienki przeznaczone na oficjalne spotkania. Dlaczego nie mam sobie pofolgować? - pomyślała. Przecież ostatecznie stać mnie na to. Po rozpakowaniu się w hotelu, wyruszyła na zakupy - jak dziecko na spotkanie świętego Mikołaja. Wystawy zapelnione eleganckimi towarami. W powietrzu rozbrzmiewały dzwoneczki Armii Zbawienia. Anna nigdy jeszcze nie była w Bergdorf Goodman, ale przyjaciółka poleciła go jej jako jeden z najlepszych sklepów w mieście. Przynajmniej raz w życiu zamierza zrobić sobie przyjemność i nie liczyć się z kosztami. Nie będzie słuchać roztropnego, wewnętrznego głosu małej Anny Pollock, która wciąż zastanawia się nad każdym wydatkiem. Podeszła do ubranej na czarno ekspedientki i starając się mówić pewnym głosem zapytała: - Czy mogłaby mi pani pomóc? Mam zamiar kupić kilka rzeczy... W ciągu dwóch godzin Anna kupiła sporo, a teraz zastanawiała się nad kupnem wymarzonej różowej wieczorowej sukienki Mollie Parnis. Spódnica sukienki uszyta była z długiego kawałka pięknie upiętego szyfonu, z przodu przy szyi była skromnie przymarszczona, a plecy miała mocno plisowane. Nie zważając na cenę skinęła na zadowoloną ekspedientkę i przebrała się we własne ubrania. Zbyt podniecona, by czekać aż jej to wszystko przyślą, przeszła uginając się pod ciężarem zakupów przez Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę do hotelu. Kiedy znalazła się w swoim pokoju, natychmiast rozpakowała torby. Koloryst zakupionych sukien i kostiumów tworzyły tęczę, kiedy rozwiesiła je w małej garderobie: szafirowa sukienka z dobranym do niej żakietem, powiewna kawowa, biały kostium z surowego jedwabiu i piękny różowy szyfon. Kupiła też pantofelki ze skóry aligatora i torebkę koloru kawowego, śliczne buciki w kolorze wina kontrastujące z niebieską sukienką i żakietem, parę srebrzystych satynowych sandałów na wysokim obcasie i ozdobioną koralikami wieczorową torebkę. Kiedy już wszystko przejrzała, podeszła do okna i spojrzała na park. Nagle poczuła się bardzo samotna. Ma tyle pięknych kreacji, a nie ma okazji, by je założyć. Co mogłaby zrobić z resztą dnia? Powinna jeszcze raz przejrzeć dokumenty, które przysłał jej Adam, ale nie miała na to ochoty. Zrób sobie wolne, Anno - podpowiadał jej cichy głos. Nic się nie stanie jeśli sobie trochę pofolgujesz. Może obciąć włosy? Najwyższy czas pozbyć się tego dziewczęcego kuczka... Wykręciła numer hotelowego salonu piękności, ale wszystkie kosmetyczki były zajęte. Wertując w książce telefonicznej rozpoznała tylko jedno nazwisko - Elizabeth Arden. Było to niedaleko, więc wykręciła numer. Tak, mają wolne miejsca. - Czy chciałaby pani "Maine Chance", pani Coulter? - Słucham? - spytała Anna zaskoczona. - To mały komplet usług, które oferujemy. Obcięcie włosów, ułożenie, manicure, pedicure, masaż i makijaż. - Tak - Anna usłyszała swoją

odpowiedź - właśnie to miałam na myśli. Delektowała się każdą minutą od momentu kiedy przekroczyła próg słynnych czerwonych drzwi i dostała się w ręce młodej, uśmiechniętej kobiety. Obsługiwano ją tam w sposób o jakim jej się nie śniło. Największą przemianą były jej włosy. Obcięte tak, by podkreślić ich naturalną falistość. Podwinięte pod spód, a lekko postrzępiona grzywka podkreślała jej fiołkowe oczy okolone czarnymi rzęsami. Kiedy w drodze do hotelu zobaczyła swoje odbicie w wystawie sklepowej, wydawało jej się, że patrzy na kogoś obcego. I chociaż wiedziała, że przemiany tej dokonała, by zadowolić siebie, z drugiej jednak strony - by zrobić wrażenie na Adamie Gayne... Zegar w hotelu wskazywał szóstą, a Anna uświadomiła sobie, że nie jadła lunchu. Przez chwilę miała ochotę na wczesny obiad w Oak Room, ale nie mogła zebrać odwagi, by tam sama pójść. Poszła na górę i zamówiła posiłek do pokoju. Co za strata, pomyślała przyglądając się sobie w lustrze. Boeuf Burgundy i Chateau Cos d'Estournel były przewyborne, ale była zbyt przygnębiona, by się nimi delektować. Postawiła lampkę wina z westchnieniem i choć nie robiła tego często, zapaliła papierosa. Potem siedziała przy oknie aż stwierdziła, że czas zadzwonić do domu. Chciała rozmawiać z Filipem, ale odebrała Consuela. - Przykro mi, proszę pani. Pan Coulter zabrał Evie na obiad, a potem mieli pójść do kina. Czy mam im coś przekazać? - Powiedz tylko, że dzwoniłam i że ich kocham. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Central Park. Miasto straciło coś ze swego magicznego uroku. Otworzyła aktówkę i wyjęła dokumenty dotyczące syndykatu. Słuchaj no, koleżanko, strofowała sama siebie. Nie zapominaj, że przyjechałaś tu w interesach. Serce biło jej mocno, kiedy nazajutrz weszła do biura Adama. - Dzień dobry, pani Coulter - powiedziała recepcjonistka. W jej głosie brzmiała nuta niewątpliwego podziwu. Nie widziała dotąd zbyt wiele, szykownych, pięknie ubranych kobiet interesu i uśmiechała się szeroko wprowadzając Annę do sali konferencyjnej, jak gdyby był to jej osobisty sukces. Około tuzina mężczyzn w różnym wieku siedziało za dużym stołem konferencyjnym. Wszyscy pochodzili z Teksasu. Zapach papierosowego dymu unosił się ciężko w powietrzu. Oczarowane i zdziwione spojrzenia świadczyły o tym, że wygląd Anny i na nich zrobił wrażenie. Tylko Adam zachował kamienną twarz wskazując jej krzesło. Po kilku chwilach stonowanej wesołości i rozmowy, przeszli do interesów. Początkowo Anna nie mogła nadażyć za tokiem rozmów. To ogromne przedsięwzięcie dotyczyło znacznego obszaru o znaczeniu strategicznym w pobliżu Houston. Planowano tam wybudować super nowoczesne biurowce z przylegającymi apartamentami, kondominiami, hotelami, sklepami i pasażami. Wyglądało na to, że można zbić na tym kokosy, a udziałowcy rozprawiali ze znanstwem o potencjonalnych zyskach. Kiedy spotkanie dobiegało końca, Anna uświadomiła sobie, że zamęt który miała w głowie nie wynikał z jej braku doświadczenia. Udziałowcy pominęli najwidoczniej kilka istotnych szczegółów. Zauważyła co najmniej dwojakiego rodzaju konsekwencje podatkowe, o których nie wspomnieli. Kiedy nastąpiła przerwa w ich prezentacjach, Anna włączyła się do dyskusji kierując pytanie do prawnika, otyłego mężczyzny o nerwowym śmiechu. Był wyraźnie zdziwiony, kiedy się do niego zwróciła, myśląc z pewnością, że ta "mała kobietka" nie powinna zwracać swojej ślicznej główki takimi problemami. Anna nie dała się łatwo zbyć, a w całej sali zapanowała cisza, kiedy konsekwentnie, aczkolwiek uprzejmie, stawiała mu konkretne pytania. - Dziękuję - powiedziała w końcu. - Dostatecznie mi pan to wyjaśnił. Mężczyźni wokół dużego konferencyjnego stołu spojrzeli na Annę z jeszcze większym szacunkiem. Obserwując ich twarze Anna o mały włos nie wybuchnęła śmiechem. Próbowali odsunąć ją na bok, a tymczasem ona ożywiła dyskusję stawiając pytania,

o których oni nawet nie pomyśleli. Adam był z niej niezmiernie dumny, tak, jakby była jego protegowaną. Omówiono pośpiesznie ostatnie formalności i udziałowcy, jak na komendę, zaczęli pakować dokumenty do swoich aktówek, gratulując sobie nawzajem własnej sprawności i bystrości w opracowywaniu całego projektu. - Po teksasku - skomentował jeden z partnerów syndykatu, przypalając papierosa z zawadiackim uśmieszkiem. - Więc dobrze - powiedział Adam. - Zakładam, że nie ma więcej pytań. Dokumenty zostaną rozesłane w ciągu tygodnia. - Aż się prosi, by uczcić to uroczystym lunchem, co na to powiecie chłopcy? - odezwał się z południowym akcentem jeden z Tekszańczyków. - Bourbonowie i świta, Fred? - zagrzmiął drugi. Pozostali wybuchnęli gromkim śmiechem. Było oczywiste, że krył się w tym jakiś żart. - Madam, czy zechciałaby pani towarzyszyć nam podczas lunchu? - spytał starszy pan. - Zrobiliśmy już rezerwację. - Z przyjemnością - odpowiedziała Anna z uśmiechem. Cała gromada - trudno było nazwać to grupą, w tym wielu z nich w kowbojskich butach - ruszyła przez miasto do Cafe des Artistes. Tekszańczyki nie pasowali do tej małej, eleganckiej restauracji, ale pomimo ich oryginalnej powierzchowności było oczywiste, że ci ludzie, jak królowie w dawnych czasach, potrafią czuć się wszędzie jak u siebie w domu. Anna coraz bardziej się do nich przekonywała ze względu na ich autentyczne ciepło i serdeczność. Teraz, kiedy nie było już mowy o interesach, nadzwyczaj chętnie wyrażali swoje uznanie i podziw dla jej urody. Jeden podał jej krzesło, drugi pospieszył, by podać zakiet. Adam usiadł za stołem nie odrywając od jej twarzy swych czarnych oczu. Mężczyźni przekomarzali się, który z nich ma siedzieć obok Anny. Aż ona, będąc jedyną kobietą w towarzystwie, zarumieniła się z zakłopotania wobec ich galanterii. - Więc niechże mi pani powie, jak taka mała śliczna lalczka z Frisco dostała się do dużego, zawilego biznesu? - zapytał jeden z nich i wybuchnął gromkim śmiechem. Anna nie obraziła się: to nieco rubaszne pytanie, z pewnością miało być komplementem. Odparowała lawinę podobnych pytań, a jej rozpromieniona twarz odzwierciedlała ich nieukrywany podziw dla jej wyglądu i orientacji w sprawach biznesu. Kiedy kelner przyjął zamówienia na drinki zauważyła, że na tle śmiechu i zabawnej rozmowy oraz otaczającej ją ogólnej wesołości, Adam wyglądał zdecydowanie posepnie. Spotkali się wzrokiem i wtedy przez chwilę się uśmiechał, po czym nadal obserwował ją w milczeniu. Lunch był mocno zakrapiany piwem i słychać było tu i ówdzie ochryple głosy, chociaż unikano sprośności w towarzystwie Anny, pomimo lubieżnych malowideł, które spoglądały na nich ze ścian. Ponieważ Adam, mimo jej usilnych prób, nie dał się wciągnąć do rozmowy, doszła do wniosku, że go nudzi. Była naiwna, przypisując Bóg wie jakie znaczenie kilku godzinom rozmowy w restauracji i pocałunkowi w rękę. W końcu "biesiada" dobiegła końca, uwieńczona ogólną wesołością i poklepywaniem po plecach. Po wyjściu z restauracji skierowali się w stronę Central Park West. Tekszańczyki głośno wykrzykując machali na taksówkę. Anna stała na chodniku uśmiechając się przy pożegnaniu. Zaczął padać gęsty śnieg. Nagle zjawił się przy niej Adam. - Gdzie teraz idziesz? - Chyba pójdę do Plaza na piechotę - odparła Anna niepewnie. - To nie jest zbyt daleko. Zmarszczył brwi i wskazał na zachmurzone niebo nad Central Park. - Te delikatne pantofelki nie wyglądają na śniegowce - zawołał taksówkę, pomógł jej wejść do środka. Powinna się była rozzłościć, ale nie zareagowała w ten sposób. Przeciwnie, sprawiało jej przyjemność, że mężczyzna podejmuje za nią decyzje - nawet takie trywialne jak ta. Usadowała się ostrożnie na brzegu wystrzępionego siedzenia, a kilka minut później zatrzymali się w gęszczu trąbiących samochodów przy Columbus Circle. - Proszę sobie usiąść wygodnie i zrelaksować się -

powiedział Adam leniwie. - To jest typowy korek na Manhattanie. - Dobry Boże, co za hałas! Na jego ustach pojawił się uśmiech. - Zapomniałem, że pochodzisz z cywilizowanego miasteczka. Anna roześmiała się. - Miasteczka? Chcesz przez to powiedzieć, że jestem prowincjuszka? - Wielkie nieba, ależ skąd! Po dzisiejszym spotkaniu ci grubiańscy Teksańczycy będą traktować cię jak urodzonego w Nowym Jorku znawcę do spraw nieruchomości. - Naprawdę? - spytała niepewnie Anna. - Mam nadzieję, że moje pytania dotyczące nowego, przyspieszonego planu deprecjacyjnego nie zniechęciły ich. - Jeśli ty byś o tym nie wspomniała, ja bym to zrobił. Anna rozluźniła się, ponieważ rozmowa toczyła się wokół interesów. Była głupia wyobrażając sobie, że Adam się nią interesuje. - Zebrałam już co najmniej trzy czwarte moich inwestorów - powiedziała. - Powiadomię cię dokładnie pod koniec tygodnia. Pomimo wcześniejszego postanowienia, Adamowi wyrwało się pytanie: - Jak długo zostaniesz w Nowym Jorku? - Do jutra rana. Jestem tu od środy. - Tak? A jak spędziłaś czas? - Na zakupach - Anna przyznała się nieśmiało, jak gdyby oczekiwano od kobiet na stanowiskach, że są ponad tak przyziemnymi zajęciami. - Nic wstydliwego. To zazwyczaj ulubione zajęcie kobiet - ugryzł się w język, uznawszy tę uwagę za niestosowną, ale Anna zignorowała ją. Byli już prawie przy hotelu, a on uświadomił sobie, że nie może pozwolić jej po prostu odejść. - Zjedźmy dzisiaj razem kolację - powiedział raptownie z nadzieją, że jego głos nie zdradził rozpaczy, jaką odczuwał. Adam zachowywał oficjalne maniery, więc pomyślała - dlaczego nie? Wahala się tylko przez chwilę. - Dobrze, z wielką przyjemnością, Adamie. - Proponuję o ósmej. - Doskonale - otworzyła drzwi i wysiadła z taksówki zanim zdążył jej pomóc. - Do zobaczenia o ósmej. Był to naprawdę napięty dzień. Anna wróciła do hotelu wyczerpana. Obejrzała kilka butików w Plaza i zakończyła zwiedzanie kupując kilka błyskotek dla Evie, importowaną fajkę z lulką z pianki morskiej dla Filipa i ostatni numer "Voque" dla siebie. Wróciwszy do pokoju przygotowała sobie ciepłą kąpiel i zanurzyła się w puszystej pianie. Nieuchronnie w myślach jej pojawił się Adam. Pomimo wielkiego zmęczenia, nie mogła doczekać się wieczoru, który mieli spędzić razem. Ale nawet to radosne oczekiwanie budziło w niej poczucie winy. Zamknęła oczy i głębiej zanurzyła się w wannie. Zjedzą tylko razem kolację, mówiła sobie. Współpracują ze sobą i łączą ich tylko interesy. To naturalne, że zjedzą razem kolację, skoro jest w tym mieście... Owinąwszy się ręcznikiem podeszła do szafy i zaczęła przeglądać jej zawartość. Musiała podejmować w życiu wiele decyzji, ale zawsze miała problem z wyborem sukienki. W końcu zdecydowała się na różową od Mollie Parnis, w której szyfonowa kryza okalała szyję. Wycięcie na plecach było trochę zbyt śmiałe, ale w końcu, powiedziała sobie, jest w Nowym Jorku. To, co ona uważała za śmiałe, zostanie tutaj ledwo zauważone. Obróciła się przed lustrem. Nie było wątpliwości: sukienka była lekko wyzywająca. Ale jakkolwiek odważna się wydawała, i jakkolwiek odważnie się w niej czuła, zdecydowała, że dziś wieczór będzie sobą: Anną Pollock Coulter. Pomimo postanowień, że to spotkanie jest tylko zwykłą kolacją, serce zaczęło jej bić, kiedy przyjechał Adam. Czuła, jak ciepło rozgrzewa jej policzki, kiedy powiedział - wyglądasz prześlicznie. Jego spojrzenie wyrażało szczerą podziw. Wszystko było prawie tak samo jak przed rokiem, ale jednocześnie nie tak samo. Ciężar tego roku, który dzielił ich pierwszy wspólny wieczór od dzisiejszego spotkania, zostawił na nich swój ślad. Nie byli już nieznajomymi, tak jak wówczas. Czuli się ze sobą tak swobodnie, jakby znali się długi, długi czas. Siedzieli już w taksówce kiedy Adam zwrócił się do niej: - Anno, nie chciałbym, byś czuła się zmuszona, ale czy zechciałabyś zjeść kolację w moim mieszkaniu? W jego mieszkaniu? Anna marzyła,

by być z nim sam na sam, ale nawet w najśmielszych snach nie myślała, że się to spełni. A teraz, kiedy stało się to tak realne, nie była wcale pewna, czy jest to najlepszy pomysł. Próbowwała zachować spokój. - Pomyślałem sobie, że po tej dzisiejszej wrzawie byłoby to bardziej odprężające niż w lokalu - dodał. - Szczerze mówiąc, cholernie znużyli mnie ci kowboje. Pomyślałem, że byłoby miło w spokoju porozmawiać. Czy jest to po twojej myśli, czy raczej nastawiłaś się na obiad w restauracji? Czy jest to po mojej myśli? Anna zadała sobie sama to pytanie. Gdyby on tylko wiedział, jak bardzo chciała powiedzieć: tak. Adam wyczuł, że się waha i dobierał starannie słowa, by rozwiać jej obawy: - Gaston jest świetnym kucharzem. Jest Francuzem i można polegać na jego kuchni. - To brzmi zachęcająco, Adamie - odpowiedziała. Winda bezszelestnie zawiozła ich na najwyższe piętro, po czym weszli do foyer. Podłogę stanowiła kremowa Carrara i serpentynowy marmur. Adam wyjął delikatny ozdobny złoty kluczyk, otworzył frontowe drzwi i stanął z boku, by przepuścić Annę. Znalazła się w jego królestwie. Wypolerowane kinkiety rzucały jasne światło na bogatą mahoniową boazerię, a w powietrzu unosił się lekki zapach skóry, wełny i wosku pszczelego. Kiedy odbierał od niej płaszcz, jego ręka musnęła jej nagie plecy i poczuła przebiegający ciałem dreszcz. Miała nadzieję, że Gaston zjawi się wkrótce, by podać do stołu. Adam poszedł powiesić płaszcz, a Anna wyjrzała przez okno, które stanowiło całą ścianę salonu. Manhattan rozpościerał się w dole, rojne kłębowisko ludzi, samochodów i budynków zredukowanych do milionów migotliwych punkcików. W lekkiej mżawce wyglądało to ulotnie, pięknie, tajemniczo, wręcz nieziemsko. Adam wyrwał ją z zadumy i marmurowymi schodami poprowadził do innego pokoju. Pomimo dużej powierzchni okien i wysokich sufitów panował tu intymny nastrój podkreślany przez gregoriański kominek, w którym palił się ogień, wysyłający na cały pokój migające światło. Na podłodze leżały perskie kilimy, które podkreślały urodę bladobieżowego, surowego jedwabiu pokrywającego ściany. Dzieła Picassa, dwa po mistrzowsku podświetlone obrazy Edwarda Hoppera, portret królowej Anny oraz mebelki w stylu Chippendale dodawały uroku temu pokojowi. Był przytulny; wszystko w nim tchnęło swoim własnym życiem. Widać było, że jest lubiany przez właściciela. Anna przestraszyła się, słysząc głos Adama tuż nad uchem. - Czy chcesz obejrzeć cały apartament teraz czy dopiero po kolacji? - Wołałabym po kolacji - mruknęła Anna. Jadalnia była jaśniej oświetlona niż salon. Antyczny kandelabr rzucał setki światełek na mahoniowy stół i zastawę z ciętego kryształu. Srebrna waza była pełna orchidei i irysów. Gaston przygotował dwa nakrycia. Adam usiadł przy jednym, Anna przy drugim końcu stołu. Wszystko było niezwykle uroczyste. Anna zachwycała się bladoporóżowymi irlandzkimi serwetkami, kształtnymi srebrami Tiffaniego i czterema kielichami z Baccarat, różnych rozmiarów i kształtów. Menu dorównywało wystrojowi. Zaczęli od ostryg w ostrym Sancerre rouge. Jadła i piła powoli, delektując się każdym momentem tej uczty. Adam był zabawny i czarujący, ale elegancka oprawa subtelnie zmieniła atmosferę między nimi. Początkowo intymna, teraz stała się krępująco formalna. Anna odłożyła widelec. - Powiedz mi, jaka jest historia tego budynku? Jest piękny, ale nie mogę rozpoznać stylu. Opowiedział jej. Zbudowano go na przełomie wieków, jako pied_à_terre dla bardzo zamożnych nowojorczyków. Piętra dobudowano w latach dwudziestych. Przez kilka dziesięcioleci budynek powoli niszczał, aż w końcu na początku lat sześćdziesiątych zajęła się nim pewna spółka. - Ja zajmowałem się prawną stroną tej sprawy i dostałem od nich najwyższe piętro - nadbudówkę, jeśli wolisz - zamiast honorarium. Ot cała historia. Zamiast honorarium! Dobry Boże - jego stawki muszą być astronomiczne. Anna pomyślała o

Filipie, który w nędznym małym biurze rozpatruje pozwy wypadkowe. Przywołała się do rzeczywistości. Dzisiejszy wieczór to cudowny sen, więc zamierza się nim nacieszyć - to wszystko. Potem usunie Adama ze swojego codziennego życia - z życia praktycznej, lojalnej żony i kobiety sukcesu, którą znów będzie jutro. Przyjrzała się Adamowi. Nie mogła się zdecydować, czy był podobny bardziej do Gregory Pecka czy Cary Granta. Wzięła widelec i skoncentrowała się na suflecie. Kiedy Gaston ponownie napełnił kieliszki, uświadomiła sobie, że kręci jej się w głowie, ale kiedy podał szampana z deserem - nie odmówiła. Deser był przewyborny: maleńkie soczyste maliny w delikatnym cieście, z kremem Chantilly, przyprawionym delikatnym migdałowym likierem. Po tym podał wafelki z gorzko słodką czekoladą. Och... - westchnęła Anna zastanawiając się, gdzie ona to wszystko zmieści. Po zjedzeniu deseru i kilku czekoladek westchnęła ponownie, kiedy Gaston znów napełnił jej kieliszek szampanem. Adam przyglądał jej się badawczo, po czym skinął na Gastona. Służący opuścił pokój i po chwili wrócił z zakurzoną butelką brandy Marquis de Caussabe i dwoma weneckimi kieliszkami, tak kruchymi i lekkimi, że aż wydawały się nierealne. - Ca suffit - usłyszała jak mówi do służącego. - Maintenant, bonsoir! Zostali sami. - Może napijemy się przy kominku? - zaproponował Adam. Kiedy wstali od stołu, Anna spytała, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu: - Jadasz tak codziennie? - Gdybym to robił, wyglądałbym, jak beczka - Adam roześmiał się prowadząc ją do kominka i siadając tuż przy niej. Spojrzała na niego. Znowu musiała sobie przypomnieć, że ten przystojny, energiczny mężczyzna jest już po pięćdziesiątce, bo tylko przyprószone srebrem skronie zdradzały jego wiek. Czowała senność i zadowolenie. Wszystko było takie nierealne. W końcu zebrała się w sobie i wyszeptła: - Adamie... Jest cudownie. Ale czas już na mnie. - Musisz jeszcze spróbować brandy. Ma sześćdziesiąt lat. Jest przeznaczona na specjalne okazje. - A jak wiele takich okazji miewasz? - wyszeptła. - Niewiele. Bardzo niewiele. Przez bardzo długą chwilę panowała między nimi cisza. Adam nie wiedział, co powiedzieć, chociaż rzadko brakowało mu słów. Anna była najcudowniejszą kobietą, jaką w życiu spotkał. Zaprosił ją do swojego apartamentu, by się z nią kochać, ale uświadomił sobie, że chce znacznie więcej niż tylko pójść z nią do łóżka. Pasowała do tego domu, jak gdyby był urządzony z myślą o niej. Tak, pragnął jej. Ale nie tylko w swoim łóżku. Chciał, by została jego żoną. Chociaż nie znał jej uczuć względem siebie, wydawało się niemożliwe, by była nieświadoma więzi, jaka się między nimi wytworzyła. Spojrzał na nią poważnie i powiedział: - Anno, wiesz dlaczego cię tu zaprosiłem. Anna zdała sobie sprawę, że aż do teraz rozkoszowała się fantazją, nie musząc konfrontować jej z rzeczywistością. Zanim zdążyła odpowiedzieć, kontynuował. - Chciałem się z tobą kochać. Anna zaniemówiła z wrażenia. Wyciągnął rękę, zabrał jej kieliszek, położył go na stoliku po czym ujął jej dłoń. Nie była w stanie się poruszyć, ani odpowiedzieć. Wszystko to przekraczało jej wyobraźnię. - Adamie, nie wiem co powiedzieć. - Sądzę, że też nie jestem ci obojętny. Obydwoje graliśmy przez ten ostatni rok. Czyż nie mam racji? Anna była zbyt uczciwa, by zaprzeczyć. - Tak, Adamie. To prawda. Jestem tobą oczarowana od samego początku. Trudno mi z tobą rozmawiać przez telefon, a co dopiero być tutaj... - przerwała, by wziąć głębszy oddech. - Lecz, Adamie, to są tylko marzenia. A rzeczywistość jest taka, że nie wolno mi się w tobie zakochać. - Dlaczego nie, Anno? - zapytał łagodnie. Oczy Anny posmutniały. - Ponieważ jestem mężatką. - Nie kochasz swojego męża, Anno. Nie sądzą, że byłabyś tu, gdyby było inaczej. Nie szukasz przecież łatwych wzruszeń. Patrzyła na niego, milcząc, przez dłuższą chwilę. - Adamie, czy ty nie widzisz, że to jest

niemożliwe? - Ponieważ jesteś mężatką? - Oczywiście - dlatego, że jestem mężatką. - Skoro nie kochasz swojego męża, nie sądzisz, że jest to mała hipokryzja? - Nie rozumiesz mnie. Ja mogę go nie kochać, ale on mnie kocha, a w końcu to jest ważniejsze. On mi ufa. - Anno, ludzie pobierają się z miliona różnych powodów, ale jeśli się to nie sprawdza, to tak jak ze złą inwestycją, trzeba się z tego wycofać. - Wiem, że wielu ludzi tak myśli, ale ja nie. Jeśli bym zdradziła tych, którzy mnie kochają, gdybym uszczęśliwiła siebie ich kosztem, nie mogłabym z tym żyć. - Powiedz mi tylko jedno. Czy ty mnie kochasz? Łzy napłynęły Annie do oczu. - Bardziej niż się tego spodziewasz. To wystarczyło Adamowi. Wziął ją w ramiona i pocałował z całą długo tłumioną namiętnością. Odwzajemniła ten pocałunek nie pragnąc niczego innego tylko pozostać w jego objęciach. Wtem odchylił się lekko, wciąż trzymając ją blisko i wyszeptał: - Kocham cię, Anno. Trudno wyrazić, jak ciężko było jej go odepchnąć, ale nie mogła wymazać obrazu Filipa i Evie z pamięci. Może jest głupia. Może traci życiową szansę. Z pewnością będzie tego później żałować i płakać z tego powodu. Ale nie może się na to zdobyć. - Przykro mi, Adamie. Chciałabym, żeby było inaczej, ale niestety... Zmarszczył czoło, odwrócił się, poprawił krawat i zmęczonym ruchem przejechał ręką po włosach. - Skończymy brandy? - znów przybrał maskę uprzejmości. Kiedy wrócił do domu, odwiózłszy Annę do hotelu, chodził po sypialni aż do świtu paląc papierosa za papierosem. Przy całej jego inteligencji, aparycji, wyrobieniu towarzyskim, Adamowi nigdy nie szczęściło się z kobietami. Biedna Felicja, jego pierwsza żona - była to katastrofa od samego początku, a teraz również Anna była dla niego stracona. Rozdział trzydziesty szósty Nazajutrz w samolocie nękało Annę poczucie straty i pustki. W pewnym momencie chciała się zbuntować. Wyobraziła sobie, że wraca pierwszym samolotem do Nowego Jorku i mówi Adamowi: - Do diabła z nimi, zostają! Ale jak długo trwałaby w swoim postanowieniu? Nie tylko jej poczucie winy stanęłoby między nimi, ale musiała wziąć pod uwagę, że Adam nie chciał przelotnego romansu. On chciał się z nią ożenić, a to oznaczałoby konfrontację z Filipem. Oprócz okropnej rany, którą zadałaby Filipowi swoją zdradą, ryzykowałaby, że całkowicie straci Evie. Gdyby się z nim rozwiodła, ona nigdy by jej nie wybaczyła, że zraniła jej ojca. Anna wiedziała, że podjęła jedyną, możliwą decyzję. Ponadto, przysięgła sobie, że jak tylko znajdzie się w San Francisco, zrobi wszystko by ożywić uczucie, które kiedyś z Filipem do siebie żywili. Tej nocy założyła delikatną koszulę, którą kupiła w Nowym Jorku. Przytuliła się do Filipa i nachyliwszy się do jego ucha, wyszeptwała: - Filip... kochanie... wiesz co bym chciała? - Co takiego? - Chciałabym, żebyśmy wzięli tydzień lub dłużej urlopu i wyjechali gdzieś - Carmel, Baja Kalifornia. Albo jakieś inne miejsce. Gdziekolwiek zechcesz. - Dobrze, kochanie. Ale sama wybierz miejsce. Mnie jest wszystko jedno. Jego obojętność podziała na Annę jak wyzwanie. Jeszcze bardziej zależało jej na tym, by rozbudzić ich namiętność - jeśli nie tej nocy, to podczas ich powtórnego miesiąca miodowego. - Więc co powiesz na Carmel? Moglibyśmy zatrzymać się w Del Monte. - Świetnie kochanie, Evie z pewnością się tam spodoba. Będzie mogła jeździć konno wzdłuż plaży. Na twarzy Anny pojawiła się konsternacja. Czyż nie rozumie, że chciała by pojechali tam we dwoje? - Kochanie... myślałam, że moglibyśmy sami spędzić urlop. - A z kim zostawimy Evie? - Z przyjaciółką. - Ależ, najdroższa, wiesz jaki ja mam do tego stosunek. Nie lubię kiedy jest z dala od nas, choćby jeden dzień. - Ależ Filipie, ona jest już prawie dorosła. - Wiem Anno. Ale ze względu na tych narkomanów i hippisów na Haight - Ashbury boję się zostawić ją samą. Anna westchnęła. - W porządku...

jeśli naprawdę chcesz, żeby z nami pojechała, nie będę się sprzeciwiać. Evie nalegała, by zabrali jej najlepszą przyjaciółkę Pamelę. Cała czwórka zapakowała się do starego chryslera i ruszyła wolno na południe piękną, nadbrzeżną autostradą. Hotel Del Monte był cudowny, owoce morza wyśmienite. Szkoda, że Filip z Anną mogli tylko obserwować tańczące pary, ponieważ Filipowi zaczęła ostatnio dokuczać noga. Był to wspaniały urlop, mimo, że między nimi nic się nie zmieniło. Nie rozпалиły się dawne uczucia. Po tygodniu relaksu wrócili do San Francisco będąc dla siebie niczym więcej jak tylko przyjaciółmi. Najwidoczniej była to cena, którą Anna zapłaciła za swoją karierę. Przez kilka lat sądziła, że Filip pogodził się z jej sukcesem. Teraz uświadomiła sobie, że tak nie było; on po prostu przestał się jej sprzeciwiać. Zamknął się w sobie. Przestał dbać i o swoją, i o jej karierę. Jediną osobą, na której mu zależało była jego córka. Obserwując ich razem w Carmel, Anna musiała przyznać, że są sobie bardzo bliscy. Choć wcale tego nie chcieli, czuła się odosobniona. Kochali ją, to prawda, ale nie była w centrum ich życia. Czasem prześladowała ją dręcząca myśl, czy daliby sobie radę bez niej. W końcu nie byłaby jedyną kobietą, która opuściła męża i dziecko. Ale Anna nie mogła pozbyć się niezaspokojonej potrzeby, która prześladowała ją od dziecka - potrzeby, by do kogoś należeć. To ją głównie powstrzymywało przed opuszczeniem Filipa. To nie to, że on ją kocha, ale fakt, że przez tak wiele lat odczuwała ukojenie na samą myśl, że cokolwiek się stanie, ma rodzinę, która do niej należy, a ona do nich. Bez względu na to, ile szczęścia ją omijało, sama myśl o opuszczeniu tej bezpiecznej przystani i wypuszczeniu się na nieznane wody, była przerażająca. Ale musi coś zrobić, w przeciwnym razie nigdy nie zazna spokoju. Zrobi wszystko, by Filip pokochał ją tak jak dawniej. W tym właśnie leży jej bezpieczeństwo. Postanowiła, że tego lata postarają się o cały miesiąc urlopu. Przy wszystkich swoich obowiązkach nie była w stanie nic między nimi zmienić. Były to ostatnie wakacje Evie przed pójściem do college'u, czas był więc odpowiedni; poświęci go swojej rodzinie. Lecz kiedy tydzień później opisała swój plan Filipowi, odniósł się do niego sceptycznie. - Chcesz przez to powiedzieć, że zostawisz swoje biuro na całe cztery tygodnie? - Nie zamierzam nawet korzystać z telefonu, Filipie. May Brubeck zajmie się całą agencją, a zarządcy do spraw nieruchomości mogą sami załatwiać większość swoich spraw. Filipowi przemknął po twarzy uśmiech, ale nie miał on nic wspólnego z wesołością. W skrytości wiedział, że Anna Coulter nie mogłaby spędzić całego lata z dala od interesów. - W porządku, kochanie. Skoro tak mówisz. W moim biurze z pewnością nie będą za mną tęsknili. 5 lipca wczesnym rankiem, Anna, Filip, Evie, Pamela i Consuela zapakowali swoje rzeczy do samochodu i zgodnie z planem Anny wyruszyli na najwspanialsze wakacje w ich ponad dwudziestopięcioletnim małżeńskim życiu. Będzie to nowy początek dla niej i dla Filipa. Czuła to w swoim sercu. Nad jeziorem Tahoe, w Nevadzie, wynajęła elegancki domek z czerwonego drewna. Była tam mała prywatna plaża i łódź motorowa. Przez pierwsze dwa tygodnie Anna dotrzymywała słowa i nie odebrała ani jednego telefonu z biura. Jeździli na wycieczki i pikniki, pływali łódką, łowili ryby i wspaniale się bawili. Lecz podstępnie zaczęły wkraczać interesy. Jeden z menadżerów Anny nieoczekiwanie odszedł, a trzeba było przedłużać terminy kredytów. May Brubeck miała pytania, na które tylko szefowa mogła odpowiedzieć. Na początku był to jeden, dwa telefony dziennie, więc mogła uczestniczyć we wszystkich zabawach nad jeziorem. Ale pod koniec lipca zaczęły urywać się telefony i Anna, zanim się spostrzegła, spędzała większość dnia rozmawiając z San Francisco. Filip, Evie i Pamela spędzali teraz dni we trójkę na długich

wyprawach wzdłuż brzegu. Często kiedy wracali, Anna wciąż rozmawiała przez telefon. Podnosiła oczy, przykrywała ręką słuchawkę i szeptała - kończę za minutę. Jednak wszystko układało się dobrze, dopóki Anna nie otrzymała pilnego telefonu od swojej sekretarki. - Pani Coulter. Wydzwaniam do mnie z biura pana Gayna z Nowego Jorku. W nowym syndykacie nastąpił jakiś kryzys. Musi pani natychmiast zatelefonować. Wkrótce potem pojawił się na schodach Filip niosąc wędkę i skrzynkę z przyborami do łowienia ryb. - Filipie, czy mógłbyś tu na chwilę przyjść? - zanim cokolwiek powiedziała, знаła już jego reakcję. - Kochanie, rozmawiałam przed chwilą z Nowym Jorkiem. Odkryli poważne przeoczenie w badaniach sejsmograficznych na południu Florydy i wszyscy udziałowcy mają się spotkać jutro w Nowym Jorku, by przedyskutować, co się jeszcze da uratować z całego projektu. Obawiam się, że muszę pojechać. Twarz Filipa przybrała tajemniczy wyraz. Wzruszył ramionami i odparł chłodnym tonem: - To twoja sprawa, Anno. Tego samego dnia zawieźli ją na lotnisko. Kiedy zbliżali się do Reno, znowu zaczęła się usprawiedliwiać. - Przykro mi, kochanie. Nie cierpię opuszczać cię nawet na jeden dzień. Ale to nie potrwa długo. Dzień lub najwyżej dwa. Filip pokiwał głową. - Zobaczymy. Życzę ci przyjemnej podróży. Ogarnął ją gniew. Gdyby Filip zrobił karierę jako prawnik, nie czułby się winny jadąc na rozprawę do Nowego Orleanu. Czy którykolwiek mąż przeprosza swoją żonę, kiedy ona pakuje mu walizki? - Kocham cię - zawołała z narastającym poczuciem winy, wchodząc do samolotu. Jazda z lotniska na Manhattan była okropnie wyczerpująca. A jej zmęczenie nie ustąpiło nawet wtedy, kiedy w końcu znalazła się w hotelu St. Regis. Zsunęła buty i wyciągnęła się na łóżku, zwalczając pokusę by zadzwonić do Adama. Zamiast tego zamówiła do pokoju kanapkę z befsztykiem i dzbanek czarnej kawy. Posiliwszy się, zamówiła rozmowę do Filipa. Kiedy podniósł słuchawkę powiedziała pojednawczym tonem: - Kochanie, jak się masz? - Świetnie. Jak ci minęła podróż? - zapytał, choć było oczywiste, że jest mu to obojętne. No cóż, nie miała mu tego za złe. Wyjechała łamiąc dane mu słowo. Dlaczego miałby jej okazywać troskę? Anna odłożyła słuchawkę żalując, że zadzwoniła. Było coś dziwnego w głosie Filipa, coś, czego nigdy przedtem nie słyszała. Rozdział trzydziesty siódmy Filip też wolałby, żeby w ogóle nie było tej rozmowy. Coś się w nim załamało, gdy wyjeżdżała tym razem. Wiedział, że jest niesprawiedliwy, wręcz zachowuje się absurdalnie, ale czuł, że celowo opuściła jego i Evie. Zawsze stawia pracę na pierwszym miejscu. Tym razem nie kierowała się chęcią zdobycia pieniędzy, lecz niepohamowanym instynktem współzawodnictwa, żądzą władzy. Jeszcze nigdy, podczas ich wszystkich wspólnych lat, nie był aż tak na nią rozgniewany. Myślał, że serce mu pęknie, kiedy nerwowo przemierzał pokój. W końcu zdecydował: do diabła z tym wszystkim - wychodzę na miasto. Założył granatowy kaszmirowy blezer i karmelowe spodnie, poprawił swoje okulary w rogowej oprawie i przejrzał się w lustrze. Nieźle... nieźle, jak na pięćdziesiąt dwa lata. Anna lubiła porównywać go do Roberta Taylora. Spojrzał krytycznie na swoje odbicie. Nie, naprawdę wyglądam teraz na "pana Annę Coulter", męża słynnej potentatki handlowej z San Francisco. Spojrzał na swój złoty zegarek firmy Patek Philippe, następnie na ozdobne spinki "Gucci", prezent od Anny. Jest również mercedes, zaparkowany przed domem. Nie, z pewnością nie jest Robertem Taylorem. Jest utrzymankiem. Płatnym kochankiem. Stłumił swój gniew, poprawił krawat i wszedł do salonu, gdzie Evie z Pamelą oglądały telewizję. - Evie, kochanie, wychodzę na South Shore na kilka godzin. Nie czekaj na mnie. Evie spojrzała na ojca z aprobatą i mrugnęła: - Wyglądasz wspaniale. Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła, tatusiu. Filip uśmiechnął się: po tych słowach odzyskał pewność

siebie. - Nie zrobię, kochanie. Nie martw się. Niech cię Bóg błogosławi, Evie - pomyślał wychodząc z domu. Nawet noga, na którą utykał, nie dokuczała mu dzisiaj zbyt. Żwawym krokiem podszedł do samochodu i ruszył nieoświetloną, krętą drogą, która prowadziła na drugą stronę jeziora. Włączywszy radio podśpiewywał sobie w takt muzyki country. Niebawem neonowe światła kasyn rozświetliły mu drogę. Wybrał drugie z kolei i skręcił na parking. Kiedy rzucił kostkę, poczuł, że dziś będzie jego szczęśliwy dzień. Skoncentrował się na grze, która rozwijała się na jego korzyść, kiedy nagle usłyszał, jak ktoś wypowiada jego imię. - Mój Boże! Filip Coulter. Nie do wiary! Co ty tu robisz w tym siedlisku bezceństw? Filip podniósł oczy, wyraźnie zirytowany. Początkowo nie poznawał kobiety stojącej tuż obok niego. Wtem przypomniał sobie, że już ją gdzieś spotkał. Poszukał w pamięci i przypomniał sobie. Nazywała się Linda Holt i siedziała obok niego na oficjalnym obiedzie u Marka Hopkinsa. Pamiętał, że wydała mu się wówczas wytworna, czarująca, dowcipna i nadzwyczaj kobieca. Uśmiechnął się. - A co taka dostojna osoba jak ty robi w dzikiej Nevadzie? - Próbuję nasycić się atmosferą Dzikiego Zachodu - powiedziała z południowym akcentem i roześmiała się. Krupier przerwał im rozmowę. - Panie i panowie, proszę obstawiać zakłady. Filip potrząsnął kostką i rzucił... Linda postawiła razem z nim i kiedy w końcu poszli odebrać pieniądze, Filip czuł się jak prawdziwy bohater. Razem wygrali ponad trzy tysiące dolarów. - Jesteś prawdziwym geniuszem - powiedziała Linda, śmiejąc się. - Nie wiem, jaki masz system, ale zaczęłam z dwudziestoma dolarami i patrz ile teraz mam! Nigdy dotąd niczego nie wygrałam. Tego mi właśnie było potrzeba - pomyślał Filip. - Wygrać dla odmiany. - Nie grałem od czasów szkolnych - powiedział. - Może to ty przyniosłaś mi szczęście. - Nie sądzę, żeby tak było. Byłeś tu przede mną. Pozwól mi przynajmniej postawić sobie drinka. - Dziękuję, ale prawdę mówiąc, zgłodniałem po tych wszystkich emocjach. Czy zechciałabyś zjeść ze mną kolację. - Z wielką przyjemnością. Znaleźli stolik na górze u Harraha, restauracji z widokiem na jezioro. Rozgwieżdżone niebo, kwiaty półmrok panujący w sali sprawiły, że Filip poczuł się jeszcze pogodniej i młodziej. Z przyjemnością przyglądał się urodziwej blondynce, która siedziała z nim przy stoliku, słuchając z zainteresowaniem historii jej życia. Linda wyszła za mąż zaraz po ukończeniu Bryn Mawr i przeniosła się do Waszyngtonu, gdzie jej mąż pracował w Komisji Operacji Giełdowych. Chociaż nie mogli mieć dzieci, byli szczęśliwym małżeństwem przez piętnaście lat. Wtem nieoczekiwanie jej mąż zmarł, na polu golfowym, zostawiając jej tylko małą polisę ubezpieczeniową. Był to dla niej taki szok, że bliska była depresji, ale po dwóch latach doszła w końcu do siebie. Nadarzyła jej się okazja dostania pracy w dużym biurze maklerskim w San Francisco, a właśnie tego jej było potrzeba - zmienić miejsce zamieszkania. - ...I to jest mój pierwszy urlop. A teraz twoja kolej. - Nie mam zbyt wiele do opowiedzenia. Ukończyłem prawo na Uniwersytecie Kalifornijskim, ożeniłem się, spędziłem trochę czasu na Pacyfiku, wróciłem do domu. Anna i ja - Anna to moja żona - mamy córkę, Evie. Pracuję cały czas w tej samej firmie od końca wojny. Nie sądzę, by można było napisać komedię muzyczną na podstawie tego. Linda roześmiała się. - Nie byłaby to zła komedia, jeżeli muzyka jest odpowiednia. Rozmawiali ze sobą, jakby znali się od lat. Przy końcu posiłku Filip stwierdził, że Linda jest nie tylko interesująca, ale jest osobą, jakiej potrzebuje. - Jak długo zostajesz w Tahoe? - spytał od niechcena. - Zostaję tu jeszcze tydzień. - Może zjadłabyś ze mną jutro obiad? Zawahała się, ale tylko dlatego, że był żonaty. Była to zasada, której nie chciała złamać, bez względu na to, jak bardzo podobał jej się Filip Coulter i jak bardzo chciała się z nim spotkać. -

Niestety, nie mogę. Ale dziękuję za wspaniały wieczór. I za tę całą zdobycz. Nic więcej nie powiedział odprowadzając ją do samochodu, ale gdy znalazł się w swoim pokoju, leżał bezsennie długie godziny zastanawiając się, jak zmienić jej decyzję. Dzisiaj, po raz pierwszy od lat, znów czuł się mężczyzną. O nie! Nie zrezygnuje z tego uczucia tak łatwo. Nad ranem podjął decyzję. O dziewiątej zadzwonił do Lindy, z nadzieją, że już nie śpi. - Posłuchaj, naprawdę zależy mi, żeby się z tobą spotkać - powiedział bez żadnych wstępów. - Dlaczego się wahasz? - Filip, jesteś przecież żonaty. - Lindo, proszę cię. Chcę tylko zaprosić cię na obiad. Moja żona wyjechała w interesach i chciałbym spędzić czas w twoim towarzystwie. - Jeśli tak stawiasz sprawę... - powiedziała Linda. Zasady są po to by je łamać, pomyślała. - Możemy porozmawiać o polityce. Z tego właśnie powodu nie było Filipa w domu, kiedy zadzwoniła Anna, by mu powiedzieć, że musi zostać w Nowym Jorku kilka dni dłużej. Trudno jej dojść do ładu z udziałowcami. - Ach, mam, nie musisz się tłumaczyć - powiedziała Evie, która podniosła słuchawkę. - Można się było tego spodziewać. - Kochanie, to naprawdę wyjątkowa sytuacja, która... - ...która zdarza się raz w życiu. Tak, mam? W porządku, co mam powiedzieć tatusiowi? - Chcę z nim sama pomówić, Evie. - Nie ma go w domu. - Nie ma go? A gdzie jest? - Ojej, mam, naprawdę nie wiem. Tatuś ma swoje życie. On jest dorosłym mężczyzną i sądzę, że ma prawo wychodzić, gdzie chce. - Nie bądź taka zuchwała. - No cóż, mam, tylko w ten sposób mogę dać ci do zrozumienia, jak bardzo jesteśmy urażeni, że złamałaś swoją obietnicę - Evie zawahała się wiedząc, że jest niesprawiedliwa. Bardziej pojednawczym tonem dodała. - Słuchaj, mam, wiem, że nie jest łatwo być powszechnie znanym potentatem handlowym. Anna roześmiała się. - Dziękuję za zrozumienie. To właśnie chciałam ci powiedzieć, kochanie. - No cóż, to jest miara mojej dojrzałości - powiedziała Evie złośliwie. - Dlaczego nie powiesz mi, co właściwie się stało? - No więc, jak zaczęłam ci wyjaśniać, nie wszystko układa się po naszej myśli. To wszystko jest takie skomplikowane, że trudno mi wyjaśnić, ale mamy poważny problem techniczny z kompleksem Fashion Island na Florydzie. - Ile czasu ci to zajmie? - Naprawdę nie wiem, skarbie. Jutro muszę lecieć na Florydę. - W porządku. Jak mogę się z tobą skontaktować w razie potrzeby? - Nie wiem, kochanie. Zadzwonię do ciebie, jak tylko znajdę jakiś hotel. Gdyby Filip był w domu, kiedy zadzwoniła Anna, czułby się jeszcze mniej winny z powodu swojej randki z Lindą. Według umowy starał się poruszać neutralne tematy, ale pod koniec spotkania oboje wiedzieli, że pewna bariera została złamana. Kiedy poprosił o następny wieczór, zgodziła się. Od tej pory cały czas spędzali ze sobą. Filip powiedział, że uczyniła go szczęśliwszym, niż kiedykolwiek był. W ostatni wieczór pobytu Lindy w Tahoe zaproponował: - Chodźmy do Rustiego posłuchać piosenek country. Kiedy oboje usiedli w barze, sącąc bourbon i słuchając piosenek Glena Campbella sięgnął po jej dłoń. - Lindo, chciałbym nadal widywać się z tobą. - Co chcesz przez to powiedzieć, Filipie? - Myślę, że cię kocham, Lindo. - Ależ ty jesteś żonaty - powiedziała ze smutkiem w głosie. Podświadomie musiał przygotowywać się na ten moment, gdyż odparł bez namysłu: - Zamierzam się rozwieść. - Kiedy podjąłeś tę decyzję? - Szczerze? Kiedy ciebie spotkałem. - Nie chcę brać na siebie takiej odpowiedzialności, Filipie. - Ty nie rozumiesz. Moja żona jest niezwykłą kobietą i bardzo ją podziwiam, ale nie układa nam się już od dawna. To wielki błąd, że nie rozstaliśmy się wcześniej. Lindo, dałaś mi więcej szczęścia przez ten tydzień, niż Anna w ciągu dwudziestu pięciu lat. Ale - może za dużo sobie wyobrażam. Czy zależy ci na mnie? Kiedy podniosła wzrok, jej oczy wypełnione były łzami. - Po stracie Ryszarda nie

wyobrażałam sobie, że będę kogokolwiek pragnęła. Jestem wdową od dziesięciu lat, a ty jesteś pierwszym mężczyzną, który mnie zainteresował. Ale czy jesteś pewien, że chcesz rozbić swoje małżeństwo? A co z twoją córką? Jak ona na to zareaguje? - W jej głosie była obawa. - Evie z pewnością cię polubi. W tym roku rozpoczyna naukę w college'u; jest już na tyle dorosła, by zrozumieć te sprawy. Choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ona dobrze wie, że nie jestem szczęśliwy z jej matką. Najważniejsze jest to, co czuję do ciebie. - Ach, Filipie, nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Przez cały tydzień walczyłam z rodzącym się we mnie uczuciem, próbując je od siebie oddalić. Filip wstał i wziął ją w ramiona. Nie zważając na ubawione spojrzenia klientów przy barze, pocałował ją czule i namiętnie. - Wyjdźmy stąd - powiedział nagłaco. Kiedy znaleźli się w hotelu, Filip zamówił do pokoju szampana. Przez krótką chwilę myślał o swoim miesiącu miodowym, po czym gwałtownie odpędził myśl o Annie. Ta noc należy do niego i nie pozwoli, by go niepokoiła. Przyciągnął Lindę blisko do siebie i znów ją pocałował. - Kocham cię, Lindo. - Ja też cię kocham, Filipie. Nigdy nie przypuszczałam, że wyznam to komuś oprócz Ryszarda. Zgasił światło. W pokoju zapanowała ciemność rozświetlona tylko blaskiem księżyca. Stali przytuleni do siebie, aż Filip sięgnął i delikatnie rozpiął zamek jej sukienki. Wziął ją na rękę i zaniósł do łóżka. Nigdy jeszcze nie doświadczył takiego szczęścia. Wchodził w nią raz za razem, aż zasnęli w swoich ramionach. Kiedy obudzili się nazajutrz, czuł się jakby zawsze byli ze sobą. Kiedy wychodził poprzedniego wieczora powiedział Evie, że jest rano umówiony na mieście, więc nie musiał się teraz śpieszyć. Zamówił śniadanie do pokoju, by mieli z Lindą więcej czasu wyłącznie dla siebie. Ujął jej dłoń i zapytał: - Kochanie, czy naprawdę musisz dzisiaj wracać? - Niestety, tak. - I cóż ja będę bez ciebie robił? - Będiesz brał dużo zimnych pryszniców - odparła uszczypliwie. - To nic nie pomoże - roześmiali się. Spędzili cały dzień w łóżku. Kiedy nadszedł czas odjazdu odprowadził ją na dół. - Zadzwoń do ciebie jeszcze dziś - obiecał. Filip nie mógł doczekać się końca wakacji, by wrócić do San Francisco i spotkać się z Lindą. Tymczasem starał się zapewnić Evie różne rozrywki. Chodzili na basen, pływali łódką, a potem zabierał ją do restauracji. Ale bez względu na to co robił, dzwonił do Lindy kilka razy dziennie. Starał się nie myśleć o Annie i odczuł ulgę, kiedy zadzwoniła, by mu powiedzieć, że spotkają się dopiero w San Francisco. Nie uda jej się wcześniej wyjechać z Florydy. Pierwszego wieczoru po powrocie Filip powiedział Evie, że musi nadrobić zaległości w biurze. Wyszedł z domu i pojechał prosto do Lindy. Trzymając ją w ramionach, powiedział: - Kochanie, jak tylko Anna wróci powiem jej, że się kochamy i że pragnę rozwodu. Linda nie mogła znaleźć słów. Oczywiście była szczęśliwa, ale jednocześnie współczuła Annie - i czuła się też trochę winna. - Czy zgodzisz się ze mną zamieszkać? Wynajmę mieszkanie... - zapytał. - Filip, kochanie, oczywiście, że się zgodzę. Ale czy nie wystarczy nam moje mieszkanie? Nigdy go z nikim nie dzieliłam... W odpowiedzi Filip wziął ją w ramiona. Następnego wieczora odebrał razem z Evie Annę z lotniska. Spotkanie z nią było bardziej bolesne niż przypuszczał, był więc szczęśliwy, że w ogólnej bieganinie podczas przygotowań Evie do college'u nie mieli czasu, by ze sobą rozmawiać. Ale kiedy odwieźli ją do Berkeley Filip wiedział, że już dłużej nie może zwlekać. Kiedy spoglądał na nią w drodze powrotnej, opanowały go wyrzuty sumienia. Naprawdę nie zasługiwała na to. Anna uznała, że milczy, bo jest zły, że tak długo jej nie było i starała się być szczególnie miła. Adam wysłał na Florydę swojego współnika, więc przynajmniej nie kusiła ją jego obecność. Kiedy w końcu dotarli na miejsce, dom

wydał jej się szczególnie drogim miejscem. Po stresach i niepokojach ostatnich tygodni wydawał się bezpieczną, cichą przystanią. Zajechali przed dom i po zaparkowaniu samochodu Filip wszedł do salonu i nalał im obojgu martini. Anna usiadła na sofie, wypila łyk i westchnęła z zadowoleniem. - Wiesz, Filipie, przekonałam się podczas tej ostatniej podróży, że nie chcę angażować się w żadne syndykaty. Za bardzo mnie to stresuje i zabiera dużo czasu. Wolałabym spędzić czas z tobą i z Evie. Jest tyle rzeczy, których jeszcze nie robiliśmy razem. Moglibyśmy popłynąć w rejs. Na przykład do Meksyku. Co o tym sądzisz? Filip spojrzał na nią. Z tonu jej głosu wynikało, że tym razem naprawdę tak myśli. Ale było za późno. - Dlaczego tak na mnie patrzysz, Filipie? - spytała, jakby przenikając jego myśli. - Myślałem o dziwnych paradoksach w ludzkim życiu. - Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Anna z nagłym przestraszonym. - Anno, gdybyś wcześniej podjęła taką decyzję, zrobiłbym wszystko. Ale zbyt długo nie miałaś czasu ani dla mnie ani dla Evie. - A teraz? - A teraz jest już za późno. Coś ją nagle ścisnęło w klatce piersiowej. - Za późno? Na co za późno? - No cóż, jeśli ludzie nie są ze sobą szczęśliwi, rozstają się. Anna nie wierzyła własnym uszom. - Masz na myśli rozwód? - Tak, niestety. Myślę, że to jedyne rozwiązanie. Nie możemy udawać bez końca, że jesteśmy szczęśliwą parą. Evie wyjechała do szkoły, więc nie ma sensu żebyśmy nadal byli razem. - Ależ Filipie... Mówił dalej, jakby w ogóle mu nie przerywała. - Jesteś wciąż atrakcyjną kobietą, Anno. Wiem, że znajdzie się ktoś, kto cię naprawdę uszczęśliwi. Ja nie. Nigdy nie byłem w stanie tego uczynić. - Nigdy się nie skarżyłam! - Nie wyrażałaś tego w słowach... Ale nigdy nie odgrywałem w twoim życiu zbyt wielkiej roli. Oboje o tym wiemy. - To nieprawda! Dawałeś mi poczucie bezpieczeństwa przez te wszystkie lata. Byliśmy dobrym małżeństwem. - Ale nie miłość, Anno! Miłość oznacza dzielenie się. Tak, zgadzamy się, ale nie walczyliśmy już ze sobą, bo wszystko się między nami wypaliło. - Filipie - zapytała powoli - czy jest w twoim życiu jakaś inna kobieta? - Tak, jest. - Od jak dawna? - Od dwóch tygodni. - Od dwóch tygodni? I zamierzasz się ze mną rozwieść. Czy chcesz się z nią ożenić? - Tak. - Filipie, rzucasz mnie dla kogoś, kogo znasz od dwóch tygodni? - To nie jest kwestia czasu, Anno! Nie ma znaczenia jak długo się kogoś zna, jeśli znalazło się odpowiednią osobę. - Nie mogę w to uwierzyć, Filipie! Jak możesz mi to zrobić - porzucić mnie w ten sposób! - Szczerze mówiąc, sam nie wierzyłem, że przydarzy mi się coś takiego. Ale nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że byłem potwornie samotny, a samotnych ludzi łatwo zranić. - Przykro mi, że tak się czuleś. Ale robiłam co mogłam. - Anno, nie obwiniam cię o nic. Podziwiam cię, ale potrzebuję czegoś więcej. - Czy naprawdę kochasz tę kobietę? - Tak, kocham ją. Zadała pytanie, ale nie była przygotowana na odpowiedź. Chociaż Filip powiedział jej, że znalazł sobie kogoś innego, nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście tak było. - Nie byłam obojętna na nasze problemy. Ale po prostu nie wiedziałam, jak je rozwiązać. Prosiłam cię, żebyś prowadził ze mną interesy. Czyż nie było tak? - Tak. Ale nie mogłem się na to zgodzić. Może komuś innemu by to nie przeszkadzało, ale ja, do licha, nie mam dużego poczucia własnej wartości. Gdybym przyjął twoją propozycję, Anno, straciłbym resztkę swej męskiej godności. - Chcesz powiedzieć, że celowo cię pogrążyłam? - Nie, oczywiście, że nie. Nie oskarżajmy się wzajemnie. Ale prawdą jest, że nie mogę już dłużej żyć w twoim cieniu. Anna postawiła kieliszek i spojrzała na swojego męża. Mój Boże, on mówi to całkiem poważnie. To ona zawsze wychodziła z przeprosinami, ona usprawiedliwiała swoje decyzje, ona obiecywała zmianę i zawsze była w stanie go przekonać. Ale teraz, to co powiedział, brzmiało stanowczo i ostatecznie. Nie

było sensu go przekonywać. Anna wstała, przeszła przez hol do sypialni i wybuchnęła płaczem. Słyszając jej łkanie, Filipa ogarnęło współczucie. Poszedł za nią do pokoju i usiadł obok niej na brzegu łóżka. - Proszę cię, nie płacz Anno. Wiem, że nie jest to łatwe dla nas obojga, ale postaraj się być dzielna. - Nie ma we mnie żadnej dumy w sytuacji, gdy chodzi o ciebie, Filipie. Kocham cię. A myśl, że mam cię stracić za bardzo mnie boli. Wiem, że nie poświęcałam ci tyle uwagi, ile powinnam, ale potrzebuję cię. I myślę, że ty mnie też potrzebujesz. Przyłgnęła do niego wtulając mu głowę w ramiona. - Sama myśl, że zawsze byłeś w moim życiu, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Kocham cię, Filipie. Naprawdę cię kocham! - Wiem, Anno. Ale my po prostu nie pasujemy do siebie. - Myślisz, że moglibyśmy jeszcze raz spróbować? Spojrzał na jej szczupłe, udręczone łkaniem ciało i prawie się załamał. Lecz uświadomił sobie, że tak naprawdę nic by się nie zmieniło. - Nie sądzę, Anno. Prawie histerycznie odtrąciła go. Poszedł do łazienki, wziął ręcznik, wrócił i delikatnie otarł jej twarz. - No chodź, pomogę ci się położyć do łóżka. - Wychodzisz dzisiaj na noc? - To chyba najlepsze co mogę zrobić. Objęła go ramionami i płakała, lecz trochę spokojniej. - Naprawdę cię kocham, Filipie. Naprawdę... Łagodnie uwolnił się z jej objęć. - Spróbuj trochę odpocząć. Jutro porozmawiamy. W drodze do samochodu zapukał do Consuseli. Kiedy otworzyła, Filip powiedział: - Wychodzę na jakiś czas. Pani Coulter jest na górze w sypialni i nie czuje się najlepiej. Chciałbym, żebyś zaglądnęła do niej. Consuela skinęła głową, zrozumiałwszy wszystko bez słów. - Dobrze, zrobię to. I... Niech pana Bóg błogosławi, panie Coulter. Rozdział trzydziesty ósmy

Anna nie zmrużyła oka tej nocy. Chodziła po pokoju bez końca paląc papierosa za papierosem. Około drugiej Consuela przyniosła jej ciepłe mleko i brandy, ale miała tak ściśnięte gardło, że nic nie mogła przełknąć. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat była całkowicie samotna. Prześladowało ją to samo druzgocące uczucie, jakiego doświadczyła po śmierci matki. Jak mógł ją opuścić w dniu, kiedy Evie wyjechała do college'u? Rozejrzała się po swojej pięknej sypialni z uczuciem graniczącym z nienawiścią. Po cóż jej ten piękny dom? Bez tych, których kochała był niczym, tylko pustą skorupą. Co gorsza był to symbol bezpieczeństwa i dostatku, o które zabiegała przez lata ciężkiej pracy. Tak, teraz należało to do niej. Ale co to za bezpieczeństwo w świecie, w którym nie ma Filipa? - Filip, najdroższy - jęknęła. Jak mogłeś? Jak mogłeś? Odczuła rozpaczliwą potrzebę porozmawiania z kimś. Evie? Było to nie do pomyślenia, by zatruwać jej pierwsze chwile w nowym otoczeniu. W słabym przypiływie nadziei Anna rozważała możliwość, że Filip się opamięta. Evie wcale nie będzie musiała o tym wiedzieć. Poznał tę kobietę kilka tygodni temu - to przecież bardzo krótko. Może to zwykłe fizyczne zauroczenie... Na myśl, że jest w łóżku z inną kobietą ściśnęło jej się serce. Anna próbowała myśleć logicznie. Musi czekać z nadzieją, że ten romans kiedyś się skończy. Wielu mężczyzn w średnim wieku przeżywa kryzys, ma kochanki, a potem wraca do swoich żon. Ale przypomniała sobie nieznaną jej dotąd zdecydowanie na twarzy Filipa, zimną determinację w jego głosie, kiedy mówił o kobiecie, którą jak powiedział, kocha. Muszę z kimś porozmawiać. Kiedy Filip był na wojnie, miała przynajmniej Ruthie, ale od lat nie były już sobie bliskie, chociaż ich dzieci widywały się często, a młodszy syn Newmanów był jak starszy brat dla Evie. O piątej godzinie Consuela weszła do sypialni, nie mogąc już dłużej znieść płaczu Anny. Trzymała ją delikatnie za rękę, aż Anna utuliła się w końcu do snu. Nazajutrz Anna ledwo zwlokła się z łóżka. Około dziesiątej kazała Consueli zadzwonić do biura i powiedzieć, że nie przyjdzie dzisiaj do pracy. Późnym popołudniem zadzwoniła Evie. Anna z trudem

mogła mówić, ale na całe szczęście Evie szczebiotała uszczęśliwiona i nawet nie zauważyła, że coś jest nie w porządku. - Tak wcześnie w domu, mamusiu? Chyba jesteś jeszcze zmęczona po podróży. Tyle mam ci do powiedzenia! Anna starała się właściwie reagować, kiedy Evie opowiadała bez końca o swoich współlokatorkach. Leslie i Kim były najfajniejsze. Leslie pochodziła z Los Angeles. Jej ojciec był neurochirurgiem i mieli wspaniałą willę w Beverly Hills. Dużo wiedziała o chłopcach - co Evie ujęła w następujący sposób: miała nadzwyczajny talent do zdobywania zmysłowej wiedzy. Kim skończyła szkołę w Szwajcarii i jeździła na wakacjach po całym świecie, ale nie była taką ciekawą osobą jak Leslie. Evie wprost uwielbiała je obie. - Ach, mamusiu! Nie wiem jak mogłam o tym zapomnieć. Nasz pokój jest cudowny! Te piękne róże na zasłonkach i narzutach. Wszyscy przychodzą i podziwiają. Jak ty to zrobiłaś? - Załatwiłam je będąc w Nowym Jorku. To mała niespodzianka dla ciebie - wydawało jej się, że minęło sto lat odkąd przeprowadzała te wszystkie pilne rozmowy. - Stokrotne dzięki, są prześliczne. Ach, wiesz co, mamusiu? Zgadnij kogo spotkałam na uniwersytecie? Piotra Newmana! - No cóż, to nic dziwnego Evie - powiedziała Anna słabym głosem. - On chyba już w tym roku kończy. - Tak, i poprosił mnie, żebym poszła z nim w sobotę na mecz z Oregonem. Senior, mamusiu! Leslie i Kim zzieleniały z radości. Oooo, słuchaj, dzwonią na obiad. Muszę iść. Kocham cię. Ciao! - Ja też cię kocham, Evie - powiedziała Anna i położywszy słuchawkę wybuchnęła płaczem. Była szczęśliwa, że Piotr Newman nadal interesuje się Evie. Ciągłe się koło niej kręcił, droczył się z nią, dawał jej lekcje tenisa. Potem niechętnie prosił do tańca skarżąc się, że wciąż jeszcze jest smarkulą. Filip byłby zadowolony, gdyby ich znajomość przerodziła się w coś poważniejszego. Piotr był rozważnym człowiekiem, a Evie też nie brakowało zdrowego rozsądku. Znaczyło to dużo w czasach buntu i narkotyków. Poza tym pochodził z dobrej rodziny, co oczywiście nie było bez znaczenia. Przez kolejne dni Anna pogrążyła się w coraz większej depresji. Nie była w stanie wstać z łóżka, a co dopiero pójść do biura i zająć się czymkolwiek. Sama myśl o jedzeniu wzbudzała w niej odrazę i tak bardzo schudła, że Consuela przyglądała jej się z niepokojem. Filip zadzwonił kilka razy, ale oboje byli bardzo skrepowani: dostarczono mu jego pocztę, czy może coś dla niej zrobić? Anna w odrętwieniu odpowiedziała: - Niczego nie potrzebuję. Wszystko jest w porządku, dziękuję. Evie dzwoniła często. Była przekonana, że zostanie przyjęta do żeńskiego koła studenckiego i miała nadzieję, że Leslie i Kim też się tam dostaną. Piotr zabrał ją na mecz, a potem zaprosił na pizzę. On jest taki przystojny - czy Anna też tak uważa? Kiedy Evie zapytała - czy jest tatuś w domu? - Anna z trudem odpowiedziała. - Przykro mi, Evie. Nie ma go w domu. - Kurczę, nigdy go nie można zastać. Co to tym razem, jedno z tych nudnych zebrań politycznych? - Tak, tak przypuszczam - skłamała Anna. Nie była w stanie powiedzieć Evie prawdy, a Filip najwidoczniej jeszcze tego nie zrobił. - W porządku, to nic takiego. Rozmawiałam z nim wczoraj. - O? Więc często do ciebie dzwoni? - spytała Anna posepnie. - O, tak. Ciągłe. Chciałam go tylko o coś zapytać. Dobra, pa, pa, mamusiu. Do zobaczenia. Kocham cię. Ciao. Serce się Annie ścisnęło. Prędzej czy później ktoś będzie musiał powiedzieć Evie, ale gdy się o tym dowie, wówczas ich separacja wyda się taka nieodwołalna. Filip wiedział, że on to powinien zrobić. Chociaż nigdy o tym nie rozmawiali, Evie zawsze była bardziej do niego przywiązana niż do Anny. To jemu zwierzała się ze swoich pierwszych miłości. Nie obwiniął Anny; zawsze była taka zajęta. Teraz on musi powiedzieć Evie o rozwodzie. Zdecydował, że zrobi to osobiście, więc następnym razem, gdy Evie zadzwoniła, zapytał: - Kiedy się zobaczymy, kochanie?

Chciałbym poznać Leslie i Kim. Może w tym tygodniu? - Hmm, tatusiu, bardzo bym chciała, ale teraz codziennie urządzamy przyjęcia i podwieczorki. Czy możesz poczekać do następnego tygodnia? Oprowadzę was po całym uniwersytecie i zobaczycie dom, w którym mieści się żeńskie koło studenckie - to znaczy, jeśli mnie przyjmą. Jest nadzieja! Ciao! Był piątek następnego tygodnia. Anna leżała nieruchomo na łóżku, nawet nie próbując czytać gazet. Nie obchodziło ją jak kształtują się ceny nieruchomości. Kiedy zadzwonił telefon, wcale nie miała ochoty podnieść słuchawki. - Cześć mam, zgadnij co się stało! Przyjęli mnie. Dostałam się! - Ach, kochanie, to cudownie - Anna próbowała się ożywić. - A co z twoimi koleżankami? - Leslie i Kim też są przyjęte i zamierzamy razem to uczcić! Evie mówiła jeszcze entuzjastycznie przez kilka minut, w końcu powiedziała: - Mam zaraz lekcje. Chciałabym ci tylko powiedzieć o tym kole studenckim. - Dziękuję, kochanie. Doceniam to. Kiedy skończyły rozmawiać, Evie usiadła na moment, zatroskana o swoją matkę. Anna nic takiego nie powiedziała, ale z jej głosu wynikało, że jest bardzo przygnębiona. Evie pomyślała, że jej matka jest po prostu przemęczona, ale często ją można było zastać przed południem w domu, co samo w sobie było niezmiernie dziwne. Przygotowawszy się do lekcji podjęła decyzję. Późnym popołudniem ktoś zapukał do pokoju Anny. - Proszę - powiedziała, sądząc, że to Consuela. Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Evie. Z niedowierzaniem patrzyła na zaciągnięte draperie, nie zasłane łóżko, butelki z valium i środki nasenne na stoliku. Ale większy szok przeżyła, kiedy zobaczyła twarz matki, wychudłą i wymizerowaną, z ciemnymi plamami pod spuchniętymi od płaczu oczami. - Co się stało, mamusiu? Jesteś chora? Evie nie mogła sobie przypomnieć, by matka chorowała na coś oprócz grypy. Zawsze była taka pełna życia i energii. - Evie... nie spodziewałam się ciebie - powiedziała Anna, kurczowo chwytając się kołdry. - Wiem. Ale postanowiłam zrobić ci niespodziankę i przyjechać do domu na weekend - zawahała się. - Mam, wyglądasz okropnie. Co ci jest? Widząc zmartwienie na twarzy córki i troskę w jej głosie, Anna wybuchnęła płaczem. - Ach, Evie, to takie okropne. Dziewczyna zarzuciła matce ramiona na szyję. - Mamusiu, co się na miłość boską stało? Proszę, powiedz mi! - powiedziała, drżąc ze strachu. - Od jak dawna jesteś w takim stanie? Anna, niezdolna do wyjaśnień, potrząsnęła tylko głową. Przerazona Evie odwróciła się i zawołała: - Consuela! Consuelo, chodź tu! Wkrótce pojawiła się w drzwiach, gestem wywołując Evie z pokoju. Evie patrzyła na nią z zakłopotaniem, w końcu powiedziała: - Zaczekaj chwilę, mam. Zaraz wracam! W holu zapytała szeptem: - Consuelo, co się stało? - Chodzi o twojego ojca, Evie. - Co się stało tatusiowi? Przecież dziś rano z nim rozmawiałam! - Nie, czuje się świetnie. Nie chcieli ci powiedzieć, ale oni się rozwodzą i twoja matka to bardzo przeżywa. - Rozwodzą? - Evie powtórzyła z niedowierzaniem. - Och, niemożliwe, Consuelo. Chyba się mylisz. Oni są przecież takim szczęśliwym małżeństwem. - No cóż, wiem tylko, że twój ojciec wyprowadził się w dniu, kiedy mama wróciła z Nowego Jorku i od tamtej pory ona nic innego nie robi, tylko siedzi w pokoju i płacze. Nie mogę jej namówić, by coś zjadła i sama już nie wiem, co robić. Wróciwszy do sypialni, Evie zobaczyła, że jej matka, wtulona w poduszkę, wciąż płacze. Anna nigdy dotąd nie zażywała takiej ilości lekarstw, dlatego miały na nią tak silny wpływ. Zamiast uspokoić jej nerwy, jeszcze bardziej ją rozdrażniły. Jej łzy wywołane były zarówno lekarstwami jak i depresją. Ale Evie nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiedziała tylko, że z jej matką dzieje się coś niedobrego. Siedząc na brzegu łóżka, powiedziała łagodnie: - Posłuchaj, mam. Consuela powiedziała mi o tobie i tacie. - Anna bez słowa wtuliła twarz w poduszkę. Evie poklepała ją po

ramieniu. - No już dobrze, mamó. Wiem, że to musi być jakaś pomyłka. To jest absurdalne! Ty kochasz tatę, prawda? - Anna przytaknęła łkając konwulsyjnie. - W takim razie wszystko da się rozwiązać. - Nic się nie da zrobić. On nie zamierza wrócić. - On wróci, mamó! Z pewnością wróci. - Evie, ty nie rozumiesz. Twój ojciec znalazł sobie kogoś innego - głos jej się trząsł. Czuła się upokorzona, mówiąc to swojej córce. Evie nie potrafiła ukryć zdziwienia. - Inną kobietę? Ach, mamó, nie! - Wstała i bezradnie chodziła po pokoju, zastanawiając się, jak ukoić ból matki. W końcu, kiedy płacz Anny ustał, Evie spytała. - Może przynieść ci herbaty albo coś do jedzenia? - zrozpaczona Evie wiedziała, że musi coś zrobić; zaparzyła matce filiżankę herbaty i przyniosła biszkopty. Evie była oszołomiona zdradą Filipa w równym stopniu jak jej matka. Do tej pory jedyną tragedią w jej życiu była śmierć dziadka. Ledwo pozbierała się po jego stracie, a teraz reszta rodziny się rozpada. Jej matka doprowadzona jest do rozpacz. Nic dziwnego, kiedy Evie usłyszała, że jej ojciec odszedł do innej kobiety, też miała ochotę się rozplakać. Otuliwszy Annę kocem, wyszła z pokoju i podeszła do telefonu. Piotr podwiózł ją dzisiaj i zaproponował, żeby nazajutrz zagraли razem w tenisa. - Halo, Piotr? Chyba nie będę mogła jutro zagrać. Moja mama nie czuje się najlepiej. - Och, tak mi przykro. Mam nadzieję, że to nic poważnego. - Nie sądzę, ale wolę być w domu, w razie gdyby mnie potrzebowała. - Oczywiście, Evie. Rozumiem. Zadzwoń jutro, żeby się upewnić. - Dzięki - powiedziała Evie prawie szeptem. Kolejny dzień nie przyniósł żadnej poprawy. Anna popadła w jeszcze większe odrętwienie i patrzyła na córkę niewidzącym wzrokiem. Kiedy Piotr zadzwonił, Evie odpowiedziała: - Będiesz musiał zagrać beze mnie. Muszę zostać w domu jeszcze dzień lub dwa. W pierwszym odruchu Evie chciała zadzwonić do ojca, ale zdała sobie sprawę, że nie zna ani nazwiska tej kobiety, ani jej numeru telefonu. Nie ma możliwości skontaktować się z Filipem do poniedziałku, kiedy to przypuszczalnie będzie w biurze. Przez cały weekend powtarzała w duchu, co chce mu powiedzieć, a w poniedziałek rano była tak rozdrażniona i nieszczęśliwa, że wsiadła do samochodu i pojechała do miasta, by zobaczyć się z nim osobiście. Nie czekając, aż ją zapowie sekretarka, przeszła przez hol i bezceremonialnie weszła do jego biura. Jedno spojrzenie na twarz córki wystarczyło Filipowi, by zrozumieć, że już wie i że jest na niego wściekła. Przełknął ślinę i zaczął mówić, ale przerwała mu. - Wiesz, dlaczego tu jestem, prawda? - Myślę, że tak, Evie. Ale nie podoba mi się sposób, w jaki tu weszłaś. - A mnie nie podoba się to, co zrobiłaś mamie. Rzuciłaś ją dla jakiejś taniej... dziwki! Filip poderwał się na równe nogi, zaciskając zęby ze złości. - Jak śmiesz, Evie! Zabraniam ci używać tego słowa. Linda jest wspaniałą kobietą. Jak możesz ją obrażać, skoro jej nawet nie znasz? - Nie mam zamiaru jej poznać! Nigdy! Nienawidzę jej i nienawidzę ciebie za to, co zrobiłaś - wrzasnęła Evie i wybuchnęła płaczem. - Tatusiu, jak mogłeś? Myślałam, że kochasz mamę! Filip podszedł do niej i przytulił ją do siebie. Musi spróbować jej to wyjaśnić. - Kochanie, oczywiście, że kocham matkę. Chcę ci to wyjaśnić. Usiądź, proszę - ujął jej dłonie. - Kochanie, próbowaliśmy razem z mamą. Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, by temu zapobiec, ale faktem jest, że Anna i ja nigdy nie byliśmy ze sobą szczęśliwi. Nie pasowaliśmy do siebie. Teraz spotkałem kobietę, którą naprawdę kocham. A twoja mama też sobie kogoś znajdzie. Kogoś, kto da jej większe szczęście niż kiedykolwiek zaznała ze mną. - Tato, jak możesz mówić, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy? Wystarczyło tylko, żebyś został z mamą. Wiem, że byliście razem szczęśliwi, dopóki nie pojawiła się ta druga kobieta - w jej głosie pojawiła się histeria. - Tatusiu, proszę, czy nie możesz wrócić do

domu? Mama jest w strasznym stanie; ona wciąż cię tak bardzo kocha! Czy nie może być tak jak dawniej? Filip odwrócił wzrok. Nadzieja widoczna na twarzy Evie rozdzierała mu serce. Musiał zebrać wszystkie swoje siły, by odpowiedzieć łagodnie: - Obawiam się, że nie, Evie. Nagłym ruchem wyrwała rękę z jego dłoni i wstała. - Nie możesz? To znaczy, że nie wrócisz? Wolisz tę kobietę, z którą sypiasz, od mojej matki. W takim razie, tato, nie chcę cię więcej widzieć. Chyba, że ją opuścisz i wrócisz do domu. Filip zaczął mówić: - Evie, proszę... Ale już jej nie było. Zanim Evie dotarła do domu, jej gniew przemienił się w rozpacz. Łudziła się, że przekona ojca i wszystko wróci do normy. Teraz było to oczywiste, że nie będzie żadnego cudownego rozwiązania. Tymczasem Anna potrzebowała jej obecności. Przez kolejne tygodnie Evie dojeżdżała do Berkeley volkswagenem matki. Ceremonie inauguracyjne już się odbyły, było mnóstwo przyjęć, meczów i potańcówek, ale Evie nie miała do tego głowy, spędzając cały wolny czas z Anną. Piotr w końcu wydobył z niej prawdę. Przejął się tym i bardzo jej współczuł. Zaofiarował się, że będzie zabierał ją do miasta, kiedy tylko zechce, ale Evie nawet o tym nie myślała. Pierwsze odruchy miłości, które w niej wzbudził, sparaliżowane zostały na skutek załamania matki. Evie była zbyt młoda, by zrozumieć, że próbując emocjonalnie wspomóc matkę, sama niebezpiecznie nadwiera swoje siły. Evie jeszcze bardziej się załamała, kiedy zadzwoniła May Brubeck, by powiedzieć, że już dłużej nie poradzą sobie w biurze bez Anny. - Posłuchaj, skarbie - powiedziała May. - Może mi powiesz, co się dzieje z twoją mamą. Consuela nie chce pisać ani słowa. Strasznie się o nią martwimy. Zachorowała, czy co? - Nie, May. Myślę, że mogę ci powiedzieć. Moi rodzice rozwodzą się - głos Evie zdrzął przy ostatnim słowie. - Och, kochanie, tak mi przykro - May umilkła na moment. - Cóż, to niedobrze. Ale, Evie, prowadzimy interesy, a twoja matka jest jedyną osobą, która ma prawo podejmować ważne decyzje. Musi się wziąć w garść i porozmawiać ze mną. - May, ona nie może, przynajmniej nie teraz. - Evie, przykro mi, ale nie ma innego wyjścia. Ona musi pracować, nie ma innej rady. Terminy są terminami, bez względu na to, co się dzieje w twoim osobistym życiu. Evie wiedziała, że przez May przemawia doświadczenie. Jej mąż zmarł z powodu alkoholizmu, a syn umarł z przedawkowania mając osiemnaście lat. Jednak ze względu na lojalność wobec matki odpowiedziała: - May, ona potrzebuje jeszcze trochę czasu. - Ale ona nie ma czasu - powiedziała May zgryźliwie. - A co z tobą, młoda damo? Co też ty robisz w domu? Czyż nie powinnaś być w szkole w Berkeley? - Ależ ja chodzę do szkoły - powiedziała Evie. - Dojeżdżam codziennie. - O której zaczynasz zajęcia, na miłość boską? - O ósmej. - To znaczy, że musisz wstawać przed szóstą! Ależ to czyste szaleństwo! Musisz być bardzo zmęczona. Teraz posłuchaj mnie, Evie Coulter. Wracaj czym prędzej do szkoły i pozostaw mnie twoją mamę. Powiedz jej, że czekam na telefon od niej, bez żadnych wykrętów. Wiadomość od May dotarła do Anny w zredagowanej formie, ale ona odpowiedziała tylko - z biura? Powiedz May, żeby zrobiła co tylko w jej mocy. Skruszona Evie była w drodze na wykład, kiedy u Coulterów rozległ się dzwonek oznajmiający przybycie May. - Cześć, Consuelo. Tylko nie próbuj mnie zatrzymywać. Gdzie ona jest? Consuela była już tak bezradna, że przyjęłaby każdą pomoc. Ustąpiwszy na bok, powiedziała: - Na górze w sypialni. May maszerowała na górę jak anioł zemsty. Znała Annę Coulter już od dawna. Razem otwierały agencję, śleczyły nad obliczeniami do późna w nocy, pomagały sobie w trudnych chwilach. Anna pomogła jej przetrwać, kiedy umarł jej syn, więc teraz May postanowiła pomóc Annie, czy jej się to podobało, czy nie. Kiedy May weszła do pokoju, nie wierzyła własnym oczom, że ta wychudła kobieta o szarej twarzy

leżąca w pościeli jest tą żywotną Anną Coulter, którą znała. Ale May nie na darmo wychowywała się w Missouri. Ruszyła do ataku bez zbędnych wstępów. - Dosyć tego, Anno. Co ty do diabła robisz w łóżku w samo południe? Nie jesteś chora, więc nie próbuj udawać. Co się z tobą do licha dzieje? Gdzie jest ta kobieta, która jednym skinieniem potrafiła zawładnąć tym miastem - i zawładnęła? Teraz posłuchaj mnie. Wiem, jak to ciężko, kiedy traci się męża. Ale to nie koniec świata. Nie jesteś jedyną kobietą, która się rozwodzi. Gdzie twoja inicjatywa, Anno Coulter? Kiedy May przerwała, by wziąć głębszy oddech, Anna powiedziała rozpaczliwie: - Ależ May, ty nie rozumiesz! To jest straszne... jestem przegrana. - Przegrana? To nie jest porażka, kiedy dwoje ludzi, których nic już nie łączy, rozstaje się. Załamanaś się. Wielkie nieba. Stań znowu na równe nogi! - Ależ May, Filip nigdy nie odszedłby do innej kobiety, gdybym ja go do tego nie popchnęła. - Anno, czy ty naprawdę szczerze wierzysz, że jedynym powodem odejścia Filipa jest inna kobieta? Powiem ci coś, jako postronny obserwator. Filip to świetny facet, ale wy dwoje jesteście z różnych planet. To nie jest kwestia braku porozumienia. Wy po prostu do siebie nie pasujecie. - Ależ, May, ja go kocham! - Przestań powtarzać "ależ May". To oczywiste, że tak jest. Nie możesz w jednym dniu zapomnieć o dwudziestu pięciu latach małżeństwa. Ale przynajmniej jesteś jeszcze młoda. Powinnaś być wdzięczna, że nie jesteś w mojej sytuacji. Trzymałam się Ala, aż było dla mnie za późno. Rok czy dwa po rozwodzie rozchorował się i skończyło się na tym, że pielęgnowałam go aż do śmierci. Jesteś zdrowa, masz mnóstwo pieniędzy i córkę, która cię kocha. Powinnaś być szczęśliwa, masz przecież Evie. Dałabym wszystko, żeby odzyskać mojego Jacka. - Z trudem powstrzymała łzy na wspomnienie o zmarłym synu. - No, a teraz wyciągniemy cię z łóżka, przyniesiemy ci coś do jedzenia i zobaczymy, czy wszystko nie wygląda troszeczkę weselej. A w przyszłym tygodniu, jak nadrobimy zaległości w biurze, wsiądziesz w samolot do Nowego Jorku, gdzie czeka na ciebie wspaniały mężczyzna. Zaraz rozwieją się twoje ponure myśli, kiedy weźmie cię w ramiona. Anna usiadła zaskoczona, czując jak bije jej serce. - O kim ty mówisz, May? - zapytała powoli. Przecież nic nikomu nie mówiła. - A jak myślisz? O Adamie Gayne, oczywiście. Może myślałaś, że to twoja słodka tajemnica? Jaki masz do niego stosunek? Musi być dla ciebie kimś szczególnym, skoro nie daje ci spokoju przez cały czas. No, teraz masz szansę. - Bez dalszych ceregieli May odrzuciła kołdrę. - No, wstawaj, dziecinko! - Pomaszerowała do łazienki i napełniła wannę wodą. Kiedy Anna rozkoszowała się ciepłą kąpielą, May odszukała w sypialni wszystkie pigułki - barbituranty, środki nasenne, nawet aspirynę. Nie zważając na protesty Anny wrzuciła je wszystkie do ubikacji, a wypłowiwały szlafrok Anny powędrował do kosza z bielizną. Następnie otworzyła drzwi i zawołała: - Consuelo, przygotuj nam dużą porcję jajeczniczy na bekonie i dzbanek mocnej kawy. Urządzimy sobie małą ucztę. Pod wieczór Anna rzeczywiście spojrzała na wszystko z innej strony. May przekonała ją, że nie odniosła porażki i że to nie ona skłoniła Filipa do odejścia. No i jest Adam, który chce się z nią ożenić. Anna przeraziła się na samą myśl, że ma go znów zobaczyć. Przez cały czas, kiedy była w Nowym Jorku i na Florydzie przygotowywała się na spotkanie z nim, ale on skrupulatnie ograniczał ich kontakty do rozmów telefonicznych, zawsze wysyłając na zebrania kogoś ze swoich współpracowników. Czy zechce się z nią zobaczyć, czy wciąż się jeszcze gniewa? A może jest gorzej, może mu już w ogóle na niej nie zależy. Chciała do niego zadzwonić, ale obawiała się, że odłoży słuchawkę. Na pewno kiedy stanie przed nim, będzie miała więcej szans na zrozumienie go. Nie zatrzśnie przecież przed nią drzwi. - Consuelo, jadę do

Nowego Jorku w tym tygodniu. Powiadom, proszę, pana Coultera, że musiałam wyjechać w interesach i powiedz mu, że czuję się już znacznie lepiej. Tego wieczora, kiedy Evie wróciła z Berkeley, długo siedziały z Anną rozmawiając. - Kochanie - powiedziała Anna - chcę przeprosić cię za to, że pofolgowałam sobie, leżąc tak i rozczulając się nad sobą. Wspaniale się mną opiekowałaś, ale czuję się już znacznie lepiej. May miała rację. Kiedy wróciłam do biura, skupiłam się na czymś innym. Czas, żebyś wróciła do swoich zajęć w kole studenckim i przestała martwić się o starą matkę. Zamierzam nawet polecieć na krótko do Nowego Jorku. Mam dużo spraw do nadrobienia w związku z tym syndykatem. Wstała i uściskała córkę, która wyczuła odradzające się siły w szczupłych ramionach matki. Anna znów była ożywiona i szczęśliwa. Początkowo Evie miała nadzieję, że jej ojciec ma coś wspólnego z tą przemianą, ale kiedy stało się oczywiste, że taki cud się nie zdarzył, ogarnął ją strach i fala złych przeczuć. Jeśli matka zgodziła się na rozwód, to już naprawdę koniec. Evie długo płakała przed snem, a rano z trudem powstrzymywała łzy przy pożegnaniu. W drodze do Berkeley czuła się tak, jakby udawała się gdzieś na wygnanie. W piątek wczesnym rankiem May zawiozła Annę na lotnisko. Tuż przed wejściem na pokład, Anna uściśniła przyjaciółkę mówiąc: - Mój Boże, to prawdziwe szczęście mieć kogoś takiego jak ty. - No i wzajemnie, dziecinko. May starała się nie okazać swojej zazdrości. Nie każdy ma takiego Adama Gayna. Rozdział trzydziesty dziewiąty Kiedy Anna zjawiła się w hotelu Plaza przysłano jej do pokoju wielki koszyk owoców, a May zamówiła dla niej szampana z następującym liścikiem: "To dopiero początek. Baw się dobrze, dziecinko. Kochająca May". Rankiem Anna założyła biały kostium i spędziła prawie godzinę przy układaniu włosów i robieniu makijażu. Wiedziała, że Adam jest w pracy, gdyż sprawdziła to telefonicznie przedstawiając się jako współpracowniczka. Podjechała taksówką pod jego biuro i dygocąc, czekała w poczekalni, kiedy recepcjonistka zapowiadała jej przybycie. Adam zdrzął słysząc jej imię. - Będzie musiała poczekać kilka minut - powiedział recepcjonistce. Potrzebował czasu, by się opanować. Anna. Anna Coulter. Na samą myśl, że ją zobaczy ścisnęło mu się serce. Kiedy otrząsnął się z doznanego szoku poczuł, że wzbiera w nim gniew. Jak śmiała zjawić się teraz, kiedy w końcu pogodził się z myślą, że będzie musiał żyć bez niej? Czy ma chociaż nikłe pojęcie o tym, ile z jej powodu wycierpiał? Czy wie, przez co przechodził? Czy zastanawiała się nad tym? Przez całe minione lato unikał jej. Wysłał Jeffa Cohena na Florydę tylko dlatego, by się z nią nie spotkać. I oto zjawiła się u jego drzwi. Musi nie mieć serca skoro wróciła teraz, wyjechawszy uprzednio bez słowa. Adam podszedł do barku i nalał sobie podwójną szkocką, którą wypił jednym haustem. Nigdy nie pił w środku dnia, ale teraz naprawdę było mu to potrzebne. Musiał zapanować nad sobą i swoim gniewem. Nie miał pojęcia dlaczego Anna chciała się z nim zobaczyć. No cóż, po prostu spokojnie jej wysłucha. Potem powie co o niej myśli. Zresztą już dawno chciał to zrobić. Siedząc w poczekalni Anna była równie niespokojna, jak on był wściekły. Nawet kiedy recepcjonistka oznajmiła, że może wejść, stała dłuższą chwilę z ręką na klamce zastanawiając się i z trudem przełykając ślinę. Była już tak blisko i nie wiedziała, jak ma to rozegrać. Trzęsąc się, wzięła głębszy oddech i weszła do środka. Adam siedział przy biurku przeglądając jakieś akta sądowe. Nie podniósł wzroku, kiedy weszła. Może nienawidzi jej? może znalazł sobie kogoś innego? W jego oczach malowała się bezdena obojętność. Annie wydawało się, że stała na środku biura przez całą wieczność. W końcu spojrzał na nią. - Proszę usiąść, pani Coulter - jego lodowaty ton sprawił, że przebiegł ją dreszcz po kręgosłupie. Czy naprawdę tak mało miał dla niej uczucia? - Adamie,

proszę cię, nie bądź zły - wyszeptala. - Nie bądź zły? Zły? Ledwo zdołałem wybić cię sobie z głowy, a ty zjawiasz się jakby nigdy nic - mówił dalej urywanym głosem. - Co się stało, Anno? Czy życie w San Francisco stało się nudne? - nie chciał tego powiedzieć, przynajmniej nie w takiej formie, ale w złości nie potrafił ukryć swoich myśli. Pomimo jego gniewu Anna poczuła przypływ nadziei. Z pewnością nie byłby zły, gdyby mu na niej nie zależało. - Czy mam rację? - domagał się opryskliwie. - Nie, Adamie. Nie dlatego tu jestem. - Więc dlaczego? Może mały wypad na zakupy? Bliska płaczu Anna powiedziała: - Adam, wiem, że jesteś zły i masz do tego prawo. - O, mam prawo? W takim razie to bardzo wspaniałomyślne z twojej strony. Ale nie jestem w nastroju do żartów. - Zamierzam się rozwieść. Adam zeszytniał. Kiedy w końcu odzyskał równowagę, powiedział recepcjonistce, by wstrzymała wszystkie telefony, bez słowa wstał z biurka i wziął Annę w ramiona. Stali tak przez kilka minut. Następnie znów połączył się z sekretariatem: - Czy jestem jeszcze dzisiaj z kimś umówiony? Tylko w czasie lunchu? Proszę to odwołać i powiedzieć, że wyszedłem w sprawach służbowych. Obawiam się, że będę bardzo zajęty aż do jutra. Wziął Annę za rękę i zjechali windą na dół. Wyszli na ulicę, skąd taksówką udali się do apartamentu Adama. Kilkadziesiąt metrów przed budynkiem, Anna spytała: - Czy możemy resztę drogi przejść na piechotę? Właśnie zaczyna padać śnieg. - Oczywiście - powiedział z błyskiem w ciemnych oczach. Adam podał jej dłoń kiedy znaleźli się wśród wirujących, miękkich płatków. Wysokie obcasy Anny były zupełnie nie przystosowane do spacerów po mokrym chodniku. Za każdym razem, kiedy się pośliznęła, Adam miał pretekst, by ją do siebie przyciągnąć. Kręciło jej się w głowie z podniecenia, kiedy wreszcie dotarli na miejsce. Adam otworzył drzwi i nagłym ruchem wziął ją na rękę i przeniósł przez próg. W całym mieszkaniu panowała cisza. Adam postawił ją na podłodze, całując delikatnie. - Jesteś cała ośnieżona. Anna odpowiedziała, zadyszana: - Tak? Nie zauważyłam. Pomógł jej zdjąć płaszcz i powiesił w szafie obok swojego. Włosy Anny ociekały wodą. - Przyniosę ci ręcznik - z ogromną troskliwością osuszył jej twarz i wytarł włosy. - Dzisiaj Gaston ma wolny dzień - powiedział. - Szczęśliwym trafem jesteśmy całkiem sami. Adam ujął jej twarz w swoje dłonie i odchylił do tyłu. Ich usta spotkały się. Anna czuła jak przyjemne drżenie przebiega przez jej ciało. Przez moment o niczym nie myślała, ani nic nie mówiła. Tylko czuła. Instynktownie objęła szyję Adama, przyciągając go do siebie. Znów zbliżył jej usta do swoich i całował, delikatnie je rozchylając. Gładząc go po włosach, czuła, jak jego spragnione ręce wędrują niecierpliwie po jej plecach zatapiając się w cienkich fałdach jedwabnej bluzki. Powoli rozpiął guziki obejmując jej pełne piersi. Odpięła jego pasek czując w odpowiedzi jak drży. Nigdy jeszcze tak rozpaczliwie nie pragnął kobiety. Anna również nie mogła dłużej czekać. Chciała, by ją kochał, pragnęła poczuć go w sobie. Nie czekając ani chwili dłużej, zdjęli ubrania i oddali się tej wielkiej namiętności. - Jesteś taka piękna - szeptał. Każdy jego dotyk pobudzał jej nerwy. Kiedy wszedł w nią, wiedziała, że nikt prócz Adama nie istnieje dla niej na świecie. Przez długą chwilę leżeli w swoich ramionach. Wtem znów zaczął ją kochać. Tym razem mniej natarczywie niż poprzednio. Nie szczydzili sobie czułych słów, którymi zwykle kochankowie się dzielą. W końcu zaspokojeni, zapadli w drzemkę i kiedy Anna otworzyła oczy kilka godzin później, wciąż leżała w ramionach Adama. Uśmiechnął się. - Cześć, śpiochu. Jak się czujesz? - Cudownie - powiedziała Anna, a łzy napłynęły jej do oczu na dźwięk jego czulego głosu. - Po prostu cudownie. - Kocham cię, wiesz o tym? - Ja też cię kocham, Adamie. - Mówisz to poważnie? Widząc, że jej nie

dowierza, Anna zbliżyła usta do jego ust. - Całym sercem, kochanie. Przeciągnawszy się, wstał z łóżka. - Wiesz, umieram z głodu. Będziesz miała siłę wyjść? Nie jedliśmy lunchu, ale możemy zjeść wczesny obiad. - Może przygotuję coś w domu? - powiedziała Anna. - Tyle cnót i jeszcze umiesz gotować? Prawdziwy szczęściarz ze mnie! - powiedział, zakładając szlafrok. Anna usiadła i już miała odrzucić kołdrę, kiedy uświadomiła sobie, że jej ubrania leżą porozrzucane po całym salonie. Z uśmiechem powiedziała: - Mam nadzieję, że możesz mi coś pożyczyć - zaczął przeglądać szuflady, ale wyręczyła go, mówiąc - myślę, że dam sobie radę. Niebawem zjawiała się w kuchni owinięta w ogromny, jedwabny szlafrok. Na nogach miała obszyte futerkiem pantofle, które człapały przy każdym jej kroku. Objął ją w pasie i potarł nosem jej ucho. - Myślałam, że umierasz z głodu - zaśmiała się Anna. - Najpierw jedzenie. Po krótkich poszukiwaniach znalazła jajka, mały słoik kawioru i trochę śmietany. Po dwudziestu minutach jedli wspaniałą jajecznicę, popijając schłodzonym szampanem. Adam jadł łapczywie. - Cholernie dobrze gotujesz - powiedział z uznaniem. - Obawiam się, że nie tak dobrze, jak Gaston. Spojrzał na nią figlarnie. - Ach, ale ty masz wiele innych talentów do zaferowania. Umyli i wytarli naczynia, całując się co kilka minut. - No dobrze - Adam uśmiechnął się. - Czas aby kucharz odpoczął. Zaprowadził ją do wielkiego salonu, zapalił w kominku, po czym położyli się na dywanie i patrzyli w ogień. Anna wiedziała, że tu jest jej miejsce. Niespodziewanie Filip ofiarował jej ten podarunek. Nigdy by się nie zdobyła na rozbitcie małżeństwa, więc teraz była mu za to bardzo wdzięczna. Adam również myślał o tym, jakie to szczęście, że Anna dała mu drugą szansę. Przez całe życie szukał właściwej kobiety. Z pewnością nie była nią Felicja, którą poślubił o wiele za wcześnie, ani żadna z kobiet, które były po niej. Ale z Anną u boku czuł się naprawdę szczęśliwy. Przyglądał się, jak wpatrywała się w ogień, zastanawiając się, czy podziela jego radość. - O czym tak sobie myślisz? - spytał, chcąc się upewnić. Odwróciła się i powiedziała z nagłym zainteresowaniem: - Adamie, opowiedz mi o sobie. Chcę wiedzieć wszystko, odkąd byłeś małym chłopcem. - To nie jest takie ciekawe. - Dla mnie będzie. Adam wstał i nalał do kieliszków brandy. Następnie, nie odrywając od niej wzroku zaczął. - Nic nie wskazywało na to, że Avrum Gnetsky zdobędzie wielką fortunę, ale jego matka, Leah wiedziała, że jest w tym dziecku coś niezwykłego. Oczywiście tak samo myślała o pozostałych starszych dzieciach. Zwracając się do nich mówiła: panie doktorze, panie adwokacie i panie dentysto. Oczywiście Avrumowi pozostało tylko zostać pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych pochodzenia żydowskiego. Nic nie zdołaloby zmienić jej planów, kiedy kładła się do łóżka w ich mieszkaniu ponad piekarnią na Slotkin Street. Wdychając znajomy zapach chleba odczuwała wielki spokój. A jej mąż był po prostu wspaniały. Jankiel biegał to na dół, to na górę setki razy by upewnić się, że akuszerka dobrze się sprawuje. Nie mógł zrozumieć, jak jego żona może być taka spokojna, ale dla Leah urodzenie dziecka było cudem i ból nic tu nie znaczył. Trzy dni później nakarmiła Avruma z pełnej piersi po czym położyła go w małym koszyku, zeszła na dół i usiadła przy kasie sklepowej. Około jedenastej miała siedemnaście dolarów utargu. Zadowolona z rannego zarobku, poszła na górę i znowu karmiła Avruma śpiewając mu kołysankę, którą kiedyś śpiewała jej matka. Avrum wzrastał w atmosferze miłości i wzajemnego przywiązania. Kiedy poszedł do szkoły w wieku sześciu lat, niewiele wiedział o świecie. Tam dowiedział się, że istnieją ludzie, którzy nie są Żydami, którzy jedzą masło arachidowe i kanapki z wieprzowiną; ludzie, którzy mają włosy jasne jak len. Stwierdził również, że w tym dziwnym świecie nazywają go Adamem. Ale to mu zupełnie nie przeszkadzało.

Szanował swojego nauczyciela, a co najważniejsze uwielbiał się uczyć. Ten zapał podsycała w nim jego matka. Leah wydawała wszystkie oszczędności na książki i lekcje muzyki dla chłopców. Każdego popołudnia wychodziła z piekarni, by upewnić się, że ćwiczą grę na pianinie. Kiedy skarżyli się, że wolą grać w piłkę, przynosiła im mleko i ciastka, i kazała dalej grać. Jedynie w piątkowe wieczory nie musieli ćwiczyć. Kapali się, zakładali najlepsze ubrania i razem z ojcem szli do małej "shul" na modlitwę. Z biegiem lat bracia Adama udali się do college'u spełniając marzenia matki. Perfekcja, której wymagali rodzice zaczęła przynosić owoce. Max został chirurgiem. Irwing inżynierem, a Morris ortodontą. Elah dążyła teraz do tego, by Avrum został tak znanym prawnikiem jak Clarence Darrow. Rozpoczął naukę na Uniwersytecie Kolumbijskim zaraz na początku kryzysu i tak jak mały Avrum pojął, że nie wszyscy ludzie są Żydami, teraz młody Adam z przerażeniem odkrył, że w Kolumbii nieprzychylnie patrzono na Żydów. Wbrew temu co czytał w gazetach o wydarzeniach w Europie, nie mógł uwierzyć w istnienie antysemityzmu. Teraz zastanawiał się, jak sobie poradzi z tym zagrożeniem. Starsi bracia szybko rozwiali jego obawy. - Nie jest łatwo być Żydem - mówili mu. - Ale nas to nigdy nie zniechęciło. Po prostu musimy ciężiej pracować i w rezultacie dobrze na tym wychodzimy. Prawdę mówiąc powinniśmy być wdzięczni tym draniom! Pewnego dnia Adam poznał człowieka o nazwisku Jerry Moss, który przyznał się, że tak naprawdę to nazywa się Abe Moskowitz. - Dlaczego zmieniłeś nazwisko? - zapytał. - Słuchaj, Adamie - Jerry wyjaśnił mu cierpliwie. - Nazwisko takie jak na przykład Moskowitz czy Gnetsky cholernie ci wszystko utrudnia. Szczególnie, jeśli chcesz się dostać do takiego zespołu adwokackiego, w jakim ja jestem. Tam nie toleruje się ludzi wyznania mojżeszowego. Nie wyglądam na Żyda, ty zresztą też nie. Więc po co jeszcze pogarszać sytuację? Jak widzisz, nie jestem bohaterem. Możesz mnie zaskarżyć. Adam wciąż nie był przekonany. - Czyż to nie jest oszustwo? My to robimy, a inni Żydzi nie? - Obudź się, dzieciaku. Mówią co prawda, że w Ameryce każdy może zostać prezydentem, ale ja nie wyobrażam sobie żadnych Gnetskich ani Moskowitzów w Białym Domu. Sam zdecyduj, ale ja zostaję Jerrym Mossem. Adam źle spał tej nocy; nigdy tak naprawdę nie zastanawiał się nad swoim pochodzeniem. W końcu odsunął od siebie przestrogi Jerrego. Zdecydował, że gdyby zmienił nazwisko zdradziłby swoich rodziców. Ale po ukończeniu studiów - uzyskał dyplom w rekordowym czasie - rozważył to po raz kolejny. Rozpoczął podyplomowe studia prawnicze, czasy były ciężkie, a oprócz kilku wyjątków, większość firm w Nowym Jorku odmawiała zatrudnienia Żydów. Zwrócił się z tym problemem do swoich braci. Przyznali, że teoretycznie powinien zostać Adamem Gnetskym, tak jak oni, ale w jego sytuacji byłoby lepiej zmienić nazwisko. Może to zrobić nie rezygnując ze swojej wiary. Wobec tego zapisał się na wydział prawa jako Adam Gayne. Czy to z powodu swojego nowego nazwiska, czy też z poczucia winy, że wyrzekł się starego, pracował ciężiej niż jego koledzy. Został redaktorem "Przeglądu Prawniczego" i ukończył szkołę z wyróżnieniem. Pomimo młodego wieku i kryzysu gospodarczego miał mnóstwo ofert pracy. Wybrał w końcu firmę Williams, Stein and Brown, jeden z najlepszych zespołów adwokackich w Nowym Jorku. Szybko zyskał sobie liczną klientelę z całego miasta, gdyż nie tylko znał doskonale prawo, ale interesował się również polityką, dobroczynnością, sztuką - i łatwo nawiązywał kontakty z ludźmi. W firmie byli nim zachwyceni. Potrzebowali właśnie kogoś takiego jak Adam Gayne; inteligentnego, bystrego człowieka, który czuje się swobodnie w każdym towarzystwie. Sam nie wiedział kiedy zdobył ogładę, ale rozrywany był na przyjęciach jako doskonały komik, a bracia dali mu mnóstwo wskazówek dotyczących

savoir vivre'u. Często umawiał się na randki, ale nie ciągnęło go do małżeństwa. Jeden z właścicieli firmy, Daniel Brown, szczególnie interesował się nowym wspólnikiem. Brown był wdowcem od dwudziestu pięciu lat i nie miał własnych dzieci, ale przywiązany był do Felicji, jedyne dziecko swojej siostry. Felicja była nadzwyczaj piękna. Jednak w miarę upływu lat zaczął się martwić o jej przyszłość. Z bólem musiał przyznać, że dziewczyna jest nie tylko kapryśna i niedojrzała, ale wręcz infantylna. Potrzebowała mocnego zrównoważonego męża, który by się nią opiekował, ale o ile wielu mężczyzn interesowało się nią, żaden nie traktował jej poważnie. Daniel od początku patrzył na Adama przychylnym okiem i pewnego dnia zaprosił go na weekend do swojej posiadłości na Long Island. Adamowi wydawało się, że pieniądze nie robią na nim wrażenia, ale dech mu zaparło z podziwu, kiedy przed żelazną, kutą bramę wjechał w dębową aleję i zaparkował przed dokładną repliką szesnastowiecznego francuskiego pałacyku. Kiedy wszedł do środka otoczyli go młodzieńcy w smokingach i pięknie ubrane kobiety: śmietanka tego co zostało z "międzynarodowego towarzystwa". Wielki kryzys nie dosięgnął domu Daniela Browna. Po raz pierwszy zobaczył Felicję, w stanie lekkiego oszołomienia, jak spowita w białe jedwabie zbiegała po olbrzymich czarnych, marmurowych schodach. Adam od razu stwierdził, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Po obiedzie, na dancingu, poprosił Felicję do tańca. Kiedy trzymał ją w ramionach podczas walca, nie mógł się powstrzymać od porównania jej do filigranowej statuetki z Meissen, którą niedawno kupił swojej matce. Kiedy muzyka ucichła, wziął ją za rękę i poprowadził do ogrodu. Stali tam pod migającymi chińskimi latarenkami, obserwując jak światło księżyca rozlewa się nad Long Island. Felicja była bardzo małowówna, więc Adam zabawiał ją rozmową. Jej uwagi wypowiedane dzieciennym głosem były nadzwyczaj krótkie i zawsze towarzyszył im jej perlisty śmiech. Adam uznał, że ta powściągliwość w mowie dodaje jej uroku. Nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego i wkrótce przekonał samego siebie, że to co wydawało mu się u niej płytkie, było tylko zabawną pozą. Najwidoczniej wychowano ją tak, by zostawiała mężczyznom pierwszeństwo w mówieniu. I była taka śliczna, taka drobna, taka wspaniała... Adamowi nie przyszło nawet do głowy, kiedy zasypiał tej nocy marząc o Felicji, że była dokładnie poinstruowana przez swoją matkę i wujka Daniela. Miała niewiele mówić, trzymać się z dala od butelki, czarując się uśmiechać i we wszystkim zgadzać się z Adamem. Zdecydowani byli zrobić wszystko, by tym razem nie przepuścić takiej dobrej partii. Jeśli Felicja powstrzyma się od paplaniny, która ujawnia jej brak inteligencji, ma szansę zdobyć Adama Gayna. Felicja była jedyną spadkobierczynią nie tylko firmy farmaceutycznej swojego ojca, ale również całej fortuny Daniela, więc ani on, ani jej matka nie mieli skrupułów wobec swojej taktyki. Pewnego dnia Adam im podziękuje. W końcu młode, piękne spadkobierczynie nie zdarzają się znowu tak często. Kryzys wciąż się pogłębiał. Nigdy nie wiadomo, co się jeszcze może zdarzyć. Adam często bywał na przyjęciach i wystawnych obiadach u Felicji. Sam nie wiedział, jaka to się stało, że zostali oficjalnie zaręczeni. Wszyscy się tego spodziewali, ale dziwnym trafem Adam z Felicją rzadko bywali sami; opiekuńczy krewni zawsze się wokół nich kręcili. Mimo wszystko, osłepiony aurą wielkiego bogactwa, zdołał przekonać samego siebie, że jest w Felicji zakochany... Wesele odbyło się w Hotelu Pierre; był to jeden z najwspanialszych ślubów roku. Przybyli rodzice Adama jak również jego bracia z żonami. Leah wyglądała bardzo dostojnie, a Jankiel był trochę onieśmiałony. Daniel i matka Felicji byli tak szczęśliwi pozbywszy się kłopotu, że nawet zdobyli się na serdeczność wobec Gnetskich,

którzy wrócili do Brooklynu w przekonaniu, że Avrum znalazł sobie doskonałą partnerkę. Adam z Felicją spędzili miesiąc miodowy w Europie, na koszt Daniela. Londyn, Wenecja, Rzym, Riviera - nie brakowało im rozrywek ani pieniędzy. Adam zachwycał się swoją młodą żoną; była jak śliczna, rozbawiona kotka. Pierwszy incydent zdarzył się w Monte Carlo. Grali w bakart i chemin de fer. Początkowo śmiał się z niej kiedy z dzikim, nieznanym mu błyskiem w oku grała brawurowo. Ale z upływem czasu stawało się to coraz bardziej alarmujące. Felicja nie chciała odejść od stołu, chociaż straciła już ponad dwa tysiące dolarów. Przerzuciła się również z szampana na Pernod i nie miała umiaru w picciu alkoholu. W końcu kiedy jej przegrana sięgnęła dwóch i pół tysiąca dolarów, Adam dotknął jej ramienia i delikatnie zaproponował, by poszli do domu. Odwróciła się gwałtownie i powiedziała głośno: - Pójdę do domu jak będę, do diabła, gotowa - podeszła do baru, zamówiła kolejnego Pernod i wróciła do stołu. Adam złapał ją za ramię. - Felicjo, chodźmy do domu. - Zostaw mnie w spokoju! - wrzasnęła głośno, aż ludzie zaczęli im się przyglądać. Adam zaczerwienił się z upokorzenia, ale wciąż trzymał ją za ramię. - Felicjo, albo wyjdziemy spokojnie, albo cię wyniosę. - Przestań - krzyczała. - Powiem o wszystkim wujowi Danielowi, a on zwolni cię z pracy za to, że jesteś taki podły. Po tym obsypała go lawiną gróźb i przekleństw, a Adam wziął ją na ręce i wyniósł z kasyna, co wywołało głośne komentarze rozbawionych tym gości. Wracali do hotelu w milczeniu. Ale na tym nie koniec. Adam odkrył, że kiedy Felicja nie była w humorze, wpadała we wściekłość, okładając go małymi piąstkami i wrzeszcząc histerycznie. Co gorsza, zauważył, że lubi zaglądać do butelki, o czym Daniel i jej matka niewątpliwie wiedzieli. Felicja piła dużo w restauracjach i klubach nocnych, a często też zataczała się w pokojach hotelowych. Pewnego ranka Adam, nienawidząc samego siebie, przejrzał jej bagaż i znalazł tam kilka butelek ginu. Felicja najwidoczniej pociągała sobie, ilekroć odwrócił od niej uwagę. Kiedy przedstawił jej dowody, zaprzeczyła stanowczo, grożąc, że zadzwoni do Daniela. Miesiąc miodowy okazał się całkowitą katastrofą. Wrócili do domu trzy tygodnie przed planowanym terminem. Wchodząc na pokład statku Adam zastanawiał się, w co on się też wpakował. Potem stwierdził jednak, że jest niesprawiedliwy. Felicja od urodzenia była rozpieszczana do granic możliwości. Musi dać jej szansę, by dorosła. Postanowił zrobić wszystko, by jej pomóc. Jeśli okaże jej zrozumienie i cierpliwość, na pewno dojrzeje do roli przykładowej żony i matki. Resztę podróży poświęcił na scalanie swojego rozpadającego się małżeństwa. Po powrocie zamieszkali przy Park Avenue, a po sześciu miesiącach Adam zmuszony był przyznać, że jego żona, kobieta, której przysiągł dożgonną miłość, ma nie tylko nieokiełznany temperament, ale również pośledni umysł. Nie, to zbyt łagodnie powiedziane. Tak naprawdę Felicja była po prostu głupia. Czuł się upokorzony, oszukany, jak w potrzasku. Jej rodzina musiała wiedzieć o tych brakach. Dowiedział się z pewnych źródeł, że skończyła tylko pięć klas. Historie o prywatnych guwernerach z doktoratami i eleganckich szkołach w Szwajcarii były kłamstwem; nie znała bowiem ani słowa po francusku. Ponadto była emocjonalnie niezrównoważona i niezdolna do jakiegokolwiek odpowiedzialności. Dopiero teraz uświadomił sobie, dlaczego jej rodzina chciała go usidlić i żywił głęboką urazę do Daniela za to, że też brał udział w tym nikczemnym spisku. Adam postanowił wnieść pozew o rozwód. Jakby odgadując jego zamiary, Felicja oznajmiła mu, że jest w ciąży. Po dziewięciu miesiącach urodził się Michał. Pomimo wszystko, Adam uwielbiał swojego syna, który jak wszystko na to wskazywało, inteligencję odziedziczył po ojcu. Przełał na malca całą swoją miłość, sam go pielęgnował i o

wszystko się troszczył, bowiem Felicja po urodzeniu dziecka stała się chorowita i histeryczna. W ogóle nie chciała wstawać z łóżka, ani dzielić go ze swoim mężem. Adam postanowił, że nie chce mieć już więcej dzieci, ale los znowu spletał mu figła. Dla zachowania pozorów pojechali na ślub kuzynki Felicji do Lake Placid. Oślawiony kurort był zimową krainą czarów i wielu gości zostawało na weekend, by się nim nacieszyć. Adam, wykręcając się nadmiarem pracy nalegał, by wracali do Nowego Jorku. Tuż po wyjeździe zaczął padać gęsty śnieg. Adam zawzięcie jechał naprzód, ale po godzinie jazdy zarzuciło ich na zakręcie i utknęli w zaspie. Ogrzewanie przestało działać i chociaż Felicja ubrana była w sobolowe futro i obszyte futerkiem buty, wkrótce zaczęła się trząść z zimna. Kiedy uświadomiła sobie, że utknęli na dobre, przyłgnęła do Adama i płakała histerycznie: - Adam, boję się! Umrzemy tutaj, ja to wiem. Adam próbował ją uspokoić, ale nic nie pomagało. Wicher wył targając ogołoconymi z liści drzewami i nawet on odczuwał coraz większy strach, w miarę jak śnieg gromadził się wokół samochodu. Wyteżając wzrok przez szybę, dostrzegł w końcu jakieś światło. - Felicjo, tam jest jakiś budynek. Wytrzymasz, jeśli cię będę niósł? - Proszę cię, Adam, proszę - lamentowała. Adam brnął przez zasy, a Felicja wciąż powtarzała: - Kiedy wreszcie dojdziemy? Kiedy wreszcie dojdziemy? Po dwustu metrach męczarni stanęli w końcu na progu małego wiejskiego domku, a sympatyczny gospodarz wprowadził ich do środka i poczęstował gorącą herbatą. Następnie Adam wziął Felicję za rękę i poprowadził na górę stromymi drewnianymi schodami. Ich pokój był mały, ale przytulny. Stało tam staromodne łóżko z baldachimem obciągniętym wypłowiałym materiałem. Szorstkie, perkalowe prześcieradło drażniło delikatną skórę Felicji, kiedy bliska histerii usadowiła się pod kołdrą, drząc i łkając. Adam całkowicie wyczerpany, położył się do niej tyłem, gotowy zaraz zasnąć. Ponieważ wiatr nadal wył za oknem, a mokry śnieg nie przestawał padać stukając o szyby, Felicja błagała: - Adam, przytul mnie proszę. Pocałuj mnie. Boję się, boję... Adam jęknął, odwrócił się i wbrew samemu sobie objął ją ramionami. Początkowo nie miał zamiaru się z nią kochać, ale długo nie byli razem i trudno mu było pozostać obojętnym. Wkrótce przeklinał swoją słabość. Po dziewięciu miesiącach urodziła im się córka, cherubinek o jasnych włosach i błękitnych oczach, którą nazwali Renata. Była tak podobna do Felicji, że Adam nie od razu ją pokochał. Była namacalnym dowodem jego szaleństwa. Felicja zamknęła się w sobie i stała się jeszcze kapryśniejsza, zostawiając dzieci całkowicie pod opieką niani, którą Adam dla nich zatrudnił. Nie czerpali żadnej radości ze wspólnego życia. Ona piła coraz więcej, a kiedy Adam próbował z nią o tym pomówić, odpowiadała: - Nie mogę sobie z tym poradzić! Po prostu nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić! Przerazało ją wszystko, a na myśl o opuszczeniu domu dostawała histerii. Jednego ranka chciała rzucić się z balkonu. Służąca powstrzymała ją w ostatniej chwili. Po konsultacji z jej rodziną, Adam wysłał ją do sanatorium. Dzieci pozostały całkowicie pod jego opieką. Był dobrym ojcem i starał się kochać Renatę, tak samo jak jej brata. Wiedział, że to on powinien zapewnić dzieciom poczucie bezpieczeństwa, pomimo problemów matki. Ostatecznie nie były temu winne, że przyszły na świat. Lecz kiedy Michał skończył dwadzieścia, a Renata osiemnaście lat, Adam stwierdził, że czas pomyśleć o swoich potrzebach. Nawet Daniel nie protestował, czując się najwidoczniej winnym tej całej sytuacji. Adam złożył właśnie wstępny wniosek o rozwód, kiedy Felicja wypisała się z sanatorium koło Bostonu. Pojechała prosto na lotnisko, skąd razem z przyjaciółmi odleciała do Grecji. Najwidoczniej wynajęli tam jacht, bo kilka dni później, po długim, mocno zakrapianym obiedzie, Felicja wypadła za burzę.

Nikt jej nie szukał aż do rana, kiedy to przyjaciele otrzeźwieli na tyle, by powiadomić o wszystkim Adama. Jej drobne ciało wyrzucone zostało na brzeg w pobliżu Mykonos. Adama bardzo zasmuciła ta wiadomość. Już od dawna nie kochał Felicji, ale z pewnością nie życzył jej śmierci. Poleciał do Aten i załatwił formalności związane z przewiezieniem jej ciała do Ameryki. Po pogrzebie był trochę zaskoczony, kiedy jego adwokat przypomniał mu, że jest jej jedynym spadkobiercą. Nikt nie wniósł poprawek do testamentu, spisane w dniu zawarcia małżeństwa. Wkrótce potem przekazał wszystkie pieniądze na konta Michała i Renaty, lecz ku jego zdziwieniu, dzieci gwałtownie zaprotestowały przeciwko temu gestowi. Michał po kryjomu winił ojca za załamanie psychiczne matki; teraz jawnie obwinał go za jej okropną śmierć. Adam może sobie zatrzymać swoje pieniądze. Michał wybierał się do Indii z przyjaciółmi i nie chciał powiedzieć w jakim celu. Renata wykazała więcej zrozumienia. Wiedziała, że w zasadzie ojciec opiekował się Felicją, ale mimo to nie przyjęła pieniędzy i nie okazała mu żadnego przywiązania. Postanowiła zamieszkać z nauczycielem plastyki w New Hampshire. Adam przeraził się, kiedy przyprowadziła do domu swojego przyjaciela. Był obdarty, miał długie tłuste włosy związane z tyłu w kucyk i mówił prawie niezrozumiale po angielsku. Adam prosił, przekonywał, groził. Chciał ją uchronić od pochopnych decyzji. Renata uczyła się nieźle - nie chciał więc, by rzuciła szkołę, lecz niestety, nie zdołał wpłynąć na jej decyzję. Od tej pory dzieci praktycznie zniknęły z jego życia i jedynie dawały znać o sobie, przysyłając mu życzenia świąteczne i telegramy na urodziny. Rozdział czterdziesty Anna słuchała historii Adama z zapartym tchem. - Kochanie - powiedziała w końcu - pozwól, że naleję ci drinka. Spojrzał na nią, zaskoczony nagłym powrotem do rzeczywistości. - Przykro mi, Anno, że obciążam cię tym wszystkim. Chwyła go za rękę. - Nic, co dotyczy ciebie nie jest dla mnie ciężarem. Mój Boże! Nigdy bym nie przypuszczała, że przez to wszystko przeszedłeś. Moje zmartwienia wydają się przy tym niczym. - Przypuszczam, że obydwójce niejedno przeżyliśmy. - To prawda, ale ty tak dzielnie poradziłeś sobie ze swoimi problemami. Kocham cię i podziwiam za to. Spojrzeli sobie w oczy. - Skończmy już z tą przeszłością - powiedział zmieniając ton. - Ubierzmy się i chodźmy gdzieś. Wiesz co? Zabieram cię na dyskotekę. Będziemy tańczyć do białego rana. - Ależ Adamie, ja nie znam nowoczesnych tańców. - Nauczysz się. Ja cię nauczę. No chodź tu do mnie. Kiedy usiadła mu na kolanach, zapytał: - Prawda, że mnie nigdy nie opuścisz? - Nigdy - Anna odparła krótko i naprawdę w to wierzyła. Nie pamiętała w tym momencie, że zbliżało się Święto Dziękczynienia i Evie będzie czekała na nią w domu. A być może nie chciała o tym pamiętać. Przez kilka kolejnych dni Anna poświęcała czas wyłącznie Adamowi. Budziła się, myśląc o nim, wyczekiwała jego powrotu z biura, a nocą wynajdowała coraz to nowe sposoby by go zadowolić. Lecz pod koniec tygodnia nie tylko urywały się telefony z biura, ale wiedziała również, że musi wracać, po to by zobaczyć się z Evie. Jej córka nigdy nie zrozumiałaby, dlaczego nie przyjechała do domu na Dziękczynienie. Anna zastanawiała się, jak zdoła opuścić Adama na kilka dni, skoro trudno jej się z nim rozstać choćby na kilka godzin. Przerazała ją myśl, że będzie musiała powiedzieć o wszystkim Evie. Pamiętając jak zareagowała na wieść o Lindzie, Anna przypuszczała, że potraktuje Adama z równą niechęcią. Evie wciąż miała nadzieję, że jej rodzice wrócą do siebie i sama myślała, że pojawił się ktoś inny w ich życiu, doprowadzała ją do szaleństwa. Wyczuwając jej niepokój, Adam okazywał Annie dużo ciepła, kiedy z rozdartym sercem pakowała się przed odlotem do San Francisco. - Kochanie, co ja bez ciebie pocznę? - powiedziała Anna. - Na szczęście nie rozstajemy się na

długo. - Co będziesz robił? - Spędzę czas z jednym z moich współników. A w przyszłym roku będziemy wszyscy razem: ty, ja i Evie. Spojrzała na niego ze łzami w oczach. - Naprawdę myślisz, że to możliwe? - Nie tylko możliwe, ale pewne. - Och, Adamie - westchnęła, wzruszona jego zdecydowaniem. - Mógłbyś przynieść góry, gdybyś zechciał. Roześmiał się. - Może nie góry, ale z pewnością osiemnastoletnią studentkę Uniwersytetu Berkeley i jej matkę o fiołkowych oczach. Kiedy tylko Anna znalazła się w samolocie znów opanowały ją obawy dotyczące tego, co ma nastąpić. Wsiadła z taksówki pod domem. Tak bardzo drżały jej ręce, że nie mogła trafić kluczem do zamka. W końcu zdołała otworzyć drzwi i zawołała od progu - Wróciłam! Wycierając ręce o fartuch, Consuela wyłoniła się z kuchni. - Ooo, pani Coulter! Tak się cieszę, że panią widzę! Prześlicznie pani wygląda. - Ja też się cieszę, że cię widzę, Consuelo. Czy Jurgensonowie dostarczyli wszystkie artykuły spożywcze, które zamówiłam? - Tak, dostarczyli. Upiekłam już ciasto z dynią na jutro. Chce pani spróbować? - Może później. Czy masz jakieś wiadomości od pana Coultera? - Tak, dzwonił raz czy dwa razy, pytając czy czegoś nie potrzebuję. Miły z niego człowiek. - Tak, bardzo miły z niego człowiek - Anna powiedziała to szczerze. Wolnym krokiem weszła na piętro do sypialni i rozejrzała się dokoła. Pracowała tak ciężko, by to wszystko zdobyć, a teraz ogarnawszy wzrokiem cały swój majątek, stwierdziła, że to wszystko marność. Cóż warto są pieniądze bez miłości? Kiedy zadzwonił telefon była pewna, że to Adam, lecz podniósłszy słuchawkę, usłyszała głos Evie. - Kochanie - skłamała Anna - właśnie miałam do ciebie dzwonić. - Tak naprawdę nie zdecydowała jeszcze, co ma jej powiedzieć. - Domyśliłam się, że powinnaś być już w domu - powiedziała Evie nadzwyczaj zimnym tonem. Nastąpiła długa, kłopotliwa cisza. - Wydaje mi się, że jesteś zagniewana. Evie, co się stało? - Nie wiem, mamo. Jestem chyba wściekła na cały świat. W pewnym sensie porzuciłaś mnie. Jednego dnia nie nadajesz się do życia, a następnego lecisz do Nowego Jorku. Więc dobrze, postanowiłaś zgodzić się na rozwód, ale w takim razie w jakiej mnie to stawia sytuacji? Ukrywaliście przede mną, że już wam na sobie nie zależy. Anna cierpliwie wysłuchiwała, aż Evie wyrzuci wszystko z siebie. - Tato zawsze mówił, że jestem jego oczkiem w głowie, a teraz znalazł sobie jakąś przyjaciółkę, od której nie może się oderwać. Jestem pewna, że za jakiś czas nawet nie będzie pamiętał mojego numeru telefonu. A jeśli chodzi o ciebie, to jesteś taka zajęta, że nawet nie wiesz, że ja istnieję! - To niesprawiedliwe, Evie - odpowiedziała Anna wiedząc, że w tych oskarżeniach jest odrobina prawdy. Chociaż niedawno dzwoniła do Evie, teraz czując się mimo wszystko winna, próbowała się bronić. - Wiesz dobrze, Evie, że zawsze chcę dla ciebie jak najlepiej. Nie pracuję tylko dla siebie. - Och, wiem, jaka jesteś szlachetna, ale prawdą jest, że nie mam ani matki, ani ojca, ani domu. - Ależ masz dom, Evie. - Kiedy rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu powiedziałaś, że myślisz o sprzedaży domu. Anna poczuła się nieswojo, słysząc w głosie córki urazę i gorycz. - Posłuchaj, Evie, nie obwiniam ciebie za to, że jesteś taka rozdrażniona. Zdecydujemy jeszcze, co zrobić z domem. Ale chcę, żebyś zrozumiała, ani ojciec ani ja, nie chcieliśmy cię oszukać. Nigdy się nie kłóciliśmy. Wiesz o tym. Możliwe, że właśnie to stanowiło część problemu. Mimo wszystko oboje wciąż się kochamy - tylko nasz wzajemny stosunek się zmienił. Wciąż możemy pozostać rodziną, jeśli wykażemy trochę zrozumienia. Evie zaśmiała się. - O, tak. Rodzina plus jeszcze ktoś. - Evie, proszę cię! Nie jesteś już dzieckiem i czas byś zachowywała się jak dorosła - Anna uświadomiła sobie, że mówi to również do samej siebie. - Kiedy się zakochasz, będziemy się starali z

ojcem zaakceptować twój wybór. Twój ojciec znalazł kogoś, z kim pragnie spędzić resztę życia. Ciesz się jego szczęściem, Evie, tak jak my będziemy cieszyć się twoim. - Tak, mam, łatwo ci powiedzieć, bo wiesz, że przyjaźnię się z Piotrem Newmanem, którego uważasz za świetnego partnera dla mnie. Ale założę się, że nie byłabyś taka szczęśliwa, gdybym przyprowadziła do domu jakiegoś hippisa. Anna wiedząc, że Evie celowo próbuje ją zranić, starała się zachować spokój. - Posłuchaj, Evie. Przyjedź do domu i razem spędzimy dzisiejszy wieczór. A jutro będzie cudowny dzień dla nas trojga. Postaraj się z tym pogodzić i wybaczyć ojcu. My już sobie wybaczyliśmy. Evie wyczerpały się już argumenty. Nie miała innego wyboru, jak tylko się poddać. Matka ma rację - pomyślała. - Mam przecież tylko ich dwoje. Annę wyczerpała ta rozmowa. Ledwie odłożyła słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił ponownie. Tym razem była pewna, że to Adam, ale zamiast niego przywitał ją Filip. - Jak się masz? - zapytała cieplej niż zwykle. - Cieszę się, że dzwonisz. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy spędzili razem Dzień Dziękczynienia. Wiesz, Evie jest na nas bardzo rozgniewana, więc pomyślałam, że może rodzinny obiad by ją trochę rozweselił. - Sam nie wiem. Rozmawiam z nią codziennie przez telefon i już wyczerpałem wszystkie argumenty. Nie chce się ze mną zobaczyć, więc może masz rację z tym jutrzejszym obiadem. - Musimy okazać jej dużo cierpliwości, Filipie. Nie może się pogodzić z naszym rozwodem, a już w ogóle nie chce słyszeć o naszych nowych partnerach. Będziemy ją musieli do tego stopniowo przygotować. Powinna zrozumieć, że niestety małżeństwa czasami się rozpadają. Bolesne jest dorastanie, ale jeszcze boleśniejsze starzenie się, nieprawdaż, Filipie? Westchnął: - Masz zupełną rację - nagle dotarły do niego jej słowa i zapytał. - Powiedziałaś coś o naszych nowych partnerach? Anno, czy jest ktoś w twoim życiu? Byłaś dłuższy czas w Nowym Jorku... - Tak, Filipie, mam kogoś. Poczł ukłucie, czyżby - zazdrości? Nie było w tym nic dziwnego, Anna była jego żoną przez dwadzieścia pięć lat. - No cóż, to cudownie - powiedział z trudem. - Jeśli ktokolwiek zasługuje na szczęście, to na pewno ty. - Dziękuję ci. Nie wiesz, ile dla mnie znaczy to, co powiedziałaś. Zobaczymy się jutro - odłożyła słuchawkę żałując, że nie kocha go taką namiętną miłością, jaką darzy Adama. Gdyby tak było, prawdopodobnie nigdy by jej nie opuścił. Nigdy nie pozwoliłaby na to, żeby odszedł. Następnego dnia zasiedli w trójkę do stołu, tak jak to robili w każde święto, odkąd urodziła się Evie. Jednak tym razem atmosfera była tak ciężka, jak nigdy jeszcze w ich domu; Evie nie ustąpiła ani trochę w swoim uporze. Obserwując z uwagą jak Filip kroi indyka, Anna zastanawiała się, o czym on może myśleć. Z pewnością nastrój Evie zasmucał go również. - Evie, chcesz białe czy ciemne mięso? - zapytał. Evie westchnęła z irytacją. - Tato, wiesz, przecież, że jadam tylko białe. Już o tym zapomniałaś? Anna przyglądała się temu, nie mogąc uwierzyć, że sytuacja pogorszyła się aż do tego stopnia. To nie była ta sama Evie, która zawsze wesoło szczebiotała o przyjaciółkach i szkole. Ale, do diabła, jak mieli do niej dotrzeć? Anna stwierdziła, że pomoże tu tylko cud, a ponieważ nic takiego nie nastąpiło, szczęśliwa była, kiedy nadszedł wieczór i przyjechał Piotr, by zabrać Evie do Berkeley. Wdzięczny, że przynajmniej Anna okazała mu zrozumienie, Filip, stęskniony za Lindą, wyszedł z domu niedługo po odjeździe Evie. Linda spędzała świąteczny dzień w równie smutnym nastroju z przyjaciółmi, którzy tak jak ona, nie mieli własnych rodzin. Starła się jednak nie narzekać, i współczuła Filipowi, który opowiedział jej o Evie. Filip, kiedy wyszedł z domu, odczuwał zarówno ulgę jak i poczucie winy. Obydwoje z Anną dzielili te same odczucia względem Evie. Nic nie mówili, ale oboje odetchnęli z ulgą, kiedy po powrocie do

Berkeley zajęła się przygotowaniem do egzaminów i nie miała czasu na przyjazd do domu. Czas dzielący Dzień Dziękczynienia od Świąt Bożego Narodzenia Anna spędziła podróżując między Nowym Jorkiem a San Francisco. Przygotowywała się do świąt, widywała się z Adamem i jednocześnie starała się jak najlepiej prowadzić swoje interesy. Zastanawiała się, czy będzie musiała zamknąć biuro, kiedy go poślubi. No cóż, może odłożyć tę decyzję na później. Tymczasem ma znacznie poważniejszy problem do rozwiązania. Kiedy Evie przyjedzie na Boże Narodzenie, będzie musiała powiedzieć jej o Adamie. Nie ma wyboru - Adam nalegał by wspólnie spędzili Wigilię na Zachodnim Wybrzeżu. Pragnął, by Anna została jego żoną, więc oboje byli zdania, że trzeba jak najszybciej powiedzieć o wszystkim Evie. Anna z niepokojem myślała o perspektywie przyjazdu Adama na święta, ale nie mogli w nieskończoność ukrywać tego przed Evie. - Kochanie, czy naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? - spytała Anna dzień przed jego przylotem. - Dobry czy zły, nie mamy innego wyjścia. Twoja córka musi dowiedzieć się, że ja istnieję, że zamierzamy się pobrać i ona nie może nam w tym przeszkodzić. Nie będzie to łatwe, Anno, ale jeśli będziemy szczerzy wobec niej, w końcu to zaakceptuje. Zaufaj mi kochanie. Ufała mu, ale z drugiej strony Adam nie znał Evie. Postanowili spotkać się w hotelu Fairmont, spędzić trochę czasu sam na sam, a następnie udać się do domu. Anna powiadomiła Evie, że jedzie zrobić ostatnie przedświąteczne zakupy. Adam przyleciał punktualnie o piątej i spotkali się w hotelu. Nalegał, by zamówili szampana, twierdząc, że nie ma nic lepszego, jak napić się przed rozwiązaniem trudnej sytuacji. Anna podniosła kieliszek drżącą dłonią. - Ona mnie znenawidzi, Adamie. Wiem, że tak się stanie. - Nie, na pewno nie! - Ale co ja mam jej powiedzieć? Muszę ją jakoś uprzedzić. Nie mogę cię po prostu przyprowadzić do domu. - Poproś ją, żeby tu przyjechała. Powiedz, że chcesz z nią porozmawiać. Jeśli sprawy nie ułożą się po naszej myśli, zostaną na noc w hotelu. Anna westchnęła głęboko i zadzwoniła do domu. - Evie, jestem taka zmęczona, może przyjechałaś do miasta na obiad. Zjemy w restauracji hotelu Fairmont. - W porządku, mam, jak sobie życzysz. - Muszę z tobą porozmawiać - zaczęła Anna, ale Evie przerwała jej. - Kocham cię, mam. Będziemy miały cały wieczór dla siebie. Ciao! Anna odłożyła słuchawkę dziękując Bogu. Z tonu Evie wynikało, że wróciła do równowagi. Zmianę tę zawdzięczała Leslie. Miała ona już dość wysłuchiwania historii Evie o śmierci dziadka, niewiernym ojcu, nieustannie zajętej matce i w pewnym momencie dała jej o tym znać. - Słuchaj - wybuchnęła - nie jesteś jedynym dzieckiem, którego rodzice się rozwodzą. Prawdę mówiąc, miałaś więcej szczęścia niż inni, bo rozstali się dopiero, kiedy poszłaś do college'u. Czego ty się do licha czepiasz? Ja weszłam pewnego dnia do domu i zastałam mojego ojca ze służącą. Moja matka wychodziła za mąż trzy razy i polubiłam wszystkich trzech ojczymów. Obudź się, Evie. Masz całe życie przed sobą. Zaczynaj z niego korzystać. Evie nie była w stanie przyjąć wszystkich rad Leslie, ale dało jej to dużo do myślenia - do jakiego stopnia może ingerować w życie swoich rodziców. Po tych przemyśleniach opuściła ją waleczność i poczuła się bezsilna. Choć Anna uznała zmianę jej nastroju za dobry znak, w istocie wcale tak dobrze z nią nie było. Usiadły naprzeciw siebie w Cirque Room. Adam czekał na górze. Odwaga opuściła Annę, ale po chwili, ośmielona podwójnym martini powiedziała: - Evie, kochanie, wiem, że to wszystko bardzo cię zaskoczyło, ale czy naprawdę chcesz abyśmy zrezygnowali ze swojego szczęścia i czekali, aż nam pozwolisz robić to, na co mamy ochotę? Evie pokręciła słomką w szklance. - Do czego ty zmierzasz, mam? - Chcę ci powiedzieć, że również kogoś poznałam. Evie spojrzała na matkę z wyraźnym oszołomieniem na twarzy. Jak to

możliwe, żeby kobieta, która okazywała miłość swojemu mężowi przez dwadzieścia pięć lat, znalazła sobie kochanka w niecały miesiąc? A może to trwa już od dawna? - Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa - powiedziała Evie zimnym, beznamiętnym tonem. - Mówisz to szczerze? - No pewnie. Jeśli tego właśnie chcesz, nie zamierzam wchodzić ci w drogę. - Wszystko wspaniale się ułoży - powiedziała Anna pochlipując. - Proszę cię, uwierz mi Evie, wszystko będzie dobrze. Evie straciła już nadzieję, że cokolwiek się może ułożyć. Jej rodzina rozpadała się. Ale skoro tego chcą jej rodzice, niech już tak będzie. - ...kocham go - kontynuowała Anna. - Słucham? - wtrąciła Evie. - nie dosłyszałam. - Na pewno polubisz Adama. - Ooo? Nazywa się Adam. Brzmi tak biblijnie - powiedziała, próbując nie okazać swojego rozczarowania. Najwidoczniej udało jej się, bo Anna mówiła dalej ze szczerym entuzjazmem. - Kochanie, chcę, żebyś go poznała. Przyleciał na święta Bożego Narodzenia i czeka na ciebie na górze. - Ooo? To miło z jego strony. - Nie wiesz nawet, jak mnie uszczęśliwiłaś. Chodźmy więc na górę. Jadąc windą, Evie zastanawiała się, dlaczego zgadza się na to wszystko. Kiedy kilka minut później stała przed Adamem z wymuszonym uśmiechem na twarzy, wiedziała, że nigdy nie pogodzi się z faktem, że ten mężczyzna sypia z jej matką. A kiedy zostaną małżeństwem, to jak ona ma się do niego zwracać: tatusiu? panie Gayne? Adamie? - Evie, na pewno się zaprzyjaźnimy - powiedział Adam. - Chciałbym, żebyś wiedziała, że ilekroć będziesz czegoś potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć. - Nie będę! - chciała krzyknąć. - Nie jesteś ani moim ojcem, ani przyjacielem. Jesteś po prostu... kochankiem mojej matki. I nigdy, przenigdy cię nie polubię. Nawet jeśli jesteś "Niewiadomkim". Nie powiedziała jednak nic takiego, padła tylko ledwo dosłyszalna odpowiedź - dziękuję. Dzień Bożego Narodzenia był wbrew oczekiwaniom bardzo udany. Evie, uprzejma i opanowana, zjadła lunch w Chinatown z Anną i Adamem. W drugi dzień Świąt spotkała się w końcu z Lindą w hotelu i choć Filip spodziewał się najgorszego, jego córka zachowywała się nadzwyczaj taktownie. Evie niezmiernie podobały się prezenty. Kilka dni przed Nowym Rokiem spakowała się i pojechała z Leslie i jej nowym ojczymem do Vail na narty. Kiedy tylko wyjechała, Anna z Adamem zdecydowali się spędzić Sylwestra na Wschodnim Wybrzeżu. Adam polecił kilka dni wcześniej, by przygotować przyjęcie, na którym zamierzał zapoznać swoją przyszłą żonę z przyjaciółmi. Kiedy Filip zadzwonił, Anna z całego serca życzyła mu szczęśliwego Nowego Roku. Wreszcie wyglądało na to, że wszystko zaczyna wracać do normy. Wiedzieli, że Evie nie całkiem zaakceptowała ich rozwód, ale już dłużej nie okazywała otwartej wrogości. Mieli nadzieję, że z czasem uświadomi sobie, że to najlepsze rozwiązanie dla nich wszystkich, a Adam i Linda tylko wzbogacą jej życie. Anna poleciała do Nowego Jorku uspokojona. Zastała tam apartament Adama udekorowany na uroczystą zabawę sylwestrową. Na przyjęciu wyglądała tak olśniewająco, że przeszło to nawet najśmielsze oczekiwania jej samej. Adam zabrał ją do Valentino, gdzie kupiła oszałamiająco piękną sukienkę z czarnego aksamitu, ozdobioną na jednym ramieniu szeroką, przymarszczoną, różową kryzą. Fryzurę zrobił jej sam pan Keneth, który dopiero przestał czesać Jackie Kennedy. Wieczór był nadzwyczaj udany, a goście zaakceptowali Annę nie tylko jako narzeczoną Adama, ale również jako ją samą. O północy mała orkiestra odegrała "Auld Lang Syne". Adam wziął Annę w ramiona i nie zważając na zgromadzonych gości pocałował czule. - Najdroższa, jestem z tobą taki szczęśliwy - wyszeptał jej do ucha. Nareszcie przyszłość należała do nich. Rozdział czterdziesty pierwszy W drodze powrotnej Evie Coulter przeżywała swój własny dramat - jej wizja przyszłości była znacznie mniej optymistyczna. Wróciła

z Piotrem z Vail późnym popołudniem w Sylwestra i nie chcąc wracać do domu, prosiła, aby podwiózł ją do akademika. Piotr przekonywał ją, żeby poszła z nim na przyjęcie do Chucka Swansona - mieli tam być ich wszyscy wspólni znajomi. Evie nie miała ochoty iść po wszystkich swoich przeżyciach w czasie świąt. Po długich namowach Kim i Leslie, ubrała się wreszcie bez entuzjazmu i zeszła na dół, by zobaczyć się z Piotrem. Od kiedy po nią przyjechał, Evie była milcząca i zamyślona; wcisnęła się w róg samochodu, by tylko siedzieć jak najdalej od niego. Piotr zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, wysyłając po nią dziewczyny na górę, ale usprawiedliwiał się tym, że nie można bez końca rozpaczać nad rozpadem małżeństwa rodziców. Kilka drinków i trochę rozrywki na pewno dobrze jej zrobi. Kiedy przyjechali, przyjęcie już się zaczęło. Piotr przyniósł Evie kilka kieliszków szampana przypuszczając, że to wprawi ją w radośniejszy nastrój. Skutek był odwrotny: Evie usiadła w rogu wielkiego salonu, tuż przy barku i nie odzywała się ani słowem. Piotr próbował być szarmancki, potem opowiedział kilka dowcipów. Nic nie pomagało. W końcu stracił cierpliwość.

- Evie, według mnie zachowujesz się idiotycznie. Twój rodzice mają prawo do swojego życia, tak samo jak ty. Najwyższy czas, byś wreszcie wyrosła. Bóg mi świadkiem, że nie chcę poślubić kapryśnego dziecka. Evie postawiła energicznie kieliszek z szampanem. - Przestań mnie pouczać! - wrzasnęła. - Mam już dość tych twoich głupich uwag. A poza tym, kto ci powiedział, że wyjdę za ciebie? Nigdy nie wyjdę za męża, rozumiesz? - straciła panowanie nad sobą. - Wznoszę toast za małżeństwo! - krzyknęła i chlusnęła Piotrowi szampanem w twarz. Odwróciła się, pobiegła na górę i zamknęła się w łazience. Kim poszła za nią i energicznie szarpnęła za kłamekę. Na całe szczęście na sali panował taki gwar, że tylko garstka gości zauważyła całą tę scenę. - Wpuść mnie, Evie. - Odejdź stąd. - Evie, otwórz do diabła drzwi i przestań zachowywać się jak dzieciak. - Kim odetchnęła z ulgą słysząc otwieranie zamka. Evie siedziała na brzegu wanny. Oczy miała czerwone od płaczu, potargane włosy opadały jej na twarz. Widząc ją w takim stanie, Kim złagodniała. Wzięła Evie za rękę. - Wiem, że jesteśmy dla ciebie zbyt surowi, ale chcemy, żebyś pogodziła się z sytuacją, jaką stworzyli twoi rodzice. A Piotr naprawdę cię kocha - on jest po prostu trochę nietaktowny, to wszystko. - Wiem - Evie łkała rozpaczliwie. - Zachowałam się jak idiotka. Ja już sama nie wiem, co się ze mną dzieje. - Ale ja wiem - powiedziała Kim. - Wszystkie te przeżycia: śmierć dziadka, rozwód, Linda, Adam - to wszystko tak na ciebie wpłynęło. Ale daj Piotrowi trochę czasu. On też ma już tego powyżej uszu. Evie z trudem przełknęła ślinę. - Zdaje się, że masz rację. Muszę wziąć się w garść. Doprowadzę się do porządku i zaraz schodzę na dół. Po piętnastu minutach, kiedy pozornie uspokojona Evie wróciła na salę balową, Piotra nigdzie nie było i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Nie mogła mieć mu za złe, że zniknął. Miał prawo gardzić nią. Ale myśl, że go może stracić, była nie do zniesienia. Tylko on jej pozostał. Nie wiedząc, co dalej począć, Evie podeszła do stołu, napełniła kieliszek szampanem, wypila i ponownie go napełniła. Po godzinie wciąż stała w tym samym miejscu i nieustannie popijając szampana chwiała się w przyjemnym zamroczeniu. Chuck Swanson zbliżył się do niej wolnym krokiem. Miał na sobie pięknie uszyty czarny smoking, w rękę trzymał szklankę szkockiej whisky. - Wyglądasz na trochę osamotnioną - powiedział cicho. - Jestem trochę osamotniona - odparła Evie. - Czy ty nie jesteś czasem przyjaciółką Kim? - Evie skinęła głową. Zawahał się - Evie Coulter, przypominam sobie. - Delikatnym ruchem wyjął jej kieliszek z ręki. - Co byś powiedziała na jeszcze jednego drinka? Evie widziała Chucka kilka razy na Uniwersytecie Berkeley i na meczach

piłki nożnej. Po nieoficjalnych wyborach uchodził wśród studentów za najlepszego sportowca roku. Był przystojny, wspaniale tańczył i na dodatek mieszkał w najbogatszej dzielnicy San Francisco. Teraz jego zainteresowanie podziało na nią jak balsam. Próbowła coś powiedzieć, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Czuła tylko gniew i pogardę. Więc Piotr sobie poszedł. Do diabła z nim. Jego strata. Zapaliła papierosa i szybko go zgasła. Spojrzała na Chucka i uśmiechnęła się. - Chętnie, Chuck, z przyjemnością się napiję. Ale nalej mi to, co ty masz. Dość już mam tych bąbelków. Szczęśliwego Nowego Roku... Nazajutrz Evie obudziła się ze strasznym bólem głowy. W pierwszej chwili myślała, że jest w akademiku, ale wkrótce uświadomiła sobie, że leży w obcym łóżku, w obcej sypialni i w dodatku nie jest sama. Obok niej w pasiastej piżamie leżał Chuck Swanson pochrapując spokojnie. Evie chciała wykrzyknąć, ale powstrzymała się. Dobry Boże... czyżbym naprawdę spędziła z nim noc? Zamknęła oczy i próbowała się skoncentrować, ale nic sobie nie mogła przypomnieć. Było jednak oczywiste, że straciła swoje dziewictwo, jak jakaś włócząca się nastolatka, która upiła się tanim piwem i szukała sposobu na spędzenie miłego wieczoru. Było to prawdopodobnie błogosławieństwem, że zupełnie nic nie pamiętała. Nawet zapomniała jak się ten chłopak nazywa. Ach, gdybyż to był Piotr... Próbowła wysliznąć się z łóżka, ale Chuck obudził się i wyciągnął do niej rękę. Evie odtrąciła go. - Co jest grane? - zapytał Chuck. - Nie zachowywałaś się w ten sposób ubiegłej nocy. Łzy napłynęły Evie do oczu. - Co masz na myśli? - To co powiedziałem. Napierałaś jak burza. Już zapomniałaś? Evie zamknęła oczy. Zakręciło jej się w głowie. - Niedobrze mi... Pobiegła do łazienki, pochyliła się nad umywalką i zwymiotowała. Półnaga usiadła na brzegu wanny i płakała rzewnie, bardziej z obawy, że Piotr może się o tym dowiedzieć, niż z powodu wydarzeń ostatniej nocy. Kiedy wróciła do sypialni, nikogo tam nie było. Założywszy poplamioną i wymiętą sukienkę balową oraz pantofelki, zeszła na dół. Chuck był w kuchni, otwierał właśnie puszkę Budweisera. Dom wydawał się opustoszały. Evie przypomniawszy sobie w końcu jego imię. - Chuck, posłuchaj. Za dużo wypitałam wczoraj. Ja... nikomu o tym nie powiesz, prawda? Postawił puszkę z piwem i zmierzył ją wzrokiem. - To zależy. Byłaś cholernie dobra. Jak tygrysica. Może pewnego dnia zechcę powtórzyć to przedstawienie. - Chuck... proszę - urwała stwierdziwszy, że błaganie nic tu nie pomoże. - Lepiej będzie jak już pójde do domu. - Wzięła swój płaszcz z holu i wyszła. Nie pofatygował się nawet, by ją odprowadzić do drzwi. Wiatr uderzył ją w twarz, kiedy znalazła się na ulicy wśród wzgórz Berkeley, nie mając pojęcia, gdzie ma się udać. Najważniejsze to opuścić ten dom, Chucka i nękające ją myśli. Po godzinie dotarła do centrum Berkeley. Weszła do jakiejś kawiarni, wypita dwie filiżanki mocnej kawy, wypaliła papierosa i powlokła się na przystanek autobusowy. Godzinę później była na miejscu. Powitał ją pusty dom, ale tym razem cieszyła się z tego. Evie pobiegła na górę, zdjęła z siebie balową sukienkę i zanurzyła się w gorącej kąpieli. Zeszła w szlafroku do salonu i wpatrywała się ponuro w zimową mgłę. Z kim mogłaby porozmawiać? Nie z matką, która jest w Nowym Jorku. Może z Filipem - sięgnęła po telefon. Odebrała Linda i oto wszystko, co zdołała powiedzieć: - Lindo... mówi Evie... chciałam wam życzyć szczęśliwego Nowego Roku. - Och, dziękuję, Evie - powiedziała Linda ciepłym głosem. - Zaraz dam ci ojca. - Nie, nie... Powiedz mu tylko, że dzwoniłam. Pa. Odłożyła słuchawkę, gdyż opuściła ją odwaga. Jak miała powiedzieć ojcu, że oddała się starszemu od siebie chłopakowi, którego poznała na pijackim przyjęciu - ona, która tak ostro potępiała niewierność rodziców względem siebie? Evie uświadomiła sobie, że nie może

zwierzyć się również matce. Anna, mimo swoich stosunków z Adamem, była osobą o wysokiej moralności. Zawsze, słowem i przykładem, dawała córce do zrozumienia, że intymność fizyczna jest darem, który można łatwo stracić. Evie stwierdziła, że poczułaby się lepiej, gdyby chociaż usłyszała głos Anny. Po raz drugi się zawiodła. - To miło, że dzwonicz - Adam odebrał telefon. - Zanim dam ci mamę do telefonu, powiedz mi, czy miałas udanego Sylwestra? - Dziękuję, w porządku. Byłam na przyjęciu - powiedziała Evie sztywno. - Szkoda, że nie byłaś z nami. Twoja mama była królową balu. Była tak rozrywana, że ledwo raz miałem okazję z nią zatańczyć. Po tych słowach podał Annie słuchawkę. - Evie, kochanie, szczęśliwego Nowego Roku! - było tyle szczęścia w głosie Anny. Evie z trudnością odpowiadała na jej pytania, czując się jak hipokrytka. Tak, byłam na wspaniałym przyjęciu w Berkeley. Tak, świetnie się bawiłam, Leslie i Kim również. Przez cały czas miała ochotę rzucić się w jej ramiona i powiedzieć, co się stało. Ale Anna była w Nowym Jorku, a Evie wiedziała, że nie może poruszyć tego tematu przez telefon. Łzy spływały jej po policzkach, kiedy odkładała słuchawkę. Rozmowa z Lindą i Adamem tylko pogłębiła jej odosobnienie. Jej rodzice ułożyli sobie na nowo życie. Kiedy ona próbowała tego samego, rezultat okazał się żaloszny. Nie mogła znieść myśli o Piotrze. Jak ma mu teraz spojrzeć w oczy? A co będzie, jeśli się dowie? Powrót do szkoły przyniósł Evie trochę ulgi. Nauka pochłonięła ją do tego stopnia, że zadziwiała wszystkie koleżanki z bractwa studenckiego swoim zapałem. Kilka z tych, które były na przyjęciu, pytały ją o scenę z Piotrem i jak jej się układają stosunki z Chuckiem, ale zdołała jakoś zbyć ich pytania. Nic nie wskazywało na to, żeby coś podejrzewały. Piotr dzwonił kilkakrotnie, ale Evie nie odbierała jego telefonów. Pewnego dnia czekał na nią przed akademikami. Złapał ją za ramię i powiedział: - Evie, muszę z tobą pomówić. Wyrwała się. - Piotrze, nie mamy o czym mówić. - Evie, przez wszystkie te lata myślałem, że coś dla siebie znaczymy. Nie sądzisz, że jesteś mi winna jakiegoś wyjaśnienia? - uznając jej milczenie za zgodę, podprowadził ją do ławki, wskazał miejsce i usiadł obok. - Co się stało? - spytał wprost. - Nic, Piotrze - powiedziała Evie posepnie ze spuszczonego wzrokiem. - Nic? Evie, wiesz jak jest między nami. Jesteśmy razem odkąd zaczęłaś naukę w college'u. I teraz nagle mamy się rozstać? Dlaczego? - Bo nigdy nam się nie ułoży, Piotrze. - Evie, spójrz na mnie! - ujął jej twarz w swoje ręce i zwrócił się do niej łagodnie - Evie, kocham cię. Teraz spójrz na mnie i powiedz, co się stało! Evie zacisnęła ręce na ławce i spojrzała na ukochaną twarz Piotra, taką zatroskaną i pełną miłości. Nie mogła znieść myśli, że go rani, ale jak miała mu wyjaśnić to, co zrobiła w Sylwestra. Musi z nim zerwać raz na zawsze. - Piotrze, ja ciebie już nie kocham. Otworzył szeroko oczy przyglądając się jej z niedowierzaniem. Opuścił ręce i wstał. - A więc o to chodzić Wybacz mi... Nie przypuszczałem... - Nawet nie starał się ukryć goryczy w głosie. - Przykro mi, Piotrze. Patrzyła za nim kiedy odchodził i odechciało jej się żyć. Rozdział czterdziesty drugi Adam wziął po Nowym Roku tydzień urlopu. Dla Anny był to wyjątkowy czas; nigdy dotąd nie miała wakacji pozbawionych wszelkich trosk. Wydawało im się, że są jedynymi ludźmi na świecie. Adam coraz bardziej ją kochał, a miłość Anny do niego po prostu nie znała granic. Jedno co było w Adamie zaskakujące to to, że przy całej swojej dojrzałości był niezmiernie spontaniczny we wszystkim, co robił. Anna została nagle wprowadzona w świat, o istnieniu którego nie wiedziała. Coraz częściej dziękowała Bogu, że postawił Adama na jej drodze życia. Upajała się dojrzałością ich miłości. To co dręczyłoby ją dziesięć lat temu, teraz nie miało znaczenia. Energia Adama zadziwiała ją. Choć praca pochłaniała mu wiele czasu, potrafił

znaleźć chwilę na pływanie, narty i grę w tenisa. A co ważniejsze, nigdy nie zapomniał o swoich bliskich. Pewnej niedzieli zabrał Annę do Brooklynu, by pokazać jej piekarnię swoich rodziców. - Nie uwierzysz, jak wielkie wydawało mi się to maleńkie mieszkanie, kiedy byłem dzieckiem - wspominał. Anna przypomniała sobie ten straszny dzień, kiedy Filip przedstawił ją Ewie i Simonowi. Dobry Boże, jaka była wówczas zdenerwowana. Dzisiaj natomiast nie mogła się doczekać spotkania z rodzicami Adama. Kiedy przybyli, Leah miała na sobie najlepszą sukienkę na cześć przyjaciółki Avruma i przywitała ich z wielką serdecznością. Przez chwilę Anna czuła się jakby powróciła jej matka i kiedy uścisnęła Leah, miała nadzieję, że pewnego dnia matka Adama może wypełnić tę lukę w jej sercu. Jak tylko usiedli Leah podała dzbanek z herbatą, przyniosła strudel domowej roboty i kilka smakowicie wyglądających ciasteczek. Później wprowadziła ich do starannie urządzonego saloniku i chociaż Adam protestował ze śmiechem, zaczęła wyciągać jego zdjęcia z dzieciństwa. - Tu Avrum miał cztery latka... a tu trzynaście, podczas ceremonii Bar Mitzvah... a tu w dniu ukończenia studiów. Leah namawiała Annę, by jak najprędzej znowu ich odwiedziła. - Jeśli Avrum będzie zajęty, przyjedź sama. Przez trzy kolejne miesiące, w miarę trwania ich niezwyklego romansu, Anna doszła do wniosku, że Evie przyjeżdża tak rzadko do domu, bo z pewnością dobrze czuje się w college'u. Nie byłaby taka spokojna, gdyby знаła prawdę. Kiedy Evie nie dostała okresu poczuła ukłucie strachu. Wtedy przypomniała sobie, że miała go nieregularnie, odkąd wyprowadziła się z domu. Lecz kiedy kilka tygodni później zrobiło jej się niedobrze na widok śniadania, zaczęła podejrzewać najgorsze. Spędziła w łazience prawie godzinę, a kiedy w końcu wyszła stamtąd i osunęła się wyczerpana na łóżko, Kim pochyliła się nad nią i rzekła z taro ską w głosie: - Chyba złapałaś grype, Evie. Zostań w domu. Przyniosę ci notatki z francuskiego, a Les da ci swoje z matmy i historii Chin. - W porządku - wymamrotała Evie. Po południu poczuła się znacznie lepiej i powróciła jej nadzieja, że to naprawdę niegroźny wirus. Ale nazajutrz, kiedy siedziała wyczerpana na podłodze w łazience, nie miała wątpliwości, co do innych objawów, których nie chciała przyjąć do wiadomości: przyrost wagi, rozdrażnienie, nabrzmiące piersi. Wyszła w końcu z łazienki słaniając się na nogach, popatrzyła na swoje współlokatorki i wybuchnęła płaczem. - Od jak dawna nie miałaś okresu? - spytała Leslie docieklewie. - Leslie! Evie jest dziewczcą, zapomniałaś? - wykrzyknęła Kim. - Wobec tego jest pierwszą ciężarną dziewczcą od dwóch tysięcy lat. Evie - powiedziała, kiedy jej przyjaciółka próbowała ukryć twarz w poduszce - usiądź! To nie jest sprawa, którą możesz lekceważyć. Czy to możliwe, że jesteś w ciąży? - Tak. - Nie miałaś ostatnio okresu? - spytała Kim. - Mówiłaś, że nie widziałas się z Piotrem od miesiący. - To nie z Piotrem - krzyknęła Evie. - To z Chuckiem Swansonem. Pamiętacie w czasie Sylwestra? Upiłam się i poszłam z nim do łóżka. Kompletnie nic nie pamiętam, ale to musiało być wtedy. - Eve, na miłość boską, jest marzec! Na co ty czekasz? Jesteś w trzecim miesiącu ciąży! - wykrzyknęła Leslie. - Nie wiem - wyszeptała rozpaczliwie Evie. - Po prostu nie wiem. Wolałabym nie żyć. - Wizja oburzenia z jakim zareagują jej rodzice, wywołała u niej nową falą łkań. To, że przespała się z Chuckiem uważała za najgorsze co mogło się zdarzyć. Teraz uświadomiła sobie, że było milion razy gorzej. - Do diabła z tym, Evie, weź się w garść - powiedziała Leslie. - Przestań się zachowywać jak bohaterka jakiegoś sentymentalnego serialu. Można temu łatwo zaradzić: usuniesz ciążę. - Jak? - jęknęła Evie. - Przecież nie mogę pójść do naszego rodzinnego lekarza. - To bardzo proste - wyjaśniła Leslie. - Prawdę mówiąc, jest to nielegalne, ale musisz tylko znaleźć lekarza, który

zechce zaświadczyć, że donoszenie ciąży zagroziłoby zdrowiu matki. Tysiące zabiegów wykonuje się każdego dnia. Kiedy Leslie skończyła, Evie podjęła decyzję. Nie mogła urodzić dziecka CHucka Swansona - co gorsza, nie mogła znieśliwić swoich rodziców. Kilka dni później Evie siedziała obok przyjaciółki w obskurnej poczekalni w peryferyjnej dzielnicy Oakland. Leslie wyciągnęła rękę i poklepała jej dłoń. - Odpręż się, Evie. Jesteś blada jak ściana. Wszystko się ułoży, zobaczysz. - Nic się nie ułoży, Leslie. Czuję to. Boję się - mówiła tak cicho, że Leslie ledwo ją słyszała. Przestraszona bladością Evie, Leslie wstała i podeszła do recepcji. Zastukała energicznie w zasunięte okienko. - Siostró! Nikt nie zareagował. Po pięciu minutach okienko uchyliło się ukazując parę zaspanych oczu. - Tak? - Potrzebuję szklankę wody dla... pani Smith. Pielęgniarka spojrzała na Leslie i westchnęła, po czym zatrzasnęła okienko. Leslie była przekonana, że zignorowała jej prośbę, lecz pielęgniarka otworzyła ponownie zasuwę i wypchnęła plastikowy kubek z letnią wodą. - Lepsze to niż nic. - Leslie przyniosła wodę Evie i kazała jej wypić. Była potwornie zmartwiona. Evie tak strasznie to przeżywała. Od tygodnia prawie nic nie jadła, a ubiegłej nocy obudziły je jej krzyki, jakby śniła jakieś straszne koszmary. Z każdym dniem powiększały jej się pod oczami czarne sińce. Paliła papieros za papierosem i nieustannie piła kawę. Leslie dostała adres ginekologa od swojego chłopaka, który powiedział, że jego koledzy z bractwa studenckiego wysyłali do niego swoje dziewczyny. Nie bierze on wiele i nie zadaje żadnych pytań, dotyczących stanu cywilnego. Evie wiedziała, że nie może pójść do szanującego się lekarza w San Francisco, ponieważ mógłby znać jednego z jej rodziców. W Oakland będzie bardziej anonimowo i jak obiecywano nikt nie będzie zadawał zbędnych pytań. Zabieg miał trwać pół godziny, a koszt wynosił tylko trzysta dolarów - połowę ogólnie przyjętej stawki. Na widok obskurnej poczekalni i gruboskórnej, żującej gumę recepcjonistki dziewczyny zaniemówiły, ale mówiono im, że lekarz zna się na rzeczy. W końcu recepcjonistka otworzyła drzwi i zawołała: - Pani Smith - proszę wejść. Zebrawszy całą swoją odwagę Evie wstała, uśmiechnęła się do Leslie i weszła do pokoju zabiegowego. Lekarz był niskim, drobnym, łysym mężczyzną po pięćdziesiątce. Evie natychmiast poczuła do niego antypatię, chociaż musiała przyznać, że w przeciwieństwie do poczekalni, zarówno on jak i pokój zabiegowy, był nieskazitelnie czysty. Kazał jej się rozebrać i położył na stole, potem włożył jej nogi w strzemiona i wyszedł. Evie pociała się i trzęsła, powstrzymując się od płaczu. Uczucie przerażenia i upokorzenia, całkowitego duchowego i fizycznego obnażenia, było prawie nie do zniesienia. Koszmary nocne, które przeżywała były niczym w porównaniu z tą sytuacją. Już prawie opuściła ją odwaga i szykowała się do wstawania, kiedy otworzyły się drzwi i pojawił się w nich lekarz z pielęgniarką. Była Murzynką, a jej wzrok zdradzał bez zbędnych słów co myśli o bogatych nastolatkach, które zachodzą w ciążę i nie są w stanie wychować swojego dziecka. Stała obok, badawczo przyglądając się ciału Evie, a lekarz odczytywał listę niebezpieczeństw, jakie pociąga za sobą aborcja robiąc to tak pośpiesznie, że Evie z trudem rozumiała, co on tam mamrotał. Skończywszy włożył Evie pióro do ręki. - Proszę tu złożyć podpis i wpisać dzisiejszą datę... W tym momencie Evie uświadomiła sobie w pełni, co ją czeka. Ale było za późno, by się wycofać. Musi przez to przejść. Nie mogła znieść myśli, że w przeciwnym razie zawiodłaby zaufanie Anny i Filipa. Zaczęła pisać: "Ev - ", skreśliła i napisała zmieniając swoje pismo. "C. Smith". Położyła się na wąskim, niewygodnym stole, a lekarz zabrał się do pracy. Wziął do ręki metalowy instrument, który wyglądał jak nożyce. Evie poczuła lekkie ukłucie igły, kiedy wstrzyknął jej miejscowe

znieczulenie. Usłyszała, jak lekarz mówi - trzymaj się teraz - a potem poczuła ból, który zaczynał się w krzyżach i rozchodził po całym ciele. Skręcała się z bólu, próbując nie krzyknąć. Lekarz coś do niej wołał, ale tak dzwoniło jej w uszach, że nic nie słyszała. Czowała, że umrze. Ale jak dowiedzą się, gdzie znaleźć krewnych "pani Smith"? Leslie im powie... Leslie powie Annie i Filipowi... Ból zaczął ustępować. Otworzyła oczy i zobaczyła pochylającego się nad nią lekarza. Poklepał ją po ręce i powiedział łagodnie: - Już po wszystkim, załatwione. Pielęgniarka ujęła Evie za ramię i powiedziała: - Załóż ten szlafrok i chodź za mną, panienko. - Wskazała jej łóżko w przyciemnionym pokoju, w którym było gorąco i duszno. Leżały tam w bezruchu jeszcze dwie kobiety. - Połóż się tutaj, kochanie - zarządziła pielęgniarka. Teraz wydała się Evie trochę sympatyczniejsza. Ból powrócił, ale nikt nie podał jej żadnych leków, ani chociażby szklanki wody. Jedna z kobiet pojękiwała cicho. Evie wydawało się, że minęła wieczność, a minęła dopiero godzina. Recepcjonistka pojawiła się w drzwiach i powiedziała: - Pani Smith, może pani iść do domu. Evie pozwoliła się ubrać, dostała również tampony do tamowania krwi. Recepcjonistka zaprowadziła ją do poczekalni, gdzie czekała na Evie przyjaciółka. Kobieta wyciągnęła rękę. - Proszę trzysta dolarów gotówką. Leslie wyjęła portmonetkę Evie otworzyła ją i skrupulatnie odliczyła pieniądze. Po powrocie do akademika Evie opadła na łóżko i natychmiast zasnęła. Kim, która miała dzisiaj ważny egzamin i nie mogła pójść z nimi na zabieg, czekała w ich wspólnym pokoju. - W porządku? - zwróciła się do Leslie. Leslie wzruszyła ramionami. - Myślę, że tak. Cóż więcej mogę powiedzieć? Przynieś jej jakieś tabletki przeciwbólowe. Lekarz nic jej nie dał. Chyba nie chciał, żeby zemdląca po drodze. Kim obudziły w nocy jęki Evie. Zapaliła światło i podeszła do jej łóżka. - Evie, co ci jest? Nie usłyszała odpowiedzi. Położyła rękę na czole Evie, było rozpalone. Jej oczy były szkliste i niewidzące. Głowa i ramiona złane potem. Oddech miała urywany. - Les, obudź się! - krzyknęła Kim. - Evie jest chora. Musimy zawieźć ją do szpitala. Leslie usiadła na łóżku i pomyślała chwilę. - Nie śpiesz się tak. Wiesz, że Evie chciała zachować to w tajemnicy. Może powinniśmy poczekać. - Les, na miłość boską, spójrz na nią! - Nooo... Może masz i rację. Nie wygląda najlepiej. Zabierzmy ją do starego doktora Chenga jako panią Smith. Takie nazwisko podała dzisiaj w gabinecie zabiegowym. Kim odchyliła kołdrę i krzyknęła - O Jezu, patrz! Evie leżała w kałuży krwi. - Wezwę pogotowie - powiedziała Leslie zdecydowanie - zmiierz jej puls. Leslie właśnie wykręcała numer, kiedy Kim wrzasnęła jak oszalała: - Les, nie mogę go znaleźć. Wydawało się, że upłynęły godziny, a w istocie minęło kilka minut, zanim usłyszały syrenę ambulansu, zbliżającą się od Piedmont Avenue. Karetka zatrzymała się przed akademikiem i wyskoczyło z niej dwóch mężczyzn. Kilka zaspanych dziewcząt wyglądnęło przez okno, po czym powróciły do łóżek. Zniesiono Evie na noszach. Pół godziny później Kim i Leslie dotarły do szpitala Herrick. Pielęgniarki umieściły Evie na ostrym dyżurze i zadzwoniły po lekarza dyżurnego. Dwadzieścia minut później wszedł do poczekalni. - Kto tu jest z panią Smith? Kim i Leslie podeszły do niego. - My wezwaliśmy pogotowie - powiedziała Leslie. - Jak ona się czuje? Jesteśmy jej przyjaciółkami. Doktor zawahał się. - Muszę porozmawiać z kimś z rodziny. Czy można skontaktować się z jej mężem? Leslie powiedziała z trudem. - Nie, to niemożliwe. - Musi być natychmiast operowana, a do tego potrzebna jest zgoda kogoś z rodziny. Jeśli ma rodziców, kogokolwiek - należy ich powiadomić. Dziewczyny spojrzały na siebie bezradne. Obiecały Evie, że dochowają sekretu, a teraz nie mogło być już o tym mowy. Ale pani Coulter była w Nowym Jorku, a pan Coulter Bóg wie gdzie ze swoją

przyjaciółką. - Ma rodziców, ale nie wiemy, gdzie obecnie przebywają - oświadczyła Leslie. Lekarz zmierzył ją surowym wzrokiem. - Moje panie, to nie są żarty. Ta młoda dama jest poważnie chora. Może tego nie przeżyć. Czy chcecie wziąć na siebie odpowiedzialność? Patrzyły na niego oniemiałe. - Więc dobrze. Jeśli tak, będziemy musieli działać bez niczyjej zgody. Ale radziłbym zastanowić się nad waszą postawą, skoro pani Smith jest waszą przyjaciółką. - Musimy skontaktować się z jej rodzicami - powiedziała Kim, jak tylko wyszedł lekarz. - Co będzie jeśli coś się stanie? - Wybij to sobie z głowy! Evie nigdy by nam nie wybaczyła, gdybyśmy im powiedziały. - To zbyt poważna sprawa, byśmy mogły ją zataić. - Widząc przerażenie na twarzy Kim Leslie złagodniała. - Gdzie mogłybyśmy zdobyć ich numery telefonów? - Evie powinna mieć notes w torebce. Masz ją ze sobą, prawda? Muszą być gdzieś zapisane. Gdy tylko wyszperały mały notesik w skórzanej oprawie, pojawił się nowy kłopot. Znały imiona "Adam" i "Linda", ale nie pokwapiły się, by zapytać o nazwiska. Jedyna nadzieja w tym, że pan Coulter będzie tego ranka w pracy. Godzina za godziną czekały pod salą operacyjną. Za każdym razem kiedy wychodziła pielęgniarka, powracała nadzieja, ale nastał świt, a Evie wciąż była operowana. Kiedy minęła dziewiąta, Leslie z zapadniętymi ze zmęczenia oczyma poszła do automatu i zadzwoniła do biura Filipa. - Pan Coulter? Mówi Leslie Winston. - O co chodzi, Leslie? - zapytał Filip wyczuwając, że coś się stało. - Ach, panie Coulter, chodzi o Evie! Ona jest w szpitalu i leży na sali operacyjnej już od czwartej trzydziści. Nie mogłyśmy zadzwonić wcześniej, bo nie miałyśmy numeru pana przyjaciółki. - Po wielogodzinnym napięciu, Leslie rozplakała się. - O czym ty mówisz, Leslie. Miała jakiś wypadek? - Nie mogę tego wyjaśnić przez telefon, panie Coulter. Proszę natychmiast przyjechać. Jesteśmy w szpitalu Herrick w Berkeley. Czy wie pan gdzie to jest? - Tak, tak. Zaraz tam będę. Nawet nie przystanąwszy, by zabrać płaszcz, który dopiero co zdjął, Filip wybiegł z biura mijając recepcjonistkę osłupiałą ze zdziwienia. Przybył do szpitala, wbiegł po schodach, lecz nie zastał nikogo w poczekalni. Zatrzymał przechodzącą pielęgniarkę. - Szukam mojej córki Evie Coulter. Patrzyła na niego jakby był szaleńcem. - Chodzi o ten ostatni nagły przypadek. Młoda dziewczyna, wygląda na osiemnaście lat? - Tak, tak, to ona. - Właśnie skończono ją operować, ale wciąż jest w stanie krytycznym. Zabrali ją na intensywną terapię. Znalazł Leslie i Kim przed oddziałem intensywnej terapii. Był blady jak śmierć kiedy zapytał: - Czy jest tu Evie? Czy mogę ją zobaczyć? - Powiedzieli nam, że nie możemy jeszcze wejść. Filip podszedł bliżej i chwycił Leslie za ramię. - A teraz, młoda damo, powiedz mi, co jej się stało. Przyjaciółki spojrzały na siebie z poczuciem winy. Widok bólu Filipa uświadomił im ogrom zbrodni, jakiej się dopuściły. To one zachęciły Evie do przerwania ciąży, niewiele myśląc o konsekwencjach, a teraz stał nad nimi zrozpaczony ojciec, który może stracić swoje dziecko. Zaczerpnąwszy powietrza Leslie miała mu już powiedzieć, lecz otworzyły się drzwi i wyszedł lekarz pocierając zboląły kark. Podszedł do Filipa i zapytał: - Czy pan jest ojcem pani Smith? Widząc jego wahanie, lekarz dodał: - Ojcem Evie? Filip powoli skinął głową. - Nazywam się Neilson. Jestem chirurgiem. Czy dziewczęta powiedziały już panu o wszystkim? - Filip pokręcił przecząco głową. - Pańska córka usunęła ciążę. Niefortunnie udała się do prawdziwego rzeźnika, nie usunął dokładnie łożyska. Dlatego dostała krwotoku w środku nocy. Straciła tak dużo krwi, że zapadła w śpiączkę. Zrobiliśmy jej transfuzję krwi i zdołaliśmy zatrzymać krwotok, ale nie odzyskała jeszcze przytomności. Aborcja... utrata krwi... śpiączka... Filip nie mógł uwierzyć, że chodzi o jego córkę. Lecz Leslie

i Kim były tu i wyraz ich twarzy powiedział wszystko. Musiała to być prawda. - Czy mogę ją zobaczyć, panie doktorze? - powiedział z uporem w głosie. - Tylko przez chwilę. Niemal zasłabł widząc nieruchome ciało Evie podłączone do szeregu urządzeń i rurek. - Mój Boże - wyszeptał. - Ma duże szanse - mruknęła pielęgniarka. - Musi pozostawać jednak pod dokładną obserwacją. Filip bez słowa skinął głową i pozwolił wyprowadzić się z sali. Znalazłszy się w poczekalni opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Nawet przez moment nie myślał o tym, że Evie musiała przerwać ciążę, nie oskarżał jej, zależało mu tylko na tym, żeby żyła. Kiedy podniósł oczy, zobaczył współlokalki Evie siedzące ze ściągniętymi ze zmęczenia twarzami naprzeciw niego. Drżącym, urywanym głosem, Kim opowiedziała mu, jak to one namówiły Evie do dokonania zabiegu. Filip nie był nawet w stanie się rozgniewać. - Dziewczeta - powiedział cicho - idźcie do domu. Już nic więcej nie możecie dla niej zrobić. Kiedy wyszły, Filip zadzwonił do Nowego Jorku. Niechętnie dzwonił do Adama, ale nie było wyboru. Musi powiadomić Annę. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odpowiadał. Zrozpaczony postanowił zadzwonić do biura Adama. Może tam zastanie Annę? Telefon odebrała sekretarka: Pan Gayne ma dzisiaj wolny dzień. Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość? Znow znalazł się w ślepym zaułku. Odpowiedział znużonym głosem. - Tak, proszę mu powiedzieć, żeby Anna Coulter zadzwoniła pod ten numer. To bardzo pilne. Filip odwiesił słuchawkę. Nic więcej nie mógł zrobić. Godziny mijały, a on wciąż nerwowo chodził po poczekalni. Stan Evie nie zmienił się. Była siódma wieczór, kiedy przypomniał sobie o Lindzie. Dobry Boże! Musi się strasznie martwić. Zaprosili gościa na kolację i obiecał, że wróci wcześniej, by jej pomóc w przygotowaniach. Usłyszał w słuchawce głos Lindy pełen trwogi. Kiedy zadzwoniła dziś rano do biura, by powiedzieć Filipowi, żeby kupił wino wracając z pracy, sekretarka powiedziała jej, że wybiegł bez słowa. Przez cały dzień, gdy Filip usiłował skontaktować się z Anną w Nowym Jorku, Linda wydzwaniała do jego biura w nadziei, że się czegoś dowie. O szóstej stwierdziła, że musiało stać się coś okropnego. Odwołała kolację i czekała niecierpliwie na telefon. Usłyszawszy głos Filipa zaczęła łkać, czując ulgę. - Filip, gdzie ty się na miłość boską podziewasz? Co się stało. Umieram ze zmartwienia! - Lindo, kochanie. Wybacz mi. Przepraszam, że byłem taki roztargniony. Teraz sobie przypomniałem, że zaprosiliśmy gości. - Filip, nie ma to teraz znaczenia. Powiedz mi, co się stało. - To - Evie. Jestem w szpitalu Herrick. Jest na intensywnej terapii. - Co? - Przerwała ciążę, Lindo - Filip powiedział obojętnie. - Tak mi przykro. Mam przyjechać? - Jeśli byś mogła? Tak bardzo cię potrzebuję. Kiedy zobaczył ją w końcu korytarza, zastanawiał się dlaczego nie zadzwonił do niej wcześniej. Jak tylko usiedli na kanapie oczekując kolejnych wiadomości, Linda zaczęła go uspokajać. - Filipie, skoro nic nie mówią i nikt nie przychodzi, znaczy to, że wszystko jest w normie. Gdyby jej się pogorszyło, daliby ci znać. - Tak przypuszczam. Ale od godziny widzę różnych lekarzy biegających i wybiegających z sali. Linda chwyciła go za rękę i po chwili otrząsnął się. Nie przestawał jednak rozmyślać nad tym, że ten kto nie ma dzieci, nie potrafi zrozumieć, co przeżywał. - Spróbuję znowu połączyć się z Anną - powiedział. - Próbowałem cały dzień, ale nikt nie odbierał. - Oczywiście. Zaczekam tu na ciebie, może będą jakieś wiadomości - odparła Linda szybko, próbując ukryć ból, który sprawiły jej jego słowa. Przez cały dzień usiłował dodzwonić się do Anny i ani przez chwilę nie pomyślał o niej. Anna jest przecież matką Evie, próbowała sobie tłumaczyć. Filip wykręcił numer Adama. Robił to dziś tyle razy, że znał go już na pamięć. Zegar wskazywał godzinę dziesiątą, oznaczało to, że w Nowym Jorku jest pierwsza.

środek nocy, muszą być w domu, na miłość boską! Jeśli Adam Gayne chociaż w połowie jest takim biznesmenem, jak o nim mówią, będzie musiał wstać wcześniej do pracy. Przecież musi się drań wyspać. Anna właśnie zgasiła światło, kiedy zadzwonił telefon. Przeżyli dziś kolejny wspaniały dzień. Adam przekonał ją w końcu, że powinna zamknąć swoją agencję. Spędzili dzień w Connecticut, szukając domku do wynajęcia na lato. Śmieszne, po tylu latach ciężkiej pracy nagle spojrziała na sukces z innej perspektywy. Zachwycili się nietypowym starym domkiem na wysokim wzgórzu. Początkowo był to budynek gospodarczy, ale później właściciel wyremontował go i przerobił na domek letni. Poza zachęcającymi werandami znajdowały się tam obszerne słoneczne pokoje z kamiennymi kominkami i podłogami z szerokich desek. I choć wydawać by się mogło, że w tym miejscu czas się zatrzymał, były tu jednak wszelkie nowoczesne wygody, a z tyłu znajdował się ogromny basen. Chociaż był to ponury dzień u schyłku zimy, Anna wyobraziła sobie drzewa okryte nowym listowiem, soczystą trawę, łąkę nakrapianą gdzieś tam dzikim kwieciem, i siebie z Adamem podczas długich, letnich weekendów. - Decydujemy się, Adamie? - zapytała. Lekki uśmiech zagościł na twarzy Adama. Wiedziała, że wyobraził sobie dokładnie to co ona. - Oczywiście, najdroższa, jest wspaniały. Teraz, kiedy Adam, odebrał telefon i powiedział: - Tak, Filipie - przeczuwała, że stało się coś, co zagrozi jej szczęściu. Chwyciła słuchawkę. - Filip, co się stało? Powiedz mi, co się stało? - Bądź dzielna, kochanie. Evie jest w szpitalu - na intensywnej terapii. - Filip... nie! Co się stało? Wypadek? - Niezupełnie, kochanie - grał na zwłokę. Jak miał jej to powiedzieć przez telefon? - Posłuchaj... to skomplikowana sprawa. Mogę ci tylko powiedzieć, że straciła dużo krwi, i jest w bardzo ciężkim stanie. Robię co mogę, ale - przełknął z trudem - myślę, że powinnaś jak najszybciej przyjechać do domu. - Oczywiście. Przylecę najbliższym samolotem. Zaraz jadę na lotnisko. Ach, Filipie. - Uspokój się, kochanie, jest w dobrych rękach. - Próbował ją pocieszyć, ale sam nie potrafił ukryć obaw. Anna odłożyła słuchawkę, łzy spływały jej po policzkach. - Och, Evie... Evie... Adam przytulił ją do siebie. - Co się stało, Anno? Evie jest chora? - przytaknęła. - W porządku. Wyjeżdżamy natychmiast. Ubierz się, a ja poproszę Gastona, żeby zamówił taksówkę. - Jedziesz ze mną? Spojrzał na nią zdziwiony tym pytaniem. - No oczywiście. Myślisz, że mógłbym puścić cię samą? - Ależ Adamie, jest kwadrans po pierwszej. Mogę czekać na lotnisku przez całą noc. - Kochanie, polecimy samolotem charterowym. - Czy jest to możliwe? - Skoro Evie jest w szpitalu. Sądzę, że tak. - Och, Adamie, kocham cię. Filip wrócił do poczekalni i usiadł obok Lindy. - Dodzwoniłem się - powiedział i westchnął z ulgą. Będzie tu niebawem. - To wspaniałe. Filipie, wypijesz filiżankę kawy? Musisz być wykończony. - Chętnie. To niezły pomysł. Linda wyszła, a Filip osunął się na kanapę. Właśnie zapalał kolejnego papierosa, kiedy podszedł do niego doktor Neillson. - Panie Coulter, obawiam się, że nie mam dla pana najlepszych wieści. Evie musi być ponownie operowana. - Dlaczego? Myślałem, że zrobiliście wszystko, jak należy. - Zgadza się, panie Coulter. Zrobiliśmy. Zdołaliśmy zatrzymać krwotok. Ale musi pan zrozumieć, że odniosła spore uszkodzenie tkanki wskutek tego partackiego zabiegu. Nie jest wykluczone, że będziemy musieli dokonać histerektomii. - Filip spojrział na niego zubożonym wzrokiem. - Panie Coulter? Dobrze się pan czuje? Musi pan podpisać zgodę na ponowną operację. Filip skinął głową. - Dobrze. Kiedy Linda podała mu kawę od razu zorientowała się, że coś się stało. Przyjrzała mu się z bliska. Miał zacisnięte pięści i zamknięte oczy. Koszmary z przeszłości przepływały przez jego świadomość: udreżone ciało Buglemana, torturowany

żołnierz amerykański, małpia klatka... Linda położyła mu dłoń na ramieniu, ale odepchnął ją gwałtownie. Otworzył oczy i popatrzył, jakby jej nie poznawał. - Filipie... to ja... Linda. Wyteżył wzrok powracając nagle do rzeczywistości. - Lindo, będą ją ponownie operować. Jeśli tego nie przeżyje... Lindo... Nie mogła znaleźć odpowiednich słów, by go pocieszyć. - Kiedy przyjedzie Anna? - zapytał. - Nie wiem, kochanie. To może trochę potrwać. Trudno o natychmiastowy lot na zachodnie wybrzeże, zwłaszcza po północy. Jęknął i zamknął oczy, a Linda trzymała go za rękę w niemym współczuciu. Pół godziny później widzieli jak przewożono Evie na salę operacyjną. Mały szybki odrzutowiec, z Adamem i Anną na pokładzie, wylądował na lotnisku w Oakland, gdzie czekał już na nich samochód, którym szybko dostali się do szpitala. Pielęgniarka poinformowała ich, że Evie jest właśnie operowana. - Proszę udać się tym korytarzem do poczekalni - powiedziała przyglądając się Adamowi z zaciekawieniem. - Jest tam jej ojciec. Puściwszy rękę Adama, Anna pobiegła w dół korytarza i zobaczyła znajomą postać Filipa zarysowaną naprzeciw okna. Niewiele myśląc, przebiegła dzielącą ich odległość i rzuciła mu się w ramiona. W tym momencie wydawało się im, że słowo rozwód nigdy nie zostało wypowiedziane. Byli rodzicami Evie i nikt inny nie mógł zrozumieć ich bólu. Linda z Adamem obserwowali tę scenę niespokojnie wiedząc, że w obecnych okolicznościach zazdrość byłaby niestosowna. Ale niełatwo było im się z tym pogodzić. W końcu Adam podszedł do Lindy, wyciągnął do niej rękę i powiedział: - Dzień dobry. Pani jest Lindą Holt, prawda? Nazywam się Adam Gayne. - Przyjrzeni się sobie z uprzejmym zainteresowaniem. Filip posadził Annę na krześle i najspokojniej jak tylko potrafił opowiedział jej co się stało. Kiedy skończył, Anna pokręciła głową z niedowierzaniem. - Evie? Nasza córka? To niemożliwe. Po świętach rozmawiałam z nią prawie codziennie. - Ja również, Anno i nie miałem pojęcia, że coś jest nie w porządku. Kochanie, chciałbym, żeby to nie była prawda, ale niestety jest. Anna wybuchnęła płaczem. - O Boże, Filip, to moja wina. Tak dobrze się bawiłam w Nowym Jorku, a ona mnie tu potrzebowała. - To nie twoja wina - zaczął, ale Anna przerwała mu. - Tak, moja wina. Wiedziałam jaka była przynębiona z powodu naszego rozwodu i gdy tylko trochę się usamodzielniała, wyjechałam i opuściłam ją. Możliwe, że za bardzo ją ochraniałyśmy, kiedy była młodsza. Ale mówienie o tym nic nie zmieni. Faktem jest, że odkąd poznałeś Linde, a ja Adama, Evie nie miała się do kogo zwrócić. Filipa uderzyła prawda jej słów, jakby dostał policzek. Nie mogąc nic innego zrobić, głaskał delikatnie dłoń Anny aż przestała szlochać. Jak na ironię, teraz kiedy pokochali inne osoby, potrafili się emocjonalnie wspomagać. Przed ich rozstaniem gniew Filipa w stosunku do Anny był tak wielki, że nie był w stanie go stłumić. Teraz kiedy nie było powodu do okazywania wrogości, potrafili dzielić się wspólnym ciężarem smutku. Trwało dobrą chwilę zanim uświadomili sobie, że nie są sami. Anna podeszła i usiadła obok Adama. - Zrobię wszystko - Boże, wszystko - modliła się - tylko uratuj ją. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim otworzyły się drzwi i pojawił się w nich doktor Neilson. Pokonując zmęczenie, powiedział: - Wygląda na to, że wyjdzie z tego, ale z przykrością muszę państwu powiedzieć, że zaistniała konieczność usunięcia macicy. W uszkodzonej tkance rozwinęła się infekcja. Anna i Filip pominęli te słowa milczeniem. W tym momencie nie liczyły się dla nich uboczne następstwa. Liczyło się tylko to, że Evie przeżyje. Kiedy środki znieczulające przestały działać, pozwolono im się z nią zobaczyć. Wciąż w zamroczeniu Evie wyszeptwała: - Mamuś... tato... co wy tu robicie? Po widzeniu ponownie wzięli ją na intensywną terapię, gdzie miała spędzić kilka kolejnych dni. Adam zwrócił się do Anny

stanowczym tonem: - Chodźmy już, kochanie. Czas, żebyś trochę odpoczęła. Lekarze powiedzieli, że niebezpieczeństwo minęło. Anna nie chciała daleko jechać, więc zatrzymali się w taniej jadłodajni przy San Pablo Avenue. - Nie jest tu zbyt czysto - Adam otworzył poplamiony jadłospis z grymasem na ustach, - ale posilić się można. Zamówił jajka, tosty francuskie, sok i kawę dla nich dwojga. - Musisz coś zjeść, bo całkiem opadniesz z sił. Pamiętaj, że w ogóle nie spałaś ubiegłej nocy. Anna z trudem przełknęła kilka łyków, ale była zbyt przygnębiona, żeby dokończyć. - Adamie, co zamierzasz robić? - A co proponujesz, kochanie? - Musisz wracać do pracy, prawda? - Nie muszę, jeśli mnie potrzebujesz. Choć żadne z nich tego nie powiedziało, obydwie wiedzieli, że jego obecność jest zbyt cenna. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, Adam wiedział, że Anna musi zostać z córką, a ta nie będzie chciała się z nim spotkać. - Posłuchaj, Adamie - Anna próbowała starannie dobrać słowa - wiem, że od świąt wzięłaś wiele dni wolnego. Może lepiej będzie, jeśli wrócisz do Nowego Jorku. Nie myśl, że nie chcę, żebyś tu był, ale... - Rozumiem. - Zadzwoń do mnie, prawda? - spytała. - Oczywiście, kochanie. Będę dzwonił codziennie. I będę modlił się, żeby Evie szybko powróciła do zdrowia. Anna towarzyszyła Adamowi na lotnisko. W jej pożegnalnych słowach wyczuć można było nutę rozpacz. - Kocham cię - wyszeptała i pocałowała go. Wróciwszy do szpitala, Anna poczuła ukłucie zazdrości, kiedy zobaczyła Filipa z Lindą siedzących obok siebie. Wciąż byli razem. Znowu opanowało ją poczucie winy. Dobrze mi tak, że czuję się samotna. To Bóg skarał mnie za to, że byłam taka szczęśliwa. Przyzwoite kobiety nie wyjeżdżają porzucając swoje dzieci. I chociaż bardzo kochała Adama, w tym momencie pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby go nigdy nie spotkała. Późnym popołudniem jeden z lekarzy powiadomił znużoną trójkę, że stan Evie znacznie się poprawił. - Możecie państwo iść do domu. Nic jej nie grozi. Linda odciągnęła Filipa na bok. - Kochanie, słyszałaś, co powiedział lekarz. Pojedźmy do domu, odpocznijmy trochę. Weźmiesz prysznic i zjemy kolację. Potem odwiozę cię znów do szpitala. Co o tym sądzisz? - Myślę, że masz rację - powiedział, patrząc na Annę. Linda obserwowała jego spojrzenie. Anna wyglądała żałośnie stojąc tak samotnie. Linda zaproponowała spontanicznie: - Może pojechałabyś do nas? Przygotuję coś na obiad. Serdecznie cię do nas zapraszamy. Anna wzruszyła się tą miłą i szczerą propozycją. Jednak po chwili namysłu odparła: To bardzo miło z twojej strony, Lindo, doceniam to. Ale myślę, że najprościej będzie, jeśli wynajmę sobie pokój w Claremont. Będę miała bliżej do szpitala i nie będę nikomu sprawiać kłopotu. - Oczywiście - jak wolisz. Ale możemy cię podwieźć, mamy na dole samochód. - Byłabym wdzięczna, Lindo. Jestem wykończona. Filip pomógł Annie wnieść bagaże do hotelu. Przy pożegnaniu powiedział cicho: - Z Evie będzie wszystko w porządku. Spróbuj trochę odpocząć, Anno. I zadzwoń, proszę, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować. Nawet, jeśli będziesz po prostu chciała porozmawiać. Anna, zbyt zmęczona, by odpowiedzieć, uśmiechnęła się słabo. - Dziękuję. Był taki miły, taki kochany. Zastanawiała się, jak mogli paść do siebie taką nienawiścią. Jeszcze tego wieczora poszła zobaczyć się z córką. Środek znieczulający przestał działać, jednak Evie była bardzo śpiąca. Zdołała wyszeptać: - Cześć, mam... - i ponownie zapadła w sen trzymając Annę za rękę. Anna poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu. Była to pielęgniarka, która powiedziała łagodnie: - Przykro mi, ale musi pani już iść. Przed szpitalem Anna natknęła się na Kim i Leslie. - Dzień dobry, dziewczęta - powiedziała znużonym głosem. Filip opowiedział jej o roli, jaką odegrały współlokatorki Evie w przeprowadzeniu tej pokątnej operacji i Anna nie mogła przestać myśleć, że gdyby nie one, Evie zwróciłyby się do niej ze

swoim problemem. Z drugiej strony wiedziała, że gdyby nie szybka interwencja z ich strony, Evie mogłaby się wykrwawić i umrzeć. - Jak ona się czuje, pani Coulter? - Kim spytała nieśmiało. - Miała operację, ale już jej lepiej. Jeśli wszystko dobrze pójdzie przeniosą ją jutro do izolatki. Wówczas będziecie mogli ją odwiedzić. - To wspaniale! - wykrzyknęła Leslie. - A kiedy będzie mogła wrócić do szkoły? - Nie wiem. Obawiam się, że to trochę potrwa, zanim wróci do zdrowia - spojrzała im prosto w oczy. - Leslie, Kim: Nie obwiniam was za to, co zrobiliście. Evie jest dorosłą dziewczyną i sama odpowiada za to co robi. Ale czy wiecie dlaczego nie powiedziała mi o swoim problemie? Wiedziała chyba, że zrobiłabym wszystko, żeby jej pomóc. Spojrzały po sobie niepewnie. W końcu Kim powiedziała: - Pani Coulter, ona sama nie wiedziała przez długi czas. Poza tym pani i pan Coulter mieliście swoje problemy, więc pomyślała, że nie może obciążać was dodatkowo swoimi kłopotami. - Więc dlaczego poszła do niekompetentnego rzeźnika? Mogliśmy przecież znaleźć lepszego lekarza. Kim zdała sobie sprawę, że zapędzono ją w ślepią uliczkę. Zastanowiła się chwilę i odpowiedziała: - Evie obawiała się pójść do szanowanego lekarza, nawet poza miastem. Mógłby coś komu powiedzieć. Ten w Oakland nie zrobiłby tego. Proszę nie zapominać, że pani nazwisko nie jest zupełnie nieznane. Pani zdjęcia pojawiały się w wielu lokalnych gazetach, a i w magazynach w innych częściach kraju - przerwała i westchnęła. - Jeśli pani chce poznać prawdę, pani Coulter, to Evie obawiała się, że panią skompromituje. Ale Anna aż nazbyt dobrze знаła prawdę. Nagle wyobraziła sobie Evie samotną, z poczuciem winy, przekonaną, że obydwójce rodzice ją opuścili. Nic dziwnego, że chwyciła się pierwszego rozwiązania jakie jej podsunęto. Łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła się i wyszeptła: - Opuściłam cię... Następnego dnia przeniesiono Evie do izolatki. Kiedy Anna zjawiła się z bukietem róż, jej córka siedziała już w łóżku. Evie ułatwiła jej całą sprawę. - Wiesz już o wszystkim, mam, prawda? - wyszeptła. - Tak, kochanie, lekarz mi powiedział. - Przepraszam. Anna objęła córkę i przytuliła do siebie. - To ja przepraszam. Nie było mnie przy tobie, kiedy potrzebowałaś pomocy. - Nie, mam, nie mów tak. To moja wina. Evie była spokojna i Anna podejrzewała, że lekarze nie wspomnieli jej o histerektomii. Pozwolono być im razem tylko przez krótki czas. Po wyjściu od Evie Anna odszukała doktora Neilsona. - Nie powiedział jej pan jeszcze, prawda? - Chciałem poczekać dzień, dwa aż będzie trochę mocniejsza. - Proszę dać mi znać, kiedy zdecyduje się pan powiedzieć jej o tym. Powinnam tu wówczas być razem z jej ojcem. Obawiam się, że będzie bardzo przygnębiona. - Tak, to trudne do przyjęcia, zwłaszcza dla tak młodej dziewczyny - pokręcił głową. - Taka szkoda. Jeśli może pani jutro przyjść, powiem jej o dziesiątej. Nazajutrz Anna i Filip chodzili nerwowo po korytarzu, podczas gdy doktor Neilson rozmawiał z Evie. Trwało to dość długą chwilę. W końcu wyszedł ze skupieniem na twarzy. - Powiedziałem jej. Obawiam się, że trudno będzie jej się z tym pogodzić. Lepiej będzie, jeśli państwo tam wejdziecie. Siedziała na łóżku ze wzrokiem utkwionym w okno. - Evie, kochanie? Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. - Evie! - krzyknął Filip. - Kochanie, odezwij się. Podeszedł bliżej i stanął w jej polu widzenia, ale wciąż nic nie mówiła. Anna pochyliła się i odsunęła Evie włosy z czoła. - Wiemy o histerektomii i jest nam bardzo przykro. Ale to nie koniec świata. Żyjesz i to jest najważniejsze. Evie wciąż się nie odzywała. Filip nakłaniał ją i błagał, by powiedziała choć słowo, ale Evie zachowywała się, jakby nie słyszała. Wyglądało na to, że jest w szoku. W końcu Anna podniosła oczy i wyszeptła: - Filipie, boję się o nią. Zawołam doktora Neilsona. Podeszła do recepcjonistki i poprosiła ją, by wywołała

lekarza. - Co pan jej powiedział? - Anna prawie krzyknęła, kiedy się pojawił. - Ona jest całkiem osłupiała. Jak katatonik! - Pani Coulter, proszę się uspokoić. Powiedziałem Evie całą prawdę, że musieliśmy dokonać histerektomii. - Jak na to zareagowała? - No cóż, najpierw była bardzo spokojna, spytała tylko, co to oznacza. - I? - Powiedziałem jej, że nie będzie mogła mieć dzieci, ale nie będzie innych skutków ubocznych. Potem powiedziałem jej, że wiele małżeństw adoptuje dzieci. Wydawało mi się, że mnie nie słucha, uznałem więc, że potrzeba jej czasu, by przyzwycząić się do tej myśli i wyszedłem. - No i co my mamy teraz zrobić? Widział ją pan? Nie możemy zostawić jej w takim stanie! - Obawiam się, że problemy psychiczne nie są moją dziedziną. Ale mogę skierować państwa do psychiatry. Do psychiatry... Evie? myśl o tym, że Evie może mieć problemy psychiczne wydawała się równie nierealna jak wszystkie inne wydarzenia ostatnich dni. Nie było jednak innego wyjścia. Po krótkiej chwili pojawił się mężczyzna w średnim wieku o przyjemnej powierzchowności i przedstawił się jako doktor Frankel. Filip z Anną czekali, podczas gdy Frankel przedstawiał się wciąż milczącej Evie. Po chwili odwrócił się i powiedział łagodnie: - Lepiej będzie, jeśli zaczekacie państwo na zewnątrz. W chwilę potem usłyszeli przeraźliwy krzyk Evie, który przeszedł w łkanie. Filip już miał wejść do środka, lecz Frankel wyszedł z pokoju. - Wpadła w histerię. Zapiszę jej środek uspokajający. - Czy możemy ją zobaczyć? - W tej chwili raczej nie. Jutro, kiedy będzie spokojniejsza, zastanowimy się, jakie zastosować leczenie. Anna z Filipem wyszli, a Evie zapadła w narkotyczny sen. Nazajutrz wczesnym rankiem środek uspokajający przestał działać, i kiedy obudziła się, słowa lekarza wciąż dźwięczały jej w uszach: Nie będziesz mogła mieć dzieci, Evie. Przykro mi... Brzmiało to jak wyrok śmierci. Wszystkie jej nadzieje i marzenia na przyszłość związane były z małżeństwem i rodziną - dużym, szczęśliwym domem wypełnionym dziećmi. Jako jedynaczka zawsze pragnęła mieć rodzeństwo, a z Piotrem planowali mieć co najmniej czworo dzieci. Nie jest już kobietą. Jest pustą skorupą. Leżała tak dłuższą chwilę rozmyślając nad wydarzeniami prowadzącymi do zabiegu. Nie mogła sobie tego wybaczyć. Nagle podjęła decyzję. Spuściła nogi z łóżka i wciąż zamroczone lekami, z trudem dowlokła się do łazienki. Wzięła do ręki szklanekę i ze złością rozbiła ją o brzeg wanny. Fragmenty szkła rozsypały się po podłodze, a w ręce zostało jej tylko wyszczerbione dno. Zacisnęła zęby i dwoma szybkimi, zdecydowanymi ruchami przecięła lewy nadgarstek, następnie długimi, podłużnymi cięciami prawy. Kiedy trysnęła krew, ogarnęły ją mdłości. Szkło wypadło jej z ręki i potoczyło się na podłogę. Był to zwykły przypadek, że pielęgniarka oddziałowa zaglądnęła do pokoju Evie. Nie było jej w pokoju, więc zajrzała do łazienki. W mgnieniu oka zorientowała się w całej sytuacji. Podbiegła do drzwi i zawołała: - Sandy, pomocy! Salowy przybiegł pędem i aż mu dech zaparło: - O Jezu! Zawołam ordynatora. W przeciągu kilku sekund zjawił się lekarz. - Proszę zawiadomić chirurgię, że przywozimy pacjentkę. - Już to zrobiłam, doktorze - powiedziała pielęgniarka. Zatomowała upływ krwi, ale Evie nadal była nieprzytomna. Przez kilka rozpaczliwych minut lekarz myślał, że już jest za późno. Nastąpiło dręczące oczekiwanie, gdy pielęgniarka wsłuchiwała się w fonendoskop, w końcu rzekła. - Puls się stabilizuje. Lekarz westchnął z ulgą. - W porządku. Teraz szybko na salę operacyjną. Po raz kolejny przewieziono Evie pędem w dół korytarza przez białe lakierowane drzwi. Kiedy się obudziła, była kompletnie zdezorientowana. Usiłowała dojrzeć coś w przyćmionym świetle. Leżała w małym pokoju, którego okna zabezpieczone były gęstymi kratami. Na dworze było ciemno, nie mogła zorientować się, jaka jest pora dnia. Chcę się stąd wydostać!

Próbowała krzyknąć, ale gardło miała ściśnięte i obolałe, więc wydała tylko ochryply jęk. Uświadomiła sobie, że jej nadgarstki są mocno zabandażowane i w sekundzie wszystko sobie przypomniała. Doktor Neilson... histerektomia. Dlaczego nie pozwolili mi umrzeć? Kiedy pielęgniarka otworzyła drzwi, oślepił ją snop światła. Usłyszała głos Anny. - Evie, kochanie... Czekamy tu z tatusiem, żeby cię zobaczyć. Spałaś tak długo. Jeśli będę udawać, że śpię, pójdą sobie. Tym razem odezwał się Filip. - Evie, chcemy, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kochamy. Czuła obecność ojca blisko siebie i próbowała odwrócić się, kiedy jego usta musnęły jej policzek. - Przypuszczam, że nie masz ochoty teraz rozmawiać - powiedziała Anna - ale tatuś i ja będziemy tu. Powiedz pielęgniarce jak będziesz chciała się z nami zobaczyć. - Dotknęła z wahaniem ramienia Evie. - Tak bardzo cię kochamy, skarbie. Dla Anny i Filipa następny tydzień był koszmarem. Evie przeniesiono na oddział psychiatryczny szpitala Herrick, gdzie zewsząd dobiegały jęki i wycia. Evie, dla kontrastu, nic nie mówiła. Linda musiała wrócić do pracy, więc rodzice Evie czuwali sami. Adam przysyłał Evie codziennie wielkie bukiety kwiatów i dzwonił do Anny pytając jak się czuje. Niestety nie mogła mówić o żadnej poprawie. - Nic się nie zmieniło. Sugerują, że powinna pojechać do sanatorium. - Wyślecie ją? - spytał Adam. - Nie mamy wyboru. Mogłabym ją zabrać do domu i tam się nią zaopiekować, ale doktor Frankel twierdzi, że to przyniosłoby odwrotny skutek. - Przerwała. - Adam, kochanie, przepraszam, że tak długo nie możemy się zobaczyć, ale naprawdę nie mogę teraz zostawić Evie. - Nawet mi nie przyszło do głowy, że mogłabyś ją zostawić w obecnej sytuacji. Gdzie będzie przebywać? W mieście? - Nie, Frankel polecił nam pewne miejsce poza miastem. Nazywa się Rolling Hills. - To świetnie. Powiem ci co zamierzam zrobić. Wynajmę apartament w hotelu Huntington. Zatrzymasz się w hotelu, a ja będę przylatywał, jak tylko będę mógł. - Och, Adamie, zrobisz to? Jesteś pewny, że cię to za bardzo nie obciąży? Czy możesz zostawić swoje biuro? Moja agencja ledwo funkcjonuje. Gdyby nie May, musiałabym ją zamknąć. - Moje biuro nic na tym nie ucierpi, jeśli będę wyjeżdżał na długie weekendy - powiedział Adam. - Nie martw się o mnie. Dbaj o siebie. - Kocham cię, Adamie - powiedziała Anna. - Jestem zbyt samolubna, by nie zgodzić się na twoją propozycję. Adam wynajął apartament w Huntington i tak zorganizował swoje sprawy, by móc przebywać w San Francisco od piątku do niedzieli po południu. Doszedł już do takiego etapu swojej kariery, że większość rutynowych zajęć mógł polecić komuś innemu, więc przez kilka tygodni, nawet zostawał dłużej. Rozdział czterdziesty trzeci Evie umieszczono w izolatce w Rolling Hills. Przez tydzień, który był dla Filipa i Anny wyczerpujący, nie wolno im było jej odwiedzać. Kiedy w końcu dostali się do przyjemnego domu dla rekonwalescentów otoczonego pięknymi ogrodami, przeraził ich jej widok. Była niesamowicie chuda. Pielęgniarka powiedziała im, że po prostu odmawia przyjmowania pokarmów. Nie była już w stanie katatonicznym, ale wciąż błędziła myślami gdzieś daleko, oderwana od rzeczywistości. Chociaż uprzejmie i inteligentnie odpowiadała na pytania rodziców, jej wzrok pozostawał obojętny. Filip z Anną zasypywali doktora Frankela pytaniami. Wszystko, co mógł im powiedzieć, to, że trochę to potrwa, zanim Evie wróci do zdrowia i że muszą być cierpliwi. Pewnego wieczoru, kiedy Adam był w San Francisco, Anna wróciła do hotelu zapłakana. - Ach, Adamie - ona nigdy nie wyzdrowieje! Wziął ją w ramiona. - Oczywiście, że wyzdrowieje - powiedział stanowczo. - Przecież ogólnie jest to bardzo zdrowa dziewczyna. Zbyt dużo na nią naraz spadło. Wyjdzie z tego. Zobaczysz. Na drugim końcu miasta Filip z Lindą również rozmawiali o Evie. - Anna zgadza się z lekarzem, że powinniśmy widywać się z Evie raz w tygodniu. Ale

ja uważam, że to stanowczo za rzadko; powinniśmy widywać ją codziennie. Nie dbam o to, co mówi Frankel! Ona jest moją córką i uważam, że znam ją najlepiej. - Spojrzał na Lindę. - Wypijesz jeszcze jednego drinka? Ooo... nalałaś sobie. - Tak, kiedy mówiłaś. - Przepraszam, cię kochanie. Wiem, że mówię o tym bez końca, ale miałem dzisiaj ciężki dzień. Ten Frankel bezczelnie próbował ograniczać nasze wizyty. - Nasze? Twoje i Anny? - Linda zapytała z namysłem. - No, tak, kochanie. W jej stanie lepiej, żebyśmy odwiedzali ją razem. - A gdzie w takim razie jest miejsce dla mnie? Filip najwyraźniej nie zauważył ostrego tonu w jej głosie. - Co masz na myśli, kochanie? Ona przecież nie widuje żadnych innych gości. - To właśnie mam na myśli, Filipie. Gości - obcych. To naturalne, że potrzebujecie z Anną wzajemnego wsparcia, ale zaczynam się zastanawiać, jaką ja w tym wszystkim odgrywam rolę. - Jaką rolę? Lindo, nie możesz mieć mi tego za złe, że spędzam czas z Anną, teraz kiedy Evie jest taka chora! - Ależ nie mam ci tego za złe, ale czuję się taka niepotrzebna. Nie mogę zrobić nic dla ciebie, ani dla Evie. Kiedy się pokochaliśmy, myślałam, że będziemy partnerami - na dobre i na złe. - Tego właśnie pragnę, Lindo. - Ale nic o tym nie świadczy! - krzyknęła Linda dając upust całej swojej wielotygodniowej frustracji. - Widujesz się ze swoją żoną, twoja córka nie chce mnie widzieć i czuję się, jakbym w ogóle nic nie znaczyła w twoim życiu. - Kocham cię - powiedział Filip spokojnie - ale chwilowo muszę przedłożyć potrzeby Evie nad twoje i moje. - To oczywiste. - Na miłość boską, Lindo! Mówimy o przyszłości Evie. Ona próbowała popełnić samobójstwo! Jakim byłbym rodzicem, gdybym się teraz od niej odwrócił? - Filipie, próbowałam to zrozumieć, wierz mi. Ale wydaje mi się, może dlatego, że nie mam swoich własnych dzieci, że nigdy nie będzie dla nikogo miejsca w twoim życiu oprócz Evie. A ja nie mogę się z tym pogodzić! Ukryła twarz w dłoniach. Jej gorzkie słowa długo dźwięczały Filipowi w uszach. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Cześć swego jestestwa czuł, że jeśli ona odejdzie, on straci jedyną osobę na świecie, która daje mu szczęście. Chciał jej powiedzieć, że zawsze jest na pierwszym miejscu. Ale czy byłaby to prawda? Nikt w jego sercu nie zajmie miejsca przed Evie. Może gdyby nie zaistniała ta cała sytuacja, nigdy nie musiałby się nad tym zastanawiać, ale stało się i jest już za późno. Linda będzie musiała pogodzić się z tym - nawet z jego potrzebą widywania Anny do czasu, gdy Evie poczuje się lepiej. W przeciwnym razie będą musieli się rozstać. Decyzja należy do niej. Zapytał cichym głosem: - Czy mam zabrać swoje rzeczy? Uśmiechnęła się smutno. - To nie będzie konieczne. Myślę, że wrócę do Waszyngtonu. Kilka tygodni temu dostałam stamtąd ofertę pracy. - Lindo - Filip zbliżył się do niej, ale zrobiła krok do tyłu. - Nie, Filipie, nie dotykaj mnie. Nie zniosłabym tego. - Tak to jest z miłością - powiedział. - To najbardziej ulotna rzecz na świecie. Jak bańka mydlana - piękna i zwiewna. Nagle pęka pewnego dnia jak gdyby nigdy nie istniała. Trzy tygodnie później, Filip stał na lotnisku przy odprawie podróżnych, obserwując, jak Linda podjeżdża taksówką do pasa startowego. Przez krótki czas przeżywał namiastkę raję. Teraz utracił go na zawsze. Zaczekał, aż samolot zniknie w oddali. Odwrócił się i poszedł do samochodu. Był koniec maja, kiedy doktor Frankel poprosił Annę i Filipa, by po wizycie u Evie wstąpili do jego gabinetu. - Problemy Evie nie dotyczą tylko przerwania ciąży - powiedział. - Terapia wykazała ewidentnie, że wasza separacja była dla niej wielkim szokiem. Jako jedynaczka, w dużej mierze utożsamiała się ze swoją rodziną. Najpierw zmarł jej dziadek, następnie pan się wyprowadził, a wkrótce potem dowiedziała się, że związaliście się państwo z innymi osobami. Z tego co twierdzi Evie, nigdy nic nie słyszała poza małą sprzeczką. Była

przekonana, że jesteście najszcześniejszym małżeństwem na świecie. - Lekarz rozłożył ręce w bezradnym geście. - Teraz mówi, że nie tylko rozpadła się jej najbliższa rodzina, o której myślała, że jest czymś trwałym, ale również straciła szansę na założenie własnej. Twierdzi, że nie ma po co żyć. - Czy jest szansa na poprawę, doktorze? - zapytał Filip z naciskiem w głosie? - Nie tracę nadziei, że wyzdrowieje, ale obawiam się, że to długo potrwa, zanim upora się ze swoimi problemami. To bardzo ważne, żebyście ją razem odwiedzali. Daje jej to poczucie bezpieczeństwa. Najbardziej byłoby, abyście nie wspominali przy niej o waszych partnerach. Wracali do domu w milczeniu. Filip miotany był poczuciem winy. To on rozpętał całą tę sprawę. Ale Anna nie mogła pogodzić się z tym, co sugerował Frankel. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że Evie jest zdruzgotana, ponieważ jej rodzice znaleźli sobie nowych partnerów. Kochała Evie całym sercem, ale trudno jej było wyobrazić sobie życie bez Adama. Co będzie, jeśli przyjdzie jej wybierać między nim a Evie? Co wtedy? Przez kolejne miesiące Anna czuła się, jakby żyła w potrzasku. Sytuacja była jeszcze trudniejsza dla Adama, ponieważ ciągle przeloty z jednego krańca kraju na drugi, wyczerpały nawet człowieka o tak niezwykłej witalności jak on. Poza tym w San Francisco nie czuł się u siebie. Jego życie towarzyskie i zawodowe skupiało się na Manhattanie. Chociaż był niezmiernie wyrozumiały, ciągły niepokój Anny, był dla niego ogromnym obciążeniem. Była tak emocjonalnie wyczerpana stanem córki, że nie miała serca do czegokolwiek innego. Często zdarzało się, że była zbyt zmęczona, by się z nim kochać, więc Adam rzadziej teraz przebywał w San Francisco. Anna natomiast była zbyt przygnębiona, by się temu sprzeciwić. Pewnego ranka obudziła się i natychmiast zaczęło ją coś dręczyć. Przez moment nie rozumiała dlaczego. Nagle przypomniała sobie: był dziewiąty wrzesień, urodziny Evie. Minęło sześć miesięcy od dnia, w którym Evie dokonała zabiegu. Przytuliła się do Adama wdzięczna, że z nią jest. - Dzień dobry, kochanie - zamruczał. Nic nie odpowiedziała, a po chwili: - Dzisiaj są urodziny Evie. Rozbudziła go całkowicie ta wiadomość. - Więc pójdziesz zobaczyć się z nią? - Później. Jak Filip wróci z pracy. Adam przemilczał tę wiadomość powstrzymując się od ponowienia propozycji pójścia z Anną do jej córki. Nie zadawał jej już żadnych pytań - wiedział, że Evie nie chce go widzieć. Na początku miał nadzieję, że to tylko chwilowe i kiedy Evie będzie zdrowa, doceni to, że uczynił jej matką szczęśliwą. Liczył nawet na to, że Evie go polubi. Ale z upływem czasu coraz trudniej było mu w to uwierzyć. Prawda była taka, że jedyne dziecko Anny nie chciało mieć z nim nic do czynienia. Jak gdyby odgadując jego myśli Anna odezwała się: - Adamie, wiem, że ty również to przeżywasz... Objął ją i mocno przytulił. Nie mógł jednak wyzbyć się złych przeczuc, które go nękały. Kucharz w Rolling Hills upiekł Evie jej ulubione ciasto czekoladowe, a Anna z Filipem odśpiewali "Happy Birthday". Przynieśli jej cały stos kolorowo zapakowanych prezentów, które Evie posłusznie rozpakowała. Była tam plisowana sukienka i koszula nocna, kilka książek, oraz kartki od Kim i Leslie. Filip kupił jej kotka z porcelany, zwiniętego z zadowoleniem na satynowej poduszce. - Koteczek - powiedziała cicho Evie. - Nigdy nie miałam kotka. - No cóż, wiem, że nie możesz tu trzymać żywego, kochanie - Filip uśmiechnął się - pomyślałem więc, że ten ci się spodoba. - Dziękuję, tato - powiedziała Evie głaszcząc małą figurkę, jak gdyby było to żywe stworzonko. Wtem wyraz głębokiego smutku przemknął po jej twarzy i zwróciła wzrok w kierunku okna. Po wyjściu od Evie koniecznie chcieli zobaczyć się z lekarzem. Z niezwykłą sobie irytacją Filip odezwał się: - Doktorze Frankel, czy powie nam pan łaskawie, co pan robi, by pomóc Evie? Minęło

sześć miesięcy i nie widzę żadnej poprawy. Psychiatra spojrział na Annę i Filipa pełnym zadumy wzrokiem, jakby się nad czymś zastanawiał. - Chcieliśmy się upewnić, że stan Evie się poprawia - dodała Anna. Frankel najwidoczniej podjął decyzję. - Proszę usiąść, panie Coulter. - Filip usadowił się na krześle, a lekarz kontynuował. - Powiem państwu, do jakich doszedłem wniosków po wielu rozmowach z Evie. To bardzo urocza i błyskotliwa dziewczyna, ale jest bardzo wrażliwa i zapewne dlatego niezbyt szybko wraca do zdrowia. Nastąpiła pewna poprawa. Powoli otrząsa się z poczucia hańby i wstydu. Czas złagodził bolesne wspomnienia. Niestety główny problem pozostaje: Evie czuje, że straciła swoje miejsce w świecie. Trudno wyrazić, jak bardzo rozpacza nad rozpadem rodziny. Mam wrażenie, że dopóki nie odzyska poczucia bezpieczeństwa, w ogóle nie zechce wyzdrowieć. Chce pozostać w Rolling Hills do czasu, aż się coś zmieni. Jeśli nie przełamiemy tej bariery, nie nastąpi u niej poprawa. - Co możemy zrobić, doktorze? - spytała Anna obawiając się jego odpowiedzi. - No cóż, znając sytuację państwa, nie mam odwagi tego zaproponować. Ale sądzę, że gdyby Evie zobaczyła, że jesteście znowu razem, mogłoby to przyspieszyć jej powrót do zdrowia. Anna i Filip nie spojrzeli na siebie. - Co pan chce przez to powiedzieć, doktorze? - spytała Anna ostro. - Mamy udawać, że mimo wszystko nie bierzemy rozwodu? Przytaknął. - Jak długo? - krzyknęła. - Tak długo, jak to będzie konieczne, panie Coulter. Nie proponowałbym takiego rozwiązania, gdybym nie uważał, że jest to absolutnie konieczne. Wasze rozstanie było ogromnym szokiem dla Evie i przypadło na niezmiernie ważny okres jej rozwoju. Od tego, co teraz zdecydujecie będzie zależała reszta jej życia. - Ale doktorze... - zaczął Filip. - Czy nie możecie na jakiś czas, jako rodzice, odsunąć swoje osobiste życie na drugi plan? Ze względu na waszą córkę? Patrzyli na niego bezradnie. Jaki mieli wybór? Filip był świadomy, że dla niego nie będzie to ciężarem. Ale jeśli chodzi o Annę... wiedział, jaka jest szczęśliwa z Adamem, a Gayne nie wyglądał na człowieka, którego można odsunąć na bok na czas nieokreślony. Jak zareaguje na to, że Anna znów zamieszka z Filipem? - Filip? - błagała o pomoc. - To zależy od ciebie, Anno. Skinęła głową i zwróciła się do Frankela. - W porządku. Kiedy, według pana powinniśmy powiedzieć Evie? - Im wcześniej, tym lepiej. Myślę, że od razu. Idąc korytarzem do pokoju Evie, Anna czuła się jakby szła na śmierć. Nie mogła pozwolić sobie na rozmyślanie o tym. Kiedy już powiedzą Evie, będzie za późno, by się wycofać. Evie była zdziwiona ponownym zjawieniem się rodziców. Słuchała w skupieniu tego, co mówił do niej Filip. Ale kiedy rzekł: - ...Więc jak widzisz, zdecydowaliśmy się z mamą wrócić do domu - przerwała mu z radością. - Znowu zamieszkacie razem? Nie weźmiecie jednak rozwodu? Och, tatusiu, mamu - nie mogę w to uwierzyć - jesteście wspaniali! Kocham was! Przytulając córkę Anna pomyślała - Adamie, wybacz mi. Nie miałam innego wyjścia. Wychodząc powiedziała: - Przyjedziemy, jak tylko będziemy mogli, skarbie. Pamiętaj: obydwoje bardzo cię kochamy. W samochodzie zapytała: - Filipie, co teraz zrobimy? Westchnął. - Nie zamierzałem ci tego jeszcze powiedzieć, ale rozstaliśmy się z Lindą. Odkąd Evie zachorowała, życie ze mną było dla niej zbyt wyczerpujące. - Och, Filipie - Anna przerwała mu z zakłopotaniem. - Czy chodziło tylko o Evie? Nie musisz przede mną ukrywać. - Evie... I inne rzeczy. Całą sytuację. - Chcesz powiedzieć, że poszło o to, że spędzałeś dużo czasu ze mną? Filipie - tak mi przykro. Wzruszył ramionami. - Cóż, skończyło się. Wróciła do Waszyngtonu. - Zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie odbiera telefonu. Filip przełknął ślinę. - A co z tobą? Jak Adam zareaguje na to? - Nie wiem. Dotychczas wykazywał bardzo dużo zrozumienia - był wspaniały

prawdę mówiąc. Ale obawiam się, że nie spodoba mu się ten pomysł ani trochę. Filip zawahał się, po chwili odezwał się: - Anno, gdybyś chciała, mógłbym się z nim zobaczyć. Spróbowałbym mu wyjaśnić, że to pozory... ze względu na naszą córkę; że ty i ja nie zamierzamy... - Nie! Nie rób tego. Dziękuję, ale to by nic nie dało. Spróbuję mu to sama wyjaśnić. Czy Adama pociemniały i przybrały trudny do odczytania wyraz, kiedy przemierzał nerwowo pokój. - Posłuchajmy tego jeszcze raz. Zamierzasz znów zamieszkać ze swoim mężem? Na jak długo, jeśli wolno spytać? - Nie wiem, Adamie. Do czasu, aż Evie będzie zdrowa. - To raczej mglisty termin, nie sądzisz? - rozgniewany podniósł głos. - Proponujesz, abyśmy odłożyli nasze stosunki na jakiś nieokreślony czas, aż Evie wyzdrowieje? Czy tak mam to zrozumieć? - Adamie, zrozum mnie, proszę. Nie mamy zamiaru współżyć z Filipem w jakimkolwiek sensie. Tylko ze względu na naszą córkę, musimy udawać, że wróciliśmy do siebie. Do momentu aż będzie na tyle silna, by pogodzić się z rzeczywistością. - Daj spokój, Anno. Bądź poważna. Nie jesteśmy dziećmi. Chryste! Myślisz, że będę spędzał noce czając się pod twoim balkonem, czekając aż podejdziesz do okna, jak kochanek w jakiejś starej hiszpańskiej sztuce? - Adamie, proszę cię, postaraj się zrozumieć. To nie będzie trwało wiecznie. Frankel mówi, że jej stan się już poprawił. Wszystko wróci wkrótce do normy. Adam wziął głęboki oddech usiłując się opanować. Miał już powyżej uszu tej całej sytuacji i liczył, że niedługo się to skończy. Teraz będzie jeszcze gorzej. Chciał wykrzyknąć - do diabła z twoją beznadziejnie chorą córką! Pomyśl o mnie dla odmiany. Sama myśl o tym, że Anna będzie dzielić dom - jeśli nie łóżko - z Filipem przyprawiła go o mdłości. Miał ochotę kogoś uderzyć, nawet zabić. Ale nie potrafił zrezygnować z Anny. - W porządku, w porządku. Wygrałaś - powiedział spokojnym głosem. - Ale wiedz, że czekam już na ciebie dość długo i kończy się moja cierpliwość... Nazajutrz Anna zadzwoniła do Consueli. W ubiegłym roku, kiedy Anna myślała o sprzedaży domu, Consuela wyprowadziła się do Sacramento i zamieszkała ze swoją siostrą. Teraz chętnie zgodziła się na powrót do Coulterów. W ciągu trzech dni wysprzątała cały dom, przewietrzyła pokoje, zaściła łóżka i zapelniła spiżarnie. Filip wyprowadził się z opustoszałego apartamentu Lindy. Przeniósł swoje rzeczy do przestronnej garderoby, gdzie umieścili jednoosobowe łóżko. Dzień, w którym odebrali Evie z sanatorium był wesoły, słoneczny i bezchmurny. Czekali, aż pożegna się z uśmiechniętymi pielęgniarkami i doktorem Frankiem, którego pokochała i darzyła zaufaniem. Filip zaniósł jej walizki do starego chryslera i kierując się na południe ruszyli do San Francisco. W drodze do domu zatrzymali się w Sausaito. Wybrali restaurację z widokiem na Zatokę, niegdyś ulubione miejsce Evie, i zamówili na lunch smakowite krewetki. Evie obserwując rodziców podczas lunchu, zastanowiła się przez chwilę, co stało się z Lindą i Adamem, ale bała się poruszyć ten temat. Skoro rodzice wrócili do siebie, musieli zerwać ze swoimi kochankami. Nie znajdowała innego wytłumaczenia. Ale czy to ze względu na mnie? Nie mogła pozbyć się dręczącej ją myśli. Evie studiowała ich twarze, kiedy wracali do samochodu, ale nie dostrzegła nic, prócz radości, że znowu jest z nimi. Nie, to niemożliwe, żeby zeszli się z mojego powodu. Zapewne sami zrozumieli, że my troje należymy do siebie, tak jak było dawniej... Jak każdy człowiek Evie wierzyła w to, co chciała uwierzyć. Rodzice nadal się kochają. Wyciągnęli wnioski ze swojego szaleństwa. Jeśli ona była katalizatorem, to tym lepiej. Powrót do domu okazał się o wiele trudniejszy, niż wyobrażali to sobie Anna i Filip. Filip musiał wyrzec się wszelkich planów, by pojechać za Lindą do Waszyngtonu. Anna nie zносиła ukradkowych telefonów do Adama ani pośpiesznych godzinnych spotkań,

kiedy przylatywał podczas weekendów. Zawsze istniało duże ryzyko, że to się wyda. Przez pierwsze tygodnie Evie nie spuszczała matki z oczu i chodziła za nią wszędzie, jak dwuletnie dziecko. Anna właśnie stwierdziła, że Evie jest w gorszym stanie niż w sanatorium, kiedy nagle jej się poprawiło. Zaczęła wychodzić do miasta, dzwoniła do przyjaciół. Nawet planowała powrót do szkoły w następnym semestrze. W Annie obudziła się nadzieja, że będzie mogła wkrótce wrócić do Adama. Tymczasem zapytała Frankela, czy Evie czuje się na tyle dobrze, by ona mogła spędzić tydzień w Nowym Jorku. Ma bardzo pilne interesy do załatwienia. Frankel odparł, że nie widzi przeciwwskazań - poza tym Filip zostaje z Evie w domu i w każdej chwili będzie mógł jej pomóc. Anna dziękowała Bogu za błogosławieństwo lekarza. Rozpaczliwie pragnęła zobaczyć Adama i upewnić się, że nadal ją kocha. Rozdział czterdziesty czwarty Adam wyszedł po Annę na lotnisko, ale podczas jazdy na Manhattan oboje byli zbyt skrepowani, by powiedzieć cokolwiek oprócz kilku zdawkowych słów. Oboje obawiali się, że mogliby się zranić. Otworzyłaby się pomiędzy nimi przepaść, której nigdy nie zdołaliby zamknąć. Przez moment Anna zastanawiała się, czy nie zrobiła błędu przyjeżdżając do Nowego Jorku. Przypomniała sobie jego gniew. Czy ośmieli się mówić z nim o Evie? Nie zapytała dokąd jada, ale wiedziała, że do jego mieszkania. Odczuwała coś w rodzaju strachu. Skoro tylko zamknął za nimi drzwi, wziął ją w ramiona i pocałował. Wciąż nic nie mówiąc weszli do sypialni. Anna odwróciła się do niego i westchnęła. - Muszę chyba być moralnie zepsuta. Ale chyba nikt nie pragnął mężczyzny tak, jak ja pragnę ciebie. Pocałował delikatnie jej ramię. - Anno... Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo za tobą tęskniłam. Wiem, że masz wiele trosk, ale ja już dłużej nie zniosę tej rozłąki. - Obiecuję ci, to się niedługo skończy. W tym momencie, leżąc w jego ramionach, czuła, że gdyby zażądał, by opuściła swoją córkę i przeprowadziła się do niego, zgodziłaby się. Ale nie zrobił tego. Zaciśnęła palce na jego nadgarstkach. - Kochaj mnie, Adamie. Pod koniec spędzonego razem tygodnia, zaczęli odczuwać narastające między nimi napięcie. Ani Anna, ani Adam nie wspomnieli nawet imienia Evie, ale jej obraz towarzyszył im na zakupach, w restauracjach i w teatrze, a nawet w łóżku. Coraz bardziej kontrolowali swoje rozmowy, żeby przypadkiem nie poruszyć zakazanego tematu. Kiedy pocałowali się na pożegnanie, Adam powiedział: - Anno, ja mówię poważnie. To nie może trwać zbyt długo. Przytuliła się do niego, do oczu napłynęły jej łzy: - Nie potrwa - przyrzekam. Ani Filip, ani Evie nie wypytywali Anny o czas spędzony w Nowym Jorku. Każdego dnia rodzice Evie wmawiali sobie, że ich córka staje się znowu sobą. Jednak w głębi serca nie byli o tym przekonani. Chociaż Evie widywała się ze swoimi starymi przyjaciółmi, a Frankel zredukował wizyty do jednej w tygodniu, Evie przeżywała momenty rozpacz i załamania. Czasem była bardzo nerwowa, kiedy któreś z rodziców wspomniało, że wychodzi z domu. Często płakała późno w nocy i nie chciała w ogóle słyszeć o Piotrze. Ten drugi z objawów Anna uznała za szczególnie zły znak. Piotr uświadomił sobie po tym okropnym Sylwestrze, że zachował się niestosownie. Ale czy częściowo nie była to wina Evie? Małżeńskie nieporozumienia jej rodziców były dla niej ważniejsze niż on sam, więc chyba jej na nim nie zależało. Wylała mu alkohol na twarz. A potem pewnego dnia oświadczyła bez ogródek, że już go nie kocha. Czy potrzeba mu było więcej dowodów? Mimo wszystko, kiedy usłyszał, że Evie jest chora i przestała chodzić do szkoły, jego dawne uczucie do niej przewyciężyło dumę. Posyłał jej kwiaty i kartki. Nawet zaczął pisać do niej listy, błagając o przebaczenie i pytając, czy jest jakaś szansa na porozumienie. Czas mijał, a on nie uzyskał odpowiedzi. Uznał więc, że jej milczenie potwierdza to, co

powiedziała: "Piotrze, ja ciebie już nie kocham". Jednak błagał Kim i Leslie, by ułatwiły mu kontakt z nią. Kiedy jednak odmówiły, zrezygnował z tych prób i poświęcił się całkowicie nauce. Ukończył studia jako prymus i wiele firm inżynierskich nadesłało mu oferty pracy. Prawie przez całe lato jeździł po kraju na rekonesans. We wrześniu przyjął w końcu ofertę firmy Bechtel. Podpisując kontrakt zastanawiał się, czy mógłby chociaż raz zobaczyć się z Evie, zanim wyjedzie na kontrakt za ocean. Po raz ostatni błagał Kim, aż wyciągnął od niej informację. - Nie wróciła jeszcze do szkoły, Piotrze. Ona jest... chora. - Tak długo? Co się na Boga z nią dzieje? Powiedział to takim zbolałym głosem, że Kim skapitulowała. W końcu był to Piotr, na którym Evie tak bardzo zależało. Wzięła go za rękę i wyszeptwała: - Ona nie jest fizycznie chora, Piotrze. Ona... miała depresję. Była w sanatorium. Piotr był wstrząśnięty. Przez cały ten czas próbował oszukać swoje uczucia, nazywając Evie niedojrzałą i zmienną. Tymczasem ona czuła się potwornie samotna i beznadziejnie chora. - Powiedziałaś: była. A gdzie jest teraz? - No cóż, Coulterowie zeszli się i Evie mieszka z nimi tam, gdzie dawniej. - Myślisz, że zgodziłaby się ze mną spotkać? Kim zawahała się nie chcąc go zranić. Nie sądziła, by Evie kiedykolwiek była w stanie spojrzeć mu prosto w oczy, a co dopiero powiedzieć prawdę. - Nie wiem, Piotrze. Może, może... spróbuj. Następnego dnia zaparkował swoją starą corvette naprzeciwko domu Coulterów. Może naprawdę go nie kocha. Ale jeśli tak - chce jeszcze raz usłyszeć to z jej własnych ust, zanim wyjedzie za ocean. Wziąwszy głębszy oddech nacisnął dzwonek. Consuela otworzyła drzwi, mierzając go krytycznym wzrokiem. - Czy jest Evie w domu? - Jest w domu, ale nie wiem, czy zechce się z kimkolwiek dzisiaj widzieć. Zaczęła zamykać drzwi, ale Piotr zrobił krok do przodu, zatrzymując ją. - Myślę, że ze mną się zobaczy, Consuelo. Zapowiem się sam. Wymijając ją zobaczył Annę schodzącą ze schodów. - Piotrze, tak się cieszę, że cię widzę! - powiedziała wyciągając do niego dłoń. - Przypuszczam, że chcesz zobaczyć się z Evie. - Skinął głową. - Cóż, lepiej będzie, jeśli wejdziemy do salonu i porozmawiamy. Powiedz mi, co porabiasz, Piotrze? - Oprócz tego, że cierpię z powodu Evie? Dostałem angaż w firmie Bechtel. Wysyłają mnie do Norwegii na roczny kontrakt. Wyjeżdżam za miesiąc, a nie mógłbym opuścić kraju nie spróbowaawszy pogodzić się z Evie. Czy wie pani, dlaczego nigdy nie odpowiedziała na moje listy? - Piotrze, musisz to zrozumieć. - Anna zaczęła niespokojnie. - Evie była bardzo chora. Przeżyła załamanie nerwowe. Lekarz powiedział, że będzie lepiej, jeśli nie będziemy przekazywać jej listów od ciebie. Proszę... postaraj się nas zrozumieć. Wyraz twarzy Piotra zdradzał gniew i rozdrażnienie. - Pani Coulter, dlaczego pani do mnie nie zadzwoniła? Miałem prawo wiedzieć, Evie nie była przygodną dziewczyną - rozmawialiśmy o małżeństwie. W tym momencie Anna zdała sobie sprawę, jak egoistycznie z Filipem postąpili. Byli tak zajęci córką, że ani razu nie wzięli pod uwagę uczuć tego młodego człowieka. - Piotrze - nie wiem co powiedzieć. Wybacz mi. Wiem, co Evie do ciebie czuła, ale była taka chora... taka nieszczęśliwa. Straciliśmy prawie rozum ze zmartwienia i myśleliśmy tylko o tym, jak ją ratować. Popelniliśmy błąd. Czy zdołasz nam to wybaczyć? Wyraz twarzy Piotra złagodniał. - Pani Coulter, tu nie ma nic do wybaczenia. Proszę mi tylko powiedzieć, jak ona się czuje. Kiedy mogę ją zobaczyć? Anna przyglądała mu się w zamyśleniu. - To dobre pytanie, Piotrze. Kiedy? - pomyślała. Piotr był zbyt zrozpaczony, by zauważyć, że Anna też jest u kresu sił. Kiedy minęła już pierwsza radość po przyjeździe Evie do domu, stwierdziła, że powrót córki do zdrowia potrwa znacznie dłużej niż przewidywała, i jeszcze bardziej ją to przygnębiło. Teraz podjęła nagłą decyzję:

ani Evie, ani ona sama nie może izolować córki przed światem zewnętrznym. Odwróciła się do Piotra i uśmiechnęła się. - Piotrze... Pójdę powiedzieć Evie, że tu jesteś. Nogi się pod nią niemal ugięły, kiedy weszła na górę do biblioteki i wyjęła plik listów i kartek od Piotra. Wyjęła ostatni z nich i weszła do pokoju. Evie spojrzała na nią leżąc nieruchomo na łóżku. Taca z nietkniętym śniadaniem stała obok niej. - Co takiego, mam? Anna wzięła głębszy oddech. - Piotr czeka na dole. Evie strąciła tacę na podłogę. - Nie! Nie chcę go widzieć. Powiedz mu, żeby sobie poszedł! W ułamku sekundy Anna uświadomiła sobie, że jeśli istnieje jeszcze jakakolwiek szansa dla jej córki, to teraz nadszedł decydujący moment. Evie będzie musiała stanąć wobec wydarzeń, które doprowadziły ją do choroby. Polegając na instynkcie, który na przestrzeni lat okazał się taki pożyteczny, chwyciła Evie za ramiona i trzymała ją powtarzając - wszystko będzie w porządku, Evie. Musisz mi zaufać - wszystko będzie w porządku. Evie wstała, poprawiła szlafrok, po czym usiadła w bujanym fotelu naprzeciw matki. - Evie - kontynuowała Anna - chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię z ojcem kochamy. Ale prawda jest taka, że to nie my jesteśmy twoim największym problemem. Musisz przestać obwiniać się za to, co się stało. Dopóki tego nie zrobisz, nie masz szans na wyzdrowienie. Jeśli zobaczysz się teraz z Piotrem, na pewno ci to pomoże. Nie musisz wychodzić za niego za męża, kochanie - po prostu postaraj się pogodzić z przeszłością, by móc ułożyć sobie dalsze życie. Sprzyjamy ci z ojcem, bez względu na to, jaką decyzję odejmiesz. Ale daj jemu i sobie szansę. Wręczyła Evie grubą kopertę i wstrzymała oddech w momencie, kiedy jej córka wyjęła gęsto zapisane strony i zaczęła czytać. Pierwsze kilka stron zawierało ogólne informacje - nowinki ze szkoły i bractwa studenckiego, wyrazy współczucia z powodu jej choroby. W końcu dotarła do ostatniej strony. "...Kochana Evie, rozważyłem to po raz kolejny, czy zwrócić się jeszcze raz do Ciebie. Od miesięcy toczę tę wewnętrzną walkę. Ale bez względu na to jak bardzo próbuję, nie mogę przestać Cię kochać. Czy jest dla mnie jakaś szansa? Powtarzam sobie - wyraziłeś to jasno, że między nami koniec. Ale trudno mi w to uwierzyć. Przecież tak dobrze nam się wszystko układało! Od pierwszego momentu, kiedy zobaczyłem Cię na uniwersytecie, wiedziałem, że jesteś tą dziewczyną, na którą czekam. I byłem taki szczęśliwy, kiedy powiedziałaś mi, że mnie kochasz. Po prostu wydaje mi się niemożliwe, aby miłość taka jak nasza, mogła się skończyć. Evie, bez względu na wszystko, co się stało między nami, ja wciąż Cię kocham z całego serca. Czy mógłbym się z Tobą zobaczyć, jeśli się nie zgodzisz, nie będę się narzucał. Mam nadzieję, że Twoja odpowiedź będzie brzmiała - tak. Kochający Piotr" Anna czekała, śledząc twarz córki. Kiedy Evie skończyła czytać, po jej policzkach popłynęły łzy. Każde słowo listu podkreślało trwałą, bezinteresowną miłość Piotra. - Miłość, na którą w ogóle nie zasłużyła. W końcu poniosła wzrok i powiedziała: - Zobaczę się z nim, mam. Piotr biegł na górę przeskakując po trzy stopnie. Kiedy zobaczył Evie bladą i wychudzoną, ukrył twarz w dłoniach i załkał. - Evie, kochanie - powiedział cicho robiąc krok do przodu. - Nie, Piotrze, nie podchodź bliżej! - Owinęła się szczelniej szlafrokiem i skurczyła na krześle. - Evie, najdroższa - powtórzył w oszołomieniu, patrząc w jej przestraszone, szeroko otwarte oczy, po czym, pomimo jej protestów, podniósł ją z krzesła i przyciągnął do siebie tuląc jak dziecko. Evie drgnęła, lecz wbrew sobie nie mogła oprzeć się przyjemności, jaką odczuwała będąc w jego ramionach. Lodowa skorupa, która wytworzyła się wokół jej serca zaczęła topnieć. Był taki dobry, taki mocny... Zawsze czuła się z nim bezpiecznie. Wtem przypomniała sobie co zrobiła. Jest bezpłodna. Nie jest dziewicą. Nie ma żadnego prawa do Piotra i

nie ma dla nich żadnej przyszłości. Odtrąciła go. - Proszę, odejść już, Piotrze. Dziękuję, że mnie odwiedziłeś. - Odejść? Ja ciebie kocham, Evie. Co się stało? Powiedz mi! - powiedział to niemal gniewnym głosem. Ale Evie odwróciła się do niego tyłem, niezdolna do odpowiedzi. Piotr nie mógł tego dłużej znieść. Obrócił ją i chwycił brutalnie za ramiona. Nie zważając na nic, krzyknął: - Evie, co ty przede mną ukrywasz? Powiesz mi wreszcie co się stało, czy mam to z ciebie wyciągnąć? Może nie wiesz, ile bezsennych nocy spędziłem, martwiąc się o ciebie. Wypytywałem wszystkich, ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Po prostu zniknęłaś z mojego życia. Czy wyobrażasz sobie do diabła, co ja przeżywałam? Ale teraz czujesz się lepiej, więc dlaczego nie możemy być znowu razem? Powiedz mi wreszcie! - Dobrze, Piotrze. Ale daj mi chwilę czasu. Proszę... Wyrzała przez okno, próbując zebrać myśli. Było za późno, by się teraz wycofać. Powie mu i wtedy on ją opuści. To najprostsze rozwiązanie. - Kocham cię, Piotrze. Zawsze cię kochałam, ale ja nie mam do ciebie prawa. Po tym, co się stało. - Evie - jak możesz coś takiego mówić? Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? - Ja cię zdradziłam. Nie chciałam - to się po prostu stało. Tego co zrobiłam, nie da się już naprawić. - Evie, nie ma takiej rzeczy, której bym ci nie wybaczył. Przełknęła z trudem. - Piotrze, to może być właśnie ta jedna rzecz. Posłuchaj. Pamiętasz tego Sylwestra... Kiedy mu wszystko opowiedziałam, ze zdziwieniem odczuła ogromną ulgę, chociaż wiedziała, że będzie nią pogardzał. Czekala na jego reakcję, ale nie odezwał się. Chwyciła go za rękę. - Musisz mnie chyba nienawidzić. Piotr w końcu zebrał myśli. Był wściekły, lecz nie na Evie. Winny był Chuck, który wykorzystał jej osamotnienie i naiwność. Siebie też obwiniął. Powinien być bardziej przewidujący i nie zostawiać Evie na alkoholowym przyjęciu z takim typem jak Swanson. - Kocham cię, Evie - powiedział. - I tylko to się liczy. Nie miała odwagi spojrzeć mu prosto w oczy. - Ależ Piotrze, czy ty nie rozumiesz? Nie możemy mieć dzieci! - Evie... kochanie... to nie ma znaczenia. - Chcieliśmy mieć dużą rodzinę - pamiętasz? - Wiem, Evie. Ale możemy zaadoptować dzieci. Zależy mi tylko na tobie. Nagle, przerażenie i udreka które przeżywała rozpięchły się. Prawie roześmiała się w głos na myśl, że jeszcze nie tak dawno chciała umrzeć. Nie tylko chciała. Poczynała w tym kierunku pewne kroki! Zwróciła się do niego. - Piotrze, wyjdź na chwilę. Muszę się ubrać. Zbliżyła się pora lunchu. Powiem, żeby Consuela nakryła też dla ciebie. Tego popołudnia, przy kawie, powiedzieli Annie i Filipowi, że chcą się pobrać przed wyjazdem Piotra do Norwegii. - Wiem, że to trochę pośpiesznie, mam - powiedziała Evie - ale nie chcemy hucznego wesela - zaprosimy rodzinę i kilku przyjaciół. Anna już miała wyrazić zgodę, kiedy przypomniała sobie, że jej córka jest chora. Czyżby jej błyszczące, pełne nadziei oczy były oznaką powrotu do zdrowia? Stało się to tak nagle. Wszystko działo się zbyt raptownie... - Uważam, że powinniście porozmawiać o waszych planach z doktorem Frankiem. Jeśli uzna, że Evie może wyjechać zagranicę, wówczas z pewnością otrzymacie nasze błogosławieństwo. Frankel wyraził opinię, że małżeństwo z człowiekiem, którego Evie zawsze kochała, tylko przyczyni się do jej szybkiego powrotu do zdrowia. Pozostał jeszcze jeden problem. Musieli powiedzieć jej, że jednak mają zamiar się rozwieść. Teraz, kiedy ma zapewnioną stabilną przyszłość, z pewnością nie będzie nad tym rozpaczając... Anna zgodziła się porozmawiać z Evie następnego dnia. Tego wieczora kładła się spać z postanowieniem, że przekona córkę o ich niezmiennej trosce o nią, bez względu na to, czy są razem, czy też nie. Tuż przed położeniem się do łóżka spojrzała na zegarek. W Nowym Jorku była pierwsza, ale była zbyt podekscytowana, by odłożyć rozmowę z Adamem do rana. - Kochanie - powiedziała -

mam nadzieję, że cię nie obudziłam, ale ... - Co się stało? - zapytał Adam, siadając sztywno na łóżku i sięgając po papierosa. - Nic. Wszystko ułożyło się cudownie. Evie poprawiło się tysiącrotnie. Adamie, ona zamierza wyjść za mąż! Adam nie odezwał się słowem. Nareszcie koniec ich długiej rozłąki. Anna może teraz sprzedać interes i przeprowadzić się do Nowego Jorku. - Adamie, słyszysz mnie? - Tak, kochanie. Powiedz mi, jak to się stało? Anna opowiedziała mu o wizycie Piotra dodając na końcu: - Bogu dziękuję, Adamie. Okazałeś tyle ciepłości. Były chwile, kiedy myślałam już, że cię stracę. - Nigdy, Anno. Nigdy mnie nie stracisz. - Kochanie, czy możesz przyjechać na ślub? Nie będziemy z tym długo czekać, bo Piotr wyjeżdża na kontrakt do Norwegii. - Wiesz, że przyjadę. Ale czy Evie zechce się ze mną widzieć? - Oczywiście, Adamie. W głębi serca Anna nie była o tym przekonana. Nazajutrz odważyła się powiedzieć przy śniadaniu: - Evie, doszliśmy z ojcem do wniosku, że czujesz się na tyle dobrze, by poznać prawdę. Wciąż darzymy się z twoim ojcem wzajemnie wielką sympatią, ale nie jesteśmy w sobie zakochani. Gdyby było inaczej, nie byłoby miejsca dla Adama i Lindy w naszym życiu. Czy rozumiesz, o czym mówię, kochanie? Nie można wybierać kogoś i dopiero pokochać. To po prostu się staje. I tak jak ty chcesz spędzić resztę życia z Piotrem, ja chcę być do końca moich dni z Adamem. Czy jesteś w stanie to zaakceptować, kochanie? Evie zastanowiła się przez chwilę. Bardzo chciała, by rodzice byli zawsze razem. Ale jej matka miała rację. Wbrew wszystkim pozorom zdawała sobie sprawę, że powrócili do siebie ze względu na nią. - Myślę, że tak - powiedziała. - Chcę, żebyś była szczęśliwa, mamo. A Adam jest taki atrakcyjny... Anna z radości ucałowała córkę w policzek. - Dziękuję ci, dziękuję ci, Evie. Następane trzy tygodnie minęły na gorączkowych przygotowaniach. Trzeba było rozesłać zaproszenia, zaplanować ucztę weselną, kupić Evie nowe ubrania, bo chociaż wyraźnie przybrała na wadze, stare wciąż były na nią za duże. Suknię ślubną dostarczono Evie w ostatniej chwili i gdy Anna zobaczyła ją wirującą w delikatnych koronkach, stwierdziła, że jej córka nie mogłaby wyglądać piękniej, nawet gdyby sukienkę zaprojektowano specjalnie dla niej. Kim i Leslie przyjechały dzień przed ślubem, uradowane, że ich przyjaciółka jest nareszcie zdrowa i szczęśliwa. Zachwyciły się wszystkim, szczególnie przystojnym panem młodym i nie omieszkały powiedzieć Evie, że będzie miała wspaniałego ojczyca. Evie o mało się nie rozpląkała. - Boże, co ja bym bez was zrobiła - po twarzy przemknął jej uśmiech. - Wyglądacie prześlicznie. Kim roześmiała się. - Naprawdę? - przyjrzała się badawczo swojemu odbiciu w lustrze. Miała na sobie pięknie udrapowaną sukienkę z dobranym do niej kwiecistym kapeluszem, który jej babka kupiła w latach trzydziestych w Paryżu. Zawsze powtarzała Kim, że kto jak kto, ale Lilly Dache z pewnością wie jak zrobić kapelusz. Obok niej Leslie przyglądała się sobie krytycznie. Hiacyntowy kolor pasował jej doskonale. Wyglądała bardziej wyszukanie niż jej dwie przyjaciółki - w turbanie z kokardą w kształcie wachlarza na głowie. Uśmiechając się do siebie wiedziały, że ich przywiązania i przyjaźni nic nie zdoła zniszczyć. W ciągu kilku krótkich tygodni Evie ponownie rozkwitła. Anna zachwyconym wzrokiem podziwiała urodę córki, wspominając swój własny ślub. Zawsze marzyła, że jako panna młoda podejdzie główną nawą do chuppy, w sukni z długim trenem z puszystego tiulu. A teraz Evie zdecydowała się na ślub tak skromny jak jej samej. Co za ironia. Uroczystość odbyła się w gabinecie rabina. Evie z Piotrem złożyli przysięgi. By dopełnić ceremonii, jak to było w tradycji lat sześćdziesiątych, odczytali fragment "Proroka" Kahlila Gibrana. "Stójcie razem, lecz nie nazbyt blisko:@ gdyż kolumny świątyni oddzielnie stać muszą,@ a dąb i

cyprys nie rosną w cieniu drugiego."@ (Przekład: Wanda Dymowska) Adam był bardzo głęboko wzruszony pięknem tych słów. Niosły w sobie więcej duchowej prawdy niż którekolwiek z kazań. Wziąwszy Annę za rękę spojrzał na nią rozmiłowanym wzrokiem. Był to tak wzruszający i pełen nadziei moment, że stojąc tu, w tym świętym miejscu, czuli się, jakby ich własny związek został pobłogosławiony. Anna z Ruthie, siedząc przy stole weselnym, uśmiechały się do siebie przez łyżki. Wspominały ślub Ruthie tej odległej wiosny. - Kto by pomyślał - powiedziała Ruthie, - że nasze dzieci się pobiorą? Patrząc na Filipa, Anna powiedziała ze smutkiem: - Nigdy nie wiadomo, co życie z sobą przyniesie. Evie z Piotrem pokroili tort, a zaraz po tym Filip wstał i wznosił toast. - Za mojego zięcia. Już dałem ci to, co dla mnie najcenniejsze. Teraz życzę ci wszystkiego najlepszego. Po wyjściu nowożeńców, którzy udali się na lotnisko, gdyż chcieli spędzić kilka dni w Nowym Jorku przed odlotem do Oslo, Filip obserwował, jak Anna odjeżdżała z Adamem. Zastanawiał się, co stało się z jego marzeniami. Nadziei na karierę prawniczą pozbył się już przed laty, a teraz nie mógł liczyć na to, że ułoży mu się z Lindą. Szczęśliwy był, że Evie powróciła do zdrowia, ale kiedy wrócił do domu, nie przestawał myśleć o swoim własnym ślubie i wszystkich oczekiwaniach na przyszłość z tego okresu. Anna z Adamem uczcili powrót Evie do zdrowia w Fairmont. Po raz pierwszy Adam nalegał, by przyspieszyć rozwód. - Już rozmawiałam o tym z Maxem Friedmanem. Nie sądzi, by pojawiły się jakieś problemy z podziałem majątku, a Filip nie będzie wnosił żadnych sprzeciwów na rozprawie. Ale ze mną będziesz miała problemy. Oczekuję, że najpóźniej za sześć miesięcy będziesz wolną kobietą. Nazajutrz Filip nalegał, by zawieźć ich na lotnisko. Gdy Adam odszedł, by wpisać ich na listę pasażerów, Anna i Filip zostali na kilka minut sami. - Filipie, co zamierzasz robić? Może powinieneś zadzwonić do Lindy? - Cóż, minęło już sporo czasu. Nie wiem, czy zechce się ze mną zobaczyć. - Myślę, że powinieneś spróbować. Kobiety nie zmieniają tak szybko swoich uczuć. Poza tym sytuacja się zmieniła, prawda? - Tak, to prawda - powiedział. - zastanawiam się... - Nie zastanawiaj się. Po prostu zadzwoń. Spojrzał na nią z podziwem. - To właśnie zawsze nas różniło. Ty pragniesz wykorzystać szansę, a ja się waham. Może tym razem pójde w twoje ślady i zadzwonię do niej. - Zrób to, Filipie... - Anna przynagliła łagodnie. - Mam nadzieję, że ci się ułoży. - Impulsywnie nachyliła się i ucałowała go w policzek. - Do widzenia. Życzę ci dużo szczęścia. Wróciwszy do pięknego domu Anny, który miał wkrótce być sprzedany, Filip postanowił skorzystać z jej rady. Chwycił za słuchawkę i wykręcił numer. - Linda...? - trwało to chwilę, zanim rozpoznała jego głos. - Wiem, że zaskoczyłem cię tym telefonem, ale musiałem zadzwonić. Chyba wciąż się na mnie gniewasz i masz prawo. Nie zamierzam się tłumaczyć, chcę tylko powiedzieć, że Evie była bardzo chora. Ale sytuacja się zmieniła. Czuje się już dobrze. Wczoraj odbył się jej ślub z człowiekiem, którego znała od dzieciństwa. - Filipie, tak się cieszę. Wziął głęboki oddech i powiedział pośpiesznie: - Lindo, ja wciąż cię kocham. Czy myślisz, że jest dla nas jakaś szansa? - Nie wiem. Tak trudno mi było cię opuścić. Byłam odrętwiała przez długi czas. Już sama nie wiem, co czuję. - Czy jest ktoś inny? - Nie. Nie mam nikogo. Ja po prostu potrzebuję czasu... - Rozumiem. Ale czy mógłbym przylecieć i zobaczyć się z tobą za kilka tygodni. - Nie wiem - zrobiła przerwę. - Czy ty tego nie pojmujesz? - Nie chcę znowu cierpieć. - Ale mogę do ciebie dzwonić? - Tak, oczywiście. - Jutro - obiecał. Tego samego wieczora Anna z Adamem jedli obiad w "Lutece". Kiedy tak siedzieli szczęśliwi przy kawie i koniaku, Adam odezwał się: - Kochanie, chciałbym ci coś podarować. Wyjął małą

aksamitną szkatułkę z kieszeni. Wewnątrz znajdował się pierścionek z diamentem. Wsunął go jej na palec. - Dla mojej żony - powiedział dobitnie. Ta noc była cudowna. Nazajutrz o szóstej rano obudził ich telefon od Consueli. O Boże - coś się stało Evie, pomyślała w pierwszej chwili Anna. Consuela odezwała się przestraszonym głosem: - Chodzi o pana Coultera - on miał wylew. Bardzo poważny. Anna tak się trzęsła, że prawie upuściła słuchawkę. Wiedziała, że to kara za jakiś okropny grzech. Była tak niezmiernie szczęśliwa przez ostatnie tygodnie - a teraz to. - Gdzie on jest, Consuelo? - zapytała w końcu odzyskawszy głos. - W szpitalu Mount Zion. - Czy Evie już wie? - Tak. Zadzwoiłam do Piotra. Powiedział, że ją powiadomi i jeśli pani zechce, przylecą do domu. - Posłuchaj, Consuelo. Pozostań przy nim. Przyjadę najszybciej, jak tylko będę mogła. - Odłożyła słuchawkę, zalewając się łzami. Adam domyślił się całej sytuacji z tego, co mówiła Anna, ale zapytał, obawiając się odpowiedzi. - Co się stało, Anno? Nie wiedziała jak ma mu powiedzieć. Adam był dotychczas taki cierpliwy, ale ile jeszcze zdoła znieść? Po raz pierwszy poczuła, że ogarnia ją wątpliwość. Może nie powinna być z Adamem? Przynosi mu tylko nieszczęście... Filip miał wylew. Adam nie odezwał się. Przez moment odczuwał tylko morderczą wściekłość. - Adam, co ja mam zrobić? - Co masz zrobić? No dobrze, powiem ci. Spakuj walizki, zadzwoń na lotnisko i polec do domu, do twojego Filipa, skoro chcesz z siebie zrobić Florence Nightingale. - Adamie... proszę cię. - Więc na co czekasz? Przecież podjęłaś już decyzję, prawda? W rozpacz, ledwie wydobywając z siebie głos, błagała: - Adam proszę, nie gniewaj się. On jest zupełnie sam. Pomimo wściekłości i rozgoryczenia Adamowi zmiękło serce. Było coś takiego w Annie, co zawsze budziło w nim współczucie - i podziw. Wiedział, że jest rozdarta między miłością do niego a poczuciem obowiązku. Westchnął. - W porządku, kochanie. Chodźmy. Zawiozę cię na lotnisko. Rozdział czterdziesty piąty Anna zobaczywszy Filipa w szpitalu przeraziła się jego widokiem. Nie mógł mówić, lewą stronę miał sparaliżowaną. Usiadła przy łóżku i wzięła go za rękę. - Filip, kochanie... Tak mi przykro. To takie niesprawiedliwe. Kocham cię i zadbam o to, żebyś miał należytą opiekę. Nie jesteś już sam. Pozostała z nim aż do końca odwiedzin. Kenny i Ruth namawiali ją, by zatrzymała się u nich. Anna z wdzięcznością przyjęła to zaproszenie. Po tym wszystkim samotność byłaby nie do zniesienia. - Martwię się o Evie - powiedziała Anna do Ruth następnego ranka. - Nawet jeśli stan Filipa się poprawi, nie chcę, żeby przyjeżdżała do domu. Jej miejsce jest przy Piotrze. Evie zadzwoniła tego dnia i Anna ucieszyła się, słysząc, że przyjęła tę okropną wiadomość z takim spokojem. Powiedziała, że zaczeka z decyzją przyjazdu do Kalifornii jeszcze dzień lub dwa. Anna zapomniała powiadomić jedną ważną osobę. W Waszyngtonie Linda czekała na telefon od Filipa. Wiedziała, że jest niezawodny i wrażliwy, nie należy do ludzi, którzy zapominają o takich rzeczach i dlatego domyśliła się, że coś się musiało stać. Poczekala jeszcze jeden dzień, po czym zadzwoniła do biura. Połączono ją z Kennem. - Przykro mi, że to ja muszę cię powiadomić, Lindo, ale Filip miał wylew. Lekarze twierdzą, że przy odpowiedniej terapii odzyska mowę i do pewnego stopnia zdolność ruchu. Ale obecnie jest zupełnie unieruchomiony. Linda usiadła ściskając słuchawkę w odrętwieniu. - Przyjadę. Muszę się z nim zobaczyć - zdołała w końcu powiedzieć. - On mnie potrzebuje. Nastala cisza, gdyż Kenny szukał odpowiednich słów. - Wiem, że Filip to doceni, Lindo, ale muszę ci powiedzieć: Anna już tu jest. Przyleciała natychmiast z Nowego Jorku. Evie jest w Norwegii, ale może przyjedzie. Czekamy na jej decyzję. Linda pojęła aż nazbyt dobrze, co Kenny chciał przez to powiedzieć: być może, że Filip ją kochał, może

wciąż ją kocha, ale ci ludzie to jego rodzina. Och, gdyby do mnie wtedy nie zadzwonił... Opanowanym głosem, najspokojniej, jak tylko mogła, powiedziała: - W takim razie będę tylko przeszkadzać. Filip nie potrzebuje trzech kobiet w swoim życiu. Kenny nic na to nie odpowiedział. Po odpowiedniej terapii i przy ogromnej sile woli, Filip mógł wrócić do domu już po tygodniu. W bibliotece urządzono coś w rodzaju szpitala domowego. Anna zapewniła mu opiekę pielęgniarstwa przez całą dobę. Po dwóch tygodniach od jego powrotu do domu przyleciała Evie, chociaż jej matka wciąż uważała, że to nie jest konieczne. - Przyjeżdżam, mam - oświadczyła Evie przez telefon. - Piotr to zrozumie. - Nie, Evie - powiedziała Anna stanowczo. - Twoje miejsce jest przy mężu. - A gdzie jest twoje miejsce, mam? Pytanie Evie dźwięczało jej w uszach. No właśnie, gdzie jest jej miejsce? Według prawa, wciąż jest żoną Filipa, czuje się za niego odpowiedzialna. No bo kto się nim zaopiekuje, jeśli nie ona? Jest zupełnie sam. Nie dopuszczała myśli, by została z nim Evie. Jedynym rozwiązaniem było przekonać Adama, by jeszcze raz poszedł na kompromis. Z tą myślą poleciała do Nowego Jorku. Modliła się, by Adam ją zrozumiał, ale jej nadzieje zostały brutalnie rozwiane po pięciu minutach rozmowy z nim. - Chcę, by to było jasno powiedziane - krzyknął. - Proponujesz, żebyśmy siedzieli z założonymi rękami i czekali, aż Filip wyzdrowieje, wtedy się pobierzemy? Kocham cię, Anno - bardziej niż kogokolwiek na świecie. Ale tym razem mam tego powyżej uszu. - Przerwał, po czym dodał spokojniej. - Będziesz musiała wybrać, Anno - ja albo twoja rodzina. - Znowu podniósł głos. - I muszę cię ostrzec. Jeśli wybierzesz rodzinę, wówczas, na Boga, koniec z nami! - Adam... nie mówisz tego poważnie. - Gdybyś mnie kochała, nawet by ci nie przyszło do głowy, by mnie znów opuścić. - Ależ, Adamie, ja cię nie opuszczam. - Naprawdę? Nie opuszczasz mnie? To ciekawe. Powiedziałaś, że wracasz do swojego męża. Czyż nie tak? A co oznacza ten "krótki czas"? Posłuchaj - koniec dyskusji. Znosiłem to, kiedy Evie była chora - jest twoim jedynym dzieckiem, to mogłem zrozumieć. Ale nie będę dzielił się tobą z twoim mężem. Byłoby dla mnie lepiej, gdybyś zniknęła z mojego życia raz na zawsze. - Adam... Co ty chcesz przez to powiedzieć? - Chcesz wiedzieć? Byłbym wolny! Nie siedziałabym przy telefonie z nadzieją, że oderwiesz się na chwilę od swojej rodziny i zatelefonujesz do mnie. Powtarzam raz jeszcze: jeśli wyjdiesz dzisiaj z tego mieszkania, koniec z nami. - Adamie... nie rób mi tego. Po prostu daj mi trochę czasu. - Dobrze, masz czas, Anno. Idę teraz na spacer. Jeśli zdecydujesz się na powrót do Kalifornii, to bądź tak dobra i wyjdź stąd zanim wrócę. Masz pół godziny - obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem, założył płaszcz i wyszedł z mieszkania. Adamie, nie... - wołało jej serce. Rzuciła się do drzwi, gotowa biec za nim, powiedzieć mu, że zostaje. Ale powstrzymała się. Filip jest słaby i chory; Adam jest silny. Filip bardziej ją potrzebuje niż Adam. Jeśliby opuściła swojego męża, prawdopodobnie umarłby bez jej opieki. Czy poczucie winy nie zniszczyłoby wówczas jej miłości do Adama? Minęło piętnaście minut. Anna wykręciła numer i zrobiła rezerwację. Kiedy odłożyła słuchawkę, wiedziała, że jej życie z Adamem jest skończone. - On nie jest człowiekiem, który robi czeche pogroźki. Był tak doskonale wyrozumiały podczas choroby Evie, a Linda nie wytrzymała napięcia. On wytrzymał. Jednak tym razem, kiedy powiedział jej, by wybrała między nim a jej rodziną, sprawa stała się oczywista. Pochlipując wzięła walizkę i skierowała się do drzwi. Rozdział czterdziesty szósty Przez kolejne miesiące Anna zmuszała się, by nie myśleć o niczym oprócz terażniejszości. Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na rozmyślenia nad przeszłością, lub wspomnienia z przeszłości, to wkrótce znajdzie się na moście Golden Gate gotowa do skoku. Tylko dzięki koncentracji na drobnych

poprawach stanu Filipa pozostawała przy zdrowych zmysłach. Ponieważ planowała zamieszkać w Nowym Jorku, sprzeda swoje biuro innemu pośrednikowi, który obiecał przyjąć May na współpracowniczkę. Teraz, nie mając swojej agencji, nie bardzo wiedziała, czym wypełnić długie dni. Samotne wyprawy do Muir Woods czy też lunch w Chinatown były wydarzeniem; list od Evie, która wróciła już do Piotra był dla niej świętem. Z czasem Filip odzyskał mowę, chociaż mówił bardzo niewyraźnie i trudno go było zrozumieć. Zaczął chodzić, najpierw opierając się o Annę, potem z pomocą ciężkiej laski. Pomimo znacznej poprawy, spędzał dni wpatrując się w niebo, dziwnie nieobecny. Anna doszła do wniosku, że potrzebuje on czegoś więcej niż tylko fizykoterapii. Zaczęła wysyłać go na drobne sprawunki - na pocztę, do sklepu - gdziekolwiek, byle tylko miał zajęcie i pretekst do wyjścia z domu. Jej nowy plan stworzył kolejny problem. Wysyłała go po jedną rzecz, a on wracał z zupełnie czymś innym, często nieprzydatnym. Zdarzało się, że przychodził do domu z pustymi rękami. Czuł się wtedy zdruzgotany wiedząc, że nic nie załatwił. Zawiedziony, błagał Annę, ze łzami w oczach, by mu wybaczyła. Sytuacja taka powtórzyła się kilka razy z rzędu, co zaniepokoiło Annę. Zadzwoiła do lekarza, który zalecił, by poczekała jeszcze jakiś czas i zobaczyła, czy stan Filipa się nie poprawi. Niestety, poprawa nie nastąpiła. Dawał nielogiczne odpowiedzi na pytania i często się powtarzał. Pamiętał dokładnie, co stało się w dniu Wielkiego Krachu, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie zostawił spodnie. Czasami zapominał w środku zdania o czym mówi. Pewnego nieszczęsnego ranka nie rozpoznał Anny. W tym stanie doktor Cohn zabrał go do szpitala na badania. Potem poprosił Annę na rozmowę. - Cierpi na chorobę Alzheimera, Anno - powiedział lekarz. - Zdawało mi się, że zauważyłem pewne zmiany podczas ostatniej wizyty. Popularnie nazywa się to uwiędnięciem starczym. - Och, mój Boże! Ależ Filip ma dopiero pięćdziesiąt cztery lata! - To nie jest wynikiem naturalnego procesu starzenia się. Nie wiemy dotychczas, czy jest to genetyczna skłonność, czy też wywołuje tę chorobę jakiś wirus. - Czy nie da się tego wyleczyć? - Niestety, Anno - odparł łagodnie. - Nie wiemy nawet jak to leczyć. Spojrzała na niego z przerażeniem. - Czy jego stan się pogorszy? - Choroba zwykle postępuje. Szczerze mówiąc, na podstawie tego, co mówiłaś, pogarsza mu się w szybkim tempie. Obawiam się, że niedługo już nie będziesz mogła opiekować się nim w domu. Pokręciwszy stanowczo głową, powiedziała: - Nie ma powodu, by musiał udać się do jakiejś instytucji. Wiem jak obchodzić się z chorymi; moja teściowa miała poważny wylew i opiekowałam się nią aż do śmierci. Doktor Cohn zmierzył ją posępnym wzrokiem. - Wylew to jedna sprawa, a choroba Alzheimera to druga. Filip może stać się nie do wytrzymania. Musisz być na to przygotowana. Tu nie wystarczy twoja chęć opieki nad nim. Z czasem nie będziesz mogła tego robić i nie chciałbym, żebyś czuła się winna. Anna odwróciła wzrok; do oczu napłynęły łzy. W końcu wzięła się w garść i prostując ramiona zapytała: - Jak długo będę mogła się nim zajmować? - Trudno powiedzieć. Może kilka miesięcy, może kilka lat. Anna wyszła z gabinetu zdruzgotana. Bez celu jeździła kilka godzin po San Francisco próbując zebrać odwagę, by wrócić do domu. Jak miała stanąć przed Filipem z takimi wiadomościami? Odczuwając niezmierną potrzebę porozmawiania z kimś, wpadła na pocztę i odszukała automat telefoniczny. Ale do kogo ma zadzwonić? Pomyślała chwilę, spojrzała na zegarek, po czym wykręciła numer do biura Adama. Odebrała sekretarka. - Mówi Anna Coulter. Czy mogę rozmawiać z panem Gaynem? - Zobaczę, czy jest. Chwileczkę. Błagam, bądź - chciała krzyknąć do słuchawki. Błagam, bądź. Błagam. Adam sam się sobie dziwił, że tak spokojnie zareagował, kiedy sekretarka poinformowała go o jej telefonie. Osiągnął do pewnego stopnia

wewnętrzny spokój, wyrzucając Annę ze swoich myśli i na Boga nie zamierza go utracić. Tęsknił za nią, ale stracił ją już tyle razy, że nie miał już sił, by ponownie przez to przechodzić. Pogardzając swoją słabością, powiedział sekretarce - Mario... powiedz pani Coulter, że nie możesz jej ze mną połączyć. Kiedy Maria przekazała tę wiadomość, Anna ścisnęła słuchawkę tak mocno, aż jej zbieleły palce. Myślała, że zemdleje. Odwiesiła słuchawkę, następnie kucnęła w szklanej budce i płakała jak skrzywdzone dziecko. To był ostatni raz, kiedy próbowała zadzwonić do Adama. Nawet w ten okropny grudniowy dzień, w którym umieściła Filipa w domu opieki, zatrzymała swój smutek dla siebie. W końcu bolało ją to coraz mniej. Chociaż nie potrzebowała pieniędzy, otworzyła nowe biuro pośrednictwa w handlu nieruchomościami w pobliżu San Mateo i pogrążyła się w pracy. Jediną ulgę dawały jej cotygodniowe telefony do Evie - Piotrowi przedłużono kontrakt w Norwegii - dzwoniła więc, by upewnić się, czy są nadal bardzo szczęśliwi. Evie zapewniła, że tak. Pewnego deszczowego wieczoru, Anna wróciła wyczerpana z seminarium dotyczącego zmian w systemie podatkowym i zastała zmartwioną Consuełę, która czekała na nią. - Pani Coulter - dzwonili z domu opieki. Prosiłi, żeby pani natychmiast zadzwoniła. Z bijącym sercem wykręciła numer, czyżby zasłabł? Zranił się w jakiś sposób? Lecz wiadomość była znacznie gorsza: Filip zmarł we śnie wczesnym wieczorem.